

NEAL SHUSTERMAN

PODZIELENI

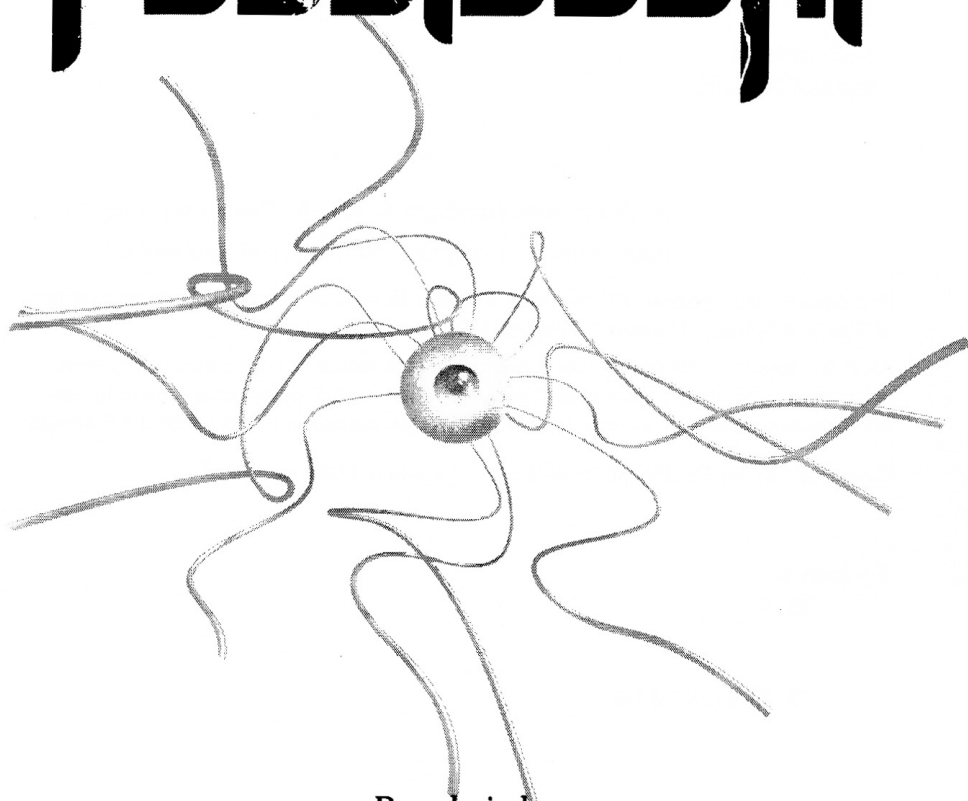


CO ZROBISZ,
JEŚLI ZECHCĄ
CIĘ PODZIELIĆ?

PAPIER  WYKSIEZYC

NEAL SHUSTERMAN

PODZIALENI



Przełożył
Łukasz Dunajski

PAPIER  WYKSIEZYC

Słupsk 2016

Tytuł oryginału
Unwind

Redaktor prowadzący
Artur Wróblewski

Korekta
Magdalena Senderowicz

Skład i łamanie
Anna Szarko
e-mail: anna.szarko@gmail.com

Projekt okładki
Krzysztof Krawiec

Copyright © by Neal Shusterman 2007

Copyright © for the Polish edition by Papierowy Księżyc 2012

Copyright © for the Polish translation Gabriela Jakubowska 2012

Wydanie I
Słupsk 2012

ISBN 978-836-13-8618-6

Wydawca:

PAPIER  WYKSIĘŻYC

Wydawnictwo Papierowy Księżyc
skr. poczt. 220, 76-215 Słupsk 12
tel. 59 727-34-20, fax. 59 727-34-21
e-mail: wydawnictwo@papierowyksiezyc.pl
www.papierowyksiezyc.pl

KARTA ŻYCIA

Druga Wojna Domowa, znana również jako „Wojna Moralna”, była długim i krwawym konfliktem toczonym wokół jednej sprawy.

Aby położyć jej kres, uchwalono szereg poprawek do konstytucji, zwanych „Kartą Życia”.

Rozwiązanie to zadowalało zarówno obrońców życia, jak i zwolenników wolnego wyboru.

Karta Życia stanowi, że życie ludzkie jest nienaruszalne od momentu poczęcia aż do wieku lat trzynastu.

Jednakże pomiędzy trzynastym a osiemnastym rokiem życia rodzice mogą podjąć decyzję o „aborcji” z mocą wsteczną...

...pod warunkiem, że życie dziecka „formalnie rzecz biorąc” się nie zakończy.

Proces, w trakcie którego życie dziecka dobiega końca a mimo to wciąż trwa, nazywany jest „podzieleniem”.

Podzielenie jest obecnie powszechną i akceptowaną przez społeczeństwo praktyką.

CZĘŚĆ PIERWSZA

TRYPLIKAT

Moje życie nigdy nie było wiele warte, jednak teraz, statystycznie rzecz ujmując, istnieje o wiele większa szansa na to, że gdzieś na świecie jakaś część mnie przyczyni się do wielkości. Wolę być po części wielkim niż całkowicie bezużytecznym.

– SAMSON WARD



1. CONNOR

Są miejsca, do których możesz uciec – pociesza go Ariana – a ktoś tak bystry jak ty, ma spore szanse na przetrwanie do osiemnastki.

Connor nie jest tego taki pewien, jednak gdy spogląda w oczy Ariany, wątpliwości na krótką chwilę go opuszczają. Teraz jej tęczówki są fiołkowe z delikatnym odcieniem szarości. Jest niebywałą niewolnicą mody – zawsze wstrzykuje sobie najnowsze pigmenty, zgodne z aktualnie obowiązującymi trendami. Connor nigdy nie przejawiał takich zainteresowań. Od momentu narodzin, aż do chwili obecnej kolor jego oczu pozostał taki sam. Brązowy. Nigdy nie zrobił sobie nawet tatuażu, w odróżnieniu od wielu innych dzieciaków, które sprawiają je sobie za młodu. Jedynym kolorem na jego skórze jest naturalna opalenizna, którą nabywa w czasie lata, jednak teraz, w listopadzie, już dawno zdążyła zaniknąć. Stara się nie myśleć o tym, że już nigdy więcej nie ujrzy lata. Przynajmniej nie jako Connor Lassiter. Wciąż nie może uwierzyć, że w wieku szesnastu lat okradziono go z jego życia.

Fiołkowe oczy Ariany zaczynają błyszczeć, wypełniając się łzami, które spływają po jej policzkach, gdy mruga.

– Connor, tak mi przykro. – Przytula go i przez krótką chwilę wszystko zdaje się być w porządku, jak gdyby byli jedynymi ludźmi na Ziemi. Przez te kilka sekund, Connor czuje się niezwyciężony, nietykalny... Jednak ona wypuszcza go z objęć, chwila przemija a świat wokół niego powraca. Po raz kolejny czuje dudnienie autostrady pod ich stopami, kiedy mijają ich przejeżdżające samochody, nie wiedząc ani nie przejmując się jego obecnością.

Po raz kolejny jest tylko naznaczonym dzieciakiem, który za tydzień ma zostać podzielony.

Łagodne słowa pocieszenia wypowiedane przez Arianę nie pomagają. Ledwo słyszy jej głos, zagłuszany przez pęd samochodów. To miejsce, w którym ukrywają się przed światem jest jednym z tych niebezpiecznych miejsc, na widok których dorośli kręcą głowami, wdzięczni, że ich własne pociechy mają wystarczająco dużo oleju w głowie aby nie włóczyć się na gzymsie estakady. Connor nie postrzega tego w kategoriach głupoty, czy nawet buntu – on po prostu czuje wtedy, że żyje. Siedząc na gzymsie, schowany za znakiem wyjazdu, czuje się tam jak nigdzie indziej. Z pewnością jeden fałszywy ruch i zostałaby z niego miazga. Jednak dla Connora życie na krawędzi jest czymś naturalnym.

Nie przyprowadzał tu innych dziewczyn, chociaż nie wspominał o tym Arianie. Zamyka oczy, wczuwając się w wibracje przejeżdżających samochodów, zupełnie jakby przemierzały jego żyły, były jego częścią. To zawsze jest odpowiednie miejsce, do którego może uciec po kłótni z rodzicami albo kiedy po prostu czuje, że wzmaga w nim wściekłość. Jednak teraz Connor jest dużo bardziej niż tylko wściekły – wzbierająca w nim złość nie pozwala mu na nawet na kłótnię z matką i ojcem. Zresztą nie ma się już o co kłócić. Jego rodzice podpisali dokumenty – klamka zapadła.

– Powinniśmy uciec – oznajmia Ariana. – Ja też mam już wszystkiego dosyć. Mojej rodziny, szkoły, wszystkiego. Mogłabym złamać ZOMZ i nie obracać się za siebie.

Connor chwytą się tej myśli. Wizja złamania ZOMZu przeraża go. Może udawać odważnego, zgrywać w szkole twardziela – jednak samotna ucieczka?

Nawet nie wie, czy starczyłoby mu odwagi. Jeżeli jednak Ariana dołączy do niego, to co innego. Wtedy nie będzie sam.

– Mówisz poważnie?

Ariana spogląda na niego swoimi magicznymi oczyma.

– Oczywiście. Oczywiście, że tak. Poszłabym z tobą. Jeżeli tylko byś mnie poprosił.

Connor zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji. Ucieczka z Podzielonym – o oznacza zaangażowanie. Fakt, że mogłaby to zrobić odbiera mu mowę. Całuje ją i pomimo wszystkich zawirowań w jego życiu, Connor czuje się nagle najszcześliwszym facetem na ziemi. Trzyma ją w ramionach – może zbyt

mocno, ponieważ Ariana zaczyna się wściekać, przez co chce ją przytrzymać jeszcze bardziej, jednak zwalczając to pragnienie i wypuszcza ją. Ariana uśmiecha się do niego.

– ZOMZ... – mówi. – Co to tak właściwie oznacza?

– To taki stary wojskowy termin – odpowiada Connor. – Oznacza „Zakaz Opuszczania Miejsca Zakwaterowania”.

Ariana zastanawia się nad tym, po czym się uśmiecha.

– Hmm. To brzmi raczej jak „Zakaz Oddawania Mocz w Zakamarkach”.

Connor ujmując jej dłoń, starając się nie ścisnąć jej zbyt mocno.

Powiedziała, że poszłaby z nim, jeżeli ją o to poprosi. Dopiero teraz uświadamia sobie, że tak naprawdę jeszcze tego nie zrobił.

– Ariano, uciekniesz ze mną?

Ariana uśmiecha się i kiwa głową.

– Oczywiście – odpowiada. – Oczywiście, że tak.

* * *

Rodzice Ariany nie lubią Connora. Już słyszy jak mówią: – Zawsze wiedzieliśmy, że zostanie Podzielonym. Powinnaś się trzymać z daleka od tego Lassitera. – Dla nich nigdy nie był „Connorem”. Zawsze był „Lassiterem”. Myślą, że mogą go oceniać, tylko dlatego, że zaliczył już kilka szkół dla trudnej młodzieży.

Jednak, kiedy później odprowadza ją po południu do domu, zatrzymuje się tuż przed jej drzwiami i chowa za drzewem, kiedy ona wchodzi do środka. Przed powrotem do domu myśli o tym, że wkrótce ukrywanie się stanie się dla nich obojętne czymś normalnym.

Dom.

Connor zastanawia się, jak może nazywać miejsce, w którym żyje domem, kiedy wkrótce ma zostać z niego wyrzucony – nie tylko z miejsca w którym śpi, ale również z serc tych, którzy powinni go przecież kochać.

Kiedy wchodzi do środka, jego ojciec siedzi w fotelu, oglądając wiadomości.

– Cześć, tato.

Jego ojciec wskazuje na sceny masakry na ekranie.

– Znowu ci klakierzy.

- Gdzie tym razem uderzyli?
- Wyszadzili Old Navy w centrum handlowym w Północnym Akron.
- Hmm – komentuje Connor. – Sądziłem, że mają lepszy gust.
- To nie jest śmieszne.

Jego rodzice nie wiedzą, że Connor odkrył, iż ma zostać podzielony. Miał się o tym nie dowiedzieć, jednak Connor zawsze był dobry w tropieniu sekretów. Przed trzema tygodniami, szukając zszywacza w biurze ojca, znalazł bilety lotnicze na Bahamy. Wylatywali w Święto Dziękczynienia na rodzinne wakacje. Był tylko jeden kłopot: były tylko trzy bilety. Dla jego matki, ojca oraz młodszego brata. Nie było biletu dla niego. Z początku sądził, że bilet musi znajdować się gdzie indziej, jednak im więcej się nad tym zastanawiał, tym bardziej dochodził do przekonania, że się myli. Kiedy więc jego rodzice byli poza domem, zaczął szukać głębiej i znalazł zlecenie podzielenia. Zostało sporządzone w staroświeckim tryplikacie. Białej kopii już nie było – została przekazana do odpowiednich organów. Żółta kopia będzie mu towarzyszyć aż do końca jego dni, a różowa zostanie u jego rodziców, jako dowód tego, co zrobili. Być może oprawią ją w ramkę i powieszą obok jego zdjęcia z pierwszej klasy.

Na zleceniu widniała data poprzedzająca dzień wylotu na Bahamy. Miał zostać podzielony, a oni mieli udać się na wakacje, aby odzyskać spokój sumienia. Ta straszna niesprawiedliwość sprawiła, że Connor chciał coś rozbić. Sprawiała, że miał ochotę rozbić wiele rzeczy – jednak tego nie zrobił. Choć raz zapanował nad sobą i poza kilkoma bójkami w szkole, które nie wywiązały się z jego winy, ukrywał swoje emocje. Zachował zdobytą wiedzę dla siebie. Wszyscy wiedzieli, że zlecenie podzielenia było nieodwracalne, tak więc wrzaski i bójki niczego nie mogły już zmienić. Poza tym, zdobył pewną przewagę, odkrywając sekret rodziców. Teraz cios, który mógł im zadać był o wiele bardziej skuteczny. Zupełnie jak w dniu, kiedy przyniósł matce kwiaty i płakała przez wiele godzin. Jak wtedy, kiedy dostał czwórkę z plusem ze sprawdzianu z nauk ścisłych. Najlepsza ocena jaką kiedykolwiek otrzymał w tej dziedzinie. Pokazał ocenę ojcu, który spojrzał na nią i pobleął na twarzy.

– Widzisz tato, mam coraz lepsze stopnie. Na koniec semestru mogę postarać się nawet o piątkę. – Godzinę później jego ojciec siedział w fotelu, wciąż kurczowo trzymając sprawdzian w dłoni i wpatrując się pustym wzrokiem w ścianę.

Motywacja, która go do tego pchnęła była prosta. Chciał, żeby cierpieł; żeby przez resztę swojego życia żył ze świadomością tego, jak fatalny popełnili błąd.

Jednak nie zaznał w tej zemście żadnej słodyczy i teraz, po trzech tygodniach postwienia się nad nimi, wcale nie czuje się lepiej. Wbrew sobie zaczął odczuwać względem nich żal i nie potrafi ścierpieć tego uczucia.

– Spóźniłem się na obiad?

Jego ojciec nie odwraca głowy od telewizora.

– Matka zostawiła dla ciebie talerz na stole.

Connor udaje się do kuchni, jednak w połowie drogi słyszy głos ojca:

– Connor?

Odwraca się i dostrzega ojca spoglądającego na niego. Ojciec nie tyle na niego spogląda, co wręcz się w niego wpatruje. Teraz mi powie – myśli Connor. *Powie mi, że chcę mnie podzielić i się rozpłaczę, będzie biadolił jak bardzo, bardzo jest mu przykro z tego powodu.* – Jeżeli to zrobi, to Connor może przyjmie jego przeprosiny. Może nawet mu wybaczy i powie mu, że nie zamierza tu zostawać, kiedy hycle z wydziału ds. Młodocianych przyjadą po niego. Jednak jego ojciec pyta jedynie:

– Zamknąłeś za sobą drzwi?

– Zrobię to teraz.

Connor zamyka drzwi, następnie udaje się do swojego pokoju bez uczucia głodu, bez najmniejszego zainteresowania czymkolwiek, co zostawiła dla niego matka.

O drugiej nad ranem Connor wkłada czarne ubranie i pakuje plecak z rzeczami, na których mu naprawdę zależy. Wciąż ma miejsce na trzy sztuki ubrania na zmianę. Zdumiewa go fakt, jak niewiele z tych rzeczy, które posiada, warto zabrać. Głównie wspomnienia. O czasach, nim wszystko się pomsuło pomiędzy nim a jego rodzicami. Pomiedzy nim a resztą świata.

Connor zerka do sypialni brata. Myśli o tym, aby go obudzić i się pożegnać, po czym dochodzi do wniosku, że to nie jest najlepszy pomysł. Po cichu wymyka się w objęcia nocy. Nie może zabrać swojego roweru, ponieważ zainstalował w nim urządzenie namierzające złodziei. Nigdy nie sądził, że to on mógłby go ukraść. Na szczęście Ariana ma rowery dla nich obojga.

Dom Ariany dzieli dwadzieścia minut drogi spacerem od jego domu, jeżeli wybierze się tradycyjną trasą. Na podmiejskich osiedlach Ohio nie ma

ulic, które biegłyby wzdłuż linii prostej, dlatego też decyduje się na krótszą trasę przez las i dociera do celu już po dziesięciu minutach.

Światła w domu Ariany są wyłączone. Spodziewał się tego. Byłoby podejrzane, gdyby nie położyła się w ogóle spać. Lepiej więc, żeby udawała, że śpi, nie budząc tym samym żadnych podejrzeń. Utrzymuje odległość od domu. Ogródek oraz ganek mają zainstalowane oświetlenie sterowane czujnikiem ruchu, które włącza się, jeżeli cokolwiek znajdzie się w jego zasięgu. Ma na celu odstraszyć dzikie zwierzęta oraz złodziei. Dla rodziców Ariany Connor jest jednym i drugim.

Wyjmuje telefon i wybiera znajomy mu numer. Z miejsca, w którym stoi w cieniu na skraju ogródka, słyszy sygnał dzwonka dobiegający z jej pokoju na piętrze. Connor rozłącza się prędko i zanurza się jeszcze głębiej w cień z obawy, że rodzice Ariany mogliby wyrzeć przez okno. Co ona sobie myśli? Miała przecież ustawić telefon na wibracje.

Zakreśla szeroki łuk wzdłuż skraju ogródka, wystarczająco szeroki, aby nie uruchamiać oświetlenia. I chociaż zapala się lampa, kiedy wchodzi na ganek, to tylko sypialnia Ariany zwrócona jest w tę stronę. Ariana podchodzi do drzwi w chwilę później, otwiera je, jednak niewystarczająco szeroko, aby mogła przez nie wyjść, albo on mógł przez nie wejść.

– Cześć. Jesteś gotowa? – pyta Connor. Najwyraźniej nie jest; ma na sobie szlafrok przykrywający satynową piżamę. – Chyba nie zapomniałaś?

– Nie, nie zapomniałam...

– No to pośpiesz się! Im szybciej stąd pryśniemy, tym większą zdobędziemy przewagę, zanim ktokolwiek się zorientuje, że nas nie ma.

– Connor – wykrztusza z siebie. – Chodzi o to, że...

Prawda rozbrzmiewa już w jej głosie, w sposobie, w jaki z trudem wypowiada jego imię, w drżącym usprawiedliwieniu unoszącym się w powietrzu niczym echo. Nie musi już nic więcej mówić, ponieważ on już wie, jednak i tak pozwala jej dokończyć. Ponieważ widzi, z jak wielkim trudem jej to przychodzi i chce, aby tak właśnie było. Chce, aby była to dla niej najtrudniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek przyszło jej w życiu zrobić.

– Connor, chcę z tobą iść, naprawdę... ale to nie jest odpowiedni czas. Moja siostra wychodzi za mąż, a wiesz przecież, że wybrała mnie na swoją drużną. A jest jeszcze szkoła.

– Przecież nie cierpisz szkoły. Powiedziałaś, że ją rzucisz, jak tylko skończysz szesnaście lat.

- Mówiłam, że *spróbuję*, a to co innego.
- Więc nie idziesz ze mną?
- Chcę, *naprawdę*, naprawdę chcę... ale nie mogę.
- Wychodzi na to, że wszystko, o czym rozmawialiśmy to kłamstwo.
- Nie – odpowiada Ariana. – To było marzenie, które zweryfikowała rzeczywistość. To wszystko. Poza tym ucieczka niczego nie rozwiązuje.
- Ucieczka to jedyne rozwiązanie jakie mam, aby ocalić swoje życie – syczy Connor. – Mam zostać podzielony, o ile nie zapomniałaś.

Delikatnie dotyka jego twarzy.

- Wiem – odpowiada. – Ale ja nie.

Następnie u szczytu schodów zapala się światło i Ariana odruchowo przymyka drzwi o kilka centymetrów.

- Ari? – Connor słyszy głos jej matki. – O co chodzi? Co robisz przy drzwiach?

Connor wycofuje się, znikając z pola widzenia i Ariana odwraca się w stronę schodów.

- Nic mam. Wydawało mi się, że widziałam z mojego okna kojota i chciałam się tylko upewnić, czy koty nie są na zewnątrz.

- Kochanie, koty są na górze. Zamknij drzwi i wracaj do łóżka.

- Więc jestem kojotem – zauważa Connor.

- Cii! – odpowiada Ariana, przymykając drzwi na szerokość niewielkiej szpary i jedyne, co Connor teraz widzi, to skrawek jej twarzy i jedno fiołkowe oko. – Uciekniesz. Wiem, że ci się uda. Zadzwoń do mnie, jak tylko będziesz bezpieczny. – Następnie zamyka drzwi.

Connor stoi w miejscu przez długą chwilę, aż oświetlenie sterowane czujnikiem ruchu w końcu gaśnie. Nie planował ucieczki w pojedynkę, jednak uświadamia sobie, że powinien był. Od chwili, gdy jego rodzice podpisali dokumenty, Connor był przecież sam.

Nie może jechać pociągiem; nie może też jechać autokarem. Ma pieniądze, jednak pierwszy kurs jest dopiero rano, a do tego czasu będą go już szukali we wszystkich oczywistych miejscach. Zbiegli Podzieleni są obecnie tak częstym zjawiskiem, że do ich wytropienia oddelegowano całe zastępy hycli. Opanowali to do perfekcji.

Wie, że w mieście mógłby zniknąć bez śladu, wtopić się w tłum tysięcy twarzy, których więcej się już nie ogląda. Wie, że mógłby również zniknąć

na wsi, gdzie jest tak niewielu ludzi, że można by ich policzyć na palcach jednej ręki; mógłby urządzić dom ze starej stodoły i nikt by go tam nie szukał. Jednak dochodzi do wniosku, że policja jednak to przewidziała. Prawdopodobnie każda urządzona w ten sposób stodoła to pułapka zastawiona na uciekinierów takich jak on. A może po prostu stał się paranoikiem. Nie, Connor wie, że jego sytuacja wymaga wzmożonej uwagi – nie tylko dzisiejszej nocy, ale również przez najbliższe dwa lata. Wtedy, gdy tylko skończy osiemnaście lat, będzie wolny. Gdy to się stanie, z pewnością będą mogli wtrącić go do więzienia, będą mogli go sądzić – jednak nie będą go już mogli podzielić. Cała sztuka polega na tym, aby do tego czasu przeżyć.

Przy autostradzie znajduje się przydrożny zajazd, na którym kierowcy ciężarówek zatrzymują się na noc. Tam właśnie udaje się Connor. Wydaje mu się, że mógłby się wśliznąć na tył osiemnastokołowej ciężarówki, jednak szybko uświadamia sobie, że kierowcy trzymają załadunek zamknięty. Przeklina samego siebie za to, że nie był wystarczająco przezorny, aby o tym pomyśleć. Wybieganie myślami do przodu nigdy nie było jego mocną stroną. Gdyby tak było, to nie wdałby się w niezliczone sytuacje, które prześladowały go przez ostatnich kilka lat. Sytuacje, dzięki którym zyskał etykietę „awanturnika” i „zawadiaki”, w efekcie jego ostatnią etykietę „Podzielonego”.

Na parkingu stoi około dwudziestu ciężarówek, obok widać jasno oświetlony bar, w którym stołuje się pół tuzina kierowców. Jest trzecia trzydzieści nad ranem. Najwyraźniej kierowcy mają swój własny biologiczny zegar. Connor obserwuje i czeka. Następnie, około za piętnaście czwarta, na parking podjeżdża po cichu radiowóz. Żadnych świateł, żadnej syreny. Powoli okrąża parking niczym rekin. Connorowi wydaje się, że może się ukryć, dopóki nie dostrzeże drugiego nadjeżdżającego radiowozu. Parking oświetla zbyt wiele świateł, aby mógł się ukryć w cieniu, a nie może rzucić się do ucieczki, nie zostając przy tym zauważonym w jasnym świetle księżycy. Wóz patrolowy nadjeżdża z drugiego końca parkingu. W ciągu jednej sekundy jego światła lądują na nim, więc wtacza się pod ciężarówkę i modli się w duchu, licząc na to, że gliniarze go nie zobaczyli.

Obserwuje, jak koła radiowozu przejeżdżają powoli obok niego. Po drugiej stronie osiemnastokołowca drugi radiowóz podąża w przeciwnym kierunku. *Może to po prostu rutynowy patrol – zastanawia się. – Może mnie nie szukają.* Im więcej o tym myśli, tym bardziej jest przekonany, że tak właśnie

jest. Nie mogą jeszcze wiedzieć, że uciekł. Jego ojciec śpi jak zabity, a matka nie zagląda już w nocy do jego pokoju.

Pomimo to, radiowozy wciąż krążą.

Z miejsca pod ciężarówką, w którym leży, Connor dostrzega otwarte drzwi od strony kierowcy do innego osiemnastokołowca. Nie – to nie są drzwi kierowcy, to drzwi do niewielkiej sypialni znajdującej się za szoferką. Wyłania się z niej kierowca, który przeciąga się, po czym udaje się w kierunku toalet, zostawiając drzwi otwarte.

W ułamku sekundy Connor podejmuje decyzję i wypada ze swojej kryjówki, biegnąc przez parking do wypatrzonej ciężarówki. Sypki żwir rozpryskuje się na boki spod jego stóp. Nie wie, gdzie znajdują się radiowozy, jednak to nie ma znaczenia. Podjął już decyzję i musi teraz skoncentrować całą uwagę na swoim celu. Dobiegając do drzwi, dostrzega zbliżającą się smugę światła, zmierzającą w jego kierunku. Otwiera szeroko drzwi do kabiny sypialnej, wskakuje do środka i zamyka je za sobą.

Siedzi na łóżku nie większym od łóżka polowego, łapiąc oddech. Co dalej? Kierowca przecież wróci. Jeżeli mu się poszczęści, to Connor ma około pięciu minut, minutę, jeśli mu szczęścia zabraknie. Zagląda pod łóżko. Jest tam miejsce, w którym może się ukryć, jednak zajmują je dwa worki marynarskie wypełnione ubraniami. Mógłby je wyciągnąć, wcisnąć się a następnie umieścić worki z powrotem przed sobą. Kierowca by się nie zorientował, że tam jest. Jednak zanim zdąży wyciągnąć pierwszy worek, drzwi do kabiny stają otworem. Connor stoi po prostu w miejscu jak wmurowany, kiedy kierowca ciężarówki sięga ręką po swoją kurtkę i dostrzega go.

– Hola! Coś ty za jeden? Co, do jasnej cholery, robisz w mojej ciężarówce?

– Proszę – mówi Connor, jego głos staje się nagle piskliwy, zupełnie jak przed mutacją. – Proszę, niech pan nikomu nie mówi. Muszę się stąd wydostać. – Sięga do plecaka, grzebie w nim ręką i wyciąga z portfela plik banknotów – Chce pan pieniędzy? Mam pieniądze. Dam panu wszystko co mam.

– Nie chcę twoich pieniędzy – odpowiada kierowca.

– Dobrze, więc czego?

Nawet w przyćmionym świetle kierowca musi dostrzegać panikę w oczach Connora, jednak nie reaguje nawet słowem.

– Proszę – błaga ponownie Connor. – Zrobię, co tylko pan zechce...

Kierowca przygląda mu się w ciszy przez dłuższą chwilę.

– Czyżby? – w końcu odpowiada. Następnie wchodzi do środka i zamyka za sobą drzwi.

Connor zamyka oczy, przerażony na myśl o tym, w co właśnie się wpakował.

Kierowca siada obok niego.

– Jak ci na imię?

– Connor. – Następnie uświadamia sobie o sekundę za późno, że powinien był podać fałszywe imię.

Kierowca drapie się po kilkudniowym zarostcie i namyśla się przez chwilę.

– Coś ci pokażę, Connor. – Sięga ręką nad Connorem i ze wszystkich możliwych rzeczy chwyta talię kart z woreczka wiszącego tuż przy łóżku. – Widziałeś już kiedyś coś takiego? – Kierowca bierze talię do jednej dłoni i zręcznie przetasowuje karty. – Całkiem niezłe, co nie?

Connor, nie wiedząc co odpowiedzieć, po prostu przytakuje.

– A co powiesz na to? – Kierowca wyciąga kartę i przy użyciu sztuczki sprawia, że ta rozpływa się w powietrzu. Następnie sięga dłonią i wyciąga kartę z kieszeni koszuli Connora.

– Podobało ci się?

Connor nerwowo się uśmiecha.

– Sztuczki, które właśnie zobaczyłeś? – wyjaśnia kierowca. – To nie ja je zrobiłem.

– Ja... nie wiem o co panu chodzi.

Kierowca podciąga rękaw, ujawniając, że ręka, która dokonała sztuczek została mu przeszczepiona od łokcia w dół.

– Przed dziesięcioma laty zasnąłem za kółkiem – wyjaśnia mu kierowca. – Wielka kraksa. Straciłem rękę, nerkę i parę innych rzeczy. Dostałem jednak nowe i wylizałem się z tego. – Spogląda na swoje dłonie i teraz Connor dostrzega, że ręka, za sprawą której dokonał karcianych sztuczek nieco się różni od drugiej. Druga dłoń kierowcy ma grubsze palce a skóra ma nieco bardziej oliwkowy odcień.

– Więc – mówi Connor – ktoś wyciągnął do pana pomocną dłoń.

Kierowca śmieje się z tego, następnie milczy przez chwilę, przyglądając się zastępczej dłoni.

– Te palce znały rzeczy, o których reszta mojego ciała nie miała pojęcia. Nazywają to pamięcią mięśniową. Nie ma dnia, żebym nie myślał o tym, ja-

kie inne talenty posiadał jeszcze ten chłopak, zanim został podzielony... kimkolwiek był.

Kierowca wstaje.

– Masz szczęście, że na mnie trafiłeś – oznajmia. – Są kierowcy, którzy zabrałoby wszystko co masz a później i tak cię wydali.

– A pan nie jest jednym z nich?

– Nie, nie jestem. – Wyciąga dłoń – swoją *drugą* dłoń – i Connor ją uściśkuje. – Josias Aldridge – przedstawia się. – Jadę na północ. Możesz ze mną jechać do rana.

Connor odczuwa ulgę tak wielką, że aż odbiera mu dech w piersiach. Nie jest nawet w stanie wykrztusić z siebie podziękowań.

– To nie jest najwygodniejsze wyrko na świecie – wyjaśnia Aldridge – ale spełnia swoje zadanie. Odpocznij trochę. Idę walnąć kloca i za chwilę ruszamy. – Następnie zamyka drzwi i Connor słyszy jego kroki zmierzające w stronę toalety. Connor w końcu nieco się uspokaja i zaczyna odczuwać ogarniające go zmęczenie. Kierowca nie podał mu dokładnego celu podróży, jedynie kierunek, ale jemu to odpowiada. Północ, południe, wschód, zachód – bez znaczenia. Ważne, że daleko stąd. A co się tyczy jego kolejnego kroku – cóż, najpierw musi skończyć obecny, zanim zacznie myśleć co dalej.

Minutę później Connor zdążył już powoli zapadać w sen, kiedy do jego uszu dobiega krzyk z zewnątrz.

– Wiemy, że tam jesteś! Wyłaż, a nic ci się nie stanie!

Serce podchodzi Connorowi do gardła. Josias Aldridge najwyraźniej popisał się kolejną sztuczką. Wyczarował Connora dla policji. Abrakadabra. W obliczu końca podróży, która na dobre jeszcze się nie rozpoczęła, Connor otwiera drzwi i jego oczom ukazuje się trójka hycli z wymierzoną bronią.

Jednak nie mierzą do niego.

W rzeczywistości stoją obrócenii do niego plecami.

Po drugiej stronie parkingu drzwi do szoferki ciężarówki, pod którą przed kilkoma minutami się ukrywał, stoją otworem i z za pustego siedzenia kierowcy wychodzi jakiś dzieciak z rękoma w górze. Connor rozpoznaje go od razu. To chłopak, którego zna ze szkoły. Andy Jameson.

Boże, czy Andy też ma zostać podzielony?

Andy ma strach wypisany na twarzy, jednak pod nim kryje się coś jeszcze gorszego. Wyraz całkowitej klęski. Wtedy Connor zdaje sobie sprawę z wła-

snej głupoty. Był tak zaskoczony tym nagłym obrotem wydarzeń, że wciąż stoi nieruchomo w tym samym miejscu, wystawiony na widok publiczny. Funkcjonariusze nie widzą go. Jednak Andy tak. Dostrzega Connora, pochwyca jego spojrzenie, jedynie na chwilę...

...i w tej właśnie chwili wydarza się coś niezwykłego.

Wyraz rozpaczony na twarzy Andy'ego zastępuje nagle stalowa stanowczość granicząca z tryumfem. Pośpiesznie odwraca wzrok od Connora i robi kilka kroków, zanim policja dopada do niego – klika kroków w tył, więc policjanci nadal obróceny są do Connora plecami.

Andy go zauważył i go nie wydał! Jeżeli po tym dniu Andy'ego nie czeka już nic więcej, przynajmniej zostanie mu uczucie tego małego tryumfu.

Connor wycofuje się w cień ciężarówki i powoli zamyka za sobą drzwi. Gdy na zewnątrz policja zabiera ze sobą Andy'ego, Connor kładzie się na plecach i do oczu napływają mu łzy, tak samo niespodziewane jak letnia ulewa. Nie ma pewności, z czyjego powodu płacze – Andy'ego, swojego, czy też Ariany – i niewiedza ta sprawia, że łzy napływają z jeszcze większą intensywnością. Zamiast je otrzeć, pozwala by wyschły na jego twarzy, tak jak kiedyś, gdy był małym chłopcem, a rzeczy, z powodu których płakał były tak nieznaczące, że nim nastał ranek, zapominał o nich.

Kierowca nie zagląda do niego. Connor słyszy natomiast dźwięk zapalnego silnika i czuje, jak ciężarówka rusza. Delikatny ruch pojazdu kołysze go do snu.

Budzi go dzwonek komórki. Walczy z przytomnością. Chce wrócić do snu, który śnił. Śniło mu się miejsce, w którym już był, jednak nie mógł sobie przypomnieć kiedy. Był z rodzicami w domku na plaży, zanim urodził się jego brat. Noga Connora wpadła przez przegnitą deskę na ganku w pajęczyny, grube niczym bawełna. Connor wrzeszczał i krzyczał z bólu oraz strachu przed olbrzymimi pajakami, które – był pewien – zjedzą jego nogę. Pomimo to, był to dobry sen – przyjemne wspomnienie – ponieważ był przy nim ojciec, który go uwolnił i wniósł do środka, gdzie opatrzono mu nogę i usadowiono przy kominku z cydrem tak pysznym, że wciąż czuł jego smak, gdy o nim pomyślał. Jego ojciec opowiedział mu historię, której już nie pamięta, ale to nie szkodzi. To nie historia a głos ojca się dla niego liczył, łagodny baryton rozbrzmiewający uspokajająco niczym fale rozbijające się o brzeg. Mały chłopczyk Connor wypił swój cydr i oparł się o matkę udając,

że zapada w sen, jednak tak naprawdę starał się rozpląnąć w tej chwili i sprawić, by trwała wiecznie. We śnie rzeczywiście się rozpląnął. Jego całe jestwo spłynęło do kubka po cydrze a jego rodzice umieścili je delikatnie na stole, wystarczająco blisko ognia, aby już zawsze pozostawało w objęciach ciepła.

Głupie sny. Nawet te dobre są złe, ponieważ przypominają nam, jak kiero-
sko na ich tle maluje się rzeczywistość.

Komórka dzwoni ponownie, przepędzając resztki snu. Connor niemal ją odbiera. W kabinie sypialnej ciężarówki panuje tak wielka ciemność, że z początku nie zdaje sobie sprawy, że nie leży we własnym łóżku. Jedyne co go ratuje to fakt, że nie może znaleźć telefonu i musi włączyć światło. Kiedy odnajduje ścianę, przy której powinna znajdować się jego szafka nocna, uświadamia sobie, że nie jest w swoim pokoju. Telefon rozbrzmiewa ponownie. Wtedy wszystko do niego wraca i przypomina sobie, gdzie jest. Odnajduje telefon w plecaku. Numer na wyświetlaczu informuje go, że dzwoni jego ojciec.

Więc teraz jego rodzice wiedzą już, że zniknął. Czy naprawdę sądzą, że odbierze od nich telefon? Czeka, aż poczta głosowa przyjmie wiadomość, po czym wyłącza komórkę. Zegarek pokazuje siódmą trzydzieści rano. Przeciera zaspane oczy, starając się obliczyć, jak daleko udało im się odjechać. Ciężarówka już się nie porusza, ale kiedy spał musieli pokonać co najmniej trzysta kilometrów. To dobry początek.

Ktoś puka do drzwi.

– Wychodź mały. Koniec jazdy.

Connor nie narzeka – to, co zrobił dla niego kierowca ciężarówki było szalenie wspaniałomyślne z jego strony. Connor nie będzie go prosił o nic więcej. Otwiera drzwi i wysiada, aby mu podziękować, jednak przy drzwiach nie stoi Josias Aldridge. Aldridge znajduje się kilka kroków dalej, skuty kajdankami, a przed Connorem stoi policjant: hycel, na którego twarzy maluje się wypisany od ucha do ucha uśmiech. Dziesięć metrów dalej stoi ojciec Connora, wciąż trzymając w dłoni telefon komórkowy, z którego dzwonił.

– To koniec, synu – obwieszcza mu ojciec.

Wprawia tym Connora w szal. – *Nie jestem twoim synem!* – Chce mu wykrzyknąć. – *Przestałem nim być z chwilą, gdy podpisałeś zlecenie mojego po-*

dzielenia! – Jednak szok spowodowany nagłymi wydarzeniami odbiera mu mowę.

Pozostawienie włączonej komórki było z jego strony wielką głupotą – w ten sposób go namierzyli – i teraz zastanawia się, jak wiele innych nastoletków zostało złapanych przez swoje ślepe zaufanie do technologii. Cóż, Connor nie podąży tą samą drogą, co Andy Jameson. Szybko ocenia sytuację. Ciężarówka została zatrzymana na poboczu autostrady przez dwa wozy drogówki i jednostkę policji z wydziału ds. młodocianych. Pachołki drogowe mijane z prędkością stu dziesięciu kilometrów na godzinę, nieświadome małego dramatu, który rozgrywa się na poboczu. W ułamku sekundy Connor podejmuje decyzję i zrywa się do ucieczki, odpycha funkcjonariusza policji na ciężarówkę i biegnie przez zatłoczoną autostradę. Zastanawia się, czy strzelą w plecy nieuzbrojonemu dzieciakowi, czy też postrzelą go w nogę i oszczędzą jego drogocenne organy? Gdy biegnie autostradą samochody skręcają przed nim gwałtownie, jednak Connor nie zatrzymuje się.

– Connor, stój! – Słyszy krzyk swojego ojca. Następnie do jego uszu dobiega wystrzał z broni.

Odczuwa siłę jego uderzenia, jednak nie na własnej skórze. Pocisk utkwił w jego plecaku. Nie ogląda się za siebie. Następnie, kiedy dobiega do środka autostrady, do jego uszu dobiega kolejny wystrzał i na pasie rozdziału pojawia się mała niebieska plamka. Strzelają do niego pociskami ze środkiem uspokajającym. Oni nie chcą go zabić, chcą go uziemić – i są raczej skłonni strzelać wedle uznania pociskami uspokajającymi aniżeli zwykłymi nabojami.

Connor przechodzi przez pas rozdziału i nagle znajduje się na drodze caddillaca, który nie zamierza się przed niczym zatrzymać. Samochód skręca gwałtownie, aby go wyminąć i przez czysty zbieg okoliczności, dzięki temu, że Connor się rozpędził, o kilka centymetrów udaje mu się uniknąć zderzenia z samochodem. Boczne lusterko uderza go boleśnie w żebra zanim samochód zatrzymuje się z piskiem opon, posyłając do jego nozdrzy gryzący smród spalonej gumy. Trzymając się za obolały bok, Connor zauważa jakąś przyglądającą się mu osobę z tylnego siedzenia przez otwarte okno samochodu. To jakiś chłopak, ubrany cały na biało. Chłopak jest przerażony.

Ponieważ policjanci zdążyli już dotrzeć do pasa rozdziału, Connor spogląda w oczy przerażonego chłopaka i wie, co musi zrobić. Pora na kolejną

natychmiastową decyzję. Sięga ręką przez okno, podnosi blokadę zamka i otwiera drzwi.



2. RISA

Risa chodzi w kółko za sceną, czekając na swoją kolej na występ. Wie, że mogłaby zagrać sonatę przez sen – w rzeczywistości często tak robi. Tak wiele razy budziła się czując jak jej palce grają na prześcieradle. Słyszała muzykę, która wciąż rozbrzmiewała w jej głowie przez kilka chwil po przebudzeniu, jednak wkrótce rozplywała się w nocnej gęstwinie, pozostawiając jedynie palce uderzające o pościel.

Musi znać tę sonatę. Musi jej ona przyjść tak łatwo, jak oddychanie.

– To nie są zawody – powtarza jej zawsze pan Durkin. – Na recitalu nie ma zwycięzców ani przegranych.

Ale Risa wie lepiej.

– Risa Ward – wywołuje ją inspicjent. – Twoja kolej.

Kręci ramionami, poprawia klamerkę w swoich długich brązowych włosach a następnie wychodzi na scenę. Oklaski publiczności są uprzejme, nic więcej. Niektóre szczerze, ponieważ wśród zgromadzonej publiczności ma przyjaciół oraz nauczycieli, którzy pragną, aby jej się powiodło. Jednak w większości są to obowiązkowe brawa od publiczności, która czeka, aż ktoś im zaimponuje.

Pan Durkin też tam siedzi. Od pięciu lat uczy ją gry na fortepianie. Jest dla Risy niemal jak rodzic. Szczęściara z niej. Nie każdy dzieciak z 23 Domu Stanowego w Ohio może pochwalić się nauczycielem, o którym można tak powiedzieć. Większość dzieciaków StaDo nienawidzi swoich nauczycieli, ponieważ widzą w nich strażników więziennych.

Lekceważąc sztywną formalność jej recitalowego ubioru, zasiada do fortepianu; to koncertowy Steinway, czarny jak noc i równie długi.

Skupienie.

Skupia wzrok na fortepianie, zmuszając publiczność, aby ukryła się w ciemności. Publiczność się nie liczy. Jedyne co ma dla niej znaczenie, to fortepian i wspaniałe dźwięki, które z niego wydobędzie.

Trzyma przez chwilę palce nad klawiszami, następnie rozpoczyna z idealną pasją. Wkrótce jej palce tańczą po klawiszach, sprawiając, że bezbłędne granie przychodzi jej z łatwością. Wprawia instrument w śpiew... i wtedy jej palec serdeczny u lewej dłoni uderza w B, po czym niezdarnie wraca na H.

Błąd.

To dzieje się tak szybko, że może nikt tego nie zauważył – za wyjątkiem Risy. Rozpamiętuje błędną nutę, która odbija się echem w jej głowie, rozbrzmiewając coraz głośniejsze, kradnąc jej skupienie, aż w końcu potyka się ponownie, uderzając w drugą złą nutę, a dwie minuty później grając błędnie cały akord. Łzy zaczynają napływać jej do oczu i obraz zaczyna się rozmazywać.

Niepotrzebne ci oczy – uspokaja samą siebie. – *Wystarczy, że poczujesz muzykę.* Wciąż przecież może się podnieść po tym upadku, czyż nie? Jej błędy, które w jej uszach rozbrzmiewają tak okropnie, są ledwo dostrzegalne.

– Spokojnie – powiedziała by jej pan Durkin. – Nikt cię nie ocenia.

Być może naprawdę w to wierzy – jednak z drugiej strony, on może sobie na to pozwolić. On nie ma piętnastu lat i nigdy nie był wychowankiem domu dziecka.

Pięć błędów.

Każdy z nich niewielki, trudny do wychwycenia, jednak mimo wszystko błąd. Wszystko byłoby dobrze, gdyby występy pozostałych uczestników nie były idealne, jednak oni błyszczeli.

Pomimo to, pan Durkin uśmiecha się, kiedy ją wita w recepcji.

– Byłaś wspaniała! – oznajmia. – Jestem z ciebie dumny.

– Dałam ciała.

– Nonsens. Wybrałaś jeden z najtrudniejszych utworów Chopina. Nawet profesjonalści się na nim potykają. Dałaś sobie radę.

– Mogłam dać z siebie więcej.

Pan Durkin wzdycha, jednak nie zaprzecza. – Poczyniłaś znaczne postępy. Już nie mogę się doczekać, kiedy pewnego dnia zobaczę, jak te dłonie grają w Carnegie Hall. – Jego uśmiech jest serdeczny i szczery, tak jak gratulacje od innych dziewczyn w jej dormitorium.

To wystarczająco wiele, aby tej nocy mogła spokojnie zasnąć i napełnić się nadzieją, że być może, tylko może, wyolbrzymia całą sprawę i niepotrzebnie jest dla siebie taka surowa. Zасыpia, rozmyślając o następnym utworze, który być może zagra.

Tydzień później zostaje wezwana do biura dyrektora.

Są tam trzy osoby.

Sąd – myśli Risa. Troje dorosłych siedzi, osądzając ją niczym trzy małpki: nie widzą nic złego, nie słyszą nic złego, nie mówią nic złego.

– Usiądź, Riso – wita ją dyrektor.

Próbuje usiąść z wdziękiem, jednak jej chwiejne kolana nie pozwalają jej na to. Opada niezgrabnie na fotel, zbyt wygodny jak na inkwizycję.

Risa nie zna pozostałych dwóch osób, które siedzą obok dyrektora, jednak oboje wyglądają bardzo oficjalnie. Są odprężeni, zupełnie jakby była to dla nich zwyczajna sprawa, którą zajmują się na co dzień.

Kobieta siedząca po lewej stronie dyrektora przedstawia się jako pracownik opieki społecznej przydzielony do jej „sprawy”. Do tego momentu, Risa nie wiedziała, że miała swoją sprawę. Podaje swoje nazwisko. Pani Jakaśtam. Jej nazwisko nawet nie zapada Risie w pamięć. Przerzuca strony obrazujące piętnaście lat z życia Risy tak pobieżnie, jak gdyby czytała gazetę.

– Co my tu mamy... mieszkasz w domu dziecka od urodzenia. Wygląda na to, że twoje zachowanie jest wzorowe. Twoje stopnie są dobre, ale nie doskonałe. – Następnie urzędniczka podnosi wzrok i uśmiecha się. – Widziałam twój występ. Byłaś bardzo dobra.

Dobra – myśli Risa – *ale nie doskonała*.

Pani Jakaśtam przekartkowuje zawartość teczki przez kolejnych kilka sekund, jednak Risa wie, że tak naprawdę nie czyta jej zawartości. O cokolwiek się tu rozchodzi, to decyzję podjęto na długo przed tym, nim Risa przekroczyła próg tych drzwi.

– O co właściwie chodzi?

Pani Jakaśtam zamyka teczkę i spogląda na dyrektora i mężczyznę w drogim garniturze, który siedzi obok niego. Garniak kiwa głową, a urzędniczka odwraca się do Risy z serdecznym uśmiechem.

– Uważamy, że osiągnęłaś już pełnię swoich możliwości – oznajmia. – Dyrektor Thomas i Pan Paulson są tego samego zdania.

Risa spogląda na mężczyznę w garniturze. – Kim jest pan Paulson?

Garniak odchrząkuje i odzywa się, niemal przepraszającym tonem. – Jestem radcą prawnym szkoły.

– Prawnik? Co tu robi prawnik?

– To tylko procedura – odpowiada dyrektor Thomas. Wkłada palec za kołnierzyk, usiłując go poluzować, zupełnie jakby nagle zaczął go dusić. – Zgodnie z polityką szkoły obecność prawnika w tego rodzaju postępowaniu jest konieczna.

– A o jakim postępowaniu mowa?

Cała trójka patrzy na siebie wzajemnie, żadne z nich nie chce odpowiedzieć na pytanie. W końcu, pani Jakaśtam mówi:

– Musisz wiedzieć, że brakuje obecnie miejsc w domach stanowych a biorąc pod uwagę cięcia budżetowe, które dotyczą każdego StaDo, nasze nie stanowi tutaj wyjątku.

Risa nie spuszcza z niej wzroku.

– Dzieci pod opieką państwa mają zapewnione miejsce w domach stanowych.

– To prawda, jednak miejsce zapewniane jest jedynie do trzynastego roku życia.

Nagle każdy ma coś do powiedzenia.

– Pieniądzy wystarcza jedynie do tego okresu – wyjaśnia dyrektor.

– Standardy edukacyjne mogłyby zostać zagrożone – stwierdza prawnik.

– Chcemy jedynie twojego dobra i dobra pozostałych dzieci – zapewnia urzędniczka.

I tak na zmianę, jak w meczu ping-ponga rozgrywanym między trzema osobami naraz. Risa nie odzywa się słowem, jedynie słucha.

– Masz talent muzyczny, ale...

– Jak wspominałam, osiągnęłaś już pełnię swoich możliwości.

– Więcej nie możemy ci zaoferować.

– Być może, gdybyś wybrała mniej konkurencyjny kierunek nauki.

– Tak czy inaczej, tego już nie zmienimy.

- Mamy związane ręce.
- Codziennie na świat przychodzą niechciane dzieci – a nie każde z nich jest obejmowane bocianią inicjatywą.
- Jesteśmy zobowiązani przyjąć te, które nie są.
- Musimy zapewnić miejsce dla każdego nowego wychowanka.
- Co oznacza, że musimy obniżyć populację nastolatków o pięć procent.
- Rozumiesz to, prawda?

Risa nie może dłużej tego słuchać, więc ucisza ich wszystkich, mówiąc to, na co im brakuje odwagi.

- Mam zostać podzielona?

Cisza. Jest bardziej wymowna, niż gdyby odpowiedzieli „tak”.

Urzędniczka wyciąga do niej rękę, aby ująć jej dłoń, jednak Risa cofa ją w porę.

- To zrozumiałe, że się boisz. Zmiana zawsze budzi strach.
- Zmiana? – wykrzykuje Risa – Co rozumiecie przez „zmianę”? Śmierć to coś więcej niż tylko „zmiana”.

Krawat dyrektora z powrotem zamienia się w pętlę, uniemożliwiając mu dopływ krwi do twarzy. Prawnik otwiera swoją aktówkę.

– Proszę, panno Ward. To nie jest śmierć i jestem przekonany, że wszyscy tu obecni byłiby wdzięczni, gdyby nie sugerowała pani niczego tak jawnie oburzającego. Fakty są takie, że sto procent pani ciała pozostanie przy życiu, z tym że w podzielonym stanie. – Następnie sięga do aktówki i wręcza jej kolorową broszurę. – To broszura z Ośrodka Donacyjnego Twin Lakes.

– To dobre miejsce – włącza się dyrektor. – Wybieramy ten ośrodek dla wszystkich naszych Podzielonych. Prawdę powiedziawszy, również mój siostrzeniec został tam podzielony.

- Gratulacje.

– Zmiana – powtarza urzędniczka – to wszystko. W ten sam sposób lód zmienia się w wodę, woda zamienia się w chmury. Będziesz żyła, Riso. Tylko, że w innej formie.

Jednak Risa już jej nie słucha. Panika zaczęła już siać spustoszenie w jej głowie.

- Nie muszę zostać muzykiem. Mogę robić coś innego.

Dyrektor Thomas potrząsa ze smutkiem głową. – Obawiam się, że na to już jest zbyt późno.

– Wcale, że nie. Mogę zacząć ćwiczyć. Mogę zostać armiakiem. Wojsko zawsze potrzebuje nowych armiaków!

Prawnik wzdycha zirytowany i spogląda na zegarek. Urzędniczka pochyła się do przodu.

– Riso, proszę cię – mówi. – Żeby dziewczyna mogła zostać armiakiem, musi wykazać się odpowiednią budową ciała oraz wieloletnim treningiem fizycznym.

– Nie mam więc wyboru? – Jednak, kiedy spogląda za siebie, odpowiedź staje się oczywista. Dwóch strażników czeka na nią, aby dopilnować, żeby nie pozostał jej żaden wybór. I gdy ją odprowadzają, myśli o panu Durkinie. Z gorzkim uśmiechem Risa uświadamia sobie, że mimo wszystko jego życzenie może się spełnić. Któregoś dnia może zobaczyć, jak jej dłonie grają w Carnegie Hall. Niestety pozostałych części jej ciała tam nie będzie.

Nie pozwolono jej wrócić do dormitorium. Nic ze sobą nie zabierze, ponieważ niczego jej nie potrzeba. Tak to się właśnie odbywa z Podzielonymi. Jedynie garstka jej przyjaciół zakrada się do centrum transportowego szkoły, pośpiesznie ją przytulając i w pośpiechu roniąc łzy, przez cały czas oglądając się przez ramię ze strachu przed tym, że zostaną złapani.

Pan Durkin nie przychodzi. To sprawia Risie największy ból.

Śpi w pokoju gościnnym w centrum powitań, następnie o świcie zostaje załadowana do autokaru pełnego dzieciaków, które przenoszone są z olbrzymiego kompleksu StaDo do innych miejsc. Rozpoznaje niektóre twarze, jednak tak naprawdę to nie zna żadnego z kompanów w podróży.

Po drugiej stronie autokaru uśmiecha się do niej dosyć atrakcyjny chłopak – z wyglądu przypominający armiaka.

– Hej – odzywa się, flirtując w sposób, w jaki potrafią jedynie armiacy.

– Hej – odpowiada Risa.

– Przenoszą mnie do akademii marynarki wojennej – zagaja. – A ciebie?

– Mnie? – Pośpiesznie przeszukuje myśli w poszukiwaniu imponującej odpowiedzi. – Jadę do akademii dla wyjątkowo uzdolnionej młodzieży Panny Marple.

– Kłamie – odzywa się wychudły, blady chłopak siedzący po drugiej stronie Risy. – Jest Podzieloną.

Nagle umięśniony chłopak odchyła się, zupełnie jak gdyby podzielenie było zaraźliwe.

– O! – duka. – Cóż... uhm... przykra sprawa. Narka! – I odchodzi, by usiąść z tyłu z innymi armiakami.

– Dzięki – warczy Risa na chuderlawego chłopaka.

Chłopak jedynie wzrusza ramionami.

– To i tak nie ma znaczenia. – Następnie wyciąga dłoń do uścisku. – Jestem Samson – przedstawia się. – Też jestem Podzielonym.

Risa omal nie wybucha śmiechem. Samson. Takie silne imię dla tak wiotkiego chłoptasia. Nie podaje mu dłoni, wciąż urażona tym, że zdemaskował ją przed przystojnym kadetem.

– Co takiego zrobiłeś, że zasłużyłeś sobie na podzielenie? – docieka Risa.

– Nie chodzi o to co zrobiłem, tylko o to czego nie zrobiłem.

– Czego więc nie zrobiłeś?

– Niczego – odpowiada Samson.

To miało dla Risy sens. Nierobienie niczego to prosta droga do podzielenia.

– Moje życie nigdy nie było wiele warte – wyjaśnia Samson – jednak teraz, statystycznie rzecz ujmując, istnieje o wiele większa szansa na to, że gdzieś na świecie jakaś część mnie przyczyni się do wielkości. Wolę być po części wielkim niż całkowicie bezużytecznym.

Fakt, że jego pokręcona logika ma niemal sens, wprawia ją w jeszcze większą złość.

– Mam nadzieję, że spodoba ci się w ośrodku donacyjnym, Samson. – Po czym wstaje, aby znaleźć inne miejsce.

– Proszę siadać! – woła opiekunka z przodu, jednak nikt jej nie słucha. Autokar pełen jest przemieszczających się z miejsca na miejsce nastolatków, próbujących znaleźć bratnie dusze lub przed nimi uciec. Risa znajduje miejsce przy oknie, którego nikt nie zajmuje.

Podróż autokarem będzie jedynie pierwszym etapem jej podróży. Wyjaśniono jej – jak i pozostałym dzieciakom, kiedy znaleźli się już wewnątrz autokaru – że najpierw zostaną zabrani do głównego centrum transportowego, w którym to dzieciaki przybyłe z wielu domów stanowych zostaną pogrupowane do odpowiednich autokarów, a następnie zabrane do miejsca ich przeznaczenia. Kolejnym środkiem transportu Risy ma być autokar pełen Samsonów. Cudownie. Rozważała już możliwość przekradnięcia się do innego autokaru, jednak kody kreskowe umieszczone na ich wszywanych paskach całkowicie to uniemożliwiają. Wszystko jest idealnie zorganizowane i niez-

wodne. Pomimo to, Risa zajmuje swój umysł obmyślaniami wszelakich scenariuszy, które umożliwiłyby jej ucieczkę.

Wtedy właśnie dostrzega przez okno w oddali jakieś zamieszanie na drodze. Wozy patrolowe znajdują się po drugiej stronie autostrady i kiedy autokar zmienia pas ruchu, dostrzega na drodze dwie postacie: dwóch chłopaków biegnących pomiędzy samochodami. Jeden z nich trzyma w duszącym uścisku drugiego i praktycznie ciągnie go za sobą. Obaj przebiegli tuż przed autokarem.

Głowa Risy uderza o szybę, gdy autokar skręca nagle w prawo, aby wyminąć tę dwójkę. W autokarze słychać gwałtowne wdechy i okrzyki strachu, a Risa rzuca do przodu, wzdłuż przejścia, kiedy pojazd nagle hamuje ze zgrzytem. Zraniła się w biodro, jednak niezbyt poważnie. To tylko siniak. Podnosi się, pośpiesznie oceniając sytuację. Autokar przechyliła się na bok. Zjechał z drogi do rowu. Przednia szyba jest rozbita i pokryta krwią. Mnóstwem krwi.

Wszyscy wokół niej sprawdzają, czy są cali. Tak jak i jej, nikomu nic poważnego się nie stało, chociaż niektórzy wprowadzają więcej zamieszania od innych. Opiekunka stara się uspokoić dziewczynę, która wpadła w histerię.

I w całym tym chaosie, Risa nagle zdaje sobie z czegoś sprawę.

To nie jest część planu.

System może być przygotowany na milion różnych ewentualności względem wychowanków próbujących wywinąć jakiś numer, ale nie mają planu działania w razie wypadku. W przeciągu kilku następnych sekund wszystko może się zdarzyć.

Risa wbija wzrok w przednie drzwi autokaru, wstrzymuje oddech, po czym biegnie w ich stronę.



3. LEV

Przyjęcie jest wystawne, przyjęcie jest drogie, przyjęcie było planowane od kilku lat.

okazałej sali balowej lokalnego klubu zebrało się co najmniej dwieście osób. Lev wybierał zespół muzyczny i jedzenie; w udziale przypadło mu nawet wybieranie koloru obrusów: czerwono-białych – nawiązując do barw drużyny baseballowej Cincinnati Reds – a jego imię – Levi Jedediah Calder, wyszyto na jedwabnych serwetkach dla gości złotą nicią, aby mogli je później zabrać do domu na pamiątkę.

Przyjęcie wydano specjalnie dla niego. Wszystko jest specjalnie *dla niego*. I jest zdeterminowany, aby były to najlepsze chwile jego życia.

Dorośli na przyjęciu to krewni, przyjaciele rodziny, współnicy rodziców – jednak co najmniej osiemdziesięcioro spośród gości to przyjaciele Leva. Są to osoby ze szkoły, z kościoła oraz z różnych drużyn sportowych, do których należał. Oczywiście niektórzy z jego przyjaciół czuli się nieswojo przychodząc.

– No nie wiem, Lev – mówili – to jakieś dziwne. Jaki właściwie prezent powinienem przynieść?

– Nie musisz nic przynosić – odpowiadał im Lev. – *Nie* ma odpowiednich prezentów na przyjęcie dziesięcinowe. Chcę, żebyś przyszedł i dobrze się bawił. Wiem, że *ja* będę.

I tak też robi.

Porywa do tańca każdą zaproszoną dziewczynę i ani jedna mu nie odmawia. Goście podnoszą go nawet na krzesła i tańczą z nim naokoło sali, tak jak to widział na Bar micwie u żydowskiego przyjaciela. To prawda, że jest to przyjęcie zupełnie innego rodzaju, jednak jest to również uroczystość jego trzynastych urodzin, więc i on zasługuje na to, aby podnoszono go na krzesła, czyż nie?

Lev uważa, że obiad podawany jest o wiele za wcześnie. Spogląda na zegarek i uświadamia sobie, że upłynęły już dwie godziny. Jakim cudem mogły upłynąć tak szybko?

Wkrótce goście chwytają za mikrofon i trzymając kieliszki napełnione szampanem, zaczynają wznosić toast za Leva. Za ich przykładem podążają rodzice, babcia, a nawet wujek, którego ledwo zna.

– Za Leva: To wielka radość móc obserwować, jak wyrastasz na tak wspaniałego młodego mężczyznę i w głębi duszy wiem, że dokonasz wielkich rzeczy dla każdej osoby, którą napotkasz na tym świecie.

To cudowne i zarazem dziwne uczucie, że tak wielu ludzi wygłasza o nim tak wiele ciepłych słów. Jest tego zbyt wiele, jednak na pewien dziwny sposób, to nie wystarcza. Musi być coś więcej. Więcej jedzenia. Więcej tańców. Więcej czasu. Wnoszą już urodzinowy tort. Wszyscy dobrze wiedzą, że przyjęcie dobiega końca z chwilą, gdy tort zostanie podany. Dlaczego wnoszą już tort? Czy to możliwe, żeby przyjęcie trwało już od trzech godzin?

Następnie zostaje wzniesiony kolejny toast. To właśnie ten moment omal nie rujnuje całego wieczoru.

Spośród wielu braci i sióstr Leva, Marcus jest tym, który przez cały wieczór zachowuje się najciszej. To do niego niepodobne. Lev powinien był wiedzieć, że coś wisi w powietrzu. Lev, liczący trzynaście lat, jest najmłodszy z tej dziesiątki. Marcus, mając lat dwadzieścia osiem, jest najstarszy. Przemierzył połowę kraju, aby być razem z nim na jego przyjęciu dziesięcinowym, a mimo to prawie nie tańczy, nie odzywa się, ani nie bierze udziału w którejkolwiek z zabaw. Jest też pijany. Lev nigdy nie widział Marcusa pijanego.

Do zdarzenia dochodzi po wzniesieniu oficjalnego toastu i nałożeniu przez gości tortu na talerze. Wszystko zaczyna się od zwykłej rozmowy pomiędzy braćmi.

– Gratulacje, braciszku – wina Marcus, ściskając go mocno. Lev wyczuwa w oddechu Marcusa alkohol. – Dzisiaj stałeś się mężczyzną. Tak

jakby.

Ich ojciec, który siedzi przy głównym stole kilka kroków dalej, wydaje z siebie nerwowy chichot.

– Dzięki... tak jakby – odpowiada Lev. Spogląda na rodziców. Jego ojciec czeka na rozwój wydarzeń. Napięty wyraz twarzy jego matki sprawia, że Lev robi się nerwowy.

Marcus wpatruje się w Leva z uśmiechem, za którym nie skrywają się żadne emocje.

– Co o tym wszystkim myślisz? – pyta Leva.

– Jest wspaniale.

– Oczywiście, że jest! Wszyscy ci ludzie są tutaj dla ciebie! To fantastyczny wieczór. Fantastyczny!

– No – odpowiada Lev. Nie jest pewien, dokąd zmierza ta rozmowa, jednak wie, że dokądś na pewno. – To najlepsze chwile mojego życia.

– Tak, do cholery! – Najlepsze chwile twojego życia! Wrzućmy wszystkie wydarzenia z twojego życia, wszystkie przyjęcia – urodziny, ślub, pogrzeb – do jednego wora. – Następnie odwraca się do ich ojca. – Ekonomiczne rozwiązanie, prawda tato?

– Wystarczy – odparowuje cicho ich ojciec, jednak Marcus mówi przez to jeszcze głośniej.

– Co? Nie wolno mi o tym mówić? Ano tak – dzisiaj przecież świętujemy. Prawie zapomniałem.

Lev chce, żeby Marcus przestał, jednak jednocześnie pragnie, aby mówił dalej.

Mama podnosi się z miejsca i odzywa się głosem o wiele bardziej stanowczym od ojca:

– Marcus siadaj. Robisz z siebie widowisko.

Wszyscy zebrani na sali bankietowej przerywają swoje zajęcia i skupiają swoją uwagę na rozgrywającym się rodzinnym dramacie. Marcus, widząc na sobie spojrzenia gości, chwyta czyjs do połowy pusty kieliszek z szampanem i unosi go wysoko.

– Za mojego brata, Leva. – Wznosi toast Marcus. – I za naszych rodziców! Oni zawsze postępowali słusznie; postępowali właściwie. Zawsze udzielali się charytatywnie. Zawsze oddawali dziesięć procent wszystkiego, co mieli na rzecz naszego kościoła. Hej, mamó – co za szczęście, że masz dziesięcioro zamiast pięciorga dzieci, inaczej musielibyśmy przeciąć Leva na pół!

Zgromadzeni na sali ludzie ze zdziwienia łapią oddech. Kręcą głowami. Tak rozczarowujące zachowanie ze strony najstarszego syna.

Teraz ojciec podchodzi do Marcusa i chwytą go mocno za rękę.

– Koniec tego! – mówi. – Siadaj.

Marcus odtrąca rękę ojca.

– Och, zrobię coś znacznie lepszego. – W jego oczach pojawiają się łzy, kiedy zwraca się do Leva. – Kocham cię, braciszku... i wiem, że dzisiaj jest twój wyjątkowy dzień. Nie mogę jednak w tym uczestniczyć. – Rzuca kieliszkiem o ścianę, a kawałki kryształu rozpryskują się po całym stole. Następnie odwraca się i wychodzi tak szybkim i pewnym krokiem, że Lev uświadamia sobie, że jego brat wcale nie jest pijany.

Ojciec Leva daje sygnał zespołowi i rozpoczynają taneczny utwór, nim jeszcze Marcus zdąży opuścić salę. Goście powoli zapełniają pusty parkiet, starając się jak tylko mogą, aby to kłopotliwe wydarzenie czym prędzej odeszło w niepamięć.

– Przepraszam cię za to, Lev – mówi mu ojciec. – Może... może pójdziesz trochę potańczyć?

Jednak Lev stwierdza, że nie ma już ochoty na taniec. Pragnienie znalezienia się w centrum uwagi odeszło wraz z jego bratem.

– Chciałbym porozmawiać z pastorem Danem, jeżeli mogę.

– Oczywiście.

Pastor Dan jest przyjacielem rodziny od czasów zanim Lev przyszedł jeszcze na świat, i zawsze o wiele łatwiej rozmawiało mu się z nim, aniżeli z jego rodzicami, na każdy temat, który wymagał mądrości i cierpliwości.

Sala bankietowa jest zbyt zatłoczona i jest w niej za głośno, tak więc wychodzą na zewnątrz na taras z widokiem na pole golfowe.

– Boisz się? – pyta pastor Dan. Zawsze wie, co się dzieje w głowie Leva.

Lev przytakuje.

– Sądziłem, że jestem gotów. Sądziłem, że jestem przygotowany.

– To naturalne. Nie martw się tym.

To jednak nie zmniejsza rozczarowania, które odczuwa Lev. Miał całe życie, by się do tego przygotować – powinno było wystarczyć. Wiedział od zawsze, że będzie ofiarowany w ramach dziesięciny. – Jesteś wyjątkowy – zawsze powtarzali mu rodzice. – Swoim życiem przysłużysz się Bogu i ludzkości. – Nie pamiętał ile miał dokładnie lat, kiedy zrozumiał, co to dokładnie dla niego oznacza.

– Czy koledzy w szkole ci dokuczają?

– Nie bardziej niż zwykle – odpowiada Lev. To prawda. Przez całe życie musiał sobie radzić z rówieśnikami, którzy żywili do niego urazę, ponieważ dorośli traktowali go jak kogoś wyjątkowego. Były dzieciaki miłe, ale były też i okrutne. Takie jest życie. Bolało go jednak, kiedy inni obrzucali go wyzwiskami, takimi jak „plugawy Podzieleniec”. Zupełnie jakby był taki sam, jak te inne dzieci, których rodzice podpisali zlecenie podzielenia, aby się ich pozbyć. To w żadnym stopniu nie tyczy się Leva. On jest dumą i radością swojej rodziny. W szkole ma same piątki, jest najbardziej wartościowym graczem w małej lidze. Tylko dlatego, że ma zostać podzielony, NIE oznacza wcale, że jest Podzielonym.

W szkole jest oczywiście jeszcze kilku innych dziesięcirodnych, ale oni są innego wyznania, tak więc Lev nigdy nie czuł się z nimi blisko związany. Wysoka frekwencja na dzisiejszym przyjęciu dowodzi, jak wielu Lev ma przyjaciół – jednak oni nie są tacy jak on: Ich życie będzie się toczyć w niepodzielonym stanie. Ich ciała i przyszłość należą do nich. Lev zawsze czuł się bliższy Bogu niż przyjaciołom, czy nawet własnej rodzinie. Zastanawia go często, czy bycie wybrańcem zawsze czyni człowieka tak samotnym. Albo, czy jest z nim coś nie tak?

– Nachodzi mnie wiele złych myśli – wyznaje Lev pastorowi.

– Nie ma złych myśli, są tylko takie, z którymi należy się uporać i je przezwyciężyć.

– Cóż... Czuję się zazdrosny o moich braci i siostry. Cały czas myślę o tym, jak drużynie baseballowej będzie mnie brakować. Wiem, że to błogosławieństwo i zaszczyt być dziesięcirodnym, jednak nie potrafię pozbyć się myśli o tym, dlaczego to właśnie muszę być ja.

Pastor Dan, który zawsze słynął z tego, że patrzy ludziom w oczy, odwraca tym razem wzrok.

– Tak postanowiono, zanim jeszcze przyszedłeś na świat. To nie ma nic wspólnego z tym, co robiłeś lub czego nie zrobiłeś.

– Chodzi o to, że znam całe mnóstwo ludzi z dużymi rodzinami...

Pastor Dan przytakuje.

– Tak, to obecnie bardzo powszechne.

– Jednak wielu spośród tych ludzi nie składa w ogóle dziesięciny – nawet rodziny z naszego kościoła – i nikt nie ma do nich o to pretensji.

– Są również ludzie, którzy oddają swoje pierwsze, drugie lub trzecie dziecko. Każda rodzina musi podjąć własną decyzję. Twoi rodzice czekali przez długi czas, zanim podjęli decyzję o twoim pojawieniu się.

Lev niechętnie przytakuje, wiedząc, że to prawda. Był „prawdziwym dziesięciornym”. Przy pięciorgu naturalnego rodzeństwa, plus jednym adoptowanym i trojgu, którzy pojawili się w rodzinie „przez bociana”, Lev był dokładnie jej dziesiątą częścią. Rodzice zawsze powtarzali mu, że przez to stał się jeszcze bardziej wyjątkowy.

– Powiem ci coś, Lev – zwraca się do niego pastor Dan, w końcu spoglądając mu w oczy. Tak jak u Marcusa, jego oczy są wilgotne, bliskie łez. – Obserwowałem jak twoi bracia i siostry dorastają, i chociaż nie lubię wskazywać ulubieńców, to myślę, że jesteś od nich wszystkich pod tak wieloma względami lepszy, że nie wiedziałbym nawet od czego zacząć. O to właśnie prosi Bóg. Nie o pierwsze, ale o najlepsze owoce ze zbiorów.

– Dziękuję. – Pastor Dan zawsze wie, co powiedzieć, aby poprawić mu samopoczucie. – Jestem gotów – mówiąc to, Lev uświadamia sobie, że pomimo wszystkich targających nim lęków i obaw, naprawdę tak jest. Dla tej chwili żył. Jednak mimo wszystko, jego przyjęcie dziesięcinowe kończy się zdecydowanie za szybko.

Rano Calderowie jedzą śniadanie w jadalni, przy rozsuniętym stole. Są tam wszyscy bracia i siostry Leva. Tylko kilkoro z nich wciąż mieszka w domu, jednak dzisiaj wszyscy pojawili się na śniadaniu. Wszyscy, za wyjątkiem Marcusa.

Mimo to, tak wielka rodzina zachowuje się wyjątkowo cicho i brzęk srebra stołowego o porcelanę sprawia, że panująca cisza staje się jeszcze bardziej ogłuszająca.

Lev, ubrany w swoje jedwabne, dziesięcinowe białe szaty, je ostrożnie, starając się nie ubrudzić ubrania. Po skończonym śniadaniu pożegnania są długie, towarzyszy im mnóstwo uścisków i całusów. To najgorsza część. Lev chciałby, aby zostawiono go w spokoju i żeby te wszystkie pożegnania miał już za sobą.

Przybywa pastor Dan – pojawiając się na prośbę Leva – i kiedy jest już w domu, pożegnania przebiegają znacznie szybciej. Nikt nie chce marnować cennego czasu pastora. Lev jako pierwszy wsiada do cadillaca ojca i chociaż stara się za siebie nie oglądać, kiedy jego ojciec uruchamia samochód

i chwilę później odjeżdża, to nie może jednak nic na to poradzić. Obserwuje, jak jego dom znika w oddali.

Nigdy więcej nie zobaczę już tego domu – wzdycha w milczeniu, jednak przegania tę myśl ze swojej głowy. Jest bezproduktywna, bezużyteczna i egoistyczna. Spogląda na pastora Dana, siedzącego obok na tylnym siedzeniu. Pastor odwraca głowę i uśmiecha się.

– Wszystko w porządku, Lev – zapewnia go. Wypowiedziane przez niego słowa sprawiają, że faktycznie tak jest.

– Jak daleko do ośrodka donacyjnego? – Lev adresuje pytanie do kogokolwiek, kto raczy udzielić mu na nie odpowiedzi.

– Około godzinę drogi stąd – odpowiada mu jego matka.

– A czy... zrobią to od razu?

Jego rodzice spoglądają na siebie nawzajem.

– Jestem pewien, że będzie jakieś wprowadzenie – odpowiada jego ojciec.

Ta krótka odpowiedź utwierdza Leva w przekonaniu, że jego rodzice nie wiedzą więcej od niego.

Wjeżdżając na autostradę międzystanową, Lev opuszcza szybę samochodu, aby poczuć powiew wiatru na twarzy i zamyka oczy, by się przygotować.

Po to się urodziłem. Na tę chwilę czekałem całe swoje życie. Jestem wybrańcem. Jestem błogosławiony. I jestem szczęśliwy.

Nagle jego ojciec ostro hamuje.

Mając zamknięte oczy, Lev nie dostrzega powodu ich nieoczekiwanego postępu. Jedyne co czuje, to ostre wytracanie prędkości cadillaca oraz wbijający się w jego ramię pas bezpieczeństwa. Otwiera oczy i zauważa, że zatrzymali się na autostradzie. Migają światła radiowozu. Czy właśnie słyszał strzał?

– Co się dzieje?

Następnie, tuż za jego oknem, dostrzega jakiegoś chłopaka, o kilka lat starszego niż on. Wygląda na przerażonego. Wygląda na niebezpiecznego. Lev wyciąga dłoń, by szybko zamknąć szybę, jednak obcy sięga do niej pierwszy, podnosi blokadę zamka i otwiera drzwi. Lev zastyga w bezruchu. Nie wie co robić.

– Mamo? Tato? – krzyczy.

Chłopak z mordem w oczach szarpie za białą, jedwabną koszulę Leva, starając się go wyciągnąć z samochodu na zewnątrz, jednak zapięty pas mu to uniemożliwia.

– Co ty wyprawiasz? Zostaw mnie!

Matka Leva woła do jego ojca, aby coś zrobił, jednak ten szarpie się z własnym pasem.

Szaleniec sięga ręką i jednym szybkim ruchem odpina pas Leva. Pastor Dan chwytą intruza, lecz ten reaguje szybkim, potężnym uderzeniem – prawy prosty łąduje na szczęce pastora. Szok wywołany widokiem takiej przemocy rozprasza Leva w decydującym momencie. Szaleniec ponownie zaczyna go szarpać i tym razem Lev wypada na zewnątrz, uderzając głową o jezdnię. Kiedy podnosi wzrok dostrzega, jak jego ojciec w końcu wydo staje się z samochodu, jednak obłąkany chłopak zamachuje się mocno drzwiami, uderzając go nimi i wyrzucając w powietrze.

– Tato! – Jego ojciec łąduje na drodze nadjeżdżającego samochodu. Samochód skręca gwałtownie i, dzięki Bogu, wymija go – ale zajeżdża drogę innemu autu i uderza w nie, sprawiając że ten samochód wpada w niekontrolowany poślizg a huk zderzenia wypełnia powietrze. Lev zostaje postawiony na nogi przez napastnika, który następnie łapie go za rękę i odciąga. Lev jest drobny jak na swój wiek. Ten chłopak jest od niego o kilka lat starszy i o wiele większy. Lev nie potrafi się uwolnić.

– Zatrzymaj się! – krzyczy Lev. – Możesz zabrać, co chcesz. Zabierz mój portfel – mówi, choć nie ma portfela. – Zabierz samochód. Tylko nie rób nikomu krzywdy.

Napastnik zastanawia się nad samochodem, jednak jedynie przez chwilę. Wystrzelone kule mijają ich ciała. Na jezdni prowadzącej na południe znajdują się policjanci, którym w końcu udało się zatrzymać nadjeżdżające samochody po ich stronie autostrady i dotrzeć do pasa rozdzielczego pomiędzy jezdnią na południe i na północ. Funkcjonariusz, który znajduje się najbliżej nich, ponownie oddaje strzał. Pocisk ze środkiem uspokajającym trafia w cadillaca i rozbryzguje się.

Szalony chłopak chwytą teraz Leva w duszącym uścisku, trzymając go pomiędzy sobą a policjantami. Lev uświadamia sobie, że napastnik nie chce samochodu czy pieniędzy: chce zakładnika.

– Przestań się rzucać – mam spluwę! – Lev czuje, jak oprawca dźga go w bok. Lev wie, że to nie jest pistolet – wie, że to tylko palec tego chłopaka,

jednak jest to wyraźnie niezrównoważony osobnik i nie chce go prowokować.

– Nie jestem nic wart jako ludzka tarcza – odpowiada Lev, próbując go przekonać. – Strzelają pociskami ze środkiem uspokajającym, co oznacza, że nie dbają o to, czy mnie trafią – po prostu pozbawią mnie przytomności.

– Lepiej ciebie niż mnie.

Pociski przelatują obok, podczas gdy dwójka chłopców wymija gwałtownie skręcające samochody.

– Proszę – nie rozumiesz – nie możesz mnie teraz zabrać, jestem dziesięciorodnym. Ominie mnie moja donacja. Wszystko zepsujesz!

W końcu, krztyna człowieczeństwa pojawia się w oczach szaleńca.

– *Jesteś Podzielonym?* – pyta.

Jest milion innych powodów, dla których powinien być teraz wściekły, jednak Lev czuje się rozsierdzony z powodu tego, jak został nazwany.

– Jestem *dziesięciorodnym!*

Głośny ryk klaksonu zwraca uwagę Leva, który odwróciwszy się, dostrzega niebezpiecznie zbliżający się autokar. Zanim którykolwiek z nich zdąży krzyknąć, autokar zjeżdża z drogi, by ich wyminąć i uderza czołowo w gruby pień olbrzymiego dębu, zatrzymując się w miejscu.

Na przedniej, rozbitej szybie jest mnóstwo krwi. To krew kierowcy autokaru. Jego ciało wystaje przez nią do połowy i nie porusza się.

– O cholera! – wyrzuca z siebie szaleniec, przyprawiającym o gęsią skórę głosem.

Jakaś dziewczyna wybiega z autokaru. Szaleniec spogląda na nią i Lev zdaje sobie sprawę, że teraz jest jego ostatnia szansa na ucieczkę. Ten chłopak to zwierzę. Jedynym sposobem, aby się z nim uporać, to samemu stać się zwierzęciem. Lev chwyta więc rękę, która ściska go za szyję i zanurza w niej zęby ze wszystkich sił w szczęce, aż czuje smak krwi. Chłopak krzyczy, wypuszcza go z uścisku i Lev rzuca się do ucieczki, biegnąc w stronę samochodu ojca.

Gdy się do niego zbliża, otwierają się tylne drzwi. To pastor Dan otwiera je, aby go wpuścić, jednak wyraz na jego twarzy jest daleki od radości.

Z policzkiem, który zaczyna już puchnąć od brutalnego uderzenia szaleńca, pastor Dan woła z sykiem i dziwnie zawodząc głosem:

– Uciekaj, Lev!

Tego Lev się nie spodziewał.

– Co?

– Uciekaj! Uciekaj ile sił w nogach jak najdalej stąd! UCIEKAJ!

Lev stoi w miejscu, oszołomiony, nie będąc w stanie się poruszyć, nie będąc w stanie przetworzyć tej informacji. Dlaczego pastor Dan każe mu uciekać? Następnie pojawia się nagły ból w ramieniu i wszystko wokół zaczyna wirować, wirować i wirować, aż w końcu świat spowija ciemność.



4. CONNOR

Ból w ręce Connora jest nie do wytrzymania. Ten mały potwór naprawdę go ugryzł – niemal odgryzł mu kawałek przedramienia. Kolejny samochód ostro hamuje, by w niego nie uderzyć, a samochód za nim wpada na niego od tyłu. Pociski ze środkiem uspokajającym przestały przecinać powietrze, jednak on wie, że to tylko chwilowe. Kraksy na moment rozproszyły uwagę mundurowych, ale nie na długo.

Właśnie wtedy nawiązuje kontakt wzrokowy z dziewczyną, która wysiadła z autokaru. Wydaje mu się, że zataczając się pójdzie w stronę wszystkich tych ludzi, którzy wybiegają ze swoich samochodów, aby jej pomóc, jednak zamiast tego, dziewczyna odwraca się i wbiega do lasu. Czy cały świat nagle oszalał?

Wciąż trzymając się za piekącą, krwawiącą ranę na ręce, odwraca się, aby również uciec do lasu, jednak zatrzymuje się. Odwraca się z powrotem i widzi chłopca w białej szacie, który właśnie dobiega do swojego samochodu. Connor nie wie, gdzie znajdują się hycle. Na pewno czają się gdzieś w pobliżu, gdzieś w gąszczu samochodów. Wtedy właśnie Connor podejmuje błyskawiczną decyzję. Wie, że to głupia decyzja, jednak nie potrafi się powstrzymać. Wie jedynie, że spowodował dzisiaj śmierć. Kierowcy autokaru, może kogoś więcej. Nawet, jeżeli zaryzykuje w ten sposób wszystko, to musi to jakoś zrekompensować. Musi zrobić coś przyzwoitego, coś dobrego, aby naprawić te straszne konsekwencje złamania przez niego ZOMZu. Dlatego też, zmagając się z własnym instynktem samozachowawczym, biegnie w kie-

runku chłopca w białych szatach, który z tak wielką ochotą zamierzał dać się podzielić.

Gdy Connor zbliża się do samochodu, dostrzega oddalonego o niecałe dwadzieścia metrów gliniarza, unoszącego broń i oddającego strzał w jego stronę. Nie powinien był tak ryzykować! Powinien był uciec, kiedy miał ku temu okazję. Connor czeka na charakterystyczny ból spowodowany trafieniem pocisku, jednak ten nie następuje, ponieważ w chwili, gdy kula opuściła wylot lufy, chłopak w bieli wykonuje krok w tył i zostaje trafiony w ramię. Mijają dwie sekundy i kolana się pod nim uginają. Dzieciak uderza o ziemię, nieprzytomny, nieświadomie przyjmując dawkę przeznaczoną dla Connora.

Connor nie marnuje czasu. Podnosi chłopaka z ziemi i przerzuca go przez ramię. Pociski ze środkiem uspokajającym przeszywają powietrze, jednak nie trafiają celu. W kilka sekund Connor mija autokar, z którego wysiada stado zszokowanych nastolatków. Przeciska się obok nich i ucieka do lasu.

Las jest gęsty, nie tylko za sprawą drzew, ale również z powodu wysokich krzewów i pnączy, lecz mimo to znajduje się tam już ścieżkaznaczona połamanyimi gałęziami i rozchyłonymi krzewami, wydeptana przez dziewczynę, która uciekła z autokaru. Równie dobrze mogą zostawić policji strzałki wskazujące kierunek, w którym pobiegli. Dostrzega dziewczynę przed sobą i woła za nią.

– Stój! – Dziewczyna odwraca się, ale tylko na chwilę, następnie ponownie przystępuje do potyczki z gąszczem otaczającym ją ze wszystkich stron.

Connor delikatnie kładzie nieprzytomnego chłopaka na ziemi i rusza biegiem do przodu, próbując ją dogonić. Chwyta ją delikatnie, lecz zdecydowanie za rękę, tak by nie mogła uciec.

– Bez względu na to, przed czym uciekasz, to ci się nie uda, dopóki nie będziemy współpracować – uświadamia jej. Zerka za siebie, aby upewnić się, czy w pobliżu nie ma jeszcze żadnych hycli. I nie ma. – Proszę cię – nie mamy wiele czasu.

Dziewczyna przestaje zmagać się z krzakami i spogląda na niego.

– Jaki masz plan?



5. GLINIARZ

Funkcjonariusz policji J. T. Nelson od dwunastu lat pracuje w wydziale ds. młodocianych. Wie, że Podzieleni, którzy złamali ZOMZ nie poddadzą się, dopóki pozostanie w nich choćby odrobina przytomności. Nakręca ich adrenalina, a często bywa również, że i nielegalne substancje – nikotyna, kofeina lub coś jeszcze gorszego. Żałuje, że nie ma nabojów z prawdziwego zdarzenia. Żałuje, że naprawdę nie może sprzątnąć tych ludzkich odpadków, zamiast ich tylko uziemić: Może wtedy tak szybko by nie uciekali – a jeśli nawet by spróbowali, no cóż, nikt nie będzie po nich płakał.

Funkcjonariusz idzie wzdłuż ścieżki wydeptanej w lesie przez Podzielnego, który złamał ZOMZ, aż dociera do grudy na ziemi. To zakładnik, porzucony na ścieżce, jego białe szaty poplamione są na zielono od liści i na brązowo od błotnistej ziemi. *Dobrze* – myśli policjant. To nawet dobrze, że ten chłopak przyjął kulkę na siebie. To, że jest teraz nieprzytomny, najprawdopodobniej uratowało mu życie. Nie musi wyjaśniać, gdzie Podzielony go zabrał ani co z nim zrobił.

– Pomocy! – Rozlega się głos tuż przed nim. To głos dziewczyny. Funkcjonariusz Nelson nie spodziewał się tego.

– Pomocy, proszę, jestem ranna!

W głębi lasu siedzi dziewczyna oparta o pień drzewa, trzymając się za rękę, wykrzywając twarz z bólu. Policjant nie ma teraz na to czasu, jednak „Służyć i Chronić” to dla niego coś więcej niż tylko motto. Czasami żałuje, że kieruje się moralną uczciwością.

Podchodzi do dziewczyny.

– Co tu robisz?

– Byłam w autokarze. Wsiadłam i uciekłam, ponieważ bałam się, że może wybuchnąć. Chyba złamałam rękę.

Spogląda na rękę dziewczyny. Nie jest nawet stłuczona. Od razu powinien zwrócić na to uwagę, jednak jego umysł jest zbyt zaabsorbowany, aby to sobie uświadomić.

– Zaczekaj tu, zaraz do ciebie wrócę. – Odwraca się, gotowy by kontynuować pościg, kiedy coś upada na niego z góry. Nie coś, a ktoś. Dzieciak, który złamał ZOMZ! Funkcjonariusz Nelson zostaje powalony na ziemię i nagle jest już atakowany przez dwie postaci – przez Podzielonego i tę dziewczynę. Są w zмовie. Jak mógł być taki głupi? Sięga po usypiacz, ale nie ma go na swoim miejscu. Zamiast tego, czuje wylot lufy na swoim lewym udzie i dostrzega tryumf w ciemnych, nienawistnym oczach Podzielonego chłopaka.

– Karaluchy pod poduchy – oznajmia Podzielony.

Funkcjonariusz Nelson czuje ostry ból w lewej nodze, po czym świat przed jego oczyma zachodzi ciemnością.



6. LEV

Lev budzi się z tępyim bólem w ramieniu. Sądzi, że być może to dlatego, że w nocy się źle ułożył, jednak prędko zdaje sobie sprawę, że ból jest wynikiem obrażenia. Jego lewe ramię zostało ugodzone pociskiem usypiacza, choć jeszcze sobie tego nie uświadomił.

Wszystko, co wydarzyło się przed dwunastoma godzinami jest w jego głowie niczym niewyraźne chmury, które straciły swój kształt. Jedyne czego jest pewien, to że był w drodze do ośrodka donacyjnego, został uprowadzony przez furiata i z jakiegoś dziwnego powodu obraz pastora Dana wciąż do niego powraca.

Pastor Dan kazał mu uciekać.

Jest przekonany, że to musi być fałszywe wspomnienie, ponieważ nie może uwierzyć w to, że pastor Dan byłby skłonny do czegoś takiego.

Kiedy Lev otwiera oczy, wszystko wokół jest niewyraźne. Nie wie gdzie jest, wie jedynie, że jest noc i że nie jest tam, gdzie być powinien. Szalony chłopak usadowił go przy niewielkim ognisku. Jest tam również dziewczyna.

Wtedy uświadamia sobie, że został postrzelony z usypiacza. Rwie go głowa, zbiera mu się na wymioty, a jego mózg wciąż pracuje na zwolnionych obrotach. Próbuje wstać, ale nie potrafi. Z początku myśli, że to również z powodu środka uspokajającego, jednak wkrótce dociera do niego, że jest przywiązany do drzewa grubym pnączem.

Próbuje przemówić, ale z jego ust wydobywa się jedynie cichy jęk i mnóstwo śliny. Chłopak i dziewczyna spoglądają na niego i Lev jest przekonany,

że teraz go zabiją. Zachowali go przy życiu tylko po to, aby móc go zabić, kiedy będzie przytomny. Szaleńcy tacy już są.

– Któż to się obudził – odzywa się chłopak z błędnym wzrokiem. Z tym wyjątkiem, że jego wzrok nie jest już błędny, tylko ma obłądną fryzurę – jego włosy sterczą w każdą stronę, tak jakby na nich spał.

Pomimo, że jego język jest niczym guma, udaje mu się jakoś wydobyć z siebie pojedyncze słowo.

– Gdzie...

– Nie jestem pewien – odpowiada chłopak.

Następnie dziewczyna dodaje:

– Ale przynajmniej jesteś bezpieczny.

Bezpieczny – myśli Lev. *Co oni niby przez to rozumieją?*

– Z...z...zakładnik? – duka z siebie Lev.

Chłopak spogląda na dziewczynę, po czym z powrotem na Leva.

– W sumie, trochę tak. – Dwójka oprawców rozmawia spokojnym tonem, jak gdyby byli przyjaciółmi. *Próbują uśpić moją czujność* – wnioskuje Lev. *Próbują mnie przeciągnąć na swoją stronę, tak abym wziął udział w jakiegokolwiek działalności przestępczej, którą planują.* – Jest na to określenie, czyż nie? Kiedy zakładnik przyłącza się do swoich porywaczy. *Syndrom jakiś tam.*

Szalony dzieciak spogląda na kiść jagód i orzechy, które najwyraźniej zebrano w lesie.

– Głodny?

Lev przytakuje, jednak ruch głową sprawia, że zaczyna odczuwać tak wielkie zawroty, że zdaje sobie sprawę, iż bez względu na to jak bardzo nie byłby głodny, lepiej będzie, aby nie jadł, w przeciwnym razie momentalnie zwróci cały posiłek.

– Nie – odpowiada.

– Wydajesz się zmieszany – przemawia dziewczyna. – Nie martw się, to przez ten środek uspokajający. Wkrótce powinno ci przejść.

Syndrom sztokholmski! – Właśnie tak. Cóż, Lev nie da się przekabacić tej parce porywaczy. Nigdy nie przejdzie na ich stronę.

Pastor Dan kazał mi uciekać.

Co miał na myśli? Czy chodziło mu o to, żeby uciekał przed porywaczami? Być może, jednak wydawał się mówić coś zupełnie innego. Lev zamyka oczy i przegania nękającą go myśl.

– Moi rodzice będą mnie szukać – mówi Lev, jego usta w końcu są w stanie wypowiedzieć całe zdanie.

Porywacze nie odpowiadają, ponieważ najprawdopodobniej wiedzą, że to prawda.

– Ile wynosi okup? – pyta Lev.

– Okup? Nie ma żadnego okupu – odpowiada szalony dzieciak. – Zabrałem cię ze sobą, żeby cię ratować, kretynie!

Żeby go ratować? Lev spogląda na niego w niedowierzaniu.

– Ale... ale moja ofiara...

Szalony dzieciak spogląda na niego i kręci głową.

– W życiu nie widziałem, żeby jakimkolwiek dzieciakowi tak bardzo śpieszyło się do podzielenia.

Nie ma sensu próbować tłumaczyć tej bezbożnej parce, na czym polega składanie dziesięciny. Jak poświęcanie samego siebie staje się największym możliwym błogosławieństwem. Nigdy by tego nie zrozumieli, ani nie chcieli zrozumieć. Ratować jego? Oni go nie uratowali, oni skazali go na potępienie.

Wtedy Lev sobie coś uświadamia. Uświadamia sobie, że może wykorzystać całą tę sytuację na swoją korzyść.

– Nazywam się Lev – mówi, starając się to rozegrać tak spokojnie, jak tylko potrafi.

– Miło cię poznać, Lev – odpowiada dziewczyna. – Jestem Risa, a to jest Connor.

Connor rzuca jej złowrogie spojrzenie, upewniając tym samym Leva, że podała mu ich prawdziwe imiona. Niezbyt rozważnie na miejscu porywaczy, ale przecież większość kryminalistów to w końcu idioci.

– Nie chciałem, żebyś oberwał z usypiacza – wyjaśnia Connor. Ale kiepski strzelec z tego gliniarza.

– To nie twoja wina – mówi Lev, chociaż Connor odpowiada za wszystko w stu procentach. Lev zastanawia się nad tym, co się wydarzyło i mówi: – Nigdy w życiu nie uciekłbym od złożenia swojej ofiary. – Lev wie, że to prawda.

– W takim razie dobrze się stało, że byłem w pobliżu – odpowiada Connor.

– Właśnie – podkreśla Risa. – Gdyby Connor nie przebiegł przez autostradę, prawdopodobnie ja również byłabym już podzielona.

Następuje chwila ciszy, po czym Lev, powstrzymując swoją złość i odrazę mówi:

- Dziękuję. Dziękuję, że mnie uratowałeś.
- Nie ma sprawy – odpowiada Connor.

Dobrze. Niech im się wydaje, że jest im wdzięczny. Niech myślą, że zyskali jego zaufanie. A kiedy już uspi ich czujność, dopilnuje aby ta dwójka dostała dokładnie to, na co zasługuje.



7. CONNOR

Connor powinien był zatrzymać broń tego hycła, ale nie pomyślał o tym. Tak bardzo przejął się całym zdarzeniem, że po prostu upuścił ją i uciekł – tak jak upuścił swój plecak na autostradzie, aby móc zabrać Leva. W plecaku był portfel z jego wszystkimi pieniędzmi. Teraz nie pozostało mu nic oprócz dziur w kieszeni.

Jest już późno – lub raczej, mówiąc dokładniej, wczesnie – prawie świta. On i Risa przedzierali się przez las przez cały dzień, tak daleko jak tylko mogli, z nieprzytomnym dziesięciorodnym, którego Connor niósł na plecach. Kiedy zapadła noc, wraz z Risą na zmianę pełnili wartę, podczas gdy chłopak spał.

Connor wie, że Lev nie jest godny zaufania, dlatego właśnie przywiązał go do drzewa – nie ma również powodu, by ufać dziewczynie, która uciekła z autokaru. Łączy ich jedynie wspólny cel – przetrwanie.

Księżyc opuścił już niebo, a słaby blask nad ich głowami zwiastuje szybkie nadejście świtu. Jednak ich twarze znajdują się teraz wszędzie. *Widział pan tych nastolatków? Proszę się do nich nie zbliżać. Są wyjątkowo niebezpieczni. Proszę natychmiast wezwać policję.* Zabawne jak wiele czasu zmarnował Connor w szkole, próbując przekonać innych, że jest niebezpieczny, a kiedy mu się to udało, to nie był już pewien, czy w gruncie rzeczy naprawdę był tak niebezpieczny jak mu się wydawało. Może dla samego siebie.

Przez cały czas Lev bacznie mu się przygląda. Z początku oczy mu uciekały, a głowa zwisała bezwładnie na jedną stronę, jednak teraz jego oczy

bacznie go obserwują. Nawet w słabym świetle dogasającego ogniska Connor widzi je. Chłodny błękit. Oceniają go. Ten dzieciak to jakiś szajbus. Connor nie jest pewien, co się dzieje na Planecie Lev i nie jest pewien, czy chce się tego dowiedzieć.

– Wda się infekcja, jeżeli nie zajmiesz się tą raną po ugryzieniu – zwraca mu uwagę Lev.

Connor spogląda na miejsce na ramieniu, w które go ugryzł, wciąż opuchnięte i zaczerwienione. Tłumił w sobie ból, dopóki Lev mu o nim nie przypomniał.

– Poradzę sobie z tym.

Lev nadal mu się przygląda.

– Dlaczego masz zostać podzielony?

Connorowi z wielu powodów nie podoba się to pytanie.

– Chyba chciałeś powiedzieć, dlaczego MIAŁEM zostać podzielony – ponieważ, jak widzisz, teraz do tego nie dojdzie.

– Dojdzie, kiedy cię złapią.

Connor ma ochotę zmieść mu z twarzy ten uśmiezek samozadowolenia, jednak powstrzymuje się. Nie po to ratował chłopaka, żeby go teraz pobić.

– Jakie to uczucie – pyta Connor – wiedzieć przez całe życie, że będziesz złożony w ofierze? – powiedział złośliwie, jednak Lev bierze pytanie na poważanie.

– To lepsze niż iść przez życie, nie znając swojego celu.

Connor nie jest pewien, czy powiedział to celowo, ale zaczął się wiercić – zupełnie jak gdyby jego życie pozbawione było celu. Sprawia, że czuje się, jakby to on był przywiązany do drzewa, a nie Lev.

– Myślę, że są gorsze rzeczy – odpowiada Connor. – Wszyscy mogliśmy skończyć jak Humphrey Dunfee.

Lev wydaje się zaskoczony słysząc to nazwisko.

– Znasz tę historię? Sądziłem, że opowiadają ją jedynie w mojej okolicy.

– Skąd – odpowiada Connor. – Wszędzie ją opowiadają.

– Jest zmyślona – wtrąca Risa, dopiero co obudziwszy się ze snu.

– Być może – ripostuje Connor. – Ale kiedyś razem z kumplem próbowaliśmy się czegoś na ten temat dowiedzieć, surfując po sieci na szkolnym kompie. Natrafiliśmy na stronę, która o tym mówiła i o tym, jak jego starym odbiła szajba. Później komputer się wysypał. Okazało się, że złapaliśmy wi-

rusa, który spustoszył cały regionalny serwer. Zbieg okoliczności? Nie wydaje mi się.

Lev dał się nabić w butelkę, jednak Risa, wyraźnie zniesmaczona, mówi:

– Cóż, ja nigdy nie skończę jak Humphrey Dunfee, ponieważ do tego potrzebni są rodzice, którym odbije szajba – a ja ich nie mam. – Wstaje. Connor odrywa wzrok od przygasającego ogniska i zauważa, że nastał świt.

– Jeżeli nie chcemy, aby nas złapali, powinniśmy ponownie zmienić kierunek – wyjaśnia Risa. – Powinniśmy też pomyśleć o jakimś przebraniu.

– Niby jakim? – pyta Connor.

– Nie wiem. W pierwszej kolejności musimy zmienić ciuchy. Może też fryzury. Będą szukać dwóch chłopaków i dziewczynę. Może przebiorę się za chłopaka.

Connor przygląda się jej dokładnie, po czym uśmiecha się. Risa jest ładna. Nie tak jak Ariana – jest ładniejsza. Piękno Ariany opierało się wyłącznie na makijażu oraz wstrzykiwaniu barwników i tym podobnych. Risa jest naturalnie piękna. Connor bez namysłu wyciąga dłoń, aby dotknąć jej włosów i łagodnie odpowiada:

– Nie sądzę, aby ktokolwiek mógł wziąć cię za chłopaka...

Wtem jego ręka zostaje szarpnięta do tyłu, całe jego ciało obraca się dookoła, a Risa boleśnie wykręca jego ramię aż do krzyża. Ból jest tak wielki, że nie jest w stanie wydusić z siebie okrzyku. Jedyne dźwięki, które wydostają się z jego ust, to:

– A-a-a!

– Dotknij mnie jeszcze raz, a oderwę ci rękę – informuje go Risa. – Rozumiemy się?

– Tak. Tak. W porządku. Rączki z daleka. Załapałem.

Przy dębie, Lev zanosi się śmiechem, najwyraźniej ubawiony widokiem Connora wijącego się z bólu.

Risa zwalnia uścisk, jednak jego ramię wciąż rwie.

– Nie musiałaś tego robić – utyskuje Connor, starając się nie okazać po sobie, jak bardzo cierpi. – Przecież nie chciałem ci wyrządzić żadnej krzywdy.

– Cóż, teraz na pewno już tego nie zrobisz – odpowiada Risa, z lekką nutą winy w głosie z powodu tego, jak ostro go potraktowała. – Nie zapominaj, że mieszkałam w domu stanowym.

Connor kiwa głową. Wie o dzieciakach ze StaDo. Bardzo wczesnie muszą nauczyć się troszczyć o samych siebie, w przeciwnym razie ich życie nie należy do przyjemnych. Powinien był wiedzieć, że Risa jest z gatunku nietykal- skich.

– Przepraszam – odzywa się Lev – ale nigdzie nie zajdziemy, jeżeli nadal będę przywiązany do drzewa.

Connorowi nadal nie podoba się to osądzające go spojrzenie w oczach Leva.

– Skąd możemy wiedzieć, że nie zwiejesz?

– Nie możecie, ale dopóki mnie nie rozwiążecie pozostaję zakładnikiem – wskazuje Lev. – Kiedy będę wolny, stanę się uciekinierem, jak wy. Związany, jestem wrogiem. Uwolnij mnie, zostanę przyjacielem.

– Pod warunkiem, że nie zwiejesz – odpowiada Connor.

Risa zaczęła niecierpliwie rozwiązywać pnącze.

– O ile nie chcemy go tu zostawić, to będziemy musieli zaryzykować. Connor klęka, aby jej pomóc i po krótkiej chwili Lev jest wolny. Wstaje i przeciąga się, pocierając ramię w miejscu, w które ugodził go pocisk ze środkiem uspokajającym. Oczy Leva wciąż pozostają jasnoblękitne i Connor nie potrafi z nich niczego wyczytać, jednak Lev nie ucieka. *Może – myśli Connor – przeszło mu już z tą „powinnością” poświęcenia się. Może w końcu zaczyna dostrzegać sens w pozostaniu przy życiu.*



8. RISA

Risa odczuwa niepokój, widząc opakowania po jedzeniu i połamane kawałki plastiku, na które napotyka ją lesie, ponieważ pierwszą oznaką cywilizacji są zawsze śmieci. Cywilizacja oznacza ludzi, którzy mogliby ich rozpoznać, gdyby obsmarowano ich w wiadomościach.

Risa wie, że nie uda im się całkowicie uniknąć kontaktu z ludźmi. Nie ma złudzeń odnośnie ich szans, czy też możliwości pozostania niezauważonymi. Chociaż muszą zachować anonimowość, nie dadzą sobie rady zupełnie sami. Potrzebują pomocy innych.

– Nie, nie potrzebujemy – zaprzecza szybko Connor, kiedy ślady cywilizacji zaczynają się robić coraz bardziej wyraźne. To już nie tylko śmieci, ale również porośnięte mchem pozostałości wysokiego do kolan kamiennego muru oraz zardzewiałe pozostałości po starej linii energetycznej z czasów, kiedy prąd elektryczny był jeszcze przewodzony kablami. – Nikogo nie potrzebujemy. Poradzimy sobie sami.

Risa wzdycha, starając się zachować cierpliwość, której pokłady powoli zaczynają się jej wyczerpywać.

– Jestem pewna, że jesteś świetny w zwędzaniu rzeczy, ale nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł.

Connor zdaje się być obrażony tą insynuacją.

– Co ty sobie myślisz – że ludzie tak po prostu dadzą nam żywność i wszystko inne, czego potrzebujemy, z czystej dobroci serca?

– Nie – odpowiada Risa – ale jeżeli rozegramy to sprytnie zamiast w pośpiechu działać na oślep, to będziemy mieć o wiele większe szanse.

Jej słowa lub raczej jej protekcjonalny ton sprawiają, że Connor odchodzi wzburzony.

Risa zauważa, że Lev przygląda się kłótni. *Jeżeli ma zamiar uciec* – myśli Risa – *to teraz jest odpowiedni moment, kiedy Connor i ja zajęci jesteśmy sprzecznaniem się.* Wtedy dociera do niej, że jest to idealna okazja, aby go przetestować i przekonać się, czy Lev rzeczywiście stoi teraz po ich stronie, czy też grał na zwłokę i czeka, aż natrafi się możliwość ucieczki.

– Nie waż się odwracać do mnie plecami! – warczy na Connora, starając się jak może, aby podtrzymać kłótnię, jednocześnie nie spuszczać oczu z Leva w obawie, że da nogę. – Mówię do ciebie!

Connor odwraca się do niej.

– A kto powiedział, że muszę tego słuchać?

– Wysłuchałbyś, gdybyś miał choć jedną półkulę mózgową a najwyraźniej jej nie masz!

Connor podchodzi bliżej, aż w końcu narusza jej prywatną przestrzeń, o wiele bardziej niż by sobie tego życzyła.

– Gdyby nie ja, to byłabyś już w drodze do ośrodka donacyjnego! – wygarnia jej. Risa unosi dłoń, żeby go odepchnąć, jednak jego ręka wystrzeliwuje w powietrze szybciej i chwyta ją za nadgarstek zanim zdąży go pchnąć. W tej właśnie chwili Risa zdaje sobie sprawę, że posunęła się za daleko. Co ona właściwie wie o tym chłopaku? Miał zostać podzielony. Może jest ku temu powód. Może jest jakiś dobry powód.

Risa nie chce się z nim szarpać, ponieważ wie, że dzięki temu on zyska przewagę. Pozwala, aby ton jej głosu wyraził wszystko dosadnie.

– Puszczaj.

– Dlaczego? Co ty właściwie sądzisz, że ci zrobię?

– Już po raz drugi dotykasz mnie bez mojego pozwolenia – upomina go. Connor, wciąż nie puszcza – choć Risa zauważa, że jego uścisk nie jest taki groźny. Nie jest mocny, tylko słaby. Nie jest brutalny, tylko delikatny. Z łatwością mogłaby się z niego wyswobodzić szybkim ruchem nadgarstka. Dlaczego więc tego nie robi?

Risa wie, że Connor robi to, aby coś uświadomić, ale co, tego Risa nie jest już pewna. Czy ostrzega ją, że może jej wyrządzić krzywdę, jeśli tylko ze-

chce? Czy też jego wiadomość kryje się w łagodnej naturze jego uścisku – chce jej w ten sposób powiedzieć, że nie jest typem osoby, która mogłaby ją skrzywdzić.

Cóż, to bez znaczenia – myśli Risa. Nawet łagodne naruszenie przestrzeni, to wciąż naruszenie.

Spogląda na jego kolano. Dobrze wymierzony kopniak mógłby roztrząsać jego rzepkę.

– Mogę cię obezwładnić w jednej chwili – wygraża mu.

Jeżeli się tym zmartwił, to nie dał tego po sobie poznać.

– Wiem.

Z jakiegoś powodu wie również, że tego nie robi – że pierwszy raz był tylko odruchem. Jeżeli chciałaby mu jednak ponownie wyrządzić krzywdę, to tym razem dokonałaby tego świadomie. Dokonałaby tego z wyboru.

– Odsuń się – ostrzega go Risa. W jej głosie brakuje teraz siły, która cechowała ją parę chwil wcześniej.

Tym razem Connor słucha się jej i zwalnia uścisk, odsuwając się na właściwą odległość. Każde z nich mogłoby wyrządzić drugiemu krzywdę, lecz tego nie uczynili. Risa nie jest do końca pewna co to oznacza, wie jedynie, że przepelnia ją wobec niego złość z tak wielu różnych powodów, że nie potrafi ich uporządkować.

Wtedy, nagle dobiega do nich z prawej strony jakiś głos.

– Świetnie się bawię i w ogóle, ale nie sądzę, żeby kłótnie na wiele się zdały.

To Lev – i Risa uświadamia sobie, że jej mały podstęp spalił na panewce. Chciała wystawić go na próbę, wywołując fałszywą kłótnię, która następnie przerodziła się w prawdziwą i tym samym kompletnie zapomniała o Levie. Mógł uciec bez najmniejszego problemu, a oni zorientowaliby się dopiero poniewczasie.

Risa rzuca na odchodnym Connorowi złowieszcze spojrzenie i cała trójka kontynuuje podróż. Dopiero po dziesięciu minutach, kiedy Lev udaje się oddać hołd naturze, Connor ponownie odzywa się do Risy.

– To było niezłe – mówi. – Sprawdziło się.

– Co?

Connor nachyla się bliżej i szepcze:

– Kłótnia. Wywołałaś ją, aby sprawdzić, czy Lev da nogę, kiedy nie będziemy zwracać na niego uwagi, tak?

Connor zwalił ją tym z nóg.

– Wiedziałaś?

Connor spogląda na nią, lekko rozbawiony.

– Cóż... pewnie.

Jeżeli Risa wcześniej czuła się względem niego niepewnie, to teraz jest jeszcze gorzej. Nie ma pojęcia, co o tym myśleć.

– Więc... wszystko co się tam wydarzyło było na pokaz?

Teraz to Connor wydaje się być zbitym z tropu.

– Chyba tak. Tak myślę. A nie?

Risa powstrzymuje się przed uśmiechem. Nagle czuje się przy nim wyjątkowo swobodnie. Zdumiewa ją jak to możliwe. Gdyby ich kłótnia była całkowicie prawdziwa, to zachowałyby wtedy wobec niego ostrożność. Gdyby była całkowicie na pokaz, to również wzmogłoby to jej czujność, ponieważ jeżeli Connor potrafiłby tak przekonująco kłamać, to nigdy nie mogłaby mu zaufać. Jednak tu chodziło o mieszankę jednego i drugiego. Kłótnia była zarówno prawdziwa jak i udawana, i ta kombinacja sprawiła, że wszystko było w porządku – że było bezpiecznie, zupełnie jak w przypadku wykonania groźących śmiercią akrobatycznych trików ponad siatką bezpieczeństwa.

Trzyma się tego niespodziewanego uczucia, kiedy ich dwójka dogania Leva i ruszają w kierunku przerażającego widoku cywilizacji.

CZEŚĆ DRUGA

BOCIANIA INICJATYWA

*Nie można zmienić prawa,
nie zmieniawszy wpierw ludzkiej natury.*

– SIOSTRA GRETA

*Nie można zmienić ludzkiej natury,
nie zmieniawszy wpierw prawa.*

– SIOSTRA YVONNE



9. MATKA

Matka ma dziewiętnaście lat, jednak nie czuje się na tyle. Nie czuje się ani mądrzejsza ani bardziej zdolna do uporania się z tą sytuacją od małej dziewczynki. Kiedy, zastanawia się, przestała być dzieckiem? Prawo mówi stało się to, kiedy ukończyła osiemnasty rok życia, ale prawo jej nie zna.

Wciąż przejęta traumą porodu, przytula swe nowo narodzone dziecko. Jest chłodny poranek, niedawno nastał świt. Przemieszcza się teraz tylnymi uliczkami. Wokół nie widać żywej duszy. Kontenery na śmieci rzucają kanciaste czarne cienie. Roztrzaskane butelki walają się wszędzie. Wie, że to najlepsza pora dnia, aby to zrobić. Teraz jest mniejsze ryzyko, że kojoty i inni padlinożercy będą żerować. Nie może znieść myśli o tym, że jej dziecko niepotrzebnie mogłoby cierpieć.

Wyłania się przed nią duży zielony kontener, który przechyla się, postawiony krzywo na nierównym chodniku uliczki. Przytula mocniej niemowlę, zupełnie jak gdyby kontener mógł wyciągnąć odnóża i wciągnąć niemowlę w głąb swojej paskudnej otchłani. Manewrując wokół niego, kontynuuje wędrówkę wzdłuż ulicy.

Był kiedyś taki czas, krótko po uchwaleniu Karty Życia, że kontenery takie jak ten kusily dziewczyny takie jak ona. Zdesperowane dziewczyny, które porzucały niechciane noworodki na śmietnikach. Stało się to tak powszechne, że nie uznawano tego więcej za wiadomość wartą opublikowania – stało się to codziennością.

Zabawne, ale Karta Życia powinna chronić świętość życia. Zamiast tego umniejszała jego wartość. Dzięki Bogu za Bocianią Inicjatywę, to cudowne prawo, które stwarza dziewczynom takim jak ona o wiele lepszą alternatywę.

Kiedy świt przemienia się we wczesny poranek, opuszcza boczne uliczki i wkracza do dzielnicy, która z każdą mijaną przez nią ulicą staje się coraz bardziej zamożna. To właściwe miejsce na podrzucenie dziecka.

Trafnie wybiera dom. Ten, na który się decyduje nie jest największy, ale nie jest też najmniejszy. Ma bardzo krótkie przejście na ulicę, więc może szybko uciec i jest zarośnięty drzewami, więc nikt z wewnątrz lub zewnątrz nie będzie w stanie jej dostrzec, kiedy zostawi niemowlę.

Ostrożnie podchodzi do drzwi frontowych. W domu nie palą się jeszcze żadne światła, to dobrze. Samochód stoi na podjeździe – ma nadzieję, że to oznacza, że jego mieszkańcy są w domu. Ostrożnie wspina się po schodach werandy, uważając, by nie narobić przy tym żadnego hałasu, następnie klęka, kładąc śpiące niemowlę na wycieraczce. Dziecko owinięte jest dwoma kocykami, a na główce ma wełnianą czapkę. Opatula niemowlę dokładnie. To jedyna rzecz, jakiej się nauczyła jako matka.

Zastanawia się nad tym, czy nie zadzwonić do drzwi i uciec, jednak uświadamia sobie, że to nie byłby dobry pomysł. Jeżeli ją złapią, to będzie musiała zatrzymać dziecko – to również jest częścią Bocianie Inicjatywy – ale jeżeli otworzą drzwi i znajdą jedynie dziecko, to wtedy w świetle prawa, „kto znajduje, ten zatrzymuje”. Czy tego chcą czy nie, dziecko prawnie staje się ich.

Od czasu, kiedy dowiedziała się o ciąży wiedziała, że będzie musiała skorzystać z Bocianie Inicjatywy. Miała nadzieję, że kiedy w końcu je ujrzy, patrzące na nią tak rozpaczliwie, to może zmieni zdanie – ale kogo chciała oszukać? Nie posiadając ani umiejętności ani ochoty zostania matką w tym momencie swojego życia, Bociania Inicjatywa okazała się dla niej najlepszym rozwiązaniem.

Uświadamia sobie, że zbyt długo zwlekała z odejściem. Ktoś włączył na górze światło, więc zmusza się, aby odwrócić wzrok od śpiącego niemowlęcia, po czym odchodzi. Zrzuciwszy w końcu brzemię, nagle zyskuje siły. Ma teraz drugą szansę w życiu i tym razem będzie mądrzejsza – tego jest pewna.

Idąc pośpiesznie ulicą, rozmyśla o tym, jak cudowne jest to, że dano jej drugą szansę. Jak cudowne jest to, że tak łatwo może pozbyć się swojej od-

powiedzialności.



10. RISA

Kilka ulic dalej od porzuconego niemowlęcia, na skraju gęstego lasu, Risa staje przed drzwiami domu. Dzwoni do drzwi i otwiera jej kobieta odziana w szlafrok.

Risa obdarza kobietę olbrzymim uśmiechem.

– Dzień dobry, nazywam się Didi i zbieram odzież oraz żywność dla naszej szkoły. Przekazujemy je później bezdomnym. I to są pewnego rodzaju zawody – kto zbierze najwięcej, ten wygrywa wycieczkę na Florydę, czy coś w tym rodzaju. Tak więc byłoby naprawdę, naprawdę świetnie, gdyby mogła pani coś ofiarować.

Zaspana kobieta stara się przetworzyć imię „Didi”, po czym jej mózg zaczyna się już na wzmiance o bezdomnych. Kobieta nie potrafi dojść do słowa, ponieważ Didi wyrzuca z siebie dźwięki stanowczo za szybko. Gdyby Risa miała przy sobie kawałek gumy do żucia, to zrobiłaby balon, aby dodać swojej postaci większej wiarygodności.

– Proszę panią, proszę, ładnie proszę! Jestem teraz chyba na drugim miejscu.

Kobieta w drzwiach wzdycha, godząc się z faktem, że „Didi” nie odejdzie z pustymi rękoma i czasami najlepszym sposobem, aby pozbyć się dziewczynek takich jak ta, to po prostu coś im dać.

– Zaraz wracam – odpowiada kobieta.

Trzy minuty później, Risa odchodzi z domu z torbą pełną ubrań i żywności w puszkach.

– To było niesamowite – zachwyca się Connor, który przyglądał się wraz z Levem całemu zajściu ze skraju lasu.

– Cóż mogę powiedzieć? Jestem artystką – odpowiada Risa. – To jak gra na fortepianie: musisz po prostu wiedzieć, w które klawisze uderzyć.

Connor uśmiecha się.

– Masz rację, to lepsze od kradzieży.

– Tak naprawdę – wtrąca Lev – oszustwo to TEŻ kradzież.

Risa czuje się nieco rozdrażniona oraz zakłopotana tą uwagą, jednak stara się nie dać tego po sobie poznać.

– Może i tak – odpowiada Connor – ale to kradzież z klasą.

Las skończył się przy osiedlu domków. Zadbane trawniki pokryły się żółcią wraz z liśćmi. Jesień zagościła na dobre. Wszystkie domy są niemal identyczne, ale nie do końca, pełne niemal identycznych ludzi, ale nie takich samych. To świat, który Risa zna jedynie z czasopism i telewizji. Dla niej, przedmieścia jawią się niczym magiczna kraina. Być może dlatego to właśnie Risa była tą, która miała wystarczająco dużo odwagi, aby podejść do domu i udawać Didi. Okolica kusila ją niczym zapach świeżo upieczonego chleba w piecach Domu Stanowego nr 23 w Ohio.

Z powrotem w lesie, gdzie nikt nie może ich zobaczyć z okien, sprawdzają zawartość torby ze zdobyczami, zupełnie jak gdyby była wypełniona smakołykami zebranymi w Halloween.

Jest tam para spodni i niebieska koszula zapinana na guziki, która pasuje na Connora. Jest kurtka, która pasuje na Leva. Nie ma żadnych ubrań dla Risy, ale to nic, ponieważ może ponownie wcielić się w rolę Didi przed drzwiami innego domu.

– Nadal nie rozumiem, jak zmiana ubrań ma nam niby pomóc – utyskuje Connor.

– Czy ty w ogóle nie oglądasz telewizji? – odpowiada Risa. – W programach policyjnych, kiedy rozsyłają list gończy, zawsze podają opis, w co byli ubrani sprawcy.

– Nie jesteśmy sprawcami – odparowuje Connor – tylko ZOMZ-ami.

– Jesteśmy przestępcami – oponuje Lev. – Ponieważ to, co robisz – znaczy to, co my robimy – jest przestępstwem federalnym.

– Że co? Kradzież ubrań? – burzy się Connor.

– Nie, kradzież nas. Kiedy zlecenie podzielenia zostanie podpisane, wszyscy stajemy się własnością rządową. Złamanie ZOMZu uczyniło z nas prze-

stępców kryminalnych.

Ta myśl nie podoba się Risie ani Connorowi, ale oboje odganiają ją od siebie.

Wyprawa w głąb zamieszkanego terenu jest niebezpieczna, ale konieczna. Być może nieco później uda im się znaleźć bibliotekę, gdzie będą mogli pobrać z Internetu mapy i znaleźć odludzie na tyle wielkie, że zapadną się pod ziemię na dobre. Krążą plotki o ukrytych społecznościach Podzielonych ZOMZ-ów. Może uda im się jakąś odnaleźć.

Gdy przemieszczają się ostrożnie przez okolicę, zbliża się do nich jakaś kobieta – jeszcze dziewczyna, może mieć najwyżej dziewiętnaście albo dwadzieścia lat. Idzie szybkim, acz dziwnym krokiem, jakby nabawiła się jakiejś kontuzji lub dochodziła po niej do zdrowia. Risa jest przekonana, że ich zobaczy i rozpozna, jednak dziewczyna mija ich, nie zwracając na nich nawet uwagi i w pośpiechu skręca za rogiem.



11. CONNOR

Bezbronni. Narażeni na atak. Connor żałuje, że nie zostali w lesie, ale tam za posiłek mieli jedynie żołądździe i jagody. Jedzenie znajdą w mieście. Jedzenie i informacje.

– To najlepsza pora, aby pozostać niezauważonym – wyjaśnia Connor towarzyszom. – Wszyscy rano się gdzieś śpieszą. Do pracy czy do szkoły.

Connor znajduje w krzakach gazetę, wyrzuconą przez gazeciarza.

– Spójrzcie na to! – mówi Lev. – Gazeta. Co za starość.

– Piszą coś o nas? – pyta Lev. Mówi to takim tonem, jak gdyby oznaczało to coś dobrego. Cała trójka przebiega wzrokiem tytułową stronę. Wojna w Australii, kłamiący politycy – wciąż to samo. Connor przewraca niezgrabnie stronę. Strony gazety są wielkie i nieporęczne. Łatwo się rozrywają i łapią wiatr niczym latawiec, utrudniając tym samym czytanie. Na drugiej i trzeciej stronie nie ma na ich temat żadnej wzmianki.

– Może to stara gazeta – sugeruje Risa.

Connor sprawdza datę na górze strony.

– Nie, jest dzisiejsza. – Walczy z uporczywym wiatrem, aby przewrócić stronę. – A, tu jest.

Nagłówek brzmi: KARAMBOL NA AUTOSTRADZIE. To bardzo krótki artykuł. Wypadek samochodowy w godzinach porannych, *bla-bla-bla*, ruch wstrzymany na wiele godzin, *bla-bla-bla*. Artykuł wspomina o śmierci kierowcy autokaru oraz o fakcie, że przez trzy godziny droga była zamknięta. Jednak nic o nich. Ostatnią linijkę artykułu Connor odczytuje na głos.

– Przypuszcza się, że działania policji przeprowadzone w tej okolicy mogły rozproszyć kierowców i spowodować wypadek.

Cała trójka jest oniemiała. Connor odczuwa pewnego rodzaju ulgę – uczucie, że udało mu się wymigać od czegoś poważnego.

– To niemożliwe – stwierdza Lev. – Zostałem uprowadzony... a przynajmniej oni sądzą, że tak było. Powinni o tym napisać.

– Lev ma rację – zauważa Risa. – Zawsze informują o incydentach z Po-dzielonymi. Skoro tego nie zrobili, to musi być ku temu jakiś powód.

Connor nie może uwierzyć, że tych dwoje zagłada darowanemu koniowi w zęby! Mówi powoli, tak jakby zwracał się do idiotów.

– Brak informacji w gazetach oznacza brak zdjęć – a to z kolei oznacza, że nikt nas nie rozpozna. Nie rozumiem, dlaczego postrzegacie to jako problem.

Risa krzyżuje ramiona.

– *Dlaczego nie ma zdjęć?*

– Nie wiem – może policja nie robi szumu, ponieważ nie chcą, aby opinia publiczna dowiedziała się, że dali ciała.

Risa kręci głową. – *Coś tu nie pasuje...*

– A kogo to obchodzi!

– *Ścisz głos!* – upomina go Risa rozniewanym szeptem. Connor stara się utrzymać panowanie nad sobą. Nic nie mówi z obawy, że znowu zacznie się wydzierać i sprowadzi na nich niepotrzebną uwagę. Widzi, że Risa łamie sobie głowę, starając się coś wymyślić, a Lev przerzuca w kółko wzrok z niej na niego. *Risa nie jest głupia* – myśli Connor. – *W końcu zrozumie, że to dobra wiadomość i że niepotrzebnie się tym przejmuje.*

Jednak zamiast tego Risa mówi:

– Skoro nie wspomnieli o nas słowem w wiadomościach, to kto się dowie, czy w ogóle żyjemy? Zrozumcie – jeżeli podaliby do wiadomości informację, że nas ścigają, to kiedy nas znajdą, musieliby nas uziemić pociskami ze środkiem uspokajającym i doprowadzić do ośrodka.

Connor nie rozumie, dlaczego stwierdza to, co oczywiste.

– *Do czego więc zmierzasz?*

– A co, jeżeli nie chcą nas podzielić. Co, jeśli chcą nas zabić?

Connor otwiera usta, aby powiedzieć jej, jak głupio to brzmi, ale powstrzymuje się. Ponieważ to wcale nie jest głupie.

– Lev – pyta Risa – twoja rodzina jest dosyć zamożna, prawda?

Lev wzrusza lekko ramionami.

– Tak sędzę.

– Co, jeśli opłacili policję, żeby cię sprowadzili z powrotem i zabili porywaczy... I żeby zrobili to po cichu, tak aby nikt nigdy się nie dowiedział co się właściwie wydarzyło?

Connor spogląda na Leva, mając nadzieję, że ten wybuchnie śmiechem na samą myśl o tym i wyjaśni im, że jego rodzice nigdy w życiu nie byliby zdolni do czegoś tak okropnego. Jednak Lev, co dziwne, milczy i rozważa tę możliwość.

W tej właśnie chwili dochodzi do dwóch zdarzeń. Na ulicy pojawia się radiowóz i gdzieś bardzo blisko, rozlega się płacz niemowlęcia.

W nogi!

To pierwsze, co przychodzi Connorowi na myśl, to jego pierwszy odruch, jednak Risa chwytą go mocno za rękę w chwili, gdy zauważa samochód policyjny, sprawiając, że Connor się waha. Connor wie, że w tragicznych sytuacjach moment zawahania może zadecydować o życiu i śmierci. Ale nie dzisiaj. Dzisiaj zyskuje dzięki temu wystarczająco dużo czasu, aby zrobić coś, co rzadko mu się zdarza robić w nagłych wypadkach. Porzuca swą pierwszą myśl i przetwarza drugą:

Ucieczka tylko zwróci ich uwagę.

Zmusza swe stopy do pozostania w jednym miejscu i szybko rozgląda się po okolicy. Na podjazdach ludzie wyjeżdżający do pracy uruchamiają swoje samochody. Gdzieś w pobliżu płacze dziecko. Dzieciaki w wieku licealnym zbierają się na rogu po drugiej stronie ulicy, rozmawiają, przepychają się, śmieją. Spoglądając na Risę już wie, że myślą o tym samym, zanim ona zdąży powiedzieć:

– Przystanek autobusowy!

Radiowóz toczy się powoli wzdłuż ulicy. Powoli dla kogoś, ktoś nie ma nic do ukrycia, jednak to wolne tempo stanowi dla Connora zbyt wielkie zagrożenie. Nie można w żaden sposób stwierdzić, czy siedzący wewnątrz funkcjonariusze policji szukają ich, czy też wykonują rutynowy patrol. Po raz kolejny walczy z odruchem uciezki.

Wraz z Risą odwracają się plecami do wozu policyjnego, gotowi, by nie zwracając na siebie uwagi, oddalić się w stronę przystanku autobusowego.

Jednak Lev nie trzyma się ich programu. Stoi zwrócony w przeciwnym kierunku, wpatrując się wprost w zbliżający się radiowóz.

– Odbiło ci? – Connor chwyta go za ramię i odwraca go w swoją stronę. – Rób to, co my i zachowuj się naturalnie.

Szkolny autobus nadjeżdża z przeciwnej strony. Dzieciaki na rogu zaczynają zbierać swoje rzeczy. Przynajmniej teraz mają pretekst, aby pobiec, nie wzbudzając przy tym podejrzeń. Connor rusza jako pierwszy, wyprzedzając szybkimi krokami Risę i Leva, następnie odwraca się i woła z rozmyślnym jękiem:

– No dalej ludziska, inaczej znowu przegapimy busa!

Radiowóz znajduje się teraz tuż obok nich. Connor wciąż stoi obrócony do niego plecami i nie odwraca się, aby zobaczyć, czy policjanci wewnątrz się im przyglądają. Jeśli tak, to przy odrobinie szczęścia usłyszą ich rozmowę i wyjdą z założenia, że to zwykłe poranne zamieszanie i nie będą sobie zawracać tym głowy. W rozumieniu Leva „naturalne zachowanie” oznacza chodzenie z szeroko otwartymi oczyma i sztywnymi rękoma przy ciele, zupełnie jakby chodził po polu minowym. To by było na tyle, jeżeli chodzi o nie zwracanie na siebie uwagi.

– Czy musicie się tak guzdrać? – woła Connor. – Spóźnię się jeszcze raz i trafię do kozy.

Radiowóz przejeżdża obok nich. Naprzeciw, autobus zbliża się do przystanku. Connor, Risa i Lev pośpiesznie przechodzą przez ulicę, zmiierzając w jego kierunku – to część szarady, na wypadek gdyby okazało się, że policjanci obserwują ich we wstecznym lusterku. Oczywiście – myśli Connor – może to przynieść rezultat odwrotny do zamierzonego i gliniarze mogą ich zgarnąć za przechodzenie przez ulicę w niedozwolonym miejscu.

– Naprawdę wsiądziemy do tego autobusu? – pyta Lev.

– Oczywiście, że nie – odpowiada Risa.

Teraz Connor ośmiela się spojrzeć na wóz policyjny. Jego migacze są włączone. Zamierza skręcić za róg i kiedy to zrobi, będą bezpieczni... Jednak wtedy szkolny autobus zatrzymuje się i otwierając drzwi, włącza czerwone migacze. I każdy, kto kiedykolwiek jechał szkolnym autobusem wie, że kiedy czerwone światła zaczynają migać, wszystkie samochody wokół niego muszą się zatrzymać i poczekać aż autobus pojedzie dalej.

Radiowóz zatrzymuje się dziesięć metrów przed zakrętem, czekając aż wszyscy wsiądą do autobusu. To oznacza, że radiowóz będzie czekał, dopóki

autobus nie odjedzie.

– Mamy przerąbane – stwierdza Connor. – Teraz musimy wsiąść do autobusu.

Gdy docierają do chodnika, słaby i z początku niewarty zbytnej uwagi dźwięk, przykuwa nagle uwagę Connora. Płacz dziecka.

Na werandzie, w domu naprzeciwko nich, leży jakieś zawiniątko. Zawiniątko się porusza.

Connor natychmiast zdaje sobie sprawę z tego, co znajduje się w środku. Widział to już wcześniej. Już dwukrotnie pod drzwiami własnego domu widział porzucone niemowlę. Choć to nie jest to samo dziecko, zatrzymuje się, jak gdyby nim było.

– No chodź Billy, inaczej autobus ci ucieknie!

– Co?

To Risa. Ona i Lev znajdują się o kilka kroków przed nim. Mówi do Connora przez zaciśnięte zęby.

– No dalej Billy, idziemy. Nie bądź głupi.

Dzieciaki zaczęły już wchodzić do autobusu. Wóz policyjny stoi w bezruchu za czerwonymi migającymi światłami.

Connor próbuje zmusić swoje ciało do ruchu, ale nie potrafi. Z powodu tego dziecka. Z powodu jego płaczu pełnego żalości. *To nie jest to samo dziecko!* – powtarza sobie Connor. – *Nie bądź głupi. Nie teraz!*

– Connor – szepcze Risa – co z tobą?

Następnie drzwi domu otwierają się. W progu pojawia się mały tłusty chłopiec – może mieć sześć lub siedem lat. Spogląda w dół na dziecko.

– O nie, tylko nie to! – Następnie odwraca się i woła: – Mamo! Ktoś znowu nasłał na nas bociana!

Większość ludzi cechuje się dwoma typami zachowań w sytuacjach krytycznych. Walcz albo Uciekaj. Jednak Connor zawsze wiedział, że ma trzy opcje wyboru: Walczyć, Uciekać i Spartolić Na Całej Linii. To niebezpieczne, krótkie spięcie w mózgu. To samo spięcie, które sprawiło, że rzucił się w stronę uzbrojonych hycli, aby ratować Leva zamiast po prostu ratować siebie. Czuje, jak jego mózg zaczyna pracować na najwyższych obrotach. – Ktoś znowu nasłał na nas bociana! – powiedział mały tłusty chłopiec. Dlaczego użył słowa „znowu”? Connor nie widziałby być może problemu, gdyby chłopiec nie powiedział „znowu”.

Nie rób tego! – mówi do siebie Connor. – *To nie jest tamto dziecko!*

Jednak dla pewnej starej, irracjonalnej części jego mózgu, wszystkie niemowlęta są tamtym dzieckiem.

Działając wbrew instynktowi samozachowawczemu, Connor zrywa się do biegu prosto w stronę werandy. Zbliża się do drzwi tak szybko, że chłopiec spogląda na niego przerażonym wzrokiem i wycofuje się w kierunku swojej matki, równie pulchnej kobiety, która właśnie pojawiła się w drzwiach. Na jej twarzy maluje się nieprzyjazny grymas.

Spogląda na Connora, następnie rzuca okiem na płaczące niemowlę, jednak nie wykonuje żadnego ruchu w jego stronę.

– Coś ty za jeden? – domaga się odpowiedzi. Mały chłopiec chowa się teraz za nią niczym niedźwiadek za matką grizzly. – Tyś to tu zostawił? Odpowiadaj! – Dziecko wciąż płacze.

– Nie... Nie, ja...

– Nie kłam!

Connor nie wie, co chciał osiągnąć, pojawiając się tam. To nie jego sprawa, to nie jest jego problem. Jednak właśnie w tej chwili uczynił ją swoim problemem.

A za jego plecami, uczniowie wciąż wchodzą do autobusu. Radiowóz nadal stoi tam gdzie stał, czekając. Connor równie dobrze mógł zakończyć swój żywot, przychodząc do tego domu.

Wtem, słyszy głos tuż za nim.

– To nie on je tu zostawił. Ja to zrobiłam.

Connor odwraca się i dostrzega Risę. Ma kamienny wyraz twarzy. Nawet na niego nie spogląda. Wpatruje się po prostu w kobietę, której paciorkowate oczy przeskakują z Connora na Risę.

– Zostałaś przyłapaną na gorącym uczynku, kochaniutka – wygarnia jej kobieta. – Słowo „kochaniutka” brzmi w jej ustach jak przekleństwo. – Prawo pozwala ci zabawić się w bociana, ale tylko wtedy, kiedy nikt cię na tym nie przyłapie. Więc zabieraj swoje dziecko i zmywaj się stąd, zanim zawołam tamtych gliniarzy.

Connor rozpaczliwie stara się na powrót zrobić użytek ze swojego mózgu.

– Ale... ale...

– Po prostu się zamknij! – strofuje go Risa głosem pełnym złości i oskarżenia.

To wywołuje na twarzy kobiety w drzwiach uśmiech, jednak nie jest to przyjemny widok.

– Tatuś wszystko spartolił, prawda? Wrócił się, zamiast po prostu dać nogę. – Kobieta obdarza Connora szybkim, lekceważącym spojrzeniem. – Pierwsza zasada macierzyństwa, kochaniutka: Faceci są powaleni. Zapamiętaj to teraz, a będziesz o wiele bardziej szczęśliwa.

Niemowlę znajdujące się pomiędzy nimi wciąż płacze. To jak zabawa w kradzież flagi, w której nikt nie chce zabrać flagi. W końcu Risa schyla się i podnosi niemowlę z wycieraczki, mocno je przytulając. Dziecko wciąż płacze, jednak teraz znacznie łagodniej.

– A teraz jazda mi stąd – rozkazuje tłusta kobieta – albo pogadacie sobie z gliniarzami.

Connor odwraca się i widzi, że wóz policyjny jest częściowo zablokowany przez szkolny autobus. Lev jedną nogą stoi w drzwiach autobusu a drugą na zewnątrz, uniemożliwiając ich zamknięcie, a na jego twarzy maluje się wyraz bezdennej rozpacz. Poirytowany kierowca autobusu wygląda za nim:

– No dalej, nie mam całego dnia!

Connor i Risa odwracają się od kobiety w drzwiach i śpieszą w stronę autobusu.

– Riso, ja...

– Zamilcz – ucina ostro. – Nie chcę tego słuchać.

Connor czuje się tak samo załamany jak w chwili, kiedy dowiedział się, że jego rodzice podpisali nakaz jego podzielenia. Jednak wtedy nosił w sobie gniew, który pomógł mu złagodzić strach i przeżyty szok. Teraz nie ma w nim jednak ani odrobiny gniewu, poza tym skierowanym na samego siebie. Czuje się beznadziejnie, całkowicie beznadziejnie. Cała jego wiara w siebie eksplodowała niczym umierająca gwiazda. Trójka zbiegów uciekających przed prawem. A teraz na dodatek, dzięki spięciu w obwodach jego mózgowicy, stali się trójką zbiegów z dzieckiem.



12. RISA

Nie próbuje nawet zgadywać, co opętało Connora.

Teraz Risa uświadamia sobie, że Connor nie tylko błędne decyzje, ale również niebezpieczne. W szkolnym autobusie znajduje się zaledwie parę dzieciaków, kiedy wchodzi do środka a kierowca zamyka za nimi ze złością drzwi, nie czyniąc uwag na temat niemowlęcia. Być może dzieje się tak, ponieważ to nie jest jedyne niemowlę w autobusie. Risa przepycha się obok Leva i prowadzi ich trójkę na tył pojazdu. Wymijają kolejną dziewczynę trzymającą w rękach swoje własne zawiniątko szczęścia, które nie może mieć więcej niż sześć miesięcy. Młoda matka przygląda się im w zaciekawieniu, ale Risa stara się nie nawiązywać z nią kontaktu wzrokowego.

Gdy siedzą już z tyłu autobusu, kilka rzędów od najbliższego pasażera, Lev spogląda na Risę, zbyt przestraszony, by zadać oczywiste pytanie. W końcu jednak odzywa się:

– Mhm... dlaczego mamy ze sobą dziecko?

– Jego zapytaj – odpowiada Risa. Z kamienną miną, Connor wygląda przez okno.

– Szukają dwóch chłopaków i dziewczyny – mówi. – Dzięki dziecku nie będziemy wzbudzać podejrzeń.

– Świetnie – warczy Risa. – Może każde z nas powinno sobie sprawić dziusia po drodze.

Connor oblewa się purpurą. Odwraca się do niej i wyciąga dłoń.

– Wezmę go – proponuje – ale Risa nie oddaje mu zawiniątka.

– Tylko się przez ciebie rozpłaczę.

Dzieci nie są dla Risy żadną nowością. W domu stanowym od czasu do czasu pomagała przy niemowlakach. To tutaj najprawdopodobniej również skończyłoby w tym samym miejscu. Wie, że tamta kobieta w drzwiach nie zamierzała go zatrzymać.

Spogląda na Connora. Wciąż purpurowy, umyślnie unika jej spojrzenia. Powód, który jej podał to kłamstwo. Coś innego skłoniło go do tego, że pobiegł do tamtej werandy. Jednak bez względu na to, jakkolwiek prawdziwy powód by to nie był, Connor zachowuje go dla siebie.

Autobus gwałtownie hamuje i do środka wsiadają kolejni uczniowie. Dziewczyna siedząca z przodu autobusu – ta z dzieckiem – idzie na tył i siada tuż przed Risą, obraca się i patrzy na nią przez oparcie siedzenia.

– Cześć, ty musisz być nowa! Jestem Alexis, a to jest Chase. – Jej dziecko patrzy na Risę z zaciekawieniem i ślini się na oparcie siedzenia. Alexis podnosi wiotką rączkę bobasa i macha nią tak, jakby machała ręką lalki. – Przywitaj się, Chase! – Alexis wydaje się być jeszcze młodsza od Risy.

Alexis przygląda się badawczo buzi śpiącego niemowlęcia.

– Noworodek! Wow! Jesteś dzielna, że tak szybko wracasz do szkoły! – Zwraca się do Connora. – Ty jesteś ojcem?

– Ja? – Connor wygląda przez chwilę na skołowanego i przypartego do muru, zanim odzyskuje rozum i mówi:

– Taa, to ja.

– To *zaaajefajnie*, że nadal ze sobą chodzicie. Chaz – ojciec Chase’a – nie chodzi już nawet do naszej szkoły. Wyślano go do szkoły wojskowej. Jego rodzice tak bardzo się wściekli, kiedy się dowiedzieli, że ja, no wiecie, „zaciążyłam”, że przestraszył się, że mogą właściwie oddać go na podzielenie.

Risa mogłaby udusić tę dziewczynę, gdyby nie fakt, że tym samym osierociłaby śliniącego się Chase’a.

– To chłopczyk czy dziewczynka?

Pauza przed odpowiedzią staje się niezręczna i kłopotliwa. Risa zastanawia się, czy istnieje jakiś dyskretny sposób, aby to sprawdzić, tak żeby Alexis niczego nie zauważyła, ale uświadamia sobie, że to niemożliwe.

– Dziewczynka – odpowiada Risa. Przynajmniej ma pięćdziesiąt procent szans, że ma rację.

– Jak ma na imię?

Tym razem odzywa się Connor:

– Didi. – Na imię jej Didi. – Ta odpowiedź wywołuje u Risy niewielki uśmiech, pomimo że jest na niego wściekła.

– Zgadza się – potwierdza Risa. – Nosi to samo imię, co ja. To taka rodzinna tradycja.

Najwyraźniej Connor odzyskał choć część swojego rozsądku. Wydaje się być bardziej rozluźniony i naturalny, odgrywając swoją rolę najlepiej jak potrafi. Purpura niemal całkowicie ustąpiła z jego twarzy, pozostając jedynie na jego uszach.

– Pokochacie CenterNorth High – trajkocze Alexis. – W czasie dnia zapewniają tam świetną opiekę nad dziećmi i naprawdę dbają o uczące się matki. Niektórzy nauczyciele pozwalają nam nawet karmić piersią na lekcji.

Connor kładzie dłoń na ramieniu Risy.

– Czy ojcowie mogą popatrzeć?

Risa strząsa jego rękę i po cichu depcze jego stopę. Connor krzywi się z bólu, jednak milczy. Jeżeli wydaje mu się, że nie ma już u niej przechłapanie, to niech lepiej przygotuje się na niespodziankę. W najbliższych dniach zapowiada się na prawdziwy sztorm.

– Wygląda na to, że twój brat łatwo nawiązuje kontakty towarzyskie – zauważa Alexis. Risa spogląda w miejsce, na którym siedział Lev, ale ten przesiadł się o jedno miejsce do przodu i rozmawia teraz z chłopakiem siedzącym obok niego. Próbuje usłyszeć o czym rozmawiają, ale do jej uszu nie dociera nic poza głędzeniem Alexis.

– Chyba, że to *twój* brat? – Alexis zwraca się do Connora.

– Nie, on jest moim bratem – odpowiada Risa.

Alexis uśmiecha się szeroko i wzrusza nieznacznie ramionami.

– Jest na swój sposób słodki.

Risa nie sądziła, że to możliwe, aby darzyć Alexis jeszcze mniejszą sympatią niż do tej pory. Najwyraźniej była w błędzie. Alexis musiała zauważyć spojrzenie Risy, ponieważ wyjaśnia:

– To znaczy, słodki jak na *pierwszozorocznika*.

– Ma trzynaście lat. Przeskoczył jedną klasę – odparowuje Risa, rzucając Alexis jeszcze bardziej złośliwe, ostrzegawcze spojrzenie, które zdawało się mówić *trzymaj te swoje tipsy z daleka od mojego brata*. Musi sobie przypominać, że Lev nie jest jej młodszym bratem. Teraz to Connor nadepnął jej

na stopę – i słusznie. Zdradziła zbyt wiele informacji. Wiek Leva to więcej niż Alexis musiał wiedzieć. A poza tym, przysparzanie sobie wrogów nie leży w ich interesie.

– Przepraszam – reflektuje się Risa, łagodząc spojrzenie. – Dziecko dało mi w nocy popalić. Przez to jestem dzisiaj marudna.

– Możesz mi wierzyć, wiem dokładnie o czym mówisz.

Wygląda na to, że przesłuchanie przez Alexis może się ciągnąć przez całą drogę do szkoły, jednak autobus ponownie zatrzymuje się niespodziewanie, sprawiając, że mały Chase uderza podbródkiem w oparcie siedzenia i zaczyna płakać. Nagle Alexis przełącza się na tryb matczyzny i rozmowa dobiega końca.

Risa wzdycha głęboko, a Connor wykrztusza z siebie:

– Naprawdę przepraszam cię za to wszystko. – Pomimo, że wydaje się mówić szczerze, Risa nie przyjmuje żadnych przeprosin.



13. LEV

Dzisiejszy dzień nie potoczył się zgodnie z planem.

Miał uciec, jak tylko dotrą do cywilizacji. Mógł dać nogę po tym, jak wydostali się z lasu. Mógł, jednak tego nie zrobił. *Będzie ku temu lepsza okazja* – myślał. Idealna okazja sama się nadarzy, jeśli wykaże się cierpliwością i czujnością.

Udawanie, że jest jednym z nich – że jest taki jak oni – kosztowało Leva mnóstwo wysiłku. Jedyna rzecz, która trzymała go przy życiu to wiedza, że wkrótce wszystko będzie takie jak być powinno.

Kiedy radiowóz wjechał na ulicę, Lev był w pełni gotów, aby rzucić się przed maskę i oddać się w ręce policji. Mógł to zrobić, gdyby nie jedna rzecz.

W gazecie nie było ich zdjęć.

To nie dawało mu spokoju nawet bardziej niż pozostałym. Jego rodzina jest wpływowa. Nie można z nią zadzierać. Był pewien, że jego twarz będzie najważniejszą informacją na stronie tytułowej. Gdy okazało się inaczej, nie wiedział co o tym sądzić. Nawet teoria Risy, że jego rodzice chcieli śmierci jej i Connora, wydawała się możliwa.

Gdyby oddał się w ręce policji, to co, jeśli wtedy zaczęliby strzelać do Risy i Connora ostrą amunicją? Czy policja byłaby do tego zdolna? Chciał, aby zostali osądzeni, jednak nie mógł znieść myśli, że mogliby zginąć z jego powodu, więc pozwolił, aby radiowóz odjechał.

A teraz sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót. Teraz jest jeszcze dziecko. Ukradli porzucone dziecko! Ta dwójka Podzielonych wymknęła się spod jakiegokolwiek kontroli. Nie obawia się już, że go zabiją, ale to w żaden sposób nie czyni ich mniej niebezpiecznymi. Należy ich chronić przed samym sobą. Oni muszą... muszą... oni muszą zostać podzieleni. Tak. To jest dla nich najlepsze rozwiązanie. W ich obecnym stanie nie ma z nich dla nikogo żadnego pożytku, nawet dla nich samych. Najprawdopodobniej będzie to dla nich ulga, ponieważ teraz rozpadają się wewnątrz na kawałki. Lepiej, żeby zamiast tego rozpadli się na kawałki zewnątrz. W ten sposób ich podzielone dusze odnajdą spokój, wiedząc, że ich ciało zostało rozproszony po całym świecie, ratując czyjeś życie, sprawiając, że ciała innych ludzi stały się na powrót całością. Tak jak jego własna dusza odnajdzie spokój niebawem.

Rozmyśla nad tym, siedząc w autobusie, starając się wyprzeć tego, jak bardzo mieszane uczucia targają nim w tej chwili.

Podczas gdy Risa i Connor zajęci są rozmową z niezwykle radosną dziewczyną i jej dzieckiem, Lev przesiada się o jedno miejsce do przodu, zwiększając odległość między nimi. Jakiś chłopak wsiada do autobusu i siada obok niego. Ma na uszach słuchawki i śpiewa w rytm muzyki, której Lev nie słyszy. Chłopak zrzuca plecak na siedzenie pomiędzy nimi, praktycznie klinując Leva i z powrotem skupia całą swą uwagę na dźwiękach wydobywających się ze słuchawek.

Wtedy właśnie Lev wpada na pewien pomysł. Spogląda za siebie, żeby zobaczyć, czy Connor i Risa nadal zajęci są rozmową z dziewczyną z dzieckiem. Po chwili Lev ostrożnie sięga do plecaka chłopaka i wyciąga z niego zeszyt z oślimi uszami. Na jego okładce napisane jest wielkimi czarnymi literami ŚMIERĆ PRZEZ ALGEBRĘ z dodatkiem małych czaszek i piszczeli. Wewnątrz znajdują się niedbale zapisane równania matematyczne i praca domowa z obniżoną oceną za niechlujstwo. Lev po cichu otwiera zeszyt na czystej stronie, następnie ponownie sięga do plecaka i wyciąga z niego długopis. Przez cały ten czas, siedzący obok chłopak jest tak zaabsorbowany muzyką, że niczego nie zauważa. Lev zaczyna pisać:

**POMOCY! JESTEM ZAKŁADNIKIEM
DWÓJKI PODZIELONYCH, KTÓRZY ZŁAMALI ZOMZ.
POKIWAJ GŁOWĄ JEŚLI ZROZUMIAŁEŚ...**

Kiedy skończył, pociąga chłopaka za ramię. Dopiero za drugim razem zwraca jego uwagę.

– Co tam?

Lev wyciąga w jego kierunku zeszyt, upewniając się, że czyni to w taki sposób, aby nie wyglądało to zbyt podejrzanie. Chłopak spogląda na niego i mówi:

– Hej, to mój zeszyt.

Lev bierze głęboki oddech. Connor teraz na niego patrzy. Musi być ostrożny.

– Wiem, że to twój zeszyt – odpowiada Lev, starając się wyrazić jak najwięcej swoimi oczami. – Ja tylko... potrzebowałem... jedną... stronę...

Unosi zeszyt nieco wyżej, aby chłopak mógł go przeczytać, ale ten nawet na niego nie patrzy.

– Nie! Powinieneś być najpierw zapytać. – Następnie wyrywa stronę z zeszytu, nawet na nią nie spoglądając, zgniata ją, i ku przerażeniu Leva, rzuca na przód autobusu. Zwitek papieru odbija się od głowy innego dzieciaka, który go ignoruje, po czym upada na podłogę. Autobus zatrzymuje się i Lev widzi, jak jego nadzieja została rozdeptana przez trzydzieści par szurających buciorów.



14. CONNOR

Tuzin autobusów zatrzymuje się pod szkołą. Uczniowie przeciskają się przez każde wejście. Connor, wysiadając wraz z Risą i Levem, wzrokiem szybko skanuje teren w poszukiwaniu sposobu ucieczki, jednak nie odnajduje żadnego. Są tu ochroniarze kampusu oraz nauczyciele. Każdy, kto zostałby przyłapany na opuszczaniu obszaru szkoły, natychmiast zwróciłby na siebie ich uwagę.

– Nie możemy wejść do środka – oznajmia Risa.

– Sądzę, że powinniśmy – odpowiada Lev, zachowując się bardziej zbikowanie niż zazwyczaj.

Nauczyciel zdążył zauważyć już ich obecność. Pomimo, że szkoła zapewnia dzienną opieką dla uczących się matek, niemowlę wyraźnie zwraca na siebie uwagę.

– Wchodzimy – postanawia Connor. – Ukryjemy się w miejscu, gdzie nie ma żadnych kamer bezpieczeństwa. W łazience dla chłopców.

– Dla dziewczyn – poprawia go Risa. – Tam będzie znacznie czystiej i jest tam też pewnie więcej kabin, w których możemy się schować.

Connor zastanawia się nad tym i dochodzi do wniosku, że prawdopodobnie dziewczyna ma rację w obu kwestiach.

– W porządku. Przeczekamy tam do lunchu, następnie wymkniemy się z resztą uczniów opuszczających kampus.

– Zakładasz, że dziecko będzie chciało z nami współpracować? – złości się Risa. – W końcu trzeba będzie je nakarmić, a ja nie dysponuję odpowiednim

pozywieniem, jeśli wiesz co mam na myśli. Jeżeli zaczniesz płakać w łazience, to echo najpewniej rozniesie się po całej szkole.

Kolejne oskarżenie. Connor słyszy je w tonie jej głosu, który zdaje się mówić: *Czy ty masz w ogóle pojęcie, jak bardzo utrudniłeś nam teraz życie?*

– Miejmy nadzieję, że nie będzie płakać – odpowiada Connor. – A jeśli jednak, możesz mnie wtedy obwiniać przez całą drogę do ośrodka donacyjnego.

Ukrywanie się w szkolnej toalecie nie jest dla Connora niczym nowym. Oczywiście do dzisiejszego dnia jedynym tego powodem była chęć urwania się z lekcji. Jednak dzisiaj nie ma żadnych lekcji, na których powinien być i jeżeli zostanie złapany, to konsekwencje będą nieco bardziej surowe niż zesłanie do kozy.

Wślizgują się niepostrzeżenie do szkoły po pierwszym dzwonku na lekcje, a następnie Connor przekazuje im swoje spostrzeżenia oparte na bazie własnego doświadczenia w ukrywaniu się w łazience. Między innymi dotyczą one tego, jak odróżnić kroki uczniów od kroków dorosłych. Instruuje, kiedy podnieść nogi, tak aby nikt cię nie zobaczył, a kiedy po prostu oznajmić, że kabina jest zajęta. Drugi sposób sprawdzi się zarówno u Risy jak i Leva, ponieważ ich głosy są nadal do pewnego stopnia wysokie, ale Connor nie odważy się udawać dziewczyny.

Każde z nich ukryło się jednak w oddzielnej kabynie. Na szczęście drzwi do łazienki skrzypią niemiłosiernie, ilekroć ktoś je otworzy. Z początku po pierwszym dzwonku do toalety wchodzi kilka dziewczyn, jednak później uspokaja się i w łazience panuje całkowita cisza, za wyjątkiem rozbrzmiewających echem skapujących kropel nieszczelnej spłuczki.

– Nie wytrzymamy tutaj aż do lunchu – obwieszcza Risa z kabiny znajdującej się po lewej stronie Connora. – Nawet jeżeli dziecko będzie spało.

– Zdziwiłabyś się, słysząc, jak długo można ukrywać się w łazience.

– Znaczący, że robiłeś to już wcześniej? – pyta Lev z kabiny po jego prawej stronie.

Connor wie, że to idealnie wpisuje się w jego obraz w oczach Leva jako złego ziarna. W porządku, niech sobie tak myśli. Pewnie ma rację.

Do ich uszu dobiega skrzypienie zawiasów. Cała trójka milknie. Stłumione, pośpieszne kroki – jakaś uczennica w trampkach. Lev i Connor uno-

szą nogi a Risa opuszcza swoje, tak jak ustalili. Niemowlę gaworzy i Risa odchrząkuje, idealnie zagłuszając ten dźwięk. Dziewczyna w trampkach wchodzi do kabiny a następnie opuszcza ją w mniej niż minutę.

Gdy skrzypiące drzwi zamykają się za nią, niemowlę kaszle. Connor zauważa, że to szybki, czysty dźwięk. Na pewno nie zwiastuje choroby. To dobrze.

– A tak przy okazji to *jest* dziewczynka – odzywa się Risa.

Connor zastanawia się nad tym, czy aby nie zaoferować się ponownie, że ją potrzyzyma, jednak dochodzi do wniosku, że więcej byłoby z tego kłopotu niż korzyści. Nie wie jak trzymać niemowlę, aby nie płakało. Postanawia, że musi im wyjaśnić, dlaczego chwilowo postradał zmysły i zabrał dziecko. Tyle jest im winien.

– To z powodu tego, co powiedział tamten dzieciak – wypowiada łagodnie słowa Connor.

– Co?

– Wtedy, przy tamtym domu – ten grubasek w drzwiach. Powiedział, że ktoś *znowu* nasłał na nich bociana.

– No i co z tego? – odparowuje Risa. – Bocian odwiedza wiele rodzin więcej niż raz.

Następnie, po swojej drugiej stronie, Connor słyszy:

– Tak było w mojej rodzinie. Mam dwóch braci i siostrę, których bocian przyniósł zanim się urodziłem. To nigdy nie stanowiło problemu.

Connor zastanawia się nad tym, czy Lev rzeczywiście sądzi, że przyniósł ich bocian, czy też użył tylko takiego sformułowania. Postanowił, że lepiej będzie nie wiedzieć.

– Co za cudowna rodzinka – oznajmia. – Przygarniają podrzucone niemowlaki, a syna z krwi i kości wysyłają na podzielenie. Ach, przepraszam – na ofiarę jako *dziesięcinę*.

Wyraźnie urażony Lev odzywa się:

– Tradycja składania dziesięciny sięga już czasów biblijnych; człowiek powinien oddawać dziesięć procent wszystkiego, co ma. O Bocianie Inicjatywie Biblia również wspomina.

– Nieprawda!

– A Mojżesz? – zauważa Lev. – Mojżesza wsadzono do kosza na Nilu i znalazła go córka faraona. Był pierwszym podrzuconym dzieckiem i zo-

bacz kim się stał!

– No tak – odpowiada Connor – ale co się stało z kolejnym dzieckiem, które znalazła na Nilu?

– Mówcie ciszej – zwraca im uwagę Risa. – Ktoś na korytarzu może was usłyszeć, a poza tym możecie obudzić Didi.

Connor porządkuje przez chwilę myśli. Kiedy ponownie zabiera głos, mówi szeptem, jednak w pomieszczeniu pełnym kafelek, szept nie ma racji bytu.

– Nas też to spotkało, kiedy miałem siedem lat.

– Wielka mi rzecz – komentuje Risa.

– Nie, to *była* wielka rzecz. Z całego mnóstwa powodów. Widzisz, w naszej rodzinie była już dwójka naturalnie urodzonych dzieci. Moi rodzice nie planowali kolejnych. Tak czy inaczej, dziecko pojawia się pod naszymi drzwiami, moi rodzice zaczynają *świrować*... i wtedy wpadają na pewien pomysł.

– Czy ja na pewno chcę to usłyszeć? – pyta Risa.

– Pewnie nie. – Jednak Connor nie zamierza przerywać. Wie, że jeżeli teraz tego z siebie nie wyrzuci, to już nigdy tego nie zrobi. – Było wcześniej rano i moi rodzice zrozumieli, że nikt nie widział podrzuconego pod drzwiami dziecka. Więc następnego dnia z samego rana, zanim reszta rodziny się obudziła, mój ojciec zaniósł dziecko pod drzwi po przeciwnej stronie ulicy.

– To wbrew prawu – oznajmia Lev. – Jeżeli znalazłeś podrzucone dziecko, to musisz je zatrzymać.

– Tak, ale moi rodzice założyli, że nikt się o tym nie dowie. Kazali nam przysiąc, że nikomu o tym nie powiemy i oczekiwaliśmy wiadomości z domu po przeciwnej stronie ulicy o ich niespodziewanym gościu... ale te nigdy nie nadeszły. Sąsiedzi nigdy nie wspominali o bocianich odwiedzinach, a my nie mogliśmy ich o to zapytać, inaczej od razu by się zorientowali, że to my podrzuciliśmy im dzieciaka.

Podczas gdy Connor mówi, kabina, choć i tak niewielka, wydaje się wokół niego kurczyć. Wie, że Risa i Lev są tuż obok, ale nie potrafi zwalczyć w sobie uczucia całkowitej samotności.

– Życie toczyło się dalej, tak jak gdyby to się nigdy nie wydarzyło. Przez jakiś czas było spokojnie, po czym dwa tygodnie później, otwieram drzwi

i widzę na tej głupiej wycieraczce kolejne dziecko w koszyku... i pamiętam... i pamiętam, że o mało nie wybuchłem śmiechem. Możecie w to uwierzyć? Myślałem, że to zabawne i zawołałem matkę: Mamo, ktoś znowu nasłał na nas bociana – tak jak ten chłopiec dzisiaj rano. Moja mama, sfrustrowana, zabrała dziecko do środka... I wtedy właśnie zdaje sobie sprawę...

– Och nie! – wyrywa się Risie z ust, która domyśla się wszystkiego, zanim Connor zdąży dokończyć:

– To było to samo dziecko! – Connor próbuje sobie przypomnieć twarz dziecka, ale nie potrafi. Jedyne co widzi oczyma duszy, to twarz niemowlęcia, które Risa teraz tuli. – Okazuje się, że przez całe dwa tygodnie dziecko było podrzucane pod wszystkie drzwi w okolicy – każdego ranka zostawiane na kolejnej wycieraczce... Tylko tym razem, nie wyglądało zbyt dobrze.

Drzwi znów skrzypią i Connor milknie. Słysząc jakieś kroki. Dwie dziewczyny. Rozmawiają przez chwilę o chłopakach i imprezach bez rodziców. Nie korzystają nawet z toalety. Słysząc jak kroki oddalają się, następnie skrzypienie drzwi i znowu są sami.

– Więc co się stało z dzieckiem? – pyta Risa.

– Zanim ponownie wylądowało pod naszymi drzwiami, zdążyło już zachorować. Strasznie kaszlało, a jego skóra i oczy przybrały żółty odcień.

– Żółtaczka – wypowiada łagodnie Risa. – Wiele noworodków znalazło się w StaDo w tym stanie.

– Moi rodzice zawieźli je do szpitala, ale tam nie mogli już nic poradzić. Byłem tam, kiedy umarło. *Widziałem*, jak umiera. – Connor zamyka oczy i zaciska zęby, aby powstrzymać łzy. Wie, że Risa i Lev nie mogą go zobaczyć, ale i tak nie chce ich uronić. – Pamiętam, że myślałem wtedy, że skoro dziecko ma być niekochane, to dlaczego Bóg sprowadza je na ten świat?

Zastanawia się, czy Lev będzie miał coś do powiedzenia na ten temat – w końcu, jeżeli chodzi o Boga, to Lev twierdził, że zna wszystkie odpowiedzi. Jednak jedyne, co mówi Lev, to:

– Nie wiedziałem, że wierzyłeś w Boga.

Connor odczeka chwilę aby uspokoić emocje, po czym kontynuuje:

– Tak czy inaczej, skoro dziecko w świetle prawa było nasze, zapłaciliśmy za pogrzeb. Nawet nie miało imienia, a moi rodzice nie byli w stanie mu żadnego nadać. Było po prostu „Dzieckiem Lassiterów” i chociaż nikt go nie chciał, to na pogrzeb przysłała cała okolica. Ludzie opłakiwali je tak, jak

gdyby to ich dziecko umarło... I wtedy właśnie zdałem sobie sprawę, że ci, którzy płakali byli tymi, którzy podrzucali je z jednego domu pod drugi. Byli tymi, tak jak moi rodzice, którzy przyczynili się do jego śmierci.

W łazience następuje cisza. Słysząc dźwięk wody wyciekającej z nieszczelnej spłuczki toalety. Z sąsiedniej łazienki chłopców dochodzi dźwięk splukiwanej wody, który rozbrzmiewa wokół nich pustym echem.

– Ludzie nie powinni oddawać dzieci, które zostały zostawione pod ich drzwiami – odzywa się w końcu Lev.

– Ludzie nie powinni podrzucać swoich dzieci innym – odpowiada Risa.

– Ludzie nie powinni robić wielu rzeczy – kwituje Connor. Wie, że oboje mają rację, ale to i tak bez znaczenia. W idealnym świecie wszystkie matki chciałyby własnych dzieci, a obcy otwieraliby swoje drzwi szeroko przed tymi niekochanymi. W idealnym świecie wszystko byłoby albo czarne albo białe, dobre albo złe i wszyscy potrafiliby to rozróżnić. Jednak ten świat nie jest idealny. Problemem są ludzie, którzy myślą, że jest.

– W każdym razie, chciałem żebyście wiedzieli.

Za kilka chwil rozlegnie się dźwięk dzwonka i na korytarzu zapanuje zgiełk. Drzwi do łazienki otwierają się ze skrzypnięciem. Jakies dziewczyny śmieją się, rozmawiają o wszystkim i o niczym.

– *Następnym razem załóż sukienkę.*

– *Mogę pożyczyć twoją książkę do historii?*

– *Nieemożliwe, aby ktokolwiek zdał ten test.*

Niekończące się piski dobiegające spod drzwi oraz ciągłe szarpanie za zamknięte drzwi do kabiny Connora. Nikt nie jest wystarczająco wysoki, aby zajrzeć od góry, nikt nie ma potrzeby, aby spojrzeć od dołu. Rozlega się dźwięk ostatniego dzwonka; ostania dziewczyna wybiega pośpiesznie na zajęcia. Udało im się dotrzeć do drugiej lekcji. Jeżeli im się poszczęści, to może w szkole będzie długa przerwa. Może wtedy uda im się wymknąć. W kabinie Risy, budzące się niemowlę zaczyna wydawać dźwięki. Nie płaczu, lecz czegoś w rodzaju mlaskania. Bliskiego pożądlivych łez.

– Nie powinniśmy zmienić kabin? – pyta Risa. – Powracające tu osoby mogą nabrać podejrzeń, jeżeli zobaczą moje stopy w tej samej kabinie.

– Dobry pomysł. – Nasłuchując uważnie i upewniając się, że do jego uszu nie dochodzą żadne odgłosy kroków na korytarzu, Connor otwiera drzwi kabiny i zamienia się z Risą miejscami. Drzwi do kabiny Leva są również

otwarte, ale ten nie wychodzi. Connor otwiera drzwi na oścież. Nie ma go tam.

– Lev? – Spogląda na Risę, która kręci jedynie głową. Sprawdzają każdą kabinę, następnie ponownie sprawdzają tę, w której ukrywał się Lev, tak jakby mógł się w niej ponownie pojawić – ale tak się nie dzieje. Lev zniknął. A dziecko zaczyna zawodzić na cały głos.



15. LEV

Lev jest przekonany, że serce eksploduje mu w piersi.

Eksploduje, a on umrze tu i teraz na szkolnym korytarzu. Wymknienie się z łazienki, podczas gdy dzwonek rozbrzmiewał, o mało nie wykończyło go nerwowo. Otworzył drzwi w kabinie, położył dłoń na klamce i przez dziesięć minut oczekiwał na elektroniczny brzęk dzwonka, aby zagłuszyć odgłos otwieranych drzwi. Następnie musiał przedostać się do wejścia tak, aby pozostali nie usłyszeli, jak jego nowiutkie tenisówki piszczą po podłodze. (Równie dobrze mogli nazwać je piszczałkami). Nie mógł otworzyć skrzypiących drzwi i samemu tak po prostu wyjść. Za bardzo zwróciłby tym swoją uwagę. Czekał więc, aż jakaś dziewczyna udająca się do łazienki zrobi to za niego. Ponieważ dzwonek rozbrzmiał dosłownie przed chwilą, czekał zaledwie kilka sekund. Otworzyła drzwi na oścież a on przeszedł obok niej, mając nadzieję, że nie powie niczego, co mogłoby go zdradzić. Jeżeli zrobiłaby jakąkolwiek uwagę na temat chłopaka w damskiej łazience, to Connor i Risa połapaliby się we wszystkim.

– Następnym razem załóż sukienkę – powiedziała do niego dziewczyna, kiedy pośpiesznie wychodził, a jej koleżanka wybuchnęła śmiechem. Czy to wystarczyło, aby Connor i Risa zorientowali się o jego ucieczce? Nie odwracał się, by to sprawdzić, po prostu cały czas napierał przed siebie.

Teraz zabłądził pośród korytarzy olbrzymiej szkoły, a jego serce wygraża, że lada moment zdetonuje bombę emocji. Otacza go szalona banda dzieciaków śpieszących się na kolejne zajęcia, potrącając go i dezorientując.

Większość tutejszych uczniów jest większa od niego. Budzą respekt i strach. Tak właśnie Lev zawsze wyobrażał sobie szkołę średnią – jako niebezpieczne miejsce pełne zagadkowych i agresywnych dzieciaków. Nigdy się tym nie przejmował, ponieważ od zawsze wiedział, że nie będzie musiał tam iść. Prawdę mówiąc, jedyne, o co musiał się martwić, to ukończenie połowy ósmej klasy.

– Przepraszam, możesz mi powiedzieć gdzie znajduje się sekretariat? – pyta jednego z wolniej przemierzających się uczniów.

Chłopak patrzy na niego, zupełnie tak, jak gdyby Lev pochodził z Marsa.

– Jak możesz tego nie wiedzieć? – burczy i odchodzi, kręcąc głową. Kolejny, bardziej uprzejmy chłopak, wskazuje mu właściwy kierunek.

Lev wie, że trzeba wszystko naprawić. A to jest najlepsze do tego miejsce: szkoła. Jeżeli naprawdę istnieją jakiegokolwiek tajemne plany mające doprowadzić do zabicia Connora i Risy, to nie mogą one zostać zrealizowane tutaj, w miejscu gdzie wokół przebywa tak wiele dzieci i jeżeli zrobi wszystko jak należy, to do niczego w ogóle nie dojdzie. Jeżeli zrobi wszystko jak należy, cała ich trójka będzie bezpieczna w drodze do ośrodka, tak jak być powinno. Tak jak to zostało *zadecydowane*. Myśl ta wciąż budzi w nim lęk, ale niewiedza o tym, co przyniesie następna godzina – to przeraża go o wiele bardziej. Oderwanie go od jego życiowego celu było najbardziej wytrącającą go z równowagi rzeczą, jaka kiedykolwiek mu się przytrafiła, jednak teraz rozumie już, dlaczego Bóg do tego dopuścił. To nauka. Dzięki niej Lev ma zrozumieć, co się dzieje z dziećmi, które unikają swojego przeznaczenia: są zagubione w każdy możliwy sposób.

Wchodzi do głównego sekretariatu szkoły i staje przy kontuarze, czekając aż ktoś go zauważy, jednak sekretarka jest zbyt zajęta przerzucaniem dokumentów.

– Przepraszam...

W końcu sekretarka podnosi wzrok znad papierów.

– Mogę ci jakoś pomóc, kochaniutki?

Lev odchrząkuje.

– Nazywam się Levi Calder i zostałem uprowadzony przez dwójkę zbiegłych Podzielonych.

Kobieta, która naprawdę nie zwracała wcześniej na niego uwagi, nagle skupia całkowicie swoją uwagę na nim.

– Co powiedziałaś?

– Zostałem uprowadzony. Ukrywaliśmy się w łazience, ale udało mi się stamtąd wydostać. Oni jednak ciągle tam są. Mają ze sobą też niemowlę.

Kobieta podnosi się i krzyczy trzęsącym się głosem, zupełnie jak gdyby ujrzała ducha. Krzyczy, wołając dyrektora a dyrektor krzyczy, wołając strażnika.

Minutę później, Lev siedzi w gabinecie pielęgniarskim, w towarzystwie higienistki, która opiekuje się nim zupełnie jak gdyby miał gorączkę.

– Nic się nie martw – uspokaja go. – Cokolwiek ci się przydarzyło, masz to już za sobą.

Będąc w gabinecie, Lev nie ma możliwości sprawdzenia, czy złapano już Connora i Riseę. Ma nadzieję, że jeżeli tak się stało, to nie przyprowadzą ich tutaj. Myśl o spojrzeniu im w twarz napawa go wstydem. Słuszne postępowanie nie powinno nikogo napawać wstydem.

– Wezwano policję i wszystkim się zajmą – wyjaśnia mu pielęgniarka. – Niedługo wrócisz do domu.

– Nie wracam do domu – odpowiada jej. Pielęgniarka przygląda mu się osobiście, jednak Lev postanawia nie wgłębiać się w temat. – Nieważne. Mogę zadzwonić do rodziców?

Pielęgniarka patrzy na niego z niedowierzaniem.

– To znaczy, że nikt tego jeszcze nie zrobił? – Spogląda na szkolny telefon w rogu, następnie, zamiast po niego sięgnąć, szpera w kieszeni w poszukiwaniu komórki. – Zadzwoń do nich i powiedz im, że nic ci nie jest – rozmawiaj tak długo, jak chcesz.

Przygląda mu się przez chwilę, następnie postanawia uszanować jego prywatność i wychodzi z pokoju.

– Będę obok, w przypadku gdybyś mnie potrzebował.

Lev zaczyna wybierać numer, ale się powstrzymuje. To nie z rodzicami chce porozmawiać. Kasuje wprowadzone cyfry i wybiera nowe, następnie wahając się przez chwilę, naciska przycisk połączenia.

Odebrał po drugim dzwonku.

– Halo?

– Pastor Dan?

Cisza w słuchawce trwała zaledwie ułamek sekundy, po czym pastor Dan rozpoznał jego głos.

– Dobry Boże, Lev? Lev, czy to ty? Gdzie jesteś?

– Nie wiem. W jakiejś szkole. Niech pastor mnie posłucha – proszę powiedzieć moim rodzicom, żeby odwołali policję! Nie chcę, żeby ich zabili.

– Lev, powoli. Nic ci nie jest?

– Uprawdzili mnie – ale nie wyrządzili mi żadnej krzywdy, więc nie chcę, żeby coś im się stało. Proszę powiedzieć mojemu ojcu, żeby odwołał policję!

– Nie wiem, o czym mówisz. Nie zawiadamialiśmy o niczym policji.

Lev nie spodziewał się takiej odpowiedzi.

– Przepraszam, że co?

– Twój rodzice chcieli to zrobić. Chcieli zrobić z tego wielką aferę – ale przekonałem ich, żeby tego nie robili. Przekonałem ich, że twoje uprowadzenie, z jakiegoś powodu, było wolą Boga.

Lev zaczyna kręcić głową, tak jak gdyby mógł tym samym odpędzić tę myśl. – Ale... dlaczego pastor to zrobił?

Teraz w głosie pastora Dana zaczyna rozbrzmiewać desperacja.

– Lev, wysłuchaj mnie. Wysłuchaj mnie uważnie. *Nikt inny nie wie, że zniknąłeś.* Wszyscy są przekonani, że twoja dziesięcina została złożona a ludzie nie zadają pytań o dzieci, które zostały w ten sposób ofiarowane. Rozumiesz, o czym mówię?

– Ale... ja chcę dopełnić swoją dziesięcinę. Ja muszę. Musi pa stor zadzwonić do moich rodziców i im to powiedzieć. Musi mnie pastor doprowadzić do ośrodka donacyjnego.

Teraz pastora ogarnia złość. – *Nie każ mi tego robić! Proszę, nie każ mi tego robić!* – Zupełnie jakby toczył bitwę, ale na pewno nie toczył jej z Levem. Zachowanie pastora Dana tak bardzo obiega od tego, które zna, że aż nie może uwierzyć, że to ta sama osoba, którą znał przez wszystkie te lata. Zupełnie jak gdyby jakiś oszust ukradł głos pastora, ale nie żadne z jego przekonania.

– Nie rozumiesz Lev? Możesz siebie ocalić. Możesz teraz być kim tylko chcesz.

I nagle cała prawda uderza go z ogromną siłą. Pastor Dan nie kazał mu tamtego dnia uciekać przed porywaczem – kazał mu uciekać przed *nim samym*. Przed jego rodzicami. Przed złożeniem ofiary. Po wszystkich tych kazaniach i pouczeniach, po całym tym wieloletnim gadaniu o jego świętym

obowiązku, wszystko to okazuje się być jedną wielką lipą. Lev urodził się, aby zostać ofiarowanym w ramach dziesięciny – a człowiek, który przekonywał go, że to zaszczytny i pełen chwały los, sam w to nie wierzy.

– Lev? Lev jesteś tam?

Jest, ale nie chce być. Nie chce rozmawiać z człowiekiem, który zaprowadził go nad krawędź, tylko po to aby zawrócić w ostatniej chwili. Teraz emocje Leva wirują niczym koło fortuny. W jednej chwili jest wściekły, w następnej odczuwa ulgę. Raz ogarnia go przerażenie tak niewyobrażalne, że aż czuje jego zapach, niczym kwas wypalający jego nozdrza, a po chwili ogarnia go uczucie radości, takie jakie wtedy, kiedy brał zamach i słyszał trzask kija uderzającego o piłkę. Teraz jest tą piłką, która szybuje wysoko nad ziemią. Jego życie przypominało boisko do baseballa, czyż nie? Wszystkie kreśli, linie i reguły gry nigdy się nie zmieniały. Ale teraz został wybity ponad ogrodzenie na nieznanym mu terenie.

– Lev? – mówi pastor Dan. – Przerażasz mnie. Odezwij się.

Lev bierze powolny, głęboki oddech, po czym odpowiada.

– Do widzenia, pastorze.

Następnie przerywa połączenie bez słowa.

Lev widzi, że wozy policyjne podjeżdżają pod szkołę. Wkrótce złapią Connora i Rise, o ile już tego nie zrobili. Higienistka nie stoi już przy drzwiach – beszta dyrektora za to, jak zajął się całą sytuacją.

– Dlaczego nie zadzwonił pan do rodziców tego biednego chłopca? Dlaczego nie kazał pan zamknąć szkoły?

Lev wie, co musi zrobić. To coś niewłaściwego. Coś złego. Ale nagle przestał się tym przejmować. Wymyka się z pokoju za plecami pielęgniarki i dyrektora i wychodzi na korytarz. Tylko kilka sekund zajmuje mu znalezienie tego, czego szuka. Wyciąga dłoń w kierunku małej skrzynki na ścianie.

Zagubiłem się w każdy możliwy sposób.

Następnie, czując zimno stali na koniuszkach palców, uruchamia alarm pożarowy.



16. NAUCZYCIELKA

Alarm pożarowy rozbrzmiewa w czasie jej przerwy i po cichu przeklina Alos za fatalne wyczucie czasu. Być może, myśli, mogłaby po prostu zostać w swojej pustej klasie do czasu, aż fałszywy alarm – bo to zawsze jest fałszywy alarm – zostanie odwołany. Jednak wtedy, jaki dałaby przykład innym, gdyby uczniowie przechodzący obok klasy zauważyli, że tu została.

Wychodząc z sali, korytarze wypełnione są już rzeszą uczniów. Nauczyciele robią co mogą, aby ich jakoś zorganizować, jednak to jest ogólniak: czasy zorganizowanych w równe rzędkie dzieciaczków podczas ćwiczeń przeciwpożarowych w szkole podstawowej mają już dawno za sobą i zastąpiły je bezczelne, kipiące hormonami hordy poruszających się zygzakami, przerosniętych małolatów.

Wtedy zauważa coś dziwnego. Coś niepokojącego.

Dwóch policjantów stoi przy sekretariacie – wydają się być naprawdę przerażeni widokiem fali uczniów zalewającej korytarz z każdej ze stron, przeciskających się obok nich a następnie wylewających przez główne wejście do szkoły. Ale co tutaj robi policja? Dlaczego nie ma straży pożarnej? I jak mogli dojechać tu tak szybko? Nie mogli – musieli zostać wezwani przed włączeniem alarmu. Ale dlaczego?

Ostatnim razem, kiedy w szkole była policja, wezwano ich z obawy przed atakiem klakierów. Całą szkołę ewakuowano, a o powodzie poinformowano dopiero po całym zajściu. Okazuje się, że nie było żadnych klakierów – szkole nie groził żaden wybuch. Cała sprawa okazała się wygłupem jakiegoś

dzieciaka. Pomimo to, groźby ataku klakierów zawsze są brane na poważnie, ponieważ nigdy nie wiadomo, kiedy zagrożenie może okazać się prawdziwe.

– Proszę się nie przepychać! – Mówi do ucznia, który potrąca ją łokciem.
– Wszyscy zdążymy opuścić szkołę. – Całe szczęście, że nie zabrała ze sobą swojej kawy.

– Przepraszam panią, panno Steinberg.

Mijając jedną z pracowni nauk ścisłych zauważa, że drzwi są uchylone. Zagląda do środka, aby się upewnić, że nie ma tam żadnych spóźniających uczniów, ani takich, którzy próbują wymigać się od masowego exodusu. Kamienne blaty stołów są puste, a krzesła stoją na swoich miejscach. Nikt nie był w czasie tej przerwy w pracowni. Wyciąga dłoń, by zamknąć drzwi, bardziej z nawyku niż z jakiegoś innego powodu, gdy do jej uszu dobiega dźwięk, który zupełnie nie pasuje do tego pomieszczenia.

Płacz dziecka.

Z początku sądzi, że dźwięk dobiega z pokoju przeznaczonego dla dzieci uczących się matek, ale ten znajduje się w głębi korytarza. Płacz z całą pewnością pochodzi z pracowni. Słyszy go ponownie, tylko tym razem brzmi jakby był dziwnie przytłumiony i bardziej rozzłoszczony. Zna ten dźwięk. Ktoś próbuje zakryć usta dziecku, aby przestało płakać. Nastoletnie matki zawsze tak robią, kiedy ich dzieci przebywają w miejscu, w którym znaleźć się nie powinny. Nigdy nie zdają sobie sprawy z tego, że przez to dziecko będzie płakało jeszcze głośniej.

– Koniec zabawy – woła. – No dalej, ty i twoje dziecko musicie opuścić szkołę wraz z pozostałymi.

Ale nie wychodzą. Znowu ten przytłumiony płacz dziecka, a po nim intensywne szepty, których nie potrafi zrozumieć. Poirytowana, wpada do pracowni i kroczy środkowym przejściem, rozglądając się na boki aż w końcu znajduje ich, przyczajonych za jednym ze szkolnych stołów. To nie jest jedynie dziewczyna z dzieckiem; jest tam również chłopak. W ich spojrzeniu kryje się desperacja. Chłopak wygląda jak gdyby chciał rzucić się do ucieczki, jednak dziewczyna łapie go mocno swoją wolną ręką. Przytrzymuje go w miejscu. Dziecko płacze żałośnie.

Nauczycielka może nie znać wszystkich uczniów w szkole, ale jest jednak pewna, że zna każdą twarz – a z całą pewnością zna wszystkie uczące się matki. Ta nie jest jedną z nich, a chłopak z nią jest jej również kompletnie obcy.

Dziewczyna spogląda na nią błagalnym wzrokiem. Zbyt przerażona, by się odezwać, po prostu kręci głową. Odzywa się chłopak.

– Jeżeli nas pani wyda, umrzemy.

Usłyszawszy to, dziewczyna przytula dziecko jeszcze bliżej siebie. Płacz przycichł, ale nie ustał całkowicie. Najwyraźniej to ich szuka policja, z powodów, których można się domyślać.

– Proszę... – lamentuje chłopak.

Proszę, co? – zastanawia się nauczycielka. – *Proszę, złam prawo? Proszę, wystaw siebie i szkołę na ryzyko?* Ale nie, to wcale nie o to chodzi. Tak naprawdę, to chłopak mówi: *Proszę, bądź człowiekiem.* Kiedy życie pełne jest zasad i surowej dyscypliny, łatwo jest zapomnieć, że tym właśnie są. Ona wie – ona *widzi* – jak często współczucie przegrywa ze względami praktycznymi.

Następnie słyszy głos za swoimi plecami:

– Hannah?

Odwraca się i zauważa kolejnego nauczyciela zagląającego do pracowni. Jest nieco potargany, z uwagi na walkę, jaką stoczył z rozszalałą falą dzieciaków, która w dalszym ciągu wylewa się ze szkoły. Oczywiście słyszy płacz dziecka – jak mogłoby być inaczej?

– Wszystko w porządku? – pyta.

– Tak – odpowiada Hannah, z o wiele większym spokojem w głosie, niż faktycznie odczuwa. – Zajmę się tym.

Drugi nauczyciel przytakuje i wychodzi, prawdopodobnie zadowolony z faktu, że nie musi przejmować się i wyjaśniać sytuacji z płaczącym dzieckiem.

Jednak Hannah wie, jaka jest sytuacja – a przynajmniej podejrzewa. Jedynie dzieciaki, które mają zostać podzielone, mają taką desperację w oczach.

Wyciąga dłoń do przerażonych nastolatków.

– Chodźcie ze mną. – Wahają się, więc dodaje. – Jeżeli to was szukają, to was znajdą, jak tylko budynek opustoszeje. Nie uda się wam tu ukryć. Jeżeli chcecie się stąd wydostać, musicie opuścić szkołę z pozostałymi. Chodźcie, pomogę wam.

W końcu podnoszą się spod stołu i nauczycielka oddycha z ulgą. Widzi, że wciąż jej nie ufają – ale dlaczego w ogóle powinni? Podzieleni egzystują w nieustannym strachu przed zdradą. Cóż, nie muszą jej teraz ufać, muszą

po prostu z nią iść. W tym przypadku, potrzeba jest matką podporządkowania się i to musi wystarczyć.

– Nie podawajcie mi swoich imion – uczula nich. – Nic mi nie mówcie. Jeżeli będą mnie później przesłuchiwać, to nie skłamię mówiąc, że nic nie wiem.

Na korytarzu tłumy uczniów nadal przepychają się w stronę najbliższego wyjścia. Wychodzi z sali, upewniając się, że nastoletnia para oraz dziecko są tuż za nią. Pomoże im. Bez względu na to kim są, zrobi co w jej mocy aby dotarli w bezpieczne miejsce. Jaki dawałaby przykład, gdyby tego nie zrobiła?



17. RISA

Policja w głębi korytarza! Policja przy wyjściach! Risa wie, że to sprawa Leva. On nie tylko uciekł, on ich wydał. Ta belferka mówi, że im pomoże, ale co, jeśli nie? Co, jeśli prowadzi ich wprost w ręce policji?

Nie myśl teraz o tym! Nie spuszczaaj dziecka z oczu.

Policjanci rozpoznają panikę, jak tylko ją zobaczą. Ale jeżeli oczy będą zwrócone na dziecko, mogą odczytać jej panikę, jako troskę o płaczące dziecko.

– Jeżeli jeszcze kiedykolwiek spotkam Leva – odgraża się Connor – to zerwę go na kawałki.

– Cicho – upomina go nauczycielka, prowadząc ich przez tłum w stronę wyjścia.

Risa nie może mieć do Connora pretensji o jego gniew. Może mieć je wyłącznie do siebie, za to że nie poznała się na Levie. Jak mogła być tak naiwna, aby sądzić, że on naprawdę był po ich stronie?

– Powinniśmy byli pozwolić, aby podzielili tę małą mendę – syczy Connor.

– Przymknij się – odpowiada Risa. – Po prostu się stąd wydostańmy.

Zbliżając się do wyjścia, zauważają kolejnego policjanta, stojącego tuż za drzwiami.

– Oddaj mi dziecko – nakazuje nauczycielka i Risa robi to, co jej nakazano. Nie uświadamia sobie jeszcze, dlaczego kazała jej oddać dziecko, ale to nieistotne. To wspaniałe, że jest ktoś, kto ich prowadzi, kto wydaje się

wiedzieć, co mają robić. Być może ta kobieta nie jest jednak ich wrogiem. Być może ona naprawdę pomoże im się stąd wydostać.

– Idę przodem – oznajmia nauczycielka. – Wy dwoje rozdzielcie się i niech każde wyjdzie na zewnątrz z resztą uczniów.

Nie mając dziecka, na którym mogłaby skupić wzrok, Risa wie, że nie może teraz ukryć paniki w swoich oczach, jednak uświadamia sobie nagle, że to może nie mieć już znaczenia – i teraz już rozumie, dlaczego nauczycielka wzięła od niej dziecko. Tak, Lev ich wydał. Jednak jeżeli im się poszczęści, to miejscowa policja może dysponować jedynie ich nieaktualnym opisem: chłopak z niechlujnymi włosami i ciemnowłosa dziewczyna z dzieckiem. Bez dziecka, opis ten pasuje do połowy uczniów w szkole.

Nauczycielka – Hannah – idąc kilka metrów przed nimi, przechodzi obok policjanta, który rzuca jej jedynie krótkie spojrzenie. Następnie jednak spogląda na Risę i skupia na niej wzrok. Risa wie, że właśnie się zdradziła. Czy powinna się odwrócić i uciec z powrotem do szkoły? Gdzie jest teraz Connor? Czy jest za nią czy przed nią? Nie ma zielonego pojęcia. Została całkowicie sama.

I wtedy pojawia się wybawienie w najmniej spodziewanej formie.

– Hejka Didi!

To Alexis, gadatliwa dziewczyna ze szkolnego autobusu! Pojawia się tuż obok niej wraz z Chazem, który wgryza się w jej ramię.

– Ciągle ktoś włącza te alarmy – mówi. – Przynajmniej urwałam się z matmy.

Nagle wzrok policjanta skupia się na Alexis.

– Proszę się zatrzymać!

Alexis wygląda na zszokowaną.

– Kto, ja?

– Proszę pozwolić na bok. Chcielibyśmy zadać pani kilka pytań.

Risa przechodzi dalej, wstrzymując oddech ze strachu, że gdyby odetchnęła z ulgą, policjant mógłby ponownie zwrócić na nią uwagę. Risa nie pasuje już do profilu poszukiwanej osoby... ale Alexis tak! Nie patrzy za siebie; idzie dalej schodkami w stronę ulicy.

Po krótkiej chwili dogania ją Connor.

– Widziałem, co tam się stało. Twoja kumpela być może właśnie ocaliła ci życie.

– Będę jej musiała później podziękować.

Przed nimi Hannah sięga wolną ręką do kieszeni i wyciąga kluczyki do samochodu, następnie skręca w lewo, w stronę parkingu dla nauczycieli. *Wszystko będzie dobrze* – myśli Risa. – *Ona nas stąd wyciągnie*. Risa zaczyna wierzyć w cuda i anioły... I wtedy słyszy znajomy głos za swoimi plecami.

– Zatrzymaj się! Stój!

Odwraca się i jej oczom ukazuje się Lev – zauważył ich – i chociaż jest daleko, to szybko przemieszcza się przez tłum w ich kierunku.

– Risa! Connor! Czekaście!

Nie zadowolił się jedynie tym, ażeby ich wydać i teraz prowadzi gliniarzy wprost do nich – i nie on jeden. Alexis wciąż stoi z policjantem przy bocznym wejściu do szkoły. Z miejsca, w którym się znajduje bez problemu dostrzega Risę i wskazując ją policjantowi palcem. Policjant natychmiast wyciąga nadajnik, by zawiadomić pozostałych funkcjonariuszy.

– Connor, mamy kłopoty.

– Wiem – też ich widzę.

– Czekaście! – krzyczy Lev, wciąż będąc daleko od nich, ale zbliżając się z każdą chwilą.

Risa spogląda na Hannah, ta jednak zniknęła w tłumie uczniów zebranych na parkingu.

Connor spogląda na Risę, strach przytłacza wściekłość w jego oczach.

– W nogi.

Tym razem Risa się nie waha. Ucieka razem z nim, biegnąc w stronę ulicy, w chwili gdy wóz strażacki przybywa na miejsce z ryczącą syreną.

Wóz staje im na drodze. Nie mają gdzie uciec. Alarm pożarowy został szczęśliwie włączony w idealnym momencie i dzięki temu udało im się dotrzeć tak daleko, jednak zamieszanie wywołane przez alarm już słabnie. Dzieciaki zaczęły się kłębić w tłum zamiast się przemieszczać, a policjanci z każdej ze stron skierowali się na ich dwójkę.

To, czego im potrzeba, to nowe zamieszanie. Coś gorszego nawet od alarmu pożarowego.

Odpowiedź nadchodzi, zanim Risie udaje się uformować kompletną myśl w głowie. Wypowiada słowa, nie wiedząc nawet, co zamierza powiedzieć.

– Zaczynj klaskać!

– Co?

– Zaczynj klaskać. Zaufaj mi!

Pojedyncze skinienie głową od Connora upewnia ją, że zrozumiał i zaczyna uderzać dłońmi, z początku powoli, następnie coraz to szybciej. Ona czyni to samo, oboje biją brawo zupełnie, jakby uczestniczyli w koncercie, wiwatując na cześć ich ulubionej kapeli.

A obok nich, jakiś uczeń upuszcza plecak i wpatruje się w nich z całkowitym przerażeniem w oczach.

– Klakierzy! – wykrzykuje.

W następnej chwili słowo zaczyna się nieść.

„KlakierzyKlakierzyKlakierzy...”

Rozbrzmiewa echem pomiędzy dzieciakami dookoła nich. W następnej chwili osiąga masę krytyczną i cały tłum ogarnia całkowita panika.

– Klakierzy! – krzyczą wszyscy i tłum zaczyna pędzić w popłochu. Uczniowie zrywają się do ucieczki, ale żadne nie wie dokąd uciec. Wiedzą jedynie, że muszą wydostać się z terenu szkoły tak szybko jak to tylko jest możliwe.

Risa i Connor nadal klaszczą, ich dłonie pokryte czerwienią od mocy ich burzy oklasków. Z powodu pędzącego w ślepym przerażeniu tłumy, policjanci nie mogą się do nich zbliżyć. Lev wyparował, stratowany przez spanikowany tłum nastolatków, a całą sytuację pogarsza jeszcze syrena alarmowa, która wyje tak, jak gdyby obwieszczała koniec świata.

Przestają klaskać i dołączają do dzikiego pędu, stając się częścią uciekającego tłumy.

Wtedy ktoś do nich podchodzi. To Hannah. Jej plan wywiezienia ich z kampusu samochodem spalił na panewce, więc pośpieszenie podaje dziecko Risie.

– Na Fleming Street jest sklep z antykami – wyjaśnia im. – Pytajcie o Sonię. Ona może wam pomóc.

– Nie jesteśmy klakierami. – To wszystko, co przychodzi Risie do głowy.

– Wiem o tym. Powodzenia.

Nie ma czasu, aby jej dziękować. Za chwilę szalony tłum ich rozdzieli, porywając Hannah w innym kierunku. Risa potyka się i uświadamia sobie, że znajdują na środku jezdni. Cały ruch uliczny się zatrzymał i setki dzieciaków pędzą jak szalone, uciekając przed terrorystami, gdzie tylko się da. Niemowlę w ramionach Risy głośno płacze, ale jego płacz jest niczym w porównaniu do wrzasków rozszalałego motłochu. Po chwili przedostają się na drugą stronę ulicy i znikają wraz z tłumem.



18. LEV

To jest prawdziwa definicja samotności: Lev Calder pod naporem tratującego go buciorami motłochu.

– Risa! Connor! Na pomoc!

Nie powinien był wykrzykiwać ich imion, ale jest zbyt późno, aby to teraz zmienić. Uciekli przed nim, kiedy ich wołał. Nie zaczekali na niego – po prostu uciekli. Nienawidzą go. Wiedzą, co zrobił. A teraz setki buciorów przetacza się po nim, jakby go w ogóle nie było. Ktoś nadepnął mu na dłoń, ktoś inny uderzył go buciorem w pierś, a jeszcze jakiś inny dzieciak zrobił sobie z niego blok startowy, aby nabrać większej prędkości.

Klakierzy. Wszyscy naokoło wrzeszczą o klakierach, tylko dlatego, że uruchomił głupi alarm.

Musi dogonić Risę i Connora. Musi im wytłumaczyć, wyjaśnić, że mu przykro – że się pomylił, wydając ich, i że uruchomił alarm, aby pomóc im uciec. Musi sprawić, żeby zrozumieli. Są teraz jego jedynymi przyjaciółmi. Byli nimi. Ale już nie są. Wszystko zepsuł.

W końcu dziki pęd ustępuje na tyle, aby Lev zdołał się podnieść. Jeansy na wysokości kolana są rozerwane. Czuje krew – musiał przygryźć sobie język. Stara się ocenić sytuację. Większość tłumu opuściła już kampus, wybiegając na ulicę i dalej, znikając pośród ulic. Pozostali jedynie maruderzy.

– Nie stój tak – woła chłopak przebiegający obok niego. – Na dachu są klakierzy!

– Nie – rzuca inny – słyszałem, że są w stołówce.

Naokoło Leva, oszołomieni policjanci kroczą pospiesznie z fałszywą determinacją, zupełnie jak gdyby wiedzieli dokładnie, w którą stronę się udać, tylko po to, aby po chwili zawrócić i z tą samą determinacją kroczyć pospiesznie w przeciwnym kierunku.

Connor i Risa go opuścili.

Uświadamia sobie, że jeżeli nie odejdzie teraz wraz z ostatnim z maruderów, to ściągnie na siebie uwagę policji.

Ucieka, czując się bardziej bezradny niż to podrzucone niemowlę. Nie wie kogo za to obwiniać; pastora Dana, że go uwolnił? Siebie, że zdradził jedy-nych przyjaciół, którzy chcieli mu pomóc? Czy też powinien winić Boga za to, że pozwolił aby zakosztował gorzkiego smaku życia? *Możesz teraz być kim tylko chcesz* – powiedział mu pastor Dan. Ale w tej chwili, Lev czuje się nikim.

To jest prawdziwa definicja samotności: Levi Jedediah Calder uświadomił sobie nagle, że już nie istnieje.



19. CONNOR

Sklep z antykami znajduje się w starszej części miasta. Drzewa górują nad ulicą, ich gałęzie wyginają się w łuk pod nienaturalnym kątem na sylwetkach przejeżdżających ciężarówek. Ulica okryta jest żółtozielonym listowiem, jednak wystarczająco wiele jesiennych uparciuchów wciąż trzyma się kurczowo gałęzi, tworząc cienisty baldachim ponad głowami przechodniów.

Dziecko jest niespokojne i Connor chce z tego powodu zwrócić Risie uwagę, jednak wie, że nie może. Gdyby nie on, to dziecko nie znalazłoby się w tej sytuacji.

Na ulicy nie ma aż tak wielu ludzi. Są to głównie uczniowie z ogólniaka włóczący się po okolicy, prawdopodobnie rozsiewający jeszcze więcej plotek na temat klakierów próbujących wysadzić się w powietrze.

– *Słyszałem, że to anarchiści.*

– *Ja słyszałem, że to wyznawcy jakiejś porypanej religii.*

– *A ja słyszałem, że robią to, co robią bez żadnego powodu.*

Strach przed klakierami jest tak skuteczny, ponieważ nikt nie wie, o co im tak naprawdę chodzi.

– To było sprytnie posunięcie – wykrztusza z siebie Connor, kiedy podchodzą do sklepu z antykami. – Mam na myśli podszywanie się pod klakierów. W życiu bym o tym nie pomyślał.

– Myślałeś wystarczająco szybko, aby uziemić wtedy tamtego hycła jego własną bronią.

Connor uśmiecha się szeroko.

– Kieruję się instynktem, ty rozumem. W sumie to tworzymy zgrany zespół.

– Tak. I bez Leva nieco mniej dysfunkcyjny.

Na wspomnienie o Levie, Connor odczuwa ukłucie wściekłości. Rozciera obolałe ramię w miejscu, gdzie ugryzł go Lev – ale to, co zrobił dzisiaj jest o wiele bardziej bolesne.

– Zapomnij o nim – mówi. – To już przeszłość. Udało nam się uciec, więc jego donosy nie mają znaczenia. Teraz zostanie podzielony, tak jak tego chciał i nie będziemy musieli się już nim przejmować. – Jednak ma przekór wypowiedzianym słowom, myśl o tym wywołuje u niego ukłucie żalu. Ryzykował swoje życie za Leva. Usiłował go ratować, ale zawiódł. Może gdyby Connor potrafił lepiej wyrażać swoje myśli, to mógłby wtedy powiedzieć coś, czym udałoby mu się go do siebie przekonać. Ale kogo on chce oszukać? Lev był dziesięciorodnym od chwili, kiedy się urodził. Nie można w ciągu dwóch dni cofnąć efektu trzynastoletniego prania czyjegoś mózgu.

Sklep z antykami jest stary. Biała farba odchodzi od drzwi wejściowych. Connor otwiera je i rozlega się dźwięk dzwonków zawieszonych wysoko na drzwiach. Przeszarżały czujnik ruchu. Wewnątrz znajduje się jeden klient: mężczyzna z kwaśną miną w tweedowym płaszczu. Spogląda na nich i na jego twarzy maluje się wyraz braku zainteresowania, a być może nawet zniechęcenia wywołanego widokiem dziecka, ponieważ czym prędzej oddala się w głąb zakamarków zagraconego sklepu, aby uciec od nich jak najdalej.

W sklepie znajdują się przedmioty pochodzące prawdopodobnie z każdego okresu historii Ameryki. Wystawa iPodów oraz inne niewielkie gadżety z czasów jego dziadka pokrywają stary, wykończony chromem stół jadalny. Na antycznym telewizorze plazmowym wyświetlany jest jakiś stary film. Film przedstawia szaloną wizję przyszłości, która nigdy nie nadeszła, z latającymi samochodami i białowłosym naukowcem.

– Mogę w czymś pomóc?

Stara kobieta, zgarbiona niczym znak zapytania, wychodzi zza kasy sklepowej. Idzie, podpierając się laską, jednak mimo to, wydaje się pewnie trzymać na nogach.

Risa buja dziecko w ramionach, aby je nieco uciszyć.

– Szukamy Sonii.

– No to ją znaleźliście. Czego chcecie?

– My... yyy... potrzebujemy pani pomocy – odpowiada Risa.

– Właśnie – wtrąca Connor – ktoś powiedział nam, żebyśmy tutaj przyszli.

Starsza kobieta przygląda im się podejrzanie.

– Czy to ma cokolwiek wspólnego z tym fiaskiem w szkole? Jesteście klakierami?

– Czy my wyglądamy na klakierów? – odparowuje Connor.

Kobieta zwęża oczy spoglądając na niego.

– Nikt nie *wygląda* na klakiera.

Connor zwęża oczy, przechwytyjąc jej spojrzenie, następnie podchodzi do ściany. Wyciąga rękę i uderza pięścią na wprost z całej siły, waląc w ścianę wystarczająco mocno, aby posiniaczyć sobie kłykcie. Niewielki obraz misy na owoce spada ze ściany. Connor łapie go, zanim ten zdąży uderzyć o ziemię i ustawia go na ladzie.

– Widzi pani? – Moja krew nie jest wybuchowa. Gdybym był klakierem, tego sklepu już by nie było.

Staruszka wpatruje się w niego i Connorowi trudno jest wytrzymać jej intensywne spojrzenie – w jej zmęczonych oczach płonie pewnego rodzaju ogień. Jednak Connor nie odwraca wzroku.

– Widzicie ten garb? – rzuca im. – Nabawiłam się go, nadstawiając karku za takich jak wy.

Connor w dalszym ciągu nie przerywa spojrzenia.

– W takim razie wychodzi na to, że trafiliśmy pod zły adres. – Zerkając na Risę, mówi. – Wynośmy się stąd.

Odwraca się by wyjść, jednak staruszka zamachuje się gwałtownie laską i uderza go boleśnie w goleń.

– Nie tak prędko. Tak się składa, że dzwoniła do mnie Hannah, tak więc spodziewałam się waszej wizyty.

Risa, wciąż bujając dziecko, głośno wypuszcza powietrze nosem.

– Mogła nam pani o tym powiedzieć, kiedy weszliśmy.

– A jaką miałabym wtedy z tego zabawę?

Mężczyzna z kwaśną miną obszedł już cały sklep i ponownie się do nich zbliżył, podnosząc przedmiot za przedmiotem, wyrazem swojej twarzy odzwierciedlając ciągle niezadowolenie ze wszystkiego, co znajduje się wewnątrz.

– Na zapleczu mam trochę ślicznych rzeczy dla niemowlaków. – Staruszka wypowiada raptem te słowa na tyle głośno, aby informacja dotarła do uszu wybrednego klienta. – Idźcie tam i zaczekajcie na mnie. – Następnie szepcze: – I na litość boską, nakarmcie to dziecko!

Na zapleczu wchodzi się przez otwór drzwiowy zasłonięty czymś, co wygląda jak stara zasłona do prysznic. Jeżeli główny pokój był zagracony, to ten jest istnym pobożowiskiem. Przedmioty, takie jak połamane ramy obrazów i zardzewiałe klatki dla ptaków, są porozrzucane po całym pokoju – wszystkie przedmioty które nie nadawały się na to, aby je wystawić na sprzedaż. Zrupieciałe rupiecie.

– I ta staruszka ma nam niby pomóc? – powątpiewa Connor. – Wygląda, jakby sama potrzebowała pomocy!

– Hannah powiedziała, że to zrobi. Wierzę jej.

– Jak mogłaś wychowywać się w domu dziecka, a mimo to nadal ufać ludziom?

Risa obrzuca go złowrogim spojrzeniem i odpowiada.

– Potrzyj ją. – Układa niemowlę w ramionach Connora. To pierwszy raz, kiedy mu je dała. Wydaje się o wiele lżejsze niż się spodziewał. Coś tak głośnego i wymagającego opieki powinno być cięższe. Płacz dziecka stał się teraz słabszy – samo jest już nim wyczerpane.

Nie są już do niego przywiązani. Mogą je z samego rana ponownie komuś podrzucić... Jednak mimo to, myśl o tym sprawia, że Connor czuje się skrępowany. Nie są mu nic winni. Trafiło do nich z powodu głupoty, a nie biologii. Connor go nie chce, jednak nie potrafi znieść myśli o tym, że miałyby trafić do kogoś, kto nie chciałby go jeszcze bardziej niż on. Jego frustracja zaczyna przeradzać się w gniew. To ten sam rodzaj gniewu, przez który zawsze wpakowywał się w domu w kłopoty; który przysłania jego trzeźwą ocenę sytuacji, sprawia że ogarnia go szal; przez który wdaje się w bójki, obrzuca wyzwiskami nauczycieli albo przejeżdża na oślep przez zatłoczone skrzyżowania na swojej deskorolce.

– Co za zwierzę w tobie siedzi? – zapytał go raz jego zirytowany ojciec, a Connor odwarknął: – Jak mnie podzielicie, to się dowiecie. – Wtedy wydawało mu się, że to było po prostu zabawne.

Risa otwiera lodówkę, która jest zagracona tak samo jak całe zaplecze. Wyciąga karton mleka, następnie znajduje miskę, do której nalewa mleko.

– To nie kot – uświadamia ją Connor. – Nie wylizę mleka z miski.

– Wiem, co robię.

Connor przygląda się, jak Risa przeszukuje zawartość szuflad w poszukiwaniu czystej łyżki. Następnie zabiera od niego dziecko. Siedząc, trzyma niemowlę w ramionach o wiele zręczniejsz niż Connor, po czym zanurza łyżkę w mleku i wlewa jej zawartość do ust niemowlęcia. Dziecko zamyka usta przed mlekiem, kaszląc i krztusząc się, ale wtedy Risa wkłada mu do ust swój palec wskazujący. Dziecko zaczyna go ssać i zadowolone zamyka swe oczka. Po krótkiej chwili Risa zgina palec na tyle, aby utworzyć niewielką przestrzeń pozwalającą jej wlać kolejną porcję mleka, po czym ponownie pozwala dziecku ssać jej palec.

– No no! Jestem pod wrażeniem – stwierdza Connor.

– Od czasu do czasu opiekowałam się w StaDo niemowlętami. Nauczyłam się wtedy paru sztuczek. Miejmy tylko nadzieję, że nie ma nietolerancji laktozy.

Gdy dziecko się uspokoiło, poczuli, jak gdyby ktoś zdjął nagle ciężar całego dnia z ich barków. Powieki Connora stają się coraz cięższe, ale powstrzymuje się przed zaśnięciem. Nie są jeszcze bezpieczni. Możliwe, że nigdy nie będą i dlatego musi mieć się stale na baczności. Pomimo to, jego umysł zaczyna zapadać w sen. Zastanawia się, czy jego rodzice nadal go szukają, czy też jest to już wyłącznie sprawa policji. Myśli o Arianie. Co by się stało, gdyby jednak z nim poszła, tak jak obiecała? Zostaliby złapani już pierwszej nocy – to właśnie by się stało. Ariana nie jest tak bystra jak Risa. Nie jest również tak zaradna jak ona. Myśli o Arianie wywołują falę smutku i tęsknoty, jednak nie jest to uczucie aż tak mocne, jak Connor się spodziewał. Jak szybko o nim zapomni? Jak szybko wszyscy o nim zapomną? Niedługo. Tak właśnie dzieje się z Podzielonymi. Connor znał inne osoby w szkole, które zaginęły w ciągu ostatnich kilku lat. Pewnego dnia po prostu się nie pojawili. Nauczyciele mówili, że „odeszli” albo po prostu „nie zdali”. To były jednak tylko zaszyfrowane słowa. Wszyscy wiedzieli, co się za nimi kryło. Ci, którzy ich znali, opowiadali o tym, jakie to potworne, żaląc się przez dzień lub dwa, po czym sprawa przycichała. Podzieleni nie odchodzili z hukami – nie odchodzili nawet z płaczem. Odchodzili w ciszy, która towarzyszy płomieniu świecy gaszonej palcami.

Klient w końcu opuszcza sklep i Sonia dołącza do nich na zapleczu.

– Więc jesteście Podzielonymi i oczekujecie ode mnie pomocy, czy tak?

– Wystarczy trochę jedzenia – odpowiada Connor – i miejsca, w którym moglibyśmy przez kilka godzin odpocząć. Potem ruszymy w swoją stronę.

– Nie chcemy sprawiać kłopotu – odzywa się Risa.

Staruszka wybucha śmiechem.

– Ależ chcecie! Chcecie sprowadzić kłopoty na każdą napotkaną przez was osobę. – Wskazuje laską na Risę. – Tym właśnie teraz jesteście. – Chodzącym KŁOPOTEM przez wielkie K. – Następnie odstawia laskę na dół i łagodni nieco ton. – To jednak nie jest wasza wina. Nie prosiliście się na ten świat, a tym bardziej nie prosiliście się o podzielenie. – Spogląda na nich na przemian, po czym zwraca się do Risy, spoglądając jej prosto w oczy. – Jeżeli naprawdę zależy ci na życiu, kochanie, to niech lepiej ten chłoptaş czym prędzej zrobi ci kolejny brzuch. Nie podzielę kobiety oczekującej dziecka, więc dzięki temu zyskasz całe dziewięć miesięcy.

Risie opada szczęka i odbiera jej mowę a Connor czuje, jak oblewa się rumieńcem.

– Ona... ona nigdy nie była w ciąży. To nie jest jej dziecko. Ani moje.

Sonia zastanawia się przez chwilę, a następnie przygląda się uważnie dziecku.

– Nie jest wasze, hmm? Cóż, to by tłumaczyło, dlaczego nie karmisz go piersią. – Wybucha nagłym, gwałtownym śmiechem, sprawiając, że Connor i niemowlę aż podskakują. Risa nie jest przestraszona, tylko rozdrażniona. Przykuwa uwagę dziecka przy pomocy kolejnej łyżki mleka i palca wskazującego.

– Pomoże nam pani, czy nie? – pyta.

Sonia unosi laskę i stuka nią Connora w ramię, a następnie wskazuje na wielki kufer oklejony naklejkami z podróży.

– Myślisz, że masz wystarczająco pary w rękach, aby go tu przytaszczyć? Connor wstaje, zastanawiając się, co też takiego może być w tym kufrze, co mogłoby się im na cokolwiek przydać. Chwyta za niego i z wysiłkiem przesuwa go po wyblakłym, perskim dywanie.

– Armakiem to ty nie jesteś.

– Nigdy nie twierdziłem inaczej.

Ciągnie powoli kufer po podłodze, dopóki ten nie staje tuż przed nią. Zamiast go otworzyć, staruszka siada na nim i zaczyna masować swoje kostki.

– Więc, co jest w środku? – pyta Connor.

– Listy – odpowiada. – Ale nie chodzi o to, co jest w środku, tylko o to, co jest pod spodem. – Następnie przy pomocy laski przesuwając dywan na którym stał kufer, odkrywając klapę w podłodze z mosiężnym, okrągłym uchwytem.

– Śmiało – zachęca go Sonia, ponownie wskazując laską. Connor wzdycha i łapie za uchwyt, a następnie pociąga za niego, otwierając klapę i odkrywając ukryte pod nią kamienne schody prowadzące w głąb ciemności. Risa odstawia miskę i układając dziecko przez ramię, podchodzi do klapy w podłodze i klęka obok Connora.

– To stary budynek – wyjaśnia im Sonia. – Lata temu, na początku dwudziestego wieku, w czasach pierwszej prohibicji, ukrywano tutaj gorzałę.

– Gorzałę? – pyta Connor.

– Alkohol! Jak Boga kocham, całe to pokolenie jest takie samo. NIEDOUCZONE!

Schody prowadzące w dół są strome i nierówne. Z początku Connor myśli, że Sonia wysłała ich tam samych, jednak upiera się, żeby ich Zaprowadzić. Niespieszno jej i wydaje się stąpać o wiele pewniej po schodach niż po równej powierzchni. Connor stara się podtrzymać jej ramię, aby jej pomóc, ale Sonia odtrąca go i rzuca mu przeraźliwe spojrzenie.

– Jeżeli będę chciała twojej pomocy, to o nią poproszę. Czy ja ci wyglądam na zniedołężniałą?

– Szczerze mówiąc, tak.

– Wygląd potrafi być zwodniczy – odpowiada. – W końcu, kiedy cię po raz pierwszy zobaczyłam, sprawiałeś wrażenie w miarę rozumnego.

– Bardzo śmieszne.

Na dole Sonia wyciąga dłoń ku ścianie i włącza światło.

Risa wydaje stłumiony okrzyk, a Connor podąża za jej spojrzeniem, i w końcu ich dostrzega. Trzy postaci. Dziewczyna i dwóch chłopaków.

– Wasza mała rodzinka właśnie się powiększyła – oznajmia im Sonia.

Dzieciaki nie poruszają się. Wydają się być mniej więcej w wieku Risy i Connora. Z całą pewnością towarzysze niedoli, kolejni Podzieleni. Wyglądają na nieufnych i wyczerpanych. Connor zastanawia się, czy wygląda równie kiepsko.

– Na miłość boską, przestańcie się tak gapić – mówi do nich. – Wyglądacie jak horda szczurów.

Sonia krząta się po zakurzonej piwnicy, wskazując Risie i Connorowi różne rzeczy.

– Na tamtych półkach znajdziecie puszki z jedzeniem, a otwieracz do konserw też powinien gdzieś tam być. Jedzcie co chcecie, ale nie zostawiajcie żadnych resztek, inaczej naprawdę zobaczycie szczury. Łazienka jest z tyłu. Ma być czysta. Za chwilę wyjdę i przyniosę trochę mleka i butelkę dla niemowląt. – Zerka na Connora. – Aha, i gdzieś tu jest apteczka pierwszej pomocy – przyda się na to ugryzienie na twoim ramieniu, czy cokolwiek się tam z nim stało.

Connor powstrzymuje się od uśmiechu. Przed Sonią nic się nie ukryje.

– Ile jeszcze? – pyta najstarszy z trójki piwnicznych szczurów, umięśniony chłopak, który spogląda na Connora z wielką nieufnością, zupełnie jakby Connor mógł podważyć jego pozycję samca alfa w szczurzym stadzie.

– A jakie ma to znaczenie? – odpowiada mu Sonia. – Masz jakieś pilne spotkanie, czy jak?

Chłopak nie odpowiada; po prostu wpatruje się w Sonię i krzyżuje ramiona, odsłaniając wytatuowanego na przedramieniu rekina. *Ojoj* – myśli Connor, uśmiechając się ironicznie. *Pan Groźny. No teraz to się boję.*

Sonia wzdycha.

– Jeszcze cztery dni i pozbędę się was na dobre.

– Co będzie za cztery dni? – pyta Risa.

– Przyjeżdża lodziarz. – A powiedziawszy to, Sonia wspina się po schodach szybciej, niż Connor mógł się tego po niej spodziewać. Kłapa w podłodze zamyka się z trzaskiem.

– Na pewno nie dowiesz się tego od kochanej Smoczycy – odzywa się drugi chłopak, tyczkowaty blondyn ze słabym uśmiechem, który wydaje się być na stałe przyczepiony do jego twarzy. Nosi aparat ortodontyczny, którego wydaje się nie potrzebować. Chociaż jego oczy zdradzają, że ma za sobą nieprzespane noce, jego fryzura jest idealna. Connor dostrzega, pomimo szmat, które ten dzieciak ma na sobie, że pochodzi on z bogatej rodziny.

– Wyślą nas do ośrodka donacyjnego i podzielą na części, to się właśnie stanie – odpowiada dziewczyna. Jest Azjatką i wygląda niemal na tak samo zatwardziałą jak chłopak z tatuażem, z włosami ufarbowanymi na intensywny odcień różu oraz kolczastym, skórzanym naszyjnikiem na piersi.

Człowiek Rekin obdarza ją surowym spojrzeniem.

– Skończysz wreszcie opowiadać te głupoty o końcu świata?

Connor zauważył, że chłopak ma cztery równoległe zadrapania po jednej stronie twarzy, odpowiadające paznokciom u ręki. Dziewczyna z kolei ma podbite oko.

– Nie mówię o końcu świata – odpowiada zrzędlwym tonem. – Tylko o naszym końcu.

– Jesteś śliczna, kiedy wpadasz w ten twój nihilistyczny nastrój – wypala wesołek.

– Zamknij się.

– Mówisz tak tylko dlatego, że nie wiesz, co oznacza słowo nihilistyczny.

Risa rzuca Connorowi spojrzenie, a on już wie, o czym ona myśli. *Mamy się użerać z tą bandą przez cztery dni?* Jednak mimo to, ona jako pierwsza wyciąga do nich dłonie, aby się przedstawić. Niechętnie, Connor czyni to samo.

Okazuje się, że każde z nich, tak jak każdy Podzielony, może pochwalić się historią, która swoją dramaturgią przebiłaby niejednego wyciskacza łez.

Wesołkowi na imię Hayden. Tak jak przewidywał Connor, pochodzi z absurdalnie bogatej rodziny. Kiedy jego rodzice się rozwodzili, toczyli ze sobą brutalną walkę o prawo do opieki nad nim. Dwa lata i sześć rozpraw sądowych później sprawy nadal nie rozwiązano. Jedyna kwestia, w której jego matka i ojciec byli zgodni to ta, że oboje woleliby już raczej oddać Haydena na podzielenie, niż pod wyłączną opiekę któregoś z nich.

– Gdyby można było ujarzmić energię pochodzącą z ich wzajemnej niechęci do siebie – wyjaśnia im Hayden – to wystarczyłoby jej na zasilenie niewielkiego miasta przez kilka lat.

Dziewczynie na imię Mai. Jej rodzice starali się o chłopca, dopóki w końcu się nie urodził – jednak wcześniej mogli pochwalić się już czterema córkami. Mai była czwarta.

– To żadna nowość – tłumaczy Mai. – W Chinach, w czasach kiedy zezwalano wyłącznie na jedno dziecko w rodzinie, ludzie zabijali nowo narodzone dziewczynki na prawo i lewo.

Wielkolud to Roland. Marzył o karierze armiaka, jednak najwyraźniej miał zbyt wysokie stężenie testosteronu lub sterydów, albo jednego i drugiego, przez co okazał się zbyt przerażający, nawet jak dla armii. Tak jak Connor, Roland wdawał się w szkole w bójki – chociaż Connor podejrzewa,

że bójki Rolanda były o wiele bardziej paskudne. Jednak to nie przez to ściągnął na siebie kłopoty. Roland pobił swojego ojczyma za to, że ten pobił jego matkę.

Matka stanęła po stronie swojego męża, a ojczymowi uszło wszystko na sucho i dostał tylko ostrzeżenie. Natomiast Roland został wysłany na podzielenie.

– To niesprawiedliwe – irytuje się Risa.

– A to, jak potraktowali ciebie jest sprawiedliwe? – odparowuje Connor.

Roland spogląda na Connora. Jest emocjonalnym kamieniem.

– Odzywaj się do niej tak dalej, a znajdzie sobie nowego chłopaka.

Connor uśmiecha się do niego drwiąco i zerka na tatuaż na jego nadgarstku.

– Fajnego masz delfina.

Rolanda to nie bawi.

– To rekin tygrysi, kretynie.

Connor zanotował sobie w pamięci, aby nigdy nie stawać plecami do Rolanda.

Rekiny, jak przeczytał kiedyś Connor, cechują się potworną formą klaustrofobii. Nie chodzi tu tyle o sam lęk przed zamkniętymi przestrzeniami, a o niemożliwość przebywania w nich. Nikt nie wie dlaczego. Niektórzy twierdzą, że to przez metal w akwariach ich równowaga jest zachwiana. Jednak cokolwiek by to nie było, wielkie rekiny nie żyją zbyt długo w niewoli.

Po dniu spędzonym w piwnicy Sonii, Connor wie, co czują. Risa ma dziecko, które ją zajmuje. Wymaga od niej olbrzymiego poświęcenia uwagi i chociaż jęczy na temat odpowiedzialności, Connor widzi, że jest wdzięczna za to, że po prostu ma się czym zająć. W piwnicy znajduje się pomieszczenie na zapleczu i Roland upiera się, aby Risa zajęła je wraz z dzieckiem. Zachowuje się tak, jak gdyby kierowała nim uprzejmość, jednak to oczywiste, że robi to jedynie dlatego, że nie może znieść płaczu dziecka.

Mai czyta. W rogu znajduje się cała kolekcja starych, zakurzonych książek i Mai zawsze ma jakąś w rękach. Roland, oddawszy pomieszczenie na zapleczu Risie, przestawia półki, dopóki nie urządza sobie swojego własnego prywatnego kąta, tuż za nimi. Robi to tak, jakby miał już doświadczenie w przesiadywaniu w celi. Kiedy nie siedzi w swojej maleńkiej celi, to przegląda zapasy żywności w piwnicy i wydziela porcje.

– Zajmuję się jedzeniem – obwieszcza. – Teraz, kiedy jest nas pięcioro, muszę ponownie przydzielić porcje i zdecydować, kto kiedy i co dostanie.

– Sam decyduję o tym, co i kiedy chcę – wyjaśnia mu Connor.

– Nic z tego – odpowiada Roland. – Miałem wszystko pod kontrolą, zanim się nie zjawiliście. I tak też zostanie. – Następnie wręcza Connorowi puszkę szynki konserwowej. Connor spogląda na nią z obrzydzeniem. – Chcesz coś lepszego – mówi Roland – to trzymaj się zasad.

Connor rozważa, na ile bójka z Rolandem w tej sprawie wydaje się być mądrym rozwiązaniem – ale rozważa nigdy nie była jego mocną stroną, kiedy był wkurzony. Tylko dzięki Haydenowi sytuacja zostaje załagodzona, zanim na dobre zdąży się pogorszyć. Hayden odbiera Connorowi puszkę i odrywa jej wieko.

– Kto wybrzydza... – rzuca i zaczyna swobodnie wcinać zawartość puszeki palcami. – Zanim tu nie trafiłem, nigdy wcześniej nie jadłem konserwy – teraz ją uwielbiam. – Następnie uśmiecha się szeroko. – Boże dopomóż, zamieniam się w lumpa.

Roland piorunuje wzrokiem Connora, a ten nie pozostaje mu dłużny. Następnie mówi to co zawsze, w chwilach takich jak ta.

– Fajne skarpetki.

Chociaż Roland nie spogląda w dół od razu, wytrąca go to z równowagi na tyle, żeby spasował. Nie sprawdza, czy jego skarpetki są dobrane do pary, dopóki nie sądzi, że Connor na niego nie patrzy. A w chwili, kiedy to czyni, Connor parska śmiechem.

Hayden stanowi dla niego zagadkę. Connor nie jest pewien, czy tego chłopaka rzeczywiście bawi wszystko, co dzieje się dookoła niego, czy też jest to tylko poza – rodzaj samoobrony przed sytuacją, która jest zbyt bolesna, aby mógł to uczucie do siebie dopuścić. Zazwyczaj Connor nie lubił bogatych, fałszywych dzieciaków takich jak Hayden, ale jest w nim coś takiego, że nie sposób go nie lubić.

Connor siada obok Haydena, który zerka, aby upewnić się, że Roland poszedł do swojego kącika samotności.

– Podoba mi się ten „numer” ze skarpetkami – mówi Hayden. – Nie masz nic przeciwko, jeśli go kiedyś wykorzystam?

– Proszę bardzo.

Hayden wyciąga kawałek szynki i częstuje nią Connora.

Pomimo iż jest to ostatnia rzecz, na którą Connor ma w tej chwili ochotę, przyjmuje ją, ponieważ wie, że nie chodzi wcale o mięso – tak samo, jak wie, że Hayden nie zabrał puszki dlatego, że ją chciał.

Kawałek przetworzonej szynki wędruje od Haydena do Connora i sytuacja między nimi rozluźnia się. Osiągnęli porozumienie. *Jestem po twojej stronie* – zdaje się mówić ten kawałek konserwy. – *Oślaniam cię.*

– Czy chcieliście mieć dziecko? – pyta Hayden.

Connor rozważa swoją odpowiedź. Dochodzi do wniosku, że prawda jest najlepszą opcją, aby nawiązać nawet tymczasową przyjaźń.

– Nie jest moje.

Hayden kiwa głową.

– To super, że nadal z nią jesteś, pomimo iż dzieciak nie jest twój.

– Nie jest też jej.

Hayden uśmiecha się ironicznie. Nie pyta, jak weszli w jego posiadanie, ponieważ najwyraźniej wersja, którą stworzył w swojej głowie jest o wiele bardziej zabawna niż cokolwiek innego, co Connor mógłby powiedzieć.

– Nie mów Rolandowi – mówi. – Jedyne powód, dla którego jest dla was obojga tak miły jest taki, że wierzy w nienaruszalność najbliższej rodziny. – Connor nie jest w stanie stwierdzić, czy Hayden mówi poważnie, czy też się zgrywa. Podejrzewa, że nigdy się tego nie dowie.

Hayden przeżuwa ostatni kawałek szynki, zagląda do pustej puszki i wzdycha.

– Stałem się Morlokiem – oznajmia.

– I powinienem wiedzieć, kto to taki?

– To światłoczułe człekożaby zamieszkujące podziemia, często przedstawiane w kiepskich kostiumach z zielonej gumy. Niestety, tym się właśnie stałem. Oczywiście za wyjątkiem gaci z zielonej gumy.

Connor zerka na półki z jedzeniem. Kiedy wsłuchuje się uważnie, do jego uszu dociera metaliczny beat muzyki płynącej z zabytkowego odtwarzacza MP3, który Roland musiał zwędzić z góry, kiedy tutaj trafił.

– Od jak dawna znasz Rolanda?

– O całe trzy dni dłużej od ciebie – odpowiada Hayden. – Mała rada dla nierozsądnego człowieka – którym jak podejrzewam jesteś – Roland jest w porządku tak długo, jak sądzi, że nami dowodzi. Tak długo, jak mu pozwolisz tak myśleć, będziemy jedną, wielką, szczęśliwą rodziną.

– A co, jeśli nie chcę, aby tak myślał?

Hayden rzuca swoją puszkę po konserwie do śmietnika oddalonego o kilka kroków od nich.

– Jeżeli chodzi o Morloków, to musisz wiedzieć, że słyną z tego, że są kaniibalami.

Connor nie może zasnąć pierwszej nocy. Z powodu dyskomfortu piwnicy i braku zaufania do Rolanda, jedyne na co może sobie pozwolić, to przymknięcie oczu i drzemanie przez krótką chwilę. Nie może spać w przybocznym pomieszczeniu wraz z Risą, ponieważ jest zbyt małe, a poza tym on i Risa musieliby spać tuż obok siebie. Powtarza sobie, że prawdziwym powodem jest strach przed przygnieceniem dziecka w czasie snu. Mai i Hayden również nie śpią. Wygląda na to, że Mai próbuje zasnąć, jednak jej oczy są otwarte, a jej myśli wydają się być zupełnie gdzieś indziej.

Hayden zapalił świeczkę, którą znalazł w śmieciach, sprawiając, że w piwnicy zapachniało aromatyczną mieszanką cynamonu i pleśni. Hayden przesuwając dłoń tam i z powrotem nad płomieniem świecy. Nie czyni tego na tyle powoli, aby się poparzyć, ale wystarczająco wolno, aby poczuć płomień na skórze. Zauważa, że Connor mu się przygląda.

– To zabawne, że płomień może poparzyć ci dłoń, wyłącznie jeżeli odsuniesz ją zbyt późno – wyjaśnia Hayden. – Możesz się z nim droczyć ile zechcesz, a i tak nigdy cię nie dosięgnie, o ile jesteś wystarczająco szybki.

– Jesteś piromanem?

– Mylisz znudzenie z obsesją.

Connor wyczuwa jednak, że chodzi o coś więcej.

– Myślałem o dzieciakach, które zostaną podzielone – mówi Hayden.

– Dlaczego miałbyś to robić? – dziwi się Connor.

– Ponieważ – odpowiada Mai po drugiej stronie piwnicy – to dziwak.

– Ale to nie ja noszę na szyi psią obrozę.

Mai pokazuje Haydenowi środkowy palec, który ten ignoruje.

– Myślałem o tym, jak ośrodki donacyjne przypominają czarne dziury. Nikt nie wie, co się wewnątrz nich dzieje.

– Wszyscy wiedzą, co jest wewnątrz – odpowiada Connor.

– Nie – odparowuje Hayden. – Wszyscy wiedzą jaki jest efekt końcowy, ale nikt nie wie, jak wygląda proces podzielenia. Chcę wiedzieć, jak to działa.

Czy robią to od razu, czy też każą ci czekać. Czy traktują cię uprzejmie, czy oziębło?

– Cóż – Mai uśmiecha się szyderczo – może, jeżeli ci się poszczęści, to dowiesz się wszystkiego z pierwszej ręki.

– Wiesz co – komentuje Connor. – Za dużo myślisz.

– Ktoś przecież musi nadrobić zbiorowe braki wykorzystywania mózgowicy, których tu doświadczamy – kwituje Hayden.

Teraz Connor w końcu zaczyna rozumieć. Pomimo, że Hayden odstawił świeczkę, jego rozmowa na temat podzielenia jest jak zabawa z ogniem. On lubi balansować na granicy bezpieczeństwa. Uwielbia niepokojące myśli. Connor zastanawia się nad swoją ulubioną krawędzią, znajdującą się za znakiem drogowym na autostradzie. W pewnym sensie są do siebie podobni.

– W porządku – odpowiada Connor. – Myśl o tym dalej, aż pęknie ci łeb. Jediną rzeczą, o której ja myślę, to jak przetrwać do osiemnastki.

– Twoja powierzchowność jest zarówno pocrzepiająca, jak i rozczarowująca zarazem. Myślisz, że powinienem się udać z tego powodu na terapię?

– Nie. Myślę, że powinieneś iść na terapię, ponieważ twoi rodzice postanowili cię podzielić tylko po to, aby zrobić sobie na złość.

– Trafna uwaga. Cechujesz się olbrzymią wnikliwością, jak na Morloka. – Następnie Hayden ucisza się na chwilę. Uśmiech na jego twarzy zanika. – Jeżeli naprawdę zostanę podzielony, to myślę, że wtedy moi rodzice się znowu zjedną.

Connor nie ma serca, aby rozwiać jego fantazje, ale Mai nie ma z tym żadnego problemu.

– Zapomnij. Jeżeli zostaniesz podzielony, będą się o to po prostu nawzajem obwiniać i znienawidzą siebie jeszcze bardziej.

– Może – odpowiada Hayden. – A może w końcu dostrzegą jakieś światełko i będzie tak jak z Humphreym Dunfee.

– Z kim? – pyta Mai.

Obaj odwracają się w jej stronę. Hayden uśmiecha się.

– Chcesz mi powiedzieć, że nigdy nie słyszałaś o Humphreyu Dunfee?

Mai rozgląda się dokoła podejrzliwie.

– A powinnam?

Uśmiech nie schodzi z twarzy Haydena.

– Mai, jestem szczerze zdumiony, że o nim nie słyzałaś. To historia w *twoim* stylu. – Sięga po świecę i ustawia ją tak, aby znajdowała się teraz pomiędzy ich trojgiem. – Nie jest to ognisko – mówi – ale musi wystarczyć. – Hayden spogląda przez chwilę na płomień, po czym powoli kieruje swoje przepełnione grozą spojrzenie w stronę Mai.

– Lata temu był pewien dzieciak. Tak naprawdę nie nazywał się Humphrey – prawdopodobnie miał na imię Hal, czy Harry, albo jakoś tak – ale Humphrey do niego pasuje, mimo wszystko. Tak, czy inaczej, któregoś dnia jego rodzice podpisali zlecenie, aby go podzielić.

– Dlaczego? – docieka Mai.

– A dlaczego w ogóle rodzice podpisują takie zlecenie? Po prostu to zrobili i pewnego ranka skoro świt przyszli po niego hycle. Złapali go, odtransportowali i było po nim – został podzielony bez żadnych kłopotów.

– Więc to tyle? – dziwi się Mai.

– Nie... ponieważ był pewien kłopot – odpowiada Connor, podejmując na nowo wątek w miejscu, w którym skończył Hayden. – Widzisz, Dunfeeyowie nie byli, że tak powiem, stabilnymi emocjonalnie ludźmi. Byli nieco świrnięci, ale po tym jak ich dziecko zostało podzielone, szajba odbiła im już kompletnie.

Teraz jej zewnętrzna powłoka twardzielki całkowicie zniknęła. Mai, zupełnie jak mała dziewczynka, wsłuchuje się z szeroko otwartymi oczami w historię „przy ognisku”.

– I co zrobili?

– Postanowili, kiedy kłamka już zapadła, że jednak nie chcą, aby Humphrey był podzielony – kontynuuje Hayden.

– Chwilunia – rzuca Mai. – Powiedziałaś przecież, że został już podzielony.

W blasku świecy oczy Haydena wyglądają na ogarnięte szaleństwem.

– Bo tak było.

Dreszcze przebiegają przez ciało Mai.

– I tu jest pies pogrzebany – ciągnie Hayden. – Tak jak mówiłem, wszystko, co się tyczy ośrodków donacyjnych owiane jest tajemnicą – nawet rejestr biorców mówiący o tym, kto jaki organ otrzymał, kiedy cały proces jest już zakończony.

– No i?

– Więc rodzice Humphreya odnaleźli ten rejestr. Ojciec, jak myślę, pracował dla rządu, więc miał sposobność, by włamać się do Departamentu Cześci.

– Gdzie?

Hayden wzdycha.

– Do Narodowego Rejestru Podzielonych.

– Aha.

– I udaje mu się zdobyć wydruk na temat każdej osoby, która otrzymała jakąś część ciała Humphreya. Dunfeeyowie przemierzają cały świat w ich poszukiwaniu... aby ich zabić, zabrać z powrotem organy syna i kawałek po kawałeczku, poskładać Humphreya z powrotem do kupy...

– Zalewasz.

– Dlatego właśnie mówią na niego Humphrey – wtrąca Connor. – Ponieważ „I wszyscy konni i wszyscy dworzanie... złożyć do kupy nie byli go w stanie”.

Myśl ta wisi ciężko w powietrzu, dopóki Hayden, nachylając się do przodu nad świecą, wyrzuca nagle dłonie w stronę Mai i krzyczy:

– Łuu!

Wszyscy wzdrygają się, jakby wbrew sobie – Mai najbardziej.

Connor nie potrafi powstrzymać się od śmiechu.

– Widzieliście to? O mało co nie wyskoczyła ze skóry!

– Lepiej tego nie rób, Mai – mówi Hayden. – Jeżeli wyskoczysz ze skóry, to dadzą ją komuś innemu i tyle ją widziałas.

– Goń się. – Mai próbuje uderzyć Haydena, ale ten z łatwością wykonuje unik. Wtedy pojawia się Roland, wychodząc zza swoich półek.

– Co się tu dzieje?

– Nic – odpowiada Hayden. – Opowiadamy sobie historie o duchach.

Roland spogląda na całą trójkę, wyraźnie rozdrażniony i podejrzliwy w stosunku do każdej sytuacji, która go nie dotyczy.

– Idźcie spać, już późno.

Roland człapie z powrotem do swojego kąta, ale Connor jest pewien, że przysłuchuje się teraz ich rozmowie, prawdopodobnie ogarnięty paranoicznymi myślami, że knują przeciw niemu.

– Ten cały Humphrey Dunfee... – odzywa się Mai. – To tylko taka historia, tak?

Connor zachowuje swoje zdanie wyłącznie dla siebie, ale Hayden mówi:

– Znałem kolesia, który opowiadał, że dostał wątrobę Humphreya. Pewnego dnia po prostu zniknął i nikt go więcej nie widział. Ludzie mówili, że został po prostu podzielony, ale kto wie... może dorwali go Dunfeeyowie. – Następnie Hayden zdmuchuje świecę, pozostawiając ich w ciemności.

Trzeciego dnia pobytu w piwnicy, Sonia woła każde z nich na górę – ale z osobna, w kolejności w jakiej do niej przybyli.

– Najpierw przerośnięty złodziejasek – oznajmia, wskazując w dół schodów na Rolanda. Najwyraźniej wie o kradzieży odtwarzacza MP3.

– Jak myślicie, czego chce Smoczyca? – pyta Hayden, po tym jak zamyka się kłapa w podłodze.

– Wypić twoją krew – odpowiada Mai. – Zatluc cię swoją laską. Coś w tym stylu.

– Powinieneś przestać nazywać ją Smoczyką – zwraca mu uwagę Risa. – Ona ratuje nasze tyłki – mógłbyś przynajmniej okazać jej trochę szacunku. –

Odwraca się w stronę Connora. – Potrzywasz Didi? Ręce mi już odpadają. – Connor bierze dziecko na ręce i obchodzi się z nim znacznie umiejętniej, niż miało to miejsce wcześniej. Mai przygląda mu się z łagodnym zainteresowaniem. Connor zastanawia się, czy Hayden powiedział jej, że nie są prawdziwymi rodzicami malucha.

Pół godziny później Roland wraca ze spotkania z Sonią i nie wspomina o nim ani słowem. To samo tyczy się Mai, kiedy wraca z góry. Haydena nie ma najdłużej, a kiedy wraca również jest powściągliwy w słowach – co w jego przypadku jest dziwne. Niepokojące wręcz.

Connor idzie jako następny. Na zewnątrz zapadła już noc, kiedy wchodzi po schodach na górę. Nie ma pojęcia, która może być godzina. Sonia siedzi wraz z nim w jej niewielkim pomieszczeniu na zapleczu, usadziwszy go na niewygodnym krześle, które kiwa się ilekroć Connor się poruszy.

– Wyjedziesz stąd jutro – oznajmia mu.

– Dokąd?

Sonia ignoruje pytanie i sięga do szuflady starego sekretarzyka.

– Mam nadzieję, że jesteś przynajmniej półanalfabetą.

– Dlaczego? Co mam przeczytać?

– Nie musisz nic czytać. – Następnie wyjmuje kilka niezapisanych kartek papieru. – Chcę, abyś coś napisał.

– Co, moją ostatnią wolę i testament? Czy o to chodzi?

– Testament sugerowałby, że masz coś, co możesz po sobie pozostawić – a tak nie jest. Chcę jedynie, abys napisał list. – Wręcza mu kartki papieru, pióro i kopertę. – Napisz list do kogoś, kogo kochasz. Może być długi lub krótki, to zależy wyłącznie od ciebie. Nie moja sprawa. Ale napisz wszystko to, czego wcześniej nie powiedziałeś, bo nie miałeś nigdy okazji. Rozumiesz?

– A co, jeśli nie ma nikogo, kogo bym kochał?

Sonia ściąga usta i kręci powoli głową.

– Wy, Podzieleni, jesteście wszyscy tacy sami. Myślicie, że skoro nikt was nie kocha, to wy również nie możecie nikogo obdarzyć miłością. Ale dobrze, skoro nie ma nikogo, kogo kochasz, to wybierz osobę, która powinna wysłuchać tego, co masz do powiedzenia. Wyrzuć z siebie wszystko, co leży ci na sercu – niczego nie zatajaj. A kiedy już skończysz, włóż list do koperty i zaklej ją. Nie będę go czytać, więc nie martw się o to.

– Po co to wszystko? Zamierzasz go wysłać?

– Po prostu zrób to i skończ już z tymi pytaniami. – Następnie podnosi małe ceramiczne dzwonek i stawia go na sekretarzyku, tuż obok pióra i kartek papieru.

– Nie musisz się śpieszyć, masz tyle czasu ile potrzebujesz, a kiedy skończysz, po prostu użyj dzwonka.

To powiedziawszy, zostawia go samego.

To dziwna prośba i Connor, prawdę mówiąc, nieco się jej przestraszył. Są takie miejsca w jego wnętrzu, w które po prostu nie chce się zagłębiać. Zastanawia się nad napisaniem do Ariany. Tak byłoby najprościej. Zależało mu przecież na niej. Była najbliższą mu dziewczyną, jaką znał. Za wyjątkiem Risy – ale Risa się tak naprawdę nie liczy. To, co jest między nimi to nie jest związek; są po prostu dwojgiem ludzi kurczowo trzymających się tej samej krawędzi, w nadziei, że z niej nie spadną. Po napisaniu około, trzech linijek listu, Connor zgniata kartkę. Pisanie do Ariany wydaje się bezcelowe. Bez względu na to jak bardzo będzie się przed tym wzbierał to i tak wie, do kogo powinien zaadresować ten list.

Przyciska pióro do czystej kartki i kreśli słowa: *Drodzy rodzice...*

Upływa pięć minut, zanim do głowy przychodzi mu kolejna linijka tekstu, ale kiedy już zaczyna, słowa zaczynają same napływać – i obierają dziwny kierunek. Z początku są pełne złości, tak jak się tego spodziewał. Jak mogliście? Dlaczego? Co za ludzie mogli zrobić to własnemu dziecku? Jednak

wraz z trzecią stroną łagodnieją. Przywołują wszystkie miłe wydarzenia, których w ciągu ich wspólnego życia razem doświadczyli. Z początku robi to wyłącznie po to, żeby ich zranić i przypomnieć im dokładnie, co utracili, podpisując zlecenie jego podzielenia. Jednak później słowa skupiają się wyłącznie na zapamiętaniu – lub bardziej dokładnie, na tym, aby to oni go zapamiętali, kiedy jego już nie będzie... jeżeli go nie będzie, to pozostanie zapis wszystkich tych rzeczy, które on uważał za warte wspomnień. Kiedy zaczynał, wiedział jak zakończy się list. *Nienawidzę was za to, co mi zrobiliście. Nigdy wam tego nie wybaczę.* Ale kiedy w końcu zapisuje dziesiątą już stronę, pisze: *Kocham was. Wasz były syn, Connor.*

Jeszcze zanim kreśli swoje imię, czuje jak zbierają się w nim łzy. Nie wydają się wypływać z jego oczu, lecz z jego wnętrza. Jest to uczucie tak obezwładniające, że przyprawia go aż o ból brzucha i płuc. Jego oczy zalewają się łzami, a ból wewnątrz jest tak potężny, że Connor jest pewien, iż zabije go tu i teraz. Jednak nie umiera i z czasem sztorm, który przetoczył się przez jego wnętrze ustępuje, pozbawiając go sił w każdym centymetrze jego obolałego ciała. Czuje się tak, jak gdyby potrzebował laski Sonii, aby ponownie móc się podnieść.

Łzy wsiąkły w kartki papieru, drażąc w nim maleńkie kraterki, jednak nie rozmazując atramentu. Składa karki i wsuwa je do koperty, następnie zakleja ją i adresuje. Odczekuje kilka kolejnych minut, aby upewnić się, że sztorm nie powróci. Następnie wydobywa dźwięk z maleńkiego dzwonka.

Sonia przychodzi chwilę później. Musiała czekać przez cały ten czas po drugiej stronie kotary. Connor wie, że musiała słyszeć jak ryczał, ale Sonia nie odzywa się ani słowem. Spogląda na jego list, podnosi go, aby sprawdzić jego wagę i unosi brwi z wrażenia.

– Trochę się tego uzbierało, co nie?

Connor jedynie wzrusza ramionami. Sonia odkłada z powrotem kopertę przednią stroną na dół.

– Teraz chcę, abyś umieścił z tyłu datę. Napisz datę swoich osiemnastych urodzin.

Connor nie zadaje już żadnych pytań. Robi to, o co go prosi. Kiedy kończy, Sonia zabiera od niego kopertę.

– Przechowam ten list dla ciebie – wyjaśnia mu. – Jeżeli dożyjesz do swoich osiemnastych urodzin, to musisz obiecać, że tu wrócisz, aby go odebrać.

Możesz mi to obiecać?

Connor przytakuje. – Obiecuję.

Sonia potrząsa listem przed jego nosem, aby położyć większy nacisk na jej słowa.

– Zachowam go przez rok od daty twoich osiemnastych urodzin. Jeżeli nie wrócisz, to założę, że ci się nie udało; że zostałeś podzielony. W takim przypadku sama wyślę ten list.

Następnie wręcza mu list z powrotem, wstaje i podchodzi do starego kufra, który zakrywał klapę w podłodze. Otwiera zatrask i, choć musi być ciężkie, podnosi wieko kufra, ujawniając jego zawartość – setki kopert wypełniających jego wnętrze niemal aż po sam wierzch.

– Zostaw go tu – wskazuje. – Będzie tu bezpieczny. Jeżeli umrę zanim wrócisz, to Hannah obiecała, że zajmie się kufrem.

Connor myśli o wszystkich dzieciakach, którym Sonia musiała pomóc, aby wypełnić kufer tyloma listami i czuje, jak jego ciało zalewa kolejna fala emocji. Nie powoduje u niego łez, ale sprawia, że odczuwa dziwną lekkość. Na tyle dziwną, by powiedzieć.

– Dokonałaś czegoś wspaniałego.

Sonia macha dłonią, bagatelizując jego słowa.

– Myślisz, że to czyni ze mnie świętą? Pozwól, że coś ci wyjaśnię. Mam za sobą spory kawał życia, podczas którego dopuściłam się również paru świństw.

– Nie obchodzi mnie to. Bez względu na to, ile razy zdzieliś mnie tą laską, to i tak będę zdania, że jesteś dobrym człowiekiem.

– Może tak, a może nie. Jedną z rzeczy, których się uczysz, kiedy żyjesz tak długo jak ja jest to, że ludzie nie są wyłącznie dobrzy lub wyłącznie źli. Wkraczamy i wychodzimy z krainy ciemności i światła przez całe nasze życie. Cieszę się, że w tej chwili jestem po tej jasnej stronie.

W drodze na dół Sonia nie zapomina zdzielić go laską w tyłek wystarczająco mocno, aby go zapiekło, ale Connor jedynie się uśmiecha.

Nie mówi Risie, co ją czeka na górze. Z jakiegoś powodu powiedzenie jej o tym oznaczałoby okradzenie jej z czegoś. Niech to pozostanie pomiędzy nią, Sonią, piórem i czystą kartką papieru, tak jak to było w jego przypadku.

Risa zostawia z nim niemowlę, wchodząc na górę, aby spotkać się ze starszą. Dziecko śpi, i teraz, w tej chwili, w tym miejscu, jest coś podnoszącego na duchu w tuleniu go w ramionach; jest szczęśliwy, że je uratował.

I myśli, że jeśli jego dusza miałaby przybrać jakąś postać, to wyglądałaby dokładnie tak. Jak niemowlę śpiące w jego ramionach.



20. RISA

Następnym razem, kiedy Sonia podnosi klapę, Risa wie, że wszystko znów się zmieni. Nadszedł czas, aby opuścić schronienie, jakim przez ostatnich kilka dni była dla nich piwnica staruszki.

Risa stoi na przedzie kolejki, kiedy Sonia woła ich, aby weszli na górę. Roland byłby pierwszy, gdyby Connor z czujnością stadionowego stewarda nie zagroził mu drogi, pozwalając, aby to Risa najpierw weszła po schodach.

Trzymając śpiące dziecko w zgięciu prawego ramienia, a lewą dłońią przesuwając po zardzewiałej stalowej poręczy, wspina się po wyszczerbionych kamiennych stopniach. Przypuszcza, że na górze przywitają ją promienie słoneczne, jednak zastaje tam jedynie ciemność nocy. Światła w sklepie są zgaszone – włączonych jest tylko kilka lampek nocnych, uważnie rozmieszczonych tak, aby nie powpadali na przypadkowe antyki stojące wokół nich.

Sonia prowadzi ich do tylnych drzwi, które wychodzą na boczną ulicę. Czeka tam na nich ciężarówka. To mały dostawczy samochód. Na masce z boku widnieje obrazek lodu w rożku.

Sonie nie kłamała. *Naprawdę* przyjechał po nich lodziarz.

Kierowca stoi obok otwartych tylnych drzwi ciężarówki. To brudny, zaniedbany jegomość, który wygląda bardziej na przemytnika narkotyków, niż dzieci. Roland, Hayden i Mai idą w stronę ciężarówki, ale Sonia zatrzymuje Risę i Connora.

– Wasza dwójka jeszcze nie.

Wtedy Risa zauważyła jakąś postać stojącą w cieniu. Włoski na jej karku jeżył się w odruchu obronnym, ale kiedy postać podchodzi bliżej, uświadamia sobie, kim ona jest. To Hannah, nauczycielka, która uratowała ich w szkole.

– Kochanie, dziecko nie może jechać tam, gdzie ty się udajesz – odzywa się Hannah.

Odruchowo Risa przytuliła dziecko bliżej siebie. Nawet nie wie dlaczego. Jedyne, co chciała zrobić odkąd z nim utknęła, to się go pozbyć.

– Wszystko w porządku – uspokaja ją Hannah. – Rozmawiałam o tym z moim mężem. Powiemy, że to sprawka bociana. Wszystko będzie dobrze.

Risa spogląda Hannah w oczy. W przyćmionym świetle nie widzi najlepiej, ale wie, że kobieta mówi szczerze.

Jednak Connor wchodzi pomiędzy nie.

– Czy *chce* pani tego dziecka?

– Ona chce się nim zaopiekować – odpowiada Risa. – To wystarczy.

– Ale czy *je* chce?

– A czy *ty* je chciałeś?

To pytanie wydaje się wprawić Connora w konsternację. Risa wie, że go nie chciał, ale był również skłonny się nim zaopiekować, kiedy jedyną alternatywą dla niego było beznadziejne życie z beznadziejną rodziną. Tak samo jak Hannah, która jest teraz skłonna ocalić je przed niepewną przyszłością. W końcu Connor odpowiada:

– To nie jest *ono*. To *ona*.

Następnie odchodzi w kierunku ciężarówki.

– Zapewnimy jej dobry dom – mówi Hannah. Podchodzi o krok bliżej i Risa oddaje jej dziecko.

W chwili, kiedy dziecko opuszcza jej ramiona, Risa odczuwa olbrzymie uczucie ulgi a zarazem nieokreślone uczucie pustki. Nie jest to uczucie wystarczająco intensywne, aby przyprawić ją o łzy, jednak na tyle silne, aby pozostawić ją z pewnego rodzaju fikcyjnym bólem, który muszą odczuwać chorzy po amputacji, kiedy utracą kończynę, zanim nowa zostanie im przeszczepiona.

– Uważaj na siebie – żegna się Sonia, obejmując niezręcznie Risę. – To długa podróż, ale wiem, że dasz sobie radę.

– Podróż dokąd?

Sonia nie odpowiada.

– Hej – odzywa się kierowca. – Nie będę tu stał całą noc.

Risa żegna się z Sonią, kiwa głową do Hannah i odwraca się, aby dołączyć do Connora, który czeka na nią na tyłach ciężarówki. Gdy odchodzi, dziecko zaczyna płakać, ale nie ogląda się za siebie.

Zaskoczona odkrywa w ciężarówce około tuzina kolejnych dzieciaków, wszystkie nieufne i przerażone. Roland w dalszym ciągu jest największym z nich i utrwała swoją pozycję, każąc się przesunąć jakiemś chłopakowi, choć wewnątrz jest mnóstwo innych wolnych miejsc.

Ciężarówka dostawcza to twarde, zimne, metalowe pudło. Kiedyś miała agregat chłodzący, który utrzymywał minusową temperaturę lodów, ale to już historia, tak samo jak i same lody. Pomimo to, wewnątrz jest przeraźliwie zimno i śmierdzi zepsutym mlekiem. Kierowca zamyka tylne drzwi na klucz, odgradzając ich szczelnie od dźwięku dziecka, które, jak słyszy Risa, wciąż płacze. Nawet kiedy drzwi są już zamknięte, wydaje jej się że nadal je słyszy, chociaż to prawdopodobnie tylko jej wyobraźnia.

Ciężarówka do przewozu lodów podskakuje na nierównych ulicach. Przez ciągłe bujanie w środku, uderzają stale plecami o ścianę za nimi.

Risa zamyka oczy. Wścieka się na myśl, że naprawdę tęskni za dzieckiem. Spadło jej przecież na głowę w najgorszym możliwym momencie jej życia – dlaczego powinna mieć jakiegokolwiek wyrzuty z powodu pozbycia się go? Myśli o czasach przed Wojną Moralną, kiedy niechciane dzieci mogły po prostu być niechcianymi ciężarami, których szybko się pozbywano. Czy kobiety, które dokonywały tego drugiego wyboru czuły to samo, co ona teraz? Uczucie ulgi i wyswobodzenia się od niechcianego i często niesprawiedliwego obowiązku... a mimo to, również pewien dziwny żal?

W czasach, kiedy mieszkała w domu dziecka i przydzielano ją do opieki nad niemowlętami, często zastanawiała się nad tym. Skrzydło budynku, w którym przebywały niemowlęta było olbrzymie i przepelnione identycznymi kołyskami z niechcianymi dziećmi oraz sierotami społecznymi, które ledwo potrafiły je nakarmić, a co dopiero wychować.

– Nie można zmienić prawa, nie zmieniwszy wpieryw ludzkiej natury – zwykła mówić jedna z pielęgniarek, kiedy spoglądała na tłum płaczących niemowląt. Nazywała się Greta. Za każdym razem, kiedy wypowiadała podobne słowa, w zasięgu głosu zawsze przebywała inna pielęgniarka, która o wiele bardziej akceptowała ów system i zwykła jej odpowiadać:

– Nie można zmienić ludzkiej natury, nie zmieniawszy wpierw prawa. – Siostra Greta nie sprzeczała się; mamrotała coś pod nosem i odchodziła.

Co było gorsze, zastanawiała się często Risa – mieć dziesiątki tysięcy niechcianych dzieci, czy też po cichu sprawić, aby się nigdy nie narodziły? W różne dni Risa miała różne odpowiedzi.

Siostra Greta była na tyle wiekową kobietą, by pamiętać czasy sprzed wojny, jednak rzadko o nich wspominała. Całą swoją uwagę poświęcała pracy, która była tytaniczna, ponieważ na każde pięćdziesiąt niemowląt przypadała tylko jedna pielęgniarka. – W miejscach takich jak to, trzeba umieć właściwie oceniać stan zdrowia pacjentów – tłumaczyła jej, odnosząc się do tego, jak w nagłych wypadkach pielęgniarka musi zdecydować, któremu pacjentowi najpierw poświęci swoją uwagę. – Pomagaj tym, którym jesteś w stanie – mówiła siostra Greta. – O pozostałych się módl. – Risa wzięła sobie tę radę do serca i wybrała garstkę ulubieńców, którym poświęcała dodatkową uwagę. Tym maluchom Risa osobiście nadała imiona, nie pozwalając, aby uczynił to za nią losowo komputer. Risa pocieszała się myślą, że jej własne imię pochodziło z nadania ludzkiej istoty a nie komputera. W końcu jej imię nie było przecież aż tak powszechne. – To skrót od *sonrisa* – wyjaśnił jej raz pewien latynoski chłopak. – To po hiszpańsku „uśmiech”. – Risa nie wiedziała, czy w jej żyłach płynie choć odrobina latynoskiej krwi, ale lubiła myśleć, że tak właśnie było. To ją łączyło z jej imieniem.

– O czym myślisz? – zagaja Connor, wyrrywając ją z zadumy i sprowadzając z powrotem do przygnębiającej rzeczywistości wokół nich.

– Nie twoja sprawa.

Connor nie patrzy na nią – wydaje się być skupiony na wielkiej, zardzewiałej płamie na ścianie, rozmyślając. – Wszystko w porządku w związku z dzieckiem? – pyta.

– Oczywiście. – Celowo odpowiada oburzonym tonem, zupełnie jakby pytanie samo w sobie ją uraziło.

– Hannah zapewni jej dobry dom – pociesza ją Connor. – Lepszy niż my jesteśmy w stanie jej dać, to pewne, i o wiele lepszy niż ta zołza ze świńskimi oczkami, której podrzucono dziecko. – Waha się przez moment, po czym mówi: – Nawaliłem, zabierając to dziecko, wiem – ale wszystko dobrze się dla nas skończyło, nie? I na pewno skończyło się lepiej dla dziecka.

– Nigdy więcej tego nie rób. – To wszystko, co odpowiada Risa.

Roland, siedząc z przodu ciężarówki, odwraca się do kierowcy i pyta.

– Dokąd jedziemy?

– Pytasz niewłaściwą osobę – odpowiada kierowca. Podają mi adres. Jadę tam, odwracam wzrok i dostaję kasę.

– Na tym to polega – wtrąca chłopak, który był już w ciężarówce, kiedy ta podjechała pod sklep Sonii. – Przenosimy się z miejsca na miejsce. Jedna kryjówka co kilka dni, potem kolejna i następna. Każda z nich jest nieco bliżej miejsca, do którego zmierzamy.

– Powiesz nam, gdzie to jest? – pyta Roland.

Chłopak rozgląda się dookoła, licząc, że może ktoś inny odpowie za niego, ale nikt nie przychodzi mu z pomocą. Odpowiada więc:

– Cóż, wiem tylko tyle ile sam słyszałem, ale powiadają, że wylądujemy w miejscu zwanym... „cmentarzyskiem”.

Słowo to nie wywołuje u pozostałych żadnej reakcji. Ciszę przerywa jedynie turkot ciężarówki.

Cmentarzysko. – Myśl o tym sprawia, że chłód jeszcze bardziej wstrząsa ciałem Risy. Choć podkuliła nogi i przyciska kolana do piersi, oplatając je ciasno ramionami niczym kaftan bezpieczeństwa, to nadal jest jej przeraźliwie zimno. Connor musi słyszeć jej szczykanie zębami, ponieważ obejmuje ją ramieniem.

– Mnie też jest zimno – mówi. – Ogrzejemy się ciepłem naszych ciał, ok?

I chociaż Risa odczuwa pragnienie, aby go od siebie odepchnąć, zaczyna się do niego przytulać, aż w końcu do jej uszu dochodzi bicie jego serca.

CZĘŚĆ TRZECIA

PODRÓŻ

2003: UKRAIŃSKI SZPITAL POŁOŻNICZY NR 6

(...) BBC przeprowadziło wywiad z matkami z Charkowa, które twierdzą, że po urodzeniu zdrowych dzieci, zostały im one odebrane przez pracowników szpitala. W 2003 roku władze zgodziły się na ekshumację blisko 30 ciał noworodków, pochowanych na cmentarzu użytkowanym przez szpital nr 6. Jednej z działaczek zezwolono na udział w autopsji i nakręcenie materiału dowodowego. Przekazała ona taśmę BBC i Radzie Europy.

W swoim raporcie Rada opisuje ogólny schemat handlu dziećmi porywanymi tuż po porodzie i zasłonę milczenia, jaką na ich dalsze losy spuścili pracownicy szpitala. Zdjęcia przedstawiają organy, w tym mózgi, które zostały usunięte – a niektóre ciała rozczłonkowano. Brytyjski lekarz medycyny sądowej stwierdza, że jest bardzo zaniepokojony widokiem rozczłonkowanych ciał noworodków – ponieważ nie jest to praktykowane podczas standardowej sekcji zwłok. Prawdopodobnie w ten sposób uzyskiwano komórki macierzyste ze szpiku kostnego.

Władze szpitala położniczego nr 6 w Charkowie zaprzeczają tym oskarżeniom.

Matthew Hill, korespondent BBC Health

Materiał BBC NEWS z BBC.com

<http://news.bbc.co.Uk/go/pr/fr/-/2/hi/europe/6171083.stm>

Opublikowano: 2006/12/12 09:34:50 GMT © BBC MMVI



21. LEV

Niech nikt nie próbuje ci wmówić, co podpowiada ci serce, ziom – upomina Leva. – Sam musisz się tego dowiedzieć.

Lev i jego kompan podróży idą wzdłuż torów kolejowych, otoczeni przez gęsty, pokryty zaroślami teren.

– Twoje serce powiedziało ci, abyś uciekł i nie dał się podzielić, więc niech nikt ci ziom nie wmawia, że to coś złego, nawet jeśli jest to niezgodne z prawem. Miłosiwy Pan nie pozwoliłby na to, gdyby nie było to słuszne. Słyszysz mnie, Wąsik? Ponieważ dzielę się z tobą mądrością. Mądrością, którą możesz zabrać ze sobą do grobu, a potem odkopać, kiedy będziesz potrzebował ukojenia. Ukojenia – to znaczy „ulgi”.

– Wiem, co to znaczy – odpowiada Lev, poirytowany na wzmiankę o „Miłosiwym Panie”, który ostatnio niewiele dla niego zrobił, poza zamęceniem mu w głowie.

Chłopak ma piętnaście lat i nazywa się Cyrus Finch – ale używa innego imienia.

– Nikt nie mówi do mnie Cyrus – wyjaśnił Levowi, krótko po tym jak się poznali. – Mówią na mnie CyFi.

I, skoro CyFi ma słabość do ksywek, sam zwraca się do Leva per „Wąs” – w skrócie od gołowąsa. Twierdzi, że skoro ma tyle samo liter, co „Lev”, to będzie odpowiednie. Lev nie chce przekłuwać balonika jego entuzjazmu, zwracając mu uwagę, że jego pełne imię to Levi.

CyFi czerpie przyjemność ze słuchania samego siebie.

– Chodzę w życiu swoimi własnymi ścieżkami – wyjaśnia CyFi. – Dlatego właśnie idziemy torami a nie jakąś starą, głupią, wiejską drogą.

CyFi jest umbroskóry.

– Kiedyś mówili o nas czarni – dasz wiarę? Ale pojawił się ten ziomal artysta – ubarwił swoją skórę, trochę tego, trochę tamtego. Sławę zyskał jednak dzięki portretowaniu ludzi o afrykańskich korzeniach na Głębokim Południu. Najczęściej używanym przez niego odcieniem była umbra. Ludziom spodobało się to o wiele bardziej, więc się przyjęło. Założę się, że nie wiedziałeś skąd pochodzi to słowo, co nie, Wąsik? W ślad za tym, od razu zaczęli mówić na tak zwanych białych „sjena”, zapożyczając nazwę od innego koloru farby. Lepsze słowa. Nie były w żaden sposób nacechowane rasowo. Oczywiście rasizm nie zniknął całkowicie, ale jak to zwykli mówić moi staruszkowie, pozory cywilizacji odziały się w nowe szaty. Podoba ci się to, Wąsik? „Pozory cywilizacji”? – Wypowiadając te słowa, wykonuje w powietrzu powolny ruch ręką, jak gdyby rozkoszował się dotykiem gładkiego wykończenia blatu stołu. – Moi staruszkowie zawsze używają takich słów.

CyFi jest uciekinierem, chociaż twierdzi inaczej.

– Ja nie uciekam od, ziom, ja uciekam do – wyjaśniał mu, kiedy się po raz pierwszy spotkali, chociaż nie powiedział mu, dokąd dokładnie zmierza. Kiedy Lev go o to zapytał, CyFi pokręcił głową i powiedział: – Dowiesz się tyle, ile to konieczne.

Cóż, może mieć swoje tajemnice, ponieważ Lev nie dba o to, dokąd się udaje. Prosty fakt, że ma przed sobą jakiś cel podróży jest dla niego wystarczający. To więcej niż on sam posiada. Cel oznacza przyszłość. Jeżeli ten umbroskóry chłopak może go zaprowadzić aż tam, to warto mieć w nim kompana podróży.

Poznali się w centrum handlowym. Leva zaprowadził tam głód. Ukrywał się w ciemnych, opustoszałych miejscach przez niemal dwa dni, odkąd stracił z oczu Connora i Risę. Głodował, nie mając doświadczenia jako uliczny szczur – ale koniec końców, głód zawsze przemieni każdego w mistrza przetrwania.

Centrum handlowe było mekką dla nowo narodzonych szczurów ulicznych. Część restauracyjna pełna była zadziwiająco rozrzutnych ludzi. Cała sztuka, jak odkrył Lev, polegała na tym, aby odszukać tych, którzy kupili więcej jedzenia niż byli w stanie zjeść, a następnie poczekać, aż skończą. W około połowie przypadków po prostu zostawiali jedzenie na stole. To ich

właśnie szukał Lev – ponieważ mógłby zjeść konia z kopytami, jednak wciąż był zbyt dumny, aby grzebać w śmietniku. Kiedy kończył pałaszować pizzę jakiejś cheerleaderki, usłyszał za sobą głos.

– Nie żryj po kimś odpadków, kolo!

Lev zamarł, pewien, że to ochroniarz gotowy by go przepędzić, ale okazało się, że był to jedynie ten wysoki, umbroskóry chłopak, szczerzący zęby w uśmiechu, owiany aurą pewności siebie, bijącą od niego niczym zapach wody kolońskiej. – Pokażę ci, jak to się robi, ziom. – Następnie podszedł do ślicznej dziewczyny, która pracowała w sieci Wicked Wok Chinese, po-flirtował z nią przez kilka minut, po czym wrócił z pustymi rękoma. Żadnego jedzenia, żadnego picia, nic.

– Chyba pozostanę przy resztkach – skwitował Lev.

– Cierpliwości, młody patafianie. Dostaniemy żarło, gdy będą zamykać. Wszystkie te knajpy, zgodnie z prawem, muszą się pozbyć całego żarcia, które dzisiaj przygotowali. Nie mogą niczego przechować i wrzucić na taśmę następnego dnia. Więc jak myślisz, dokąd powędruje to całe żarło? Już ci mówię ziom, co się z nim dzieje. Ci, co pracują na ostatniej zmianie zabierają je do domu. Ale oni nie wszamią czegoś, co wyłazi im już bokiem. Widzisz tę pannę, z którą gadałem? Lubi mnie. Powiedziałem jej, że pracuję w Shirt Bonanza na dole i że mógłbym jej przynieść parę ciuchów z nadwyżki.

– *Pracujesz tu?*

– Nie! Czy ty w ogóle słuchasz tego, co do ciebie mówię? Tak czy siak, tuż przed zamknięciem znowu zawijam pod Wicked Wok. Obdaruję ją uśmiechem i zagadam: – *Hejka, co ty poczniesz z taką toną żarła?* – A ona odpowie coś w stylu: – *Ale o co kaman?* – I pięć minut później opuszczam lokal z taką ilością chińszczyzny, że mógłbym nią armię wykarmić.

I rzeczywiście, jak powiedział, tak zrobił, wprawiając tym Leva w kompletne zdumienie.

– Trzymaj się mnie – powiedział CyFi, unosząc pięść w powietrzu – a Bóg mi świadkiem, nigdy więcej głodny nie będziesz. – Następnie dodał: – To z „Przeminęło z wiatrem”.

– Wiem – odparł Lev. Jednak tak naprawdę, to nie wiedział.

Lev zgodził się do niego przyłączyć, ponieważ wiedział, że potrzebują siebie nawzajem. CyFi był niczym kaznodzieja bez gromadki wiernych. Nie

mógł egzystować bez publiczności, a Lev potrzebował kogoś, kto napełniłby jego głowę myślami, kto wypełniłby tę próżnię poglądów, w której go dotychczas przetrzymywano.

Dzień później buty Leva są znoszone, a mięśnie obolałe. Wspomnienie o Risie i Connorze wciąż pali go żywym ogniem, którego nie potrafi ugasić. Istnieje możliwość, że zostali złapani. Istnieje możliwość, że zostali podzieleni. Wszystko przez niego. Czy to czyni go współwinnym morderstwa?

Ale jak to, skoro Podzieleni nie są tak naprawdę martwi?

Nie wie już, czyj głos słyszy w swojej głowie. Jego ojca? Pastora Dana? Przyprawia go to o złość. Woli już słuchać głosu CyFia, niż jakichkolwiek głosów pochodzących z wnętrza jego głowy.

Teren wokół nich nie zmienił się zbyt odpuścili miasto. Wysokie krzewy i garstka drzew. Część roślinności to gatunki zimozielone, inne mają już żółte liście przechodzące w brąz. Pomiedzy torami rosną chwasty, ale niezbyt duże.

– Każde zielsko na tyle głupie, aby wyściubić tu swój łeb, nie ma żadnych szans na przeżycie, ziom. Zostanie ścięte przez pierwszy przejeżdżający tędy pociąg. „Ścięte” – czyli „pozbawione głowy”.

– Wiem, co to oznacza. I mógłbyś przestać już mówić w ten sposób; te wszystkie ziomy i cała reszta.

CyFi zatrzymuje się w miejscu, pośrodku torów i wpatruje się w Leva tak, jakby chciał go roztopić wzrokiem.

– Masz jakiś problem z tym, jak mówię? Masz jakiś problem ze Starą Gwarą Umbrów?

– Tak, jeżeli jest udawana.

– O czym ty bredzisz, kolo!

– To oczywiste. Założę się, że wcześniej nikt nawet nie używał takich słów jak „kolo”, poza głupimi przedwojennymi programami w telewizji i im podobnymi. Celowo kaleczysz język.

– Kaleczę? Z której strony go niby kaleczę? To klasyka, tak jak te programy telewizyjne – i nie podoba mi się, że nie okazujesz szacunku mojej gwarze. Gwara, znaczy...

– Wiem, co to znaczy – odparowuje Lev, choć nie jest do końca pewien. – Nie jestem głupi, ziom.

CyFi unosi oskarżający palec, niczym prawnik.

– A-HA! Powiedziałeś „ziom”. Kto teraz kaleczy język?

– To się nie liczy! Użyłem tego słowa, ponieważ bez przerwy je u ciebie słyszę! Po jakimś czasie, nie poradzę nic na to, że zacznam mówić jak ty!

Usłyszawszy to, CyFi szeroko się uśmiecha.

– Racja – odpowiada. – To prawda, ziom. Stara Gwara Umbrów jest za-
rażliwa. Jest *dominująca*. A to, że ktoś się nią posługuje, nie oznacza, że jest
kretynem. Musisz wiedzieć, Wąsik, że uzyskałem z czytania i pisania najlep-
szy wynik w całej szkole. Ale muszę okazać szacunek moim przodkom
i temu, przez co musieli przejść, żebym mógł tu w ogóle być. Pewnie, że
mogę mówić jak ty, ale wybieram inaczej. To jest jak sztuka, wiesz? Picasso
musiał udowodnić światu, że potrafi normalnie malować, zanim zaczął
umieszczać jedno i drugie oko po tej samej stronie twarzy, nosy wystające
z kolan i temu podobne. Widzisz, jeżeli malujesz źle, ponieważ tylko na tyle
cię stać, to jesteś po prostu tępą dzidą. Ale jeżeli robisz to, ponieważ tego
chcesz, wtedy jesteś artystą. – Uśmiecha się do Leva. – Masz tu nieco mojej
mądrości, Wąsik. Możesz ją zabrać do grobu i odkopać, kiedy będzie ci po-
trzebna.

CyFi odwraca się i wypluwa kawałek gumy, który trafia w szynę i przy-
kleja się do niej, następnie wpycha do ust kolejny kawałek.

– Tak czy siak, moi staruszkowie nie widzą w tym żadnego problemu –
a obaj są sjena, jak ty.

– Obaj? – Cy mówił wcześniej „staruszkowie”, ale Lev sądził, że musiał
to być jakiś kolejny slang.

– No – oznajmia CyFi, wzruszając ramionami. – Mam dwóch ojców. Nie
ma się czym jarać.

Lev stara się ze wszystkich sił przetworzyć tę wiadomość. Oczywiście sły-
szał o wychowywaniu dzieci przez mężczyzn – albo o „rodzinach jin”, jak są
obecnie określane – ale w chronionej konstrukcji jego życia, takie rzeczy za-
wsze należały do alternatywnego świata.

Jednak CyFi nawet nie zwraca uwagi na zaskoczenie Leva. W dalszym
ciągu pracuje nad swoim pijarem.

– No tak, mój iloraz inteligencji wynosi 155. Wiedziałaś o tym, Wąsik?
Pewnie, że nie – bo niby skąd. – Następnie się waha. – Chociaż polecałem
o parę punktów w dół, przez ten wypadek. Jechałem rowerem i wrąbał
we mnie jakiś kretyn w mercedesie. – Wskazuje na bliznę z boku głowy. –
Totalny bajzel. Ręka, noga, mózg na ścianie. Rozjechał mnie, jak jakiegoś je-

żozwierza. Zamienił mój prawy płat skroniowy w kisiel. – Wzdryga się, kiedy o tym pomyśli. – Ale uszkodzenia mózgu nie są już problemem, tak jak to było kiedyś. Po prostu zastępuję uszkodzoną tkankę mózgu i voila, jesteś odpicowany. Moi staruszkowie zapłacili nawet chirurgowi, abym dostał cały płat skroniowy od jednego Podzielonego – bez obrazy – zamiast jakiegoś zbitka mózgowic, które *normalnie* się dostaje.

Lev o tym wie. Jego siostra, Cara, cierpi na epilepsję, więc zastąpili niewielki kawałek jej mózgu setką maleńkich kawałeczków innych. To rozwiązało problem i jej stan nie wydawał się z tego powodu w jakikolwiek sposób pogorszyć. Lev nigdy wcześniej nie zastanawiał się nad tym, od kogo te małe kawałki tkanki mózgowej mogły pochodzić.

– Widzisz, te kawałki mózgu spisują się dobrze, ale nie świetnie – wyjaśnia CyFi. – To tak, jakbyś nałożył masę szpachlową na dziurę w ścianie. Bez względu na to, jak dobrze to zrobisz, to ściana i tak nigdy nie będzie już taka jak przedtem. Więc moi staruszkowie dopilnowali, abym dostał cały płat skroniowy od jednego dawcy. Jednak z tego dzieciaka nie był taki bystrzak jak ze mnie. Nie był głupolem, ale do Mensy raczej by go nie przyjęli. Po ostatnim badaniu moje IQ wynosiło 130. Ten wynik plasuje mnie w najlepszych pięciu procentach populacji i wciąż jestem postrzegany jako geniusz. Tyle, że nie przez duże G. A jakie ty masz IQ? – zwraca się do Leva. – Jesteś przyciemnioną żarówką, czy nowoczesną świetlówką?

Lev wzdycha.

– Nie wiem. Moi rodzice nie wierzą w testy inteligencji. To kwestia religijna. W oczach Boga wszyscy jesteśmy równi i tym podobne.

– Aaa, pochodzisz z jednej z *tych* rodzin. – CyFi przygląda mu się dokładnie. – Więc skoro są tacy napuszeni, to dlaczego oddają cię na podzielenie?

Chociaż Lev nie chce się w to zagłębiać, to dochodzi do wniosku, że CyFi jest jedynym przyjacielem jakiego ma. Równie dobrze może powiedzieć mu prawdę.

– Jestem dziesięćrodny.

CyFi spogląda na niego z szeroko otwartymi oczyma, zupełnie jak gdyby Lev powiedział mu właśnie, że jest Bogiem.

– Psiakrew! Więc jesteś uświęcony i takie tam?

– Już nie.

CyFi przytakuje i marszczy usta, nie odzywając się przez jakiś czas. Idą wzdłuż torów. Linia kolejowa zmienia się z drewnianej na kamienną, a żwir z boku torów wydaje się teraz lepiej utrzymany.

– Właśnie przekroczyliśmy granicę stanu – objaśnia CyFi.

Lev chciałby go zapytać o to, którego stanu granicę właśnie przekroczyli, ale nie chce zabrzmieć głupio.

* * *

W każdym z miejsc, w którym liczne tory łączą się ze sobą lub rozwidlają, znajdują się dwupiętrowe budy, które wyglądają jak przemieszczone latarnie morskie. Jest ich całe mnóstwo, ciągnących się wzdłuż torowiska i to właśnie w nich Lev oraz CyFi znajdują co noc schronienie.

– Nie boisz się, że ktoś z kolejarzy nas tu znajdzie? – pyta Lev, kiedy podchodzą do jednej z godnych pożalowania konstrukcji.

– Gdzie tam – już z nich nie korzystają – odpowiada mu CyFi. – Cały system jest zautomatyzowany – tak jest od lat, ale zbyt wiele kosztowałoby ich wyburzenie tych nastawni. Pewnie doszli do wniosku, że prędzej czy później, matka natura zrobi to za nich.

Budynek nastawni jest zamknięty na kłódkę, ale sama kłódka jest tak samo solidna, jak drzwi, do których jest przymocowana – a te zostały nadżarte przez termyty. Pojedynczy kop odrywa skobel z kłódką od drewna i drzwi wlatują do środka, zatapiając się w kłębach kurzu i zdechłych pająkach.

Na piętrze znajduje się pokój o wymiarach dwa i pół na dwa i pół metra, z oknami na każdej ze ścian. Jest przeraźliwie zimno. CyFi ma wyglądający na drogi, zimowy płaszcz, dzięki któremu nie marznie w nocy. Lev ma jedynie puszystą kurtkę z włókna syntetycznego, którą zwędził wcześniej z krzesła w centrum handlowym.

CyFi kręcił nosem, kiedy zobaczył, jak Lev kradnie tę kurtkę, tuż przed tym jak opuścili centrum handlowe.

– Kradzież jest dla zwyrodnialców – zbeształ go Cy. – Jeżeli masz klasę, to nie musisz kraść niczego, co ci potrzebne; robisz tak, aby inni dali ci to z własnej woli – dokładnie tak, jak postąpiłem w tej knajpie z chińszczyzną. Musisz być bystry i gładki w obyciu. Nauczysz się.

Kradziona kurtka Leva jest biała i nie cierpi jej. Przez całe swoje życie nosił białe ubranie – nieskazitelna absencja koloru, która go odznaczała – jednak teraz nie odczuwał żadnego komfortu z przywdziewania go.

Tej nocy najedli się do syta – o co zadbał Lev, który w końcu doznał własnego olśnienia w kwestii przetrwania. Dotyczyło ono małych zwierząt zabi- janych przez przejeżdżające pociągi.

– Nie wsadzę do ust żadnego rozjechanego futrzaka! – upierał się CyFi, kiedy Lev zaproponował wieczorne menu. – To coś może tam gnić od tygo- dni.

– Nie – odpowiedział mu Lev. – Powiem ci, co zrobimy: pójdziemy parę kilometrów wzdłuż torów, oznaczając każde martwe stworzenie patykiem. Następnie, kiedy przejedzie kolejny pociąg, wrócimy. Wszystko, co znaj- dziemy, a nie będzie oznaczone patykiem, będzie świeże. – Prawdę mówiąc, na pierwszy rzut oka pomysł wydawał się iście obrzydliwy, ale w istocie nie różnił się on niczym od polowania – jeżeli twoją bronią jest silnik diesla.

Rozpalili niewielkie ognisko obok nastawni i na obiad spożyli piezonego królika oraz pancernika – który nie smakował aż tak źle, jak Lev się tego spodziewał. Koniec końców, mięso to mięso, a grillowanie sprawdza się tak samo dobrze w przypadku pancernika, jak i steków.

– Prawdziwy żer dla skner! – tak CyFi postanawia ochrzcić ich metodę ło- wiecką, kiedy jedzą. – I to właśnie nazywam kreatywnym rozwiązywaniem problemów. Kto wie, może jednak jesteś geniuszem, Wąsik.

Miło jest uzyskać uznanie ze strony CyFia.

– Hej, czy dzisiaj jest czwartek? – pyta Lev, właśnie zdając sobie z tego sprawę. – Wydaje mi się, że dzisiaj jest Święto Dziękczynienia!

– Żyjemy, Wąsik. Więc mamy za co dziękować.

Tamtej nocy, na górze w niewielkim pokoju nastawni, CyFi zadaje ważne pytanie.

– Dlaczego twoi rodzice postanowili złożyć cię w ofierze, Wąsik?

Jednym z dobrych aspektów przebywania z CyFiem jest to, że mówi wiele o samym sobie. Dzięki temu Lev nie wraca myślami do własnego życia. Oczywiście poza chwilami, kiedy Cy go o nie pyta. Lev odpowiada mu mil- czeniem, udając, że śpi – i jeżeli jest jedna rzecz, której CyFi nie znosi, to jest to cisza, więc wypełnia ją sam.

– Podrzucił cię bocian? O to chodzi? Od początku cię nie chcieli i nie mogli się doczekać, aż się ciebie pozbędą?

Lev w dalszym ciągu nie otwiera oczu i nie porusza się.

– *Mnie* bocian podrzucił – kontynuuje CyFi. – Moi rodzice znaleźli mnie pod drzwiami pierwszego dnia lata. Nic się w sumie nie stało – i tak chcieli założyć rodzinę. W sumie, to tak bardzo się ucieszyli, że w końcu ogłosili to oficjalnie i zawarli małżeństwo.

Lev otwiera oczy, na tyle zaciekawiony, aby przyznać, że jeszcze nie śpi. – Ale... czy po Wojnie Moralnej nie zabroniono mężczyznom zawierać ze sobą małżeństw?

– Oni nie zawarli małżeństwa, tylko mmałżeństwo.

– Co to za różnica?

CyFi spogląda na niego, jak na kretyna.

– Litera m. Tak czy inaczej, na wypadek gdyby cię to zastanawiało, to nie jestem taki jak moi rodzice – mój kompas wskazuje na laski, jeżeli wiesz, co mam na myśli.

– Taaa. Mój też. – Nie mówi mu jednak o tym, że najbliższą formą randki, czy też możliwością pocałowania dziewczyny, jaką miał, był powolny taniec na jego przyjęciu dziesięcinowym.

Myśl o przyjęciu przynosi nagły, przenikliwy napad lękowy, który sprawia, że chce krzyczeć, więc zamyka mocno powieki i stara się odegnać to niespodziewane uczucie.

Wszystko, co się tyczy jego dawnego życia wydaje się teraz być niczym tykająca bomba zegarowa w jego głowie. *Zapomnij o tamtym życiu* – powtarza sobie. – *Nie jesteś już tamtym chłopakiem.*

– Jacy są twoi staruszkowie? – pyta CyFi.

– Nienawidzę ich – odpowiada Lev, zaskoczony, że to powiedział. Zaskoczony, że tak myśli.

– Nie o to pytałem.

Tym razem Cy nie przyjmuje milczenia za odpowiedź, więc Lev odpowiada mu najlepiej, jak potrafi.

– Moi rodzice – zaczyna – robią wszystko to, co powinni. – Płacą podatki. Chodzą do kościoła. Podczas wyborów głosują na tych, których popierają ich przyjaciele i myślą to, co powinni, i posyłają nas do szkół, które nauczą nas myśleć dokładnie tak jak oni.

- Jak dla mnie to nie brzmi aż tak strasznie.
- Bo nie było – odpowiada Lev, jego dyskomfort się pogłębia. – Ale kochali Boga bardziej ode mnie i za to ich nienawidzę. Więc wychodzi na to, że trafię do piekła.
- Mhm. Wiesz co? Kiedy już tam trafisz, to zabukuj dla mnie jakąś pryczę, okay?
- Po co? Dlaczego sądzisz, że tam wylądujesz?
- Nie sądzę, ale tak na wszelki wypadek. Trzeba być przygotowanym na różne ewentualności, co nie?

Dwa dni później docierają do miasta Scottsburg w stanie Indiana. Przy najmniej teraz Lev wie, gdzie się znajdują. Zastanawia się, czy to aby nie jest cel podróży CyFia ale CyF, tak czy inaczej nic mu nie powiedział. Opuścili tory kolejowe i CyFi objaśnia Levowi, że muszą udać się na południe drogami hrabstwa, dopóki nie natrafią na tory, które będą zmierzały w tamtym kierunku.

Cy nie zachowuje się normalnie.

Zaczął się przedwczoraj wieczorem. Coś jest w jego głosie. Coś jest też w jego oczach. Z początku Lev sądził, że to tylko jego wyobraźnia, ale teraz w bladym świetle jesiennego dnia oczywistym jest, że CyFi nie jest sobą. Zostaje w tyle za Levem zamiast go prowadzić. Jego zamaszysty krok całkowicie zniknął – teraz bardziej przypomina powłóczenie nogami, niż dumny chód. Wszystko to sprawia, że Lev zaczyna się niepokoić, w sposób, w jaki mu się to nie zdarzało odkąd poznał CyFia.

- Czy ty w ogóle zamierzasz kiedykolwiek mi powiedzieć dokąd idziemy?
- pyta Lev, myśląc, że może są już niedaleko i że może dlatego właśnie CyFi tak dziwnie się zachowuje.

CyFi waha się, rozważając, czy w ogóle coś odpowiedzieć. W końcu mówi:

- Idziemy do Joplin. To w południowowschodnim Missouri, więc przed nami jeszcze długa droga.

W swojej głowie Lev odnotowuje, że CyFi całkowicie zaprzestał używać swojej Starej Gwary Umbrów. Teraz brzmi tak, jak każdy inny dzieciak, którego Lev mógł znać wcześniej. Ale jest też teraz również coś mrocznego i chrapliwego w jego głosie. Jakby groźnego, niczym głos wilkołaka przed przemianą.

- Co jest w Joplin? – pyta Lev.
- Nic, czym musiałbyś się niepokoić.

Jednak Lev *zaczyna* się niepokoić – ponieważ kiedy CyFi dotrze tam, dokąd zmierza, Lev ponownie pozostanie sam. Ta podróż była o wiele łatwiejsza, kiedy nie znał jej celu.

Idąc, Lev dostrzega, że jego kompan myślami znajduje się gdzieś daleko. Może w Joplin. Co tam może być? Może jego dziewczyna się tam przeprowadziła? Może odnalazł tam swoją biologiczną matkę. Lev wymyślił z tuzin powodów, dla których CyFi udał się w tę podróż, a jest zapewne z tuzin kolejnych, które nie przyszły mu nawet do głowy.

Główna ulica w Scottsburg próbuje uchodzić za uroczą, ale wygląda po prostu na podniszczoną. Jest późny poranek, kiedy przechodzą przez miasto. Restauracje przygotowują się na nadejście tłumów nadciągających w porze lunchu.

- Więc jak, użyjesz swojego wdzięku i załatwisz nam darmowy posiłek, czy teraz ja mam spróbować? – pyta Lev. Odwraca się do CyFia, ale go tam nie ma. Szybkie spojrzenie na sklepy znajdujące się za nim i Lev dostrzega zamykające się drzwi. To sklep z artykułami świątecznymi – wszystkie okna przyozdobione są zielonymi i czerwonymi dekoracjami, plastikowym reniferem i sztucznym śniegiem. Lev nie potrafi sobie wyobrazić, żeby Cy mógł tam wejść, jednak kiedy spogląda przez szybę dostrzega go, rozglądającego się wewnątrz niczym zwykły klient. Mając na uwadze dziwne zachowanie CyFia, Levowi nie pozostaje nic innego, jak również wejść do środka.

Wewnątrz jest ciepło i pachnie sztuczną sosną. Jest to tego rodzaju zapach, który umieszcza się na samochodowych odświeżaczach powietrza. Wszędzie wokół pełno jest starannie utrzymanych aluminiowych choinek, obwieszonych wszelkiego rodzaju świątecznymi ozdobami, każda w innym stylu. W innym miejscu i czasie Lev z przyjemnością powłóczyłby się po sklepie takim jak ten.

Sprzedawczyni przygląda im się podejrzliwie zza lady. Lev chwytą CyFia za ramię.

- Chodź, idziemy stąd. – Jednak Cy strząsa jego dłoń i podchodzi do drzewka, które całe udekorowane jest mieniącym się złotem. Wydaje się być zauroczony tymi wszystkimi światełkami i świecidełkami. Tuż pod jego lewym okiem pojawia się małeńki tik.

– Cy – szepcze Lev. – No chodź, musimy dotrzeć do Joplin. Pamiętasz? Joplin.

Jednak Cy nie rusza się z miejsca. Podchodzi do nich ekspedientka. Ubrana jest w świąteczny sweter i równie świąteczny uśmiech.

– Mogę w czymś pomóc?

– Nie – odpowiada Lev. – Właśnie wychodziliśmy.

– Dziadek do orzechów – mówi Cy. – Szukam dziadka do orzechów dla mojej mamy.

– Ach, są na tylnej ścianie. – Kobieta odwraca się, aby spojrzeć na ścianę po przeciwnej stronie sklepu i w chwili, kiedy to czyni, Cy zrywa wiszącą złotą bombkę z mieniącego się drzewka i wsuwa ją do kieszeni płaszcza.

Lev po prostu stoi w miejscu, zszokowany.

Cy nie spogląda nawet w jego stronę, kiedy podąża za ekspedientką w stronę tylnej ściany, gdzie rozmawiają o dziadkach do orzechów.

Gdzieś głęboko w jego wnętrzu zaczyna fermentować panika, powoli wydostając się na powierzchnię. Cy i ekspedientka rozmawiają przez kolejnych kilka chwil a następnie Cy dziękuje jej i wraca do przedniej części sklepu.

– Muszę wziąć z domu więcej pieniędzy – oznajmia swoim/nieswoim głosem. – Myślę, że mojej mamie spodoba się ten niebieski.

Ty nie masz mamy – chce mu powiedzieć Lev, ale tego nie robi, ponieważ jedyne, co ma teraz znaczenie, to wydostać się ze sklepu.

– W porządku – odpowiada ekspedientka. – Miłego dnia!

Cy wychodzi i Lev pilnuje, aby znaleźć się tuż za nim, na wypadek gdyby Cy poczuł nagle urojoną potrzebę powrotu do sklepu i zabrania czegoś jeszcze.

Następnie, w chwili, kiedy drzwi do sklepu zamykają się za nimi, Cy rzuca się do biegu. On nie tyle biegnie, co wręcz pędzi, jakby starał się wyskoczyć z własnej skóry. Biegnie wzdłuż przecznicy, następnie wybiega na ulicę. Po czym z powrotem. Samochody trąbią, ciężarówka o mało go nie rozjeżdża na miejscu. Rzuca się w różnych kierunkach, niczym balon, z którego ulatuje powietrze, a następnie znika w jakimś zaułku w odległej części ulicy.

Tu nie chodzi o złotą świąteczną bombkę. Nie może o to chodzić. To jakieś załamanie. Napad, którego natury Lev nie może nawet próbować odgadnąć. *Powiniennem go zostawić* – myśli. – *Zostawić go, uciec w przeciwnym kierunku i nie oglądać się za siebie.* Lev może sobie teraz dać radę sam. Jest

już wystarczająco cwany, aby przetrwać na ulicy. Dałby sobie radę bez CyFia.

Jednak zanim Cy uciekł, w jego spojrzeniu czaiło się coś niepokojącego. Desperacja. Dokładnie takie samo spojrzenie miał Connor, w chwili, kiedy wyciągał Leva z wygodnego sedana jego ojca. Lev zwrócił się wtedy przeciwko Connorowi. Ale nie zwrócił się przeciwko CyFiowi.

Szybkim, zamaszystym i znacznie bardziej opanowanym od CyFia krokiem, Lev przechodzi przez ulicę i podąża wzdłuż zaułka.

– CyFi – woła na tyle głośno, aby zostać usłyszanym, jednak nie aż tak głośno, aby przyciągnąć czyjąś uwagę. – Cy! – Zerka na kontenery i drzwi. – Cyrus, gdzie jesteś?

Dochodzi do końca zaułka i rozgląda się na prawo i lewo. Ani śladu po nim. Wtedy, w chwili kiedy niemal opuszcza go już nadzieja, słyszy:

– Wąsik?

Odwraca głowę i ponownie nasłuchuje.

– Wąsik. Tutaj.

Tym razem już wie, skąd pochodzi głos: z placu zabaw po jego prawej stronie. Zielony plastik i stalowe słupki pomalowane na niebiesko. Nie ma tam żadnych bawiących się dzieci – jedyną oznaką życia jest czubek buta CyFia, który wystaje zza zjeżdżalni. Lev przechodzi przez żywopłot, wchodzi na piasek otaczający plac zabaw i obchodzi konstrukcję dookoła, dopóki CyFi nie pojawia się na widoku.

Lev chce się niemal cofnąć na widok, który ukazuje się jego oczom.

Cy zwinął się w kłębek, przyciskając kolana do piersi, niczym małe dziecko. Lewa strona jego twarzy drży, a jego lewa dłoń trzęsie się jak galareta. Na jego twarzy maluje się grymas cierpienia.

– Co ci jest? Co się stało? Powiedz. Może będę mógł ci pomóc.

– Nic – syczy CyFi. – Nic mi nie będzie.

Jednak według Leva wygląda tak, jakby umierał.

W trzęsącej się lewej dłoni CyFi trzyma ozdobę, którą ukradł.

– Nie ukradłem jej – mówi.

– Cy...

– POWIEDZIAŁEM, ŻE JEJ NIE UKRADŁEM! – Uderza prawą dłonią w bok swojej głowy. – TO NIE JA!

– Okay – skoro tak mówisz. – Lev rozgląda się dookoła, aby upewnić się, że nikt ich nie obserwuje.

Cy nieco się uspokaja.

– Cyrus Finch nie kradnie. Nigdy tego nie zrobiłem i nigdy nie zrobię. To nie w moim stylu. – Wypowiada te słowa, nawet wtedy, kiedy spogląda na dowód przestępstwa, który znajduje się w jego dłoni. Jednak w jednej sekundzie dowód przepada.

CyFi unosi prawą pięść i rozgniata go w lewej dłoni, miażdżąc bombkę. Złote kawałki szkła, brzęcząc, opadają na ziemię. Krew zaczyna sączyć się z wewnętrznej części jego lewej dłoni oraz prawych kłycki.

– Cy, twoja ręka...

– Nie przejmuj się tym – odpowiada. – Chcę, abys coś dla mnie zrobił, Wąsik. Zrób to zanim zmienię zdanie.

Lev przytakuje.

– Widzisz mój płaszcz? Chcę, abys zajrzał do kieszeni.

Ciężki płaszcz CyFia znajduje się kilka kroków od nich, przerzucony przez siedzenie huśtawki. Lev podchodzi do huśtawki i podnosi płaszcz. Przeszukuje wewnętrzną kieszeń i znajduje, o dziwo, złotą zapalniczkę. Wyjmuje ją.

– O to chodzi, Cy? Chcesz papierosa? – Jeżeli papieros może go z tego wyciągnąć, to Lev jako pierwszy go dla niego zapali. Są przecież rzeczy znacznie bardziej nielegalne niż papierosy.

– Sprawdź pozostałe kieszenie.

Lev przeszukuje pozostałe kieszenie płaszcza w poszukiwaniu paczki papierosów, ale na żadną nie natrafia. Zamiast tego znajduje mały skarb. Wysadzane klejnotami kolczyki, zegarki oraz złoty naszyjnik i diamentową bransoletkę – rzeczy, które błyszczą i lśnią nawet w przyćmionym świetle.

– Cy, co ty zrobiłeś...?

– Już ci mówiłem, że to nie ja! A teraz zabierz te wszystkie rzeczy i pozbądź się ich. Pozbądź się ich i dopilnuj, żebym nie widział gdzie je zostawisz. – Następnie zakrywa oczy dłońmi, zupełnie jakby to była zabawa w chowanego. – Idź już – zanim zmienię moje zdanie!

Lev wyjmuje wszystkie przedmioty z kieszeni i trzymając je w ramionach biegnie na drugi koniec placu zabaw. Kopie dziurę w zimnym piasku i wrzuca zawartość kieszeni do środka, a następnie zasypuje dziurę piaskiem przy użyciu nogi. Gdy kończy, wygładza powierzchnię bokiem buta i rozrzuca na wierzch trochę liści. Wraca do CyFia, który siedzi w tym samym miejscu, w którym go zostawił, zakrywając twarz dłońmi.

– Gotowe – oznajmia Lev. – Możesz już patrzeć. – Kiedy Cy zabiera dłonie, na całej jego twarzy uwidaczniają się ślady krwi pochodzące z ran na dłoniach. Cy wpatruje się swoje dłonie, po czym spogląda bezradnie na Leva, niczym... cóż, niczym dziecko, które skaleczyło się na placu zabaw. Lev poniekąd spodziewa się jego łez.

– Zaczekaj tu – mówi Lev. – Załatwię jakiś bandaż. – Wie, że będzie musiał go ukraść. Zastanawia się, co pastor Dan powiedziałby na temat tych wszystkich kradzieży, których się ostatnio dopuścił.

– Dziękuję, Wąsik – odpowiada Cy. – Postąpiłeś dobrze i nie zapomnę ci tego, ziom. – Stara melodia Umbrów rozbrzmiała w jego głosie. Tik ustąpił.

– Jasna sprawa – odpowiada Lev, obdarzając go pocieszającym uśmiechem, po czym odchodzi w poszukiwaniu apteki.

CyFi nie wie jednak, że Lev zatrzymał diamentową bransoletkę, którą chowa teraz do wewnętrznej kieszeni swojej nie tak białej już kurtki.

Lev znajduje dla nich miejsce do spania na tę noc. Jest najlepsze spośród tych, jakie do tej pory mieli; pokój w motelu. Jego znalezienie wcale nie było takie trudne – znalazł podupadły motel, przed którym nie było zbyt wielu samochodów. Później była to już jedynie kwestia znalezienia otartego okna do łazienki w niezajmowanym pokoju. Tak długo jak mieli zaciągnięte zasłony i zgaszone światła, nikt nie zdawał sobie sprawy z ich obecności.

– Mój geniusz zaczyna ci się udzielać – wyjaśnia mu CyFi, który na powrót stał się dawnym sobą, zupełnie jak gdyby do wydarzeń z dzisiejszego ranka w ogóle nie doszło. Z tym wyjątkiem, że jednak *doszło* i obaj o tym wiedzą.

Słyszą, jak ktoś na zewnątrz otwiera drzwi samochodu. Są gotowi do ucieczki, jeżeli tylko usłyszą dźwięk przekręcanego klucza w zamku ich pokoju, jednak do ich uszu dochodzi dźwięk drzwi otwieranych o kilka pokoi dalej. Z CyFia ustępuje napięcie, jednak Lev nie uspokaja się. Jeszcze nie.

– Chcę wiedzieć, co się dzisiaj wydarzyło – mówi Lev. To nie jest pytanie. Nie jest to również prośba.

Cy nie przejmuje się tym.

– Było, minęło – odpowiada. – Zostaw przeszłość za sobą i żyj chwilą. Tę mądrość może zabrać do grobu i odkopać, kiedy będzie ci potrzebna!

– A co, jeśli odkopię ją teraz? – Lev czeka przez chwilę, aż CyFi zrozumie, następnie sięga do kieszeni i wyciąga z niej diamentową bransoletkę. Trzyma ją tuż przed nim, upewniając się, że światło z latarni wpada do środka przez szparę w zasłonach, oświetlając diamenty tak, aby rozbłysły.

– Skąd to masz? – Głos CyFia stracił całą swą obfitość, którą posiadał jeszcze przed chwilą.

– Zatrzymałem – odpowiada spokojnie Lev. – Pomyślałem, że może się przydać.

– Kazałem ci się tego pozbyć.

– To nie było twoje, abyś mógł się tego pozbyć. W końcu sam przecież powiedziałeś – ty tego nie ukradłeś. – Lev obraca bransoletkę tak, że diament odbija błysk światła wprost w oko CyFia. Bez włączonego światła Lev widzi niewiele, ale może przysiąc, że widzi jak policzek CyFia zaczyna drgać.

Cy wstaje, wyłaniając się przed Levern. Lev również się podnosi, jest o całą głowę niższy od CyFia.

– Zabierz to coś ode mnie – ostrzega go CyFi – albo przysięgam, że zrobię ci z twarzy kartoflisko.

Lev dochodzi do wniosku, że on faktycznie może to zrobić. CyFi zaciska pięści; wygląda teraz jak bokser, z dłońmi owiniętymi bandażem przed założeniem rękawic. Pomimo to, Lev nie wycofuje się. Wymachuje jedynie bransoletką, posyłając maleńkie, lśniące światełka, które migają po całym pokoju niczym obracająca się kula disco.

– Odłożę to, jeśli powiesz mi, dlaczego ta bransoletka i wszystkie te pozostałe rzeczy wylądowały w twoich kieszeniach.

– Najpierw to odłóż, wtedy ci powiem.

– W porządku. – Chowa bransoletkę z powrotem do kieszeni i czeka, ale CyFi milczy.

Więc Lev daje mu małą zachętę.

– Jak mu na imię? – pyta Lev. – A może to ona?

CyFi zwiesza ramiona w geście porażki. Osuwa się na krzesło. W ciemności Lev nie może teraz w ogóle dostrzec jego twarzy, więc wsłuchuje się uważnie w jego głos. Tak długo jak nadal będzie brzmiał jak głos CyFia, to wie, że z CyFiem wszystko w porządku. Lev siada na krawędzi łóżka o kilka kroków od niego i zamienia się w słuch.

– To on – wyjaśnia Cy. – Nie znam jego imienia. Musiał je przechowywać w innej części swojego mózgu. Dostałem od niego jedynie prawy płat skro-

niowy. To za ledwie jedna z ośmiu części kory mózgowej, więc w siedmiu ósmym jestem sobą, a w jednej ósmej nim.

– Domyśliłem się, że o to chodzi. – Lev zdał sobie sprawę z tego, co się działo z CyFiem jeszcze zanim zdążył ukraść bandaż z apteki. Cy sam zostawił mu wskazówkę. Zrób to, zanim zmieni moje zdanie – powiedział wcześniej Cy. – Więc... on był złodziejaskiem?

– On... miał problemy. Myślę, że dlatego właśnie jego starzy oddali go od razu na podzielenie. A teraz jeden z jego problemów stał się moim.

– Co za beznadzieja.

CyFi uśmiecha się na to z goryczą.

– Masz rację Wąsik, masz rację.

– W sumie podobna rzecz spotkała mojego brata Raya – mówi Lev. – Wziął udział w jakimś rządowym przetargu – i wyszedł stamtąd z dziesięcioma akrami nad jeziorem, płacąc za to tyle co kot napłakał. Następnie dowiaduje się, że na jego terenie znajduje się bunkier pełen toksycznych chemikaliów, które wyciekają do ziemi. Teraz, kiedy jest już jego właścicielem, to jest jego problem. Pozbycie się chemikaliów kosztowało go niemal dziesięć razy tyle ile zakupiona ziemia.

– Frajer – kwituje Cy.

– No. Ale przynajmniej te chemikalia nie pustoszyły jego mózgu.

Cy spuszcza na chwilę wzrok.

– To nie jest zły dzieciak. On po prostu cierpi. Naprawdę cierpi. – Sposób, w jaki Cy o tym mówi, sprawia wrażenie, jak gdyby ten chłopak nadal tam był, siedział w tym pokoju razem z nimi. – On ma tę chciwą, żeby coś zwędzić – to jest jak uzależnienie, wiesz? Głównie błyskotki. Nie chodzi o to, że on ich potrzebuje, on po prostu musi je zajmować. Myślę, że gościu jest kleptomaniem. To znaczy... a zresztą, wiesz co to znaczy.

– Więc, on z tobą rozmawia?

– Nie, niezupełnie. Nie dostałem po nim tej części odpowiedzialnej za mowę. Głównie odbieram jego uczucia. Czasami obrazy, ale przeważnie po prostu uczucia. Pragnienia. Kiedy ogarnia mnie jakieś pragnienie i nie wiem skąd się bierze, to wiem, że pochodzi od niego. Jak wtedy, kiedy zobaczyłem na ulicy setera irlandzkiego i chciałem do niego podejść i go pogłaskać. Widzisz, ja nie przepadam za psami, ale nagle musiałem poklepać to psisko.

Teraz, kiedy Cy zaczął już o tym mówić, nie potrafi przestać. Wszystko się z niego wylewa, jak woda przez zapórę.

– Głaskanie tego psa to jedna sprawa, ale kradzież to coś zupełnie innego. Kradzież doprowadza mnie do szaleństwa. Rozumiesz, ja, przestrzegający prawa przykładowy obywatel, nigdy w życiu nie wziąłem niczego, co do mnie nie należało, a teraz spotyka mnie coś takiego. Są ludzie – jak ta kobieta w tamtym sklepie – którzy widzą umbroskórego dzieciaka takiego jak ja, i automatycznie zakładają, że na pewno coś kombinuję. A teraz, przez tego chłopaka w mojej głowie, mają rację. Chcesz usłyszeć coś zabawnego? Ten dzieciak był sjeną, jak ty. Blond włosy, niebieskie oczy.

Ta informacja zaskakuje Leva. Nie opis, ale fakt, że Cy potrafi w ogóle go opisać.

– Wiesz, jak wyglądał?

CyFi przytakuje.

– Czasami go widzę. To trudne, ale czasami mi się udaje. Zamykam oczy i wyobrażam sobie siebie spoglądającego w lustro. Przeważenie widzę po prostu swoje odbicie, ale raz na jakiś czas widzę jego. Jedynie przez krótką chwilę. To trochę tak, jakbyś próbował złapać błyskawicę, po tym jak zobaczyłeś już jej błysk. Ale pozostali – oni nie widzą jego, kiedy kradnie. Widzą mnie. *Moje ręce kradną.*

– Ci, którzy się liczą, wiedzą, że to nie ty. Twoi ojcowie...

– Oni nawet o tym nie wiedzą! – wyrzuca z siebie Cy. – Sądzą, że wyświadczyli mi przysługę, wkładając mi ten kawałek mózgu. Gdybym im o tym powiedział, to wina zżerałaby ich aż do końca świata, więc nie mogę tego zrobić.

Lev nie wie, co powiedzieć. Żałuje, że w ogóle poruszył ten temat. Żałuje, że tak się upierał, aby wiedzieć. Ale przede wszystkim żałuje, że Cy musi się z tym zmagać. To dobry chłopak. Zasługuje na lepszą szansę.

– A ten chłopak – nawet nie rozumie, że jest częścią mnie – ciągnie Cy. – To tak jak z tymi duchami, które nie wiedzą, że nie żyją. Cały czas usiłuje być sobą i nie potrafi zrozumieć, gdzie się podziała pozostała część jego ciała.

Nagle Lev zdaje sobie z czegoś sprawę. – On mieszkał w Joplin, prawda?!

Cy nie odpowiada przez długą chwilę. Dzięki temu wie, że to prawda. W końcu Cy mówi:

– W dalszym ciągu w moim mózgu są informacje, do których nie mam dostępu, które przede mną zamknął. Wiem jedynie tyle, że on musi dotrzeć do Joplin, więc ja również muszę się tam dostać. Kiedy już tam będziemy, to może zostawi mnie w spokoju.

CyFi unosi ramiona – nie w geście wzruszenia, lecz niewygodnej pozycji, jak przy swędzeniu pleców, czy nagłym dreszczu.

– Nie chcę więcej o nim mówić. Jego jedna ósma wydaje się być znacznie większa, kiedy zapuszczam się w jego szare komórki.

Lev chce objąć CyFia ramieniem, niczym starszy brat, aby go pocieszyć, ale nie potrafi zebrać się w sobie, aby to zrobić. Więc zamiast tego ściąga koc z łóżka i owija nim CyFia siedzącego na krześle.

– A to co?

– Po prostu pilnuję, aby wasza dwójka nie zmarła. – A następnie dodaje:

– Niczym się nie martw. Mam wszystko pod kontrolą.

CyFi zaśmiewa się.

– Ty? Przecież ty nie potrafisz nawet zadbać o siebie, a wydaje ci się, że możesz zaopiekować się mną? Gdyby nie ja, to nadal wcinałbyś śmieci z kosa na tyłach centrum handlowego.

– Zgadza się – ale pomogłeś mi. Teraz moja kolej, abym mógł ci się odwdziaczyć. Zamierzam więc zaprowadzić cię do Joplin.



22. RISA

Risa Megan Ward obserwuje dokładnie i uważnie wszystko dookoła niej. W StaDo widziała wystarczająco wiele, aby wiedzieć, że przetrwanie zależy od tego, jak bardzo jest się spostrzegawczym.

Od trzech tygodni ona, Connor oraz zróżnicowana grupa Podzielonych, przemieszczają się z jednej kryjówki do drugiej. Doprowadza ją to do szału, ponieważ ta nieustanna podziemna kolej uciekinierów wydaje się nie mieć końca.

Przenoszone zostają całe tuziny dzieciaków, ale nigdy nie więcej niż pięcioro lub sześcioro naraz z każdej z kryjówek i Risa rzadko ogląda te same twarze więcej niż raz. Jedynym powodem, dla którego jej i Connorowi udało się zostać razem był fakt, iż udawali parę. To praktyczne rozwiązanie i oboje czerpią z niego korzyści. Jak to się mówi? Lepszy diabeł, którego znasz, niż ten, którego nie znasz?

W końcu zostają przewiezieni do olbrzymiego, pustego magazynu znajdującego się w ogromnej strefie ruchu lotniczego. Tania nieruchomość, w której można ukryć niechciane dzieciaki. To spartański budynek z dachem z blachy falistej, który trzęsie się tak strasznie, że kiedy przelatuje nad nimi jakiś samolot, Risa poniekąd spodziewa się, że dach się zawali.

Kiedy przyjeżdżają, na miejscu jest już niemal trzydzieścioro innych osób, z których wielu Risa i Connor spotkali już w ciągu ostatnich kilku tygodni. Jest to swego rodzaju przechowalnia, uświadamia sobie Risa, miejsce, w którym przechowuje się wszystkie dzieciaki, przed wyruszeniem w ostateczną

podróż. Na drzwiach znajdują się łańcuchy, aby zatrzymać niepożądanych gości z zewnątrz oraz utrzymać każdego, kto jest niezbyt zdyscyplinowany, wewnątrz. Są tam również grzejniki, które są jednak bezużyteczne, ponieważ całe ciepło ucieka przez wysoki dach magazynu. Jest tylko jedna łazienka z zepsutym zamkiem oraz, w odróżnieniu do wielu innych kryjówek, nie ma tam prysznicza, więc kwestię higieny osobistej muszą odłożyć na bliżej nieokreśloną przyszłość. Wszystko to, wraz z bandą przerażonych, rozzłoszczonych nastolatków tworzy wybuchową mieszankę gotową eksplodować w każdej chwili. Być może właśnie dlatego ci, którzy sprawują tu kontrolę, noszą ze sobą broń.

Dowodzą tu czterej mężczyźni i trzy kobiety – wszyscy są zmilitaryzowaną wersją ludzi, którzy tak jak Sonia, prowadzą kryjówki. Mówią na nich „Męczennicy” – nie tylko dlatego, że przejawiają zamiłowanie do walki w słusznej sprawie, ale również dlatego, że zawsze wydają się być zmęczeni. Pomimo to, odznaczają się wysoką determinacją, za którą Risa ich podziwia.

Niemal codziennie przybywa garstka nowych osób. Risa obserwuje każdą z grup nowo przybyłych z zainteresowaniem i zauważa, że Connor czyni to samo. Wie dlaczego.

– Ty też wypatrujesz Leva, prawda? – pyta go w końcu.

Connor wzrusza ramionami.

– Może po prostu tak jak inni wypatruję ZOMZ-a z Akron.

Odpowiedź wywołuje u Risy stłumiony uśmiech. Nawet gdy przebywali w kryjówkach, do ich uszu dochodziły rozdmuchane plotki o ZOMZie z Akron, który uciekł hyclowi, używając przeciw niemu jego własnego usypiacza. *Może tu jedzie!* – Szeptaly pomiędzy sobą dzieciaki w magazynie, zupełnie jak gdyby mówili o jakiejś znanej osobie. Risa nie ma pojęcia, jak narodziła się ta plotka, skoro nigdy nie wspomniano o tym w wiadomościach. Jest również nieco rozdrażniona tym, że w samej plotce nie wspomina się o niej ani słowem. To powinna być historia w stylu Bonnie i Clyde’a. Plotkarski młyn jest zdecydowanie seksistowski.

– Więc jak, zamierzasz im powiedzieć, że to ty jesteś tym ZOMZ-em z Akron? – pyta po cichu Connora.

– Niepotrzebny mi tego rodzaju rozgłos. A poza tym i tak by mi nie uwierzyli. Wszyscy mówią, że ten ZOMZ z Akron jest wielkim, napakowanym superbohaterem. Nie chcę ich rozczarować.

Lev nie zjawia się wraz z żadną z nowo przybyłych grup. Jedyne, co ze sobą przywieźli to zwiększoną nerwowość. Czterdzieścioro trzech nastolatków do końca pierwszego tygodnia i w dalszym ciągu mają tylko jedną łazienkę, brak prysznicza i jakiegokolwiek odpowiedzi na temat tego, jak długo to wszystko jeszcze potrwa. Niepokój unosi się w powietrzu równie ciężko, co odór ich ciał.

Męczennicy robią, co mogą, aby wszyscy mieli jedzenie i jakieś zajęcie, by choć trochę zmniejszyć napięcie. Jest kilka skrzyń z gramami, niekompletne talie kart i książki z zagiętymi rogami, których w swoich zasobach nie chciały mieć żadne biblioteki. Nie ma żadnych sprzętów elektronicznych czy piłek – nic, co mogłoby stworzyć lub zachęcić do hałasu.

– Jeżeli ktokolwiek z zewnątrz nas usłyszy, to po nas – przypominają im cały czas Męczennicy. Risa zastanawia się, czy mają swoje odrębne życie poza ratowaniem Podzielonych, czy też przedsięwzięcie to jest jedynym celem ich życia.

– Dlaczego to dla nas robicie? – Risa zapytała jedną z nich w drugim tygodniu ich pobytu.

Męczennica udzieliła niemal wyuczonej na pamięć odpowiedzi – jak gdyby operowała jakimś sloganem w reklamie telewizyjnej.

– Ratowanie ciebie i tobie podobnych jest aktem sumienia – odpowiedziała kobieta. – Sam czyn jest nagrodą samą w sobie.

Wszyscy Męczennicy mówią w ten sposób. Risa nazywa to Wyniosłym Pustosłowiem. Widzą całość, a nie dostrzegają żadnej z części. Słysząc to nie tylko w ich mowie, ale również widać w ich oczach. Kiedy patrzą na nią, Risa wie, że tak naprawdę jej nie widzą. Wydaje się, że postrzegają bandę Podzielonych bardziej w kategoriach pojęcia, niż zbioru zatroskanych dzieciaków i dlatego właśnie umykają im wszystkie delikatne, społeczne wstrząsy, które poruszają ludzi równie mocno, co przelatujące nad dachem odrzutowce.

Pod koniec drugiego tygodnia Risa ma już całkiem niezłe rozeznanie, skąd nadciągają kłopoty. Wszystko kręci się wokół jednego chłopaka, którego miała nadzieję nigdy więcej już nie oglądać, a który jednak pojawił się krótko po przyjeździe Connora i Risy.

Roland.

Spośród wszystkich zebranych tu osób, Roland wydaje się być potencjalnie najbardziej niebezpieczny. Kłopot w tym, że w mijającym tygodniu Con-

nor sam nie był do końca uosobieniem emocjonalnej stabilności.

W kryjówkach zachowywał się w porządku. Zachowywał spokój – nie dopuścił się niczego, co można byłoby uznać za impulsywne bądź irracjonalne. Jednak tutaj, pośród tak wielu osób, zmienił się. Jest drażliwy i prowokujący. Najmniejsza rzecz potrafi go rozjuszyć. Zdążył wdać się już w kilka bójek. Risa wie, że to zapewne dlatego jego rodzice postanowili go podzielić – wybuchowy temperament potrafi doprowadzić rodziców do aktu desperacji.

Zdrowy rozsądek podpowiada Risie, aby trzymała się z dala od niego. Ich sojusz wynikał z konieczności, ale teraz nie ma żadnego powodu, dla którego powinna dłużej się z nim sprzymierzać. Pomimo tego, dzień za dniem odkrywa, że ciągnie ją do niego... i martwi się o niego.

Podchodzi do Connora pewnego dnia tuż po śniadaniu, zdecydowana, aby otworzyć mu oczy na oczywiste i obecne niebezpieczeństwo. Connor siedzi sam, wykonując portret zardzewiałym gwoździem w betonowej podłodze. Risa żałuje, że nie może pochwalić jego dzieła, ale Connor nie jest raczej typem artysty. Czuje się zawiedziona, ponieważ rozpaczliwie pragnie znaleźć w nim coś, czym mógłby się w jej oczach zrehabilitować. Gdyby był artystą, to mogliby nawiązać kontakt na poziomie twórczym. Mogłaby z nim porozmawiać o jej pasji do muzyki, a on by to zrozumiał. Jednak Risa nie sądzi, żeby Connor w ogóle wiedział, czy też dbał o to, że ona gra na fortepianie.

– Kogo rysujesz? – pyta.

– Dziewczynę, którą znałem w domu – odpowiada.

Risa po cichu zdusza w sobie uczucie zazdrości szybką, emocjonalną pustką. – Ktoś, na kim ci zależało?

– Tak jakby.

Risa przygląda się dokładniej szkicowi.

– Jej oczy są zbyt duże w stosunku do twarzy.

– To pewnie dlatego, że najlepiej zapamiętałem właśnie jej oczy.

– A czoło ma zbyt nisko. Przez to jak ją narysowałeś, nie ma teraz miejsca na mózg.

– Cóż, nie była bystrzakiem.

Risa wybucha śmiechem, który wywołuje uśmiech na twarzy Connora. Kiedy się tak uśmiecha, ciężko jest jej sobie wyobrazić, że to ten sam chłopak, który wdał się w te wszystkie bójki.

Odwraca od niej wzrok.

- Chcesz czegoś, czy dzisiaj jesteś po prostu krytykiem sztuki?
- Ja... zastanawiałam się, dlaczego siedzisz sam.
- Ach, więc jesteś dzisiaj też moim psychiatrą.
- Jesteśmy ponoć parą. Jeżeli mamy zachować te pozory, to nie możesz być całkowicie aspołeczny.

Connor spogląda na grupki dzieciaków zajętych różnymi porannymi czynnościami. Risa podąża za jego spojrzeniem. Jest grupka nastolatków, którzy nienawidzą świata i cały dzień spędzają na bluzganiu jadem. Jest chłopak oddychający przez usta, którego jedynym zajęciem jest czytanie w kółko tego samego komiksu. Mai scalała się ciałem z posępnym chłopakiem z irokezem na głowie imieniem Vincent, który ma na sobie wyłącznie skórzane ubranie i mnóstwo kolczyków. To musi być jej bratnia dusza, ponieważ obściskują się przez cały dzień, przyciągając uwagę gromadki innych osób, które siedzą i przyglądają się im.

- Nie zależy mi na akceptacji stada - odpowiada Connor. - Nie podoba mi się ta dzieciarnia.

- Dlaczego? - pyta Risa. - Za bardzo przypominają ciębie?

- To frajerzy.

- No tak, to właśnie miałam na myśli.

Obdarza ją nieprzekonującym złowrogim spojrzeniem, po czym spogląda na swój rysunek, ale Risa wie, że Connor nie myśli o tej dziewczynie - jego myśli są gdzieś indziej.

- Kiedy trzymam się z dala, to nie wdaję się w bójki. - Odkłada gwóźdź, rezygnując z ukończenia akwaforty. - Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Może to przez te wszystkie głosy. Może to przez te wszystkie ciała, które krążą wokół mnie. Czuje się przez nie tak, jakby wewnątrz mojej czaszki pełzały mrówki i mam ochotę krzyczeć. Przez długi czas mogę to wytrzymać, ale później wybucham. To przytrafiło mi się nawet w domu, kiedy wszyscy naraz rozmawiali w trakcie obiadu. Raz gościliśmy u siebie rodzinę i rozmowy tak bardzo mnie wkurzyły, że rzuciłem talerzem w kredens. Szkło rozprysło się po całym pokoju. Zepsułem posiłek. Rodzice zapytali mnie, co we mnie wstąpiło, a ja nie potrafiłem im odpowiedzieć.

To, że Connor chce się z nią tym podzielić sprawia, że Risa czuje się lepiej. Sprawia, że czuje się mu bliższa. Może teraz, kiedy się przed nią otworzył, wysłucha tego, co ma mu do powiedzenia.

- Jest coś, o czym chcę z tobą porozmawiać.

– Tak?

Risa siada obok niego i ścisza głos.

– Chcę, abyś obserwował innych. Dokąd idą. Z kim rozmawiają.

– Wszystkich?

– Tak, ale po jednej osobie naraz. Po jakimś czasie zaczniesz dostrzegać pewne rzeczy.

– Na przykład co?

– Na przykład to, że dzieciaki, które jedzą jako pierwsze, większość czasu spędzają z Rolandem – ale on sam nigdy nie wychyla się przed szereg. Albo to, że jego najbliżsi kumple infiltrują pozostałe paczki i skłócają je między sobą po to, aby się rozpadły. Lub to, że Roland jest wyjątkowo miły dla tych, którym wszyscy inni współczują – ale tylko do czasu, aż nikt więcej nie będzie im współczuł. Potem ich wykorzystuje.

– Wygląda to tak, jakbyś obrała go sobie na projekt klasowy.

– Mówię poważnie. Już to widziałam. On jest żądny władzy, jest bezwzględny i jest bardzo, ale to bardzo bystry.

Connor, słysząc to, wybucha śmiechem.

– Roland? Przecież ta ofiara losu nie potrafiłaby się wydostać z papierowej torby, gdyby ktoś mu ją założył na głowę.

– Tak, ale potrafiłby zapędzić innych do środka i następnie rozgnieść jak robaka. – Ta uwaga daje Connorowi do myślenia. *Dobrze* – myśli Risa. – *On musi pomyśleć. Musi opracować strategię.*

– Dlaczego mi o tym mówisz?

– Ponieważ jesteś jego największym zagrożeniem.

– Ja?

– Wdajesz się w bójki – każdy to wie. I wiedzą też, że nie dasz nikomu sobą pomiatać. Słyszałeś, jak ludzie szeptali o tym, że ktoś powinien coś zrobić z Rolandem?

– Tak.

– Mówią tak tylko wtedy, kiedy jesteś wystarczająco blisko, abyś mógł to usłyszeć. Oczekują, że to ty coś z nim zrobisz – a Roland wie o tym.

Connor próbuje uciszyć ją gestem dłoni, ale Risa go prowokuje.

– Posłuchaj mnie, ponieważ wiem, co mówię. W StaDo zawsze znalazł się jakiś niebezpieczny dzieciak, który zastraszeniem torował sobie drogę do władzy. Mógł tak postępować, ponieważ wiedział dokładnie kogo i kiedy

się pozbyć. A ten, którego pozbywał się najbrutalniej był tym, który miał największe możliwości, aby samemu się go pozbyć.

Risa widzi, że Connor zaciska prawą dłoń w pięść. Wie, że mu tego nie wytłumaczyła. Connor odbiera złą wiadomość.

– Jeżeli chce się bić, to załatwione.

– Nie! Nie możesz dać się podpuścić! On tego właśnie chce! On zrobi wszystko, co w jego mocy, aby wciągnąć cię do bójki. Ale ty nie możesz tego zrobić.

Connor napina mięśnie szczęki.

– Myślisz, że nie dam mu rady?

Risa chwyta go za nadgarstek i mocno trzyma.

– Ktoś taki jak Roland nie chce się bić. On chce zabić.



23. CONNOR

Connor nie chce tego przyznać, Risa w wielu sprawach miała rację. Jej jasność umysłu uratowała ich nie jeden raz, a teraz, kiedy wie już czego się po niej spodziewać, dostrzega, że jej spostrzeżenia odnośnie potajemnego przejmowania przez Rolanda władzy są trafne. Roland jest mistrzem w konstruowaniu życia wokół siebie w celu osiągnięcia własnych korzyści. I nie chodzi tu wyłącznie o jawne tyranizowanie. Chodzi o subtelne manipulowanie sytuacją. Tyranizowanie działa niemal jako przykrywką do tego, co faktycznie się dzieje. Tak długo, jak ludzie będą postrzegać go jako przygłupiego twardziela, tak długo nie zauważą jego sprytnych posunięć... takich jak zjednywanie sobie jednego z Męczenników, upewniając się, aby ten widział, jak Roland przekazuje jedzenie młodszemu dzieciakom. Tak jak w przypadku wytrawnego gracza w szachy, każdy ruch wykonany przez Rolanda ma jakiś określony cel, nawet jeśli nie jest on od razu jasny.

Risa nie tylko nie myliła się w stosunku do Rolanda, ale także miała rację odnośnie Leva – albo przynajmniej tego, co Connor czuje względem tego chłopaka. Connor nie potrafi przestać o nim myśleć. Przez bardzo długi czas przekonywał samego siebie, że działa się tak jedynie z powodu pragnienia zemsty, które nim targало, zupełnie jak gdyby nie mógł się doczekać, aż wyrówna z nim rachunki. Jednak za każdym razem, kiedy pojawia się nowa grupa uciekinierów i Leva nie ma wśród nich, uczucie rozpaczki wkrada się do jego wnętrza. Wkurza go, że tak to odbiera i podejrzewa, że jest to po części gniew, który napędza bójki, w które się wdaje.

W rzeczywistości Lev nie wydał tylko ich, ale wydał również samego siebie. A to oznacza, że Lev już prawdopodobnie nie żyje. Został podzielony na nicłość – jego kości, ciało i mózg zostały rozdrobnione i ponownie wykorzystane. Z tym właśnie Connor nie może się pogodzić. Ryzykował swoim życiem, aby go ocalić i to samo uczynił dla niemowlęcia porzuconego pod drzwiami. Cóż, dziecko udało się ocalić, ale Leva już nie, i chociaż wie, że nie może ponosić odpowiedzialności za jego podzielenie, to czuje się tak, jak gdyby to była jego wina. Stoi tam więc, przepełniony skrytym wyczekiwaniem za każdym razem, gdy pojawia się grupa nowo przybyłych, mając mimo wszystko nadzieję, że znajdzie pośród nich przemądrzałego, zarozumiałego, upierdliwego, ale wciąż żywego Leva.



24. RISA

Męczennicy pojawiają się wraz z bożonarodzeniowym obiadem o godzinę spóźnieni. Te same stare zlewki, jednak Męczennicy mają na sobie czapki Świętego Mikołaja. Zniecierpliwienie ogarnia wszystkich, którzy są tak głodni, że tłoczą się hałaśliwie wokół nich, zupełnie jak gdyby dostarczano paczki żywnościowe w czasie klęski głodu, a na domiar złego, dzisiejszego wieczoru tylko dwoje z nich rozdaje porcje, zamiast czterech, jak to ma miejsce zazwyczaj.

– Ustawić się w jednej kolejce! W jednej kolejce! – wykrzykuje Męczennik. – Wystarczy dla każdego. Ho, ho, ho. – Ale dzisiejszego wieczoru nie chodzi o to, aby jedzenia wystarczyło dla każdego, chodzi o to, aby dostać je już.

Risa jest tak samo głodna jak pozostali, ale wie również, że posiłki są najlepszą porą, aby zyskać w łazience nieco prywatności, gdzie nikt nie będzie jej przerywał, wchodząc nagle przez nie zamknięte drzwi albo jej poganiał, waląc dłonią w kabinę. Dzisiaj, kiedy wszyscy domagają się z krzykiem świętecznej zapiekanki z siekanego mięsa i ziemniaków, w łazience nie ma zupełnie nikogo, więc ignorując głodowy marsz kiszek, Risa oddala się od tłumu i udaje się przez magazyn w stronę łazienki.

Kiedy jest już w środku, wywiesza na klamce prowizoryczną zawieszkę ZAJĘTE i zamyka za sobą drzwi. Przez chwilę przegląda się w lustrze, ale nie podoba jej się widok niechlujnej dziewczyny z potarganymi włosami, którą się stała, więc nie patrzy na siebie zbyt długo. Przemywa twarz i, ponieważ

nie ma ręczników, ociera ją rękawem. Następnie, zanim nawet zdąży odwrócić się w stronę toalety, do jej uszu dobiega skrzywienie zawiasów.

Odwraca się i musi pohamować się od wydania stłumionego okrzyku. Do łazienki wszedł Roland. A teraz zamyka za sobą delikatnie drzwi. Risa natychmiast zdaje sobie sprawę ze swojego błędu. Nie powinna była tutaj przychodzić sama.

– Wynoś się! – mówi. Żałuje, że jej głos nie może w tej chwili zabrzmieć bardziej potężnie, ale Roland ją zaskoczył.

– Nie musisz być taka nieprzyjemna. – Roland przesuwa się w jej stronę, powolnym krokiem drapieżcy. – Przecież wszyscy tutaj jesteśmy przyjaciółmi, nie? A skoro wszyscy jedzą teraz obiad, to mamy trochę czasu aby się lepiej poznać.

– Trzymaj się ode mnie z daleka! – Teraz Risa rozważa pośpieszenie swoje opcje, jednak uświadamia sobie, że w tym ciasnym pomieszczeniu z jedną parą drzwi i brakiem jakiegokolwiek przedmiotu, który mogłaby wykorzystać jako broń, jej możliwości są mocno ograniczone.

Teraz Roland jest już niebezpiecznie blisko niej.

– Czasami lubię sobie zjeść deser przed obiadem. A ty?

W chwili, kiedy znajduje się w zasięgu jej dłoni, Risa reaguje szybko, próbując go uderzyć, kopnąć kolanem, zadać mu jakikolwiek ból, który odwróciłby jego uwagę na tyle, aby zdążyła uciec z łazienki. Jednak Roland jest zbyt szybki. Chwyta ją za ręce, popycha na zimną ścianę z zielonych kafelek i przyciska swoim biodrem tak, aby jej kolana nie mogły sięgnąć obranego celu. I uśmiecha się przy tym szeroko, jak gdyby to wszystko przyszło mu bez najmniejszego trudu. Jego dłoń znajduje się teraz na jej policzku. Wytatuowany na przedramieniu rekin jest kilka centymetrów dalej i wydaje się być gotowy do ataku.

– Co powiesz na to, żebyśmy się trochę zabawili i dopilnowali, abyś przez najbliższe dziewięć miesięcy nie musiała się przejmować podzieleniem?

Risa nigdy nie była krzykaczką. Zawsze postrzegała krzyk jako oznakę słabości. Oznakę porażki. Teraz to ona musi się do niej przyznać, bo choć ma olbrzymie doświadczenie w radzeniu sobie z różnymi mendami, to Roland ma jeszcze większe doświadczenie w byciu jedną z nich.

Więc krzyczy. Uwalnia mrozący krew w żyłach dźwięk tak głośno, jak tylko potrafi. Jednak jej wycucie czasu jest najgorsze z możliwych, ponie-

waż właśnie wtedy nad ich głowami rozlega się ryk odrzutowca, wprawiając ściany we wstrząs i całkowicie zagłuszając jej krzyk.

– Musisz nauczyć się korzystać z życia – mówi Roland. – Nazwijmy to lekcją numer jeden.

Wtedy właśnie drzwi do łazienki stają otworem i ponad masywnym ramieniem Rolanda Risa dostrzega Connora, który stoi w progu, jego oczy płoną. Nigdy wcześniej nie cieszyła się tak na czyjś widok.

– Connor! Powstrzymaj go!

Roland również go zauważa, dostrzegając jego odbicie w lustrze łazienki, jednak nie uwalnia Risy.

– Cóż za niezręczna sytuacja – cedzi słowa Roland.

Connor nie wykonuje żadnego ruchu, aby go odciągnąć. Po prostu stoi w progu. Jego oczy wciąż płoną z furją, jednak jego dłonie – nie są nawet zacisnięte w pięści. Po prostu zwisają bezwładnie po bokach. Co jest z nim nie tak?

Roland puszcza oko do Risy a następnie woła przez ramię do Connora.

– Lepiej się stąd zbieraj, jeśli wiesz co dla ciebie dobre.

Connor przechodzi przez próg, ale nie idzie w ich kierunku. Zamiast tego, podchodzi do umywalki.

– Pozwolisz, że umyję ręce przed obiadem?

Risa czeka, aż Connor wykona gwałtowny i nagły ruch, całkowicie zaskakując Rolanda, jednak nic takiego się nie dzieje. Connor myje jedynie ręce.

– Twoja laska ma na mnie oko, od kiedy się spotkaliśmy w piwnicy Sonii – rzuca Roland. – Wiesz o tym, prawda?

Connor wyciera ręce w spodnie.

– Możecie ze sobą robić na co tylko macie ochotę.

Dzisiaj rano Risa i ja zerwaliśmy ze sobą. Mam wam zgasić światło, wychodząc?

Zdrada jest tak niespodziewana, tak całkowita, że Risa nie wie już kogo obdarzyć większą nienawiścią, Rolanda czy Connora. Ale wtedy Roland zwalnia nieco uścisk.

– Teraz to nastrój już szlag trafił. – Wypuszcza ją. – Cholera i tak tylko żartowałem. Do niczego by nie doszło. – Wycofuje się i na jego twarzy znowu pojawia się ten jego uśmiech. – Może poczekamy, aż skończysz. – Następnie odchodzi dumnym krokiem, tak samo śmiałym jak kiedy tu wchodził, potrącając Connora w ramię na odchodnym.

Cały swój zamęt i frustrację Risa wyładowuje na Connorze, popychając go na ścianę i potrząsając nim.

– Co to miało znaczyć? Zamierzałeś mu na to pozwolić?

Connor odpycha ją od siebie.

– Przecież nie chciałaś abym połknął przynętę.

– Co?

– On nie tylko poszedł za tobą do łazienki – najpierw się przeze mnie przepchnął. Dopilnował, abym wiedział, że za tobą idzie. Jemu wcale nie chodziło o ciebie, tylko o mnie – dokładnie tak jak mówiłaś. On chciał, abym go dorwał. Chciał mnie wyprowadzić z równowagi, chciał, abym się ostro wkurzył. Więc nie połknąłem jego przynęty.

Risa kręci głową – nie z niedowierzania, lecz wstrząśnięta, słysząc prawdę.

– Ale... co jeśli... co jeśli on...

– Ale tego nie zrobił, prawda? A teraz już tego nie robi. Ponieważ jeżeli sądzi, że ty i ja zerwaliśmy ze sobą, to będziesz dla niego o wiele bardziej pożyteczna, jeżeli znajdziesz się po jego stronie. Nadal może coś do ciebie mieć, ale założę się, że od teraz będzie dla ciebie miły aż do obrzydzenia.

Wszystkie emocje przetaczające się jak szalone przez ciało Risy w końcu się zatrzymują w nieznanym jej miejscu i dziewczyna wybucha płaczem. Connor robi krok naprzód, aby ją pocieszyć, ale Risa odpycha go z tą samą siłą, której użyłaby przeciwko Rolandowi.

– Wynoś się! – krzyczy. – Po prostu się wynoś!

Connor wyrzuca sfrustrowany ręce w górę.

– W porządku. Powinienem być po prostu iść na obiad i w ogóle tu nie przychodzić.

Wychodzi, a ona zamyka za nim drzwi, pomimo kolejki dzieciaków czekających do łazienki. Siada na podłodze plecami do drzwi, tak aby nikt nie mógł wejść do środka, starając się zapanować nad swoimi emocjami.

Connor postąpił słusznie. Choć raz widział całą sytuację o wiele wyraźniej niż ona – i odpowiednio dopilnował, aby Roland nie stanowił już więcej dla niej fizycznego zagrożenia, przynajmniej przez jakiś czas. Jednak mimo to, pewna część niej nie może mu wybaczyć tego, że tak po prostu stał. W końcu bohaterowie powinni zachowywać się w pewien określony sposób. Powinni walczyć, nawet jeżeli oznaczałoby to zaryzykowanie własnego życia.

To jest chwila, w której Risa uświadamia sobie, że pomimo wszystkich związanych z nim problemów, postrzega Connora jako bohatera.



25. CONNOR

Zachowanie spokoju w łazience było być może najtrudniejszą rzeczą, jaką przyszło Connorowi w życiu zrobić. Nawet teraz, kiedy oddała się od Risy, kipiąc ze złości, ma ochotę rzucić się na Rolanda – jednak spuszczenie wściekłości ze smyczy nie jest w tej chwili najlepszym rozwiązaniem i Connor o tym wie. Risa ma rację – wściekły, całkowicie nabuzowany agresją Connor – właśnie tego chce Roland, a on słyszał od jakichś chłopaków, że Roland zrobił sobie kosę z kawałka metalu, który znalazł gdzieś w magazynie. Jeżeli Connor rzuci się na niego, wymachując z furją pięściami, to Roland znajdzie sposób, aby zakończyć pojedynek pojedynczym śmiertelnym pchnięciem – i jeszcze będzie mógł się od tego wymigać, twierdząc, że było to działanie w samoobronie.

Nie jest istotne, czy może pokonać Rolanda w bójce. Nawet mając przeciwko sobie nóż, Connor przypuszcza, że albo uda mu się użyć ostrza przeciwko niemu, albo pokona Rolanda w jakiś inny sposób, zanim ten zdąży użyć ostrza. Istotne jest natomiast to, czy Connor jest gotów wdać się w walkę, która musi zakończyć się śmiercią jednego z nich? Różne rzeczy można o nim powiedzieć, ale na pewno nie to, że jest zabójcą. Zachowuje więc spokój i nie łamie się.

To dla niego nowy teren. Ukryty w nim bojownik krzyczy przeraźliwie, jednak jego inna strona, ta, która powoli rośnie w siłę, czerpie przyjemność ze sprawowania tej cichej władzy – a jest to władza, ponieważ Roland zachowuje się teraz dokładnie tak, jak oczekują tego po nim Risa i on. Connor wi-

dzi, jak Roland oferuje tej nocy Risie swój deser w ramach przeprosin. Oczywiście ona go nie przyjmuje, ale to nie zmienia faktu, że go ofiarował. Zupełnie jakby Roland sądził, że ślad po ataku na Risę można zatrzeć dzięki udawanym wyrzutom sumienia – nie dlatego, że faktycznie jest mu przykro z powodu tego, czego się dopuścił, ale dlatego że ma swoje powody, aby dobrze ją teraz traktować. Nie ma pojęcia, że Risa i Connor trzymają go na niewidzialnej smyczy. Jednak Connor wie, że to wyłącznie kwestia czasu, nim ją przegryzie.

CZĘŚĆ CZWARTA

CEL PODRÓŻY

Poniższa informacja jest odpowiedzią z portalu aukcyjnego eBay odnośnie próby wystawienia przez sprzedawcę na aukcję swojej duszy w 2001 roku.

Dziękujemy za poświęcenie czasu na przekazanie serwisowi eBay swoich obaw. Miło nam, że możemy służyć pomocą.

Zakładając, że dusza ludzka nie istnieje, eBay nie może pozwolić na wystawienie jej na licytację, ponieważ wiązałoby się to z brakiem produktu do sprzedania. Jeśli jednak dusza istnieje, to zgodnie z polityką sprzedaży eBay dotyczącej części ciała ludzkiego i jego szczątków, umieszczanie tego rodzaju produktu w serwisie jest zabronione. Dusza byłaby w tym wypadku postrzegana w kategoriach ludzkich szczątków, i choć nie jest to jasno określone na stronie poświęconej zasadom sprzedaży, ludzkie dusze nie mogą zostać wystawione na aukcję w naszym serwisie. Twoja aukcja została usunięta prawidłowo i nie zostanie przywrócona. Prosimy w przyszłości o nie umieszczanie u nas ofert sprzedaży tego typu produktów.

Nasza polityka sprzedaży przedmiotów dostępna jest pod poniższym linkiem:

<http://pages.ebay.com/help/community/pingremains.html>

Miło nam, że mogliśmy służyć pomocą. Dziękujemy za wybranie serwisu eBay.



26. WŁAŚCICIEL LOMBARDU

Mężczyzna odziedziczył lombard po swoim bracie, który zmarł na zawał serca. Nie zatrzymałby tego lokalu, ale odziedziczył go, kiedy był bezrobotny. Doszedł do wniosku, że go poprowadzi, dopóki nie znajdzie czegoś lepszego. To było dwadzieścia lat temu. Teraz już wie, że jest na niego skazany do końca życia.

Pewnego wieczoru, tuż przed zamknięciem, do jego sklepu wchodzi jakiś chłopak. Nie jest typem zwyczajnego klienta. Większość ludzi przychodzi do lombardu w dołku, gotowych zastawić wszystko, co mają, począwszy od telewizorów aż po pamiątki rodzinne, w zamian za trochę szybkiej gotówki. Niektórzy robią to dla narkotyków. Inni mają bardziej legalne powody. Tak czy inaczej, sukces właściciela lombardu opiera się na nieszczęściu innych. Nie przejmuje się tym już. Przywykł do tego.

Jednak chłopak jest inny. Pewnie, przychodzą do niego dzieciaki, które liczą na to, że ubiją interes, chcąc sprzedać rzeczy niewarte uwagi, ale w tym chłopaku jest coś wyraźnie dziwnego. Jest bardziej zadbany niż większość małałatów, którzy się tu pokazują. I sposób, w jaki się porusza – jest dystyngowany, pełen gracji, nieśpieszny i delikatny, zupełnie jak gdyby był wychowywany jako książę a teraz udawał żebraka. Może jednak jest żebrakiem.

W telewizorze na ladzie wyświetlają mecz futbolowy, ale właściciel nie śledzi już jego przebiegu. Jego oczy wciąż wpatrują się w ekran, jednak jego umysł śledzi chłopaka, który kręci się po sklepie i ogląda różne rzeczy, tak jakby chciał coś kupić.

Po kilku minutach, chłopak podchodzi do lady.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – pyta właściciel lombardu, autentycznie zainteresowany.

– To jest lombard, prawda?

– A napis na drzwiach mówi inaczej?

– Więć to oznacza, że można tu wymienić rzeczy za pieniądze, tak?

Właściciel lombardu wzdycha. Dzieciak okazuje się być jednak zwyczajny, tylko nieco bardziej naiwny od pozostałych, którzy tu przychodzą, próbując zastawić swoje kolekcje kart baseballowych, czy inne bzdety. Zazwyczaj chcą pieniędzy na fajki lub alkohol albo coś innego, o czym ich rodzice nie powinni się dowiedzieć. Jednak ten osobnik wygląda inaczej.

– *Pożyczamy* pieniądze i przyjmujemy wartościowe przedmioty jako dodatkowe zabezpieczenie – wyjaśnia chłopakowi. – I nie robimy interesów z nieletnimi. Chcesz coś kupić, w porządku, ale nie możesz niczego tutaj zastawić, więc zabieraj swoje karty baseballowe gdzie indziej.

– Kto powiedział, że mam karty baseballowe?

Następnie chłopak sięga do kieszeni i wyciąga bransoletkę, całą ze złota i diamentów.

Oczy właściciela lombardu o mało nie wyskakują z czaszki, kiedy chłopak wymachuje nią w rękę. Następnie właściciel lombardu wybucha śmiechem.

– Skąd to masz, zwędziłeś mamusi?

Wyraz twarzy chłopaka pozostaje niewzruszony.

– Ile za to dostanę?

– Co powiesz na miłego kopniaka w dupsko?

Jednak chłopak nadal nie przejawia żadnych oznak strachu czy rozczarowania. Po prostu kładzie bransoletkę na znoszonej, drewnianej ladzie z tą samą, iście książęcą gracją.

– Dlaczego nie odłożysz tego na miejsce i nie wrócisz do domu?

– Jestem Podzielonym.

– Co?

– Słyszał pan.

To wytrąca go z równowagi z całego mnóstwa powodów. Po pierwsze, zbiegli Podzieleni, którzy pojawiają się w jego lombardzie, nigdy się do tego nie przyznają. Po drugie, zawsze wyglądają na zdesperowanych i rozżłoszczonych, a towar, który mają do sprzedania okazuje się w najlepszym przy-

padku tandetny. Nigdy nie są też tak opanowani i nigdy nie wyglądają tak... anielsko.

– Jesteś Podzielonym?

Chłopak kiwa głową.

– Bransoletka jest kradziona, ale nie pochodzi z tej okolicy.

Podzieleni nigdy też nie przyznają się do tego, że ich towar jest kradziony. Inne dzieciaki pojawiają się z najbardziej wymyślnymi historyjkami odnośnie tego kim są i dlaczego sprzedają. Właściciel lombardu zazwyczaj wysłuchuje ich historii z uwagi na ich walory rozrywkowe. Jeżeli uraczą go dobrą opowieścią, to wykopuje ich jedynie na zewnątrz. Jeżeli jednak opowieść jest kiepska, dzwoni na policję i każe ich zgarnąć. Jednak ten mały nie ma żadnej historii do opowiedzenia; zabrał ze sobą jedynie prawdę. Właściciel lombardu nie do końca wie, jak sobie z nią poradzić.

– Więc – kontynuuje chłopak. – Jest pan zainteresowany?

Właściciel lombardu jedynie wzrusza ramionami.

– To, kim jesteś, to twoja sprawa, a jak mówiłem, nie robię interesów z nieletnimi.

– Może zrobi pan wyjątek.

Właściciel lombardu przygląda się dzieciakowi, potem przenosi wzrok na bransoletkę, po czym spogląda na drzwi, aby upewnić się, że nikt inny nie wchodzi.

– Zamieniam się w słuch.

– Oto, czego chcę. Pięćset dolarów gotówką. Teraz. Potem wyjdę, tak jakbyśmy się nigdy nie spotkali, a pan zatrzyma bransoletkę.

Właściciel lombardu przywdziewa starannie wyćwiczoną twarz pokerzysty.

– Jaja sobie robisz? Za ten szmelc? Złoty plater, cyrkonie zamiast diamentów, marny wyrób – dam ci za to stówę i ani centa więcej.

Chłopak ani na chwilę nie przerywa kontaktu wzrokowego.

– Kłamie pan.

Oczywiście, że właściciel lombardu kłamie, jednak oburza się na te pomówienia.

– A co ty na to, abym wydał cię hyclom i to teraz?

Chłopak wyciąga dłoń i zabiera bransoletkę z lady.

– Może pan – odpowiada. – Ale wtedy nie dostanie pan tego – a policja tak.

Właściciel lombardu gładzi się po brodzie. Może ten dzieciak nie jest jednak tak naiwny, na jakiego wygląda.

– Jeżeli to byłby szmelc – ciągnie chłopak – to nie zaoferowałby mi pan za niego stówy. Założę się, że nic by pan wtedy nie zaoferował. – Spogląda na bransoletkę zwisającą z jego palców. – Naprawdę nie wiem ile może być to warte, ale założę się, że grube tysiące. Proszę jedynie o pięć stów, co oznacza, że bez względu na prawdziwą cenę, robi pan świetny interes.

Pokerowa twarz pokerzysty znika. Nie może przestać wpatrywać się w bransoletkę – to jedyne co może zrobić, aby nie zacząć się z jej powodu ślinić. Wie, ile jest naprawdę warta, albo przynajmniej może zgadywać. Wie, gdzie sam może ją upłynnić za pięciokrotnie wyższą cenę od tej, której domaga się ten mały. To by była całkiem przyjemna sumka. Wystarczyłoby, aby zabrać żonę na długie wakacje, o których zawsze marzyła.

– Dwieście pięćdziesiąt. To moja ostateczna oferta.

– Pięćset. Liczę do pięciu a potem wychodzę. Jeden... dwa...

– Umowa stoi. – Właściciel lombardu wzdycha, zupełnie jakby został pokonany. – Ciężko się targujesz, chłopcze. – Tak się właśnie załatwia te sprawy. Sprawić, aby dzieciak pomyślał, że wygrał, kiedy tak naprawdę to on jest tym, którego okantowano! Właściciel sięga po bransoletkę, jednak chłopak trzyma ją poza jego zasięgiem.

– Najpierw pieniądze.

– Sejf jest na zapleczu – wracam za chwilę.

– Pójdę z panem.

Właściciel lombardu nie wnosi sprzeciwu. To zrozumiałe, że dzieciak mu nie ufa. Gdyby ufał ludziom, to już dawno zostałby podzielony. Na zapleczu właściciel ustawia się plecami do chłopaka, tak, aby chłopak nie mógł zobaczyć kombinacji do sejfu. Otwiera drzwi i w tej samej chwili czuje, jak coś twardego i ciężkiego uderza go w głowę. W jednej chwili świat rozmywa mu się przed oczami. Traci przytomność zanim upada na podłogę.

Właściciel lombardu odzyskuje przytomność jakiś czas później, wraz z bólem głowy i mglistym wspomnieniem, że coś poszło nie tak. Kilka sekund zajmuje mu dojście do siebie i uświadomienie sobie, co dokładnie zaszło. Ten mały potwór go okantował! Podpuścił, żeby otworzył sejf a w chwili, kiedy to zrobił, ogłuszył i wyczyścił mu skrytkę.

Faktycznie, sejf jest otwarty na oścież – ale nie jest całkowicie pusty. Wewnątrz jest bransoletka, jej złoto oraz diamenty lśnią jeszcze jaśniej na tle

brzydkiej szarej stali pustego sejfu. Ile pieniędzy było w sejfie? Najwyżej półtora tysiąca. Ta bransoletka jest warta co najmniej trzy razy tyle. To wciąż dobry interes – i ten dzieciak wiedział o tym.

Właściciel lombardu pociera bolący guz na głowie, wściekły na chłopaka za to co zrobił, a mimo to, pełen podziwu dla niego za osobliwie honorową naturę przestępcy. Gdyby sam był taki sprytny, taki honorowy i zebrał się na tego rodzaju odwagę, kiedy był w jego wieku, to być może dzisiaj byłby kimś znacznie więcej niż tylko właścicielem lombardu.



27. CONNOR

Następnego dnia rano po incydencie w łazience, zostają przed świtem obudzeni przez Męczenników.

– Wszyscy wstawać! Już! Ruchy! Ruchy! – Są głośni, są nerwowi i pierwszą rzeczą, jaką Connor zauważa jest to, że mają odbezpieczoną broń. Z wciąż zaczerwienionymi od niewyspania oczyma, podnosi się i szuka wzrokiem Risy. Dostrzega, że została już stłoczona przez dwóch Męczenników w kierunku wielkich dwuskrzydłowych drzwi, które zawsze były zamknięte na kłódkę. Teraz kłódki już nie ma.

– Zostaw swoje rzeczy! Jazda! Ruchy! Ruchy!

Po jego prawej stronie, gderliwy dzieciak odpycha Męczennika za to, że ten wyrwał mu jego koc. Męczennik uderza go w bark kolbą karabinu – nie na tyle mocno, aby go poważnie zranić, jednak wystarczająco silnie, aby dać dzieciakowi i wszystkim innym jasno do zrozumienia, że nie żartuje. Chłopak upada na kolana, łapiąc się za bark, rzucając przy tym przekleństwa, a Męczennik odchodzi, aby zająć się poganiem pozostałych osób. Nawet pomimo dokuczającego bólu, chłopak wygląda na gotowego do bójki. Kiedy Connor go mija, chwytą go za ramię i pomaga mu wstać.

– Spokojnie – mówi Connor. – Nie pogarszaj sprawy.

Chłopak wyrywa się z uścisku Connora.

– Zabieraj łapy! Nie potrzebna mi twoja parszywa pomoc. – Chłopak odchodzi, kipiąc ze złości. Connor kręci głową. Czy on kiedykolwiek był taki agresywny?

Z przodu, olbrzymie dwuskrzydłowe drzwi są wciąż otwarte, ujawniając kolejne pomieszczenie magazynu, którego Podzieleni nigdy wcześniej nie widzieli. Jego wnętrze pełne jest skrzyń – starych, lotniczych skrzyń przeznaczonych zarówno kształtem jak i wytrzymałością do transportowania ładunku drogą powietrzną. Connor natychmiast zdaje sobie sprawę z ich zastosowania – oraz powodu, dla którego wraz z pozostałymi ukrywany był tak blisko lotniska. Gdziekolwiek się udają, to w drogę wyruszą jako ładunek lotniczy.

– Dziewczyny na lewo, chłopcy na prawo. Ruchy! Ruchy!

Słychać pomruki, ale nie ma jakiegoś bezpośredniego oporu. Connor zastanawia się, ile dzieciaków zorientowało się w tym, co się dzieje.

– Po cztery osoby do skrzyni! Chłopcy z chłopcami, dziewczyny z dziewczynami. Ruchy! Ruchy!

Teraz wszyscy zaczynają się przepychać, starając się dołączyć do preferowanych towarzyszy podróży, jednak Męczennicy nie mają na to ani cierpliwości ani czasu. Tworzą losowe grupy po cztery osoby i popychają je w kierunku skrzyń.

Wtedy właśnie Connor zauważa, jak niebezpiecznie blisko znajduje się obok Rolanda – i to nie jest przypadek. Roland przysunął się do niego celowo. Connor może to sobie wyobrazić. Ciemno jak w mogile i zamknięte kwatery. Jeżeli wsadzą ich do tej samej skrzyni, to będzie martwy zanim samolot zdąży wystartować.

Connor stara się oddalić, jednak Męczennik chwyta Rolanda, Connora i dwóch znanych pomagierów Rolanda.

– Wy czterej. Do tamtej skrzyni!

Connor stara się nie okazać po sobie ogarniającej go paniki; nie chce, aby Roland ją zauważył. Powinien był przygotować sobie własną broń, taką jak ta, którą Roland z pewnością ukrył teraz przy sobie. Powinien był przygotować się na nieuchronność konfrontacji na życie lub śmierć, ale tego nie zrobił i teraz ma ograniczone pole manewru.

Nie ma czasu do zastanowienia, więc pozwala, aby impuls przejął inicjatywę i poddaje się swoim bojowym instynktom. Kieruje się w stronę jednego z popleczników Rolanda i uderza go w twarz na tyle mocno, że pojawia się krew, możliwe nawet, że łamie mu nos. Siła uderzenia obraca chłopakiem, jednak zanim zdąży mu oddać, Męczennik chwyta Connora i uderza nim

o betonową ścianę. Męczennik o tym nie wie, ale właśnie tego Connor oczekiwał.

– Wybrałeś sobie na to zły dzień, dzieciaku! – rzuca Męczennik, przytrzymując go przy ścianie karabinem.

– I co, zamierzasz mnie zabić? Myślałem, że chcieliście nas uratować.

To sprawiło, że Męczennik zaczął się zastanawiać.

– Hej! – krzyczy inny z Męczenników. – Olej go! Musimy ich załadować.

– Następnie chwytą jakiegoś dzieciaka, aby skompletować czwórkę z Rolandem i dwójką jego popleczników i wysyła ich w stronę skrzyni. Nawet się nie przejmują krwawiącym nosem tamtego chłopaka.

Męczennik trzymający Connora przy ścianie spogląda na niego z pogardą.

– Im szybciej znajdziesz się w skrzyni, tym szybciej ktoś inny będzie cię miał na głowie.

– Fajne skarpetki – odpowiada mu Connor.

Wsadzają Connora do skrzyni dwa metry czterdzieści na metr dwadzieścia, w której jest już trójka innych chłopaków, czekających na skompletowanie ich czwórki. Skrzynia zostaje szczelnie zamknięta, zanim Connor zdąży rozejrzeć się, kto jest wewnątrz wraz z nim, ale tak długo, jak nie jest to Roland, nie stanowi to problemu.

– Wszyscy tu zginiemy – odzywa się ktoś nosowym głosem, następnie pociąga nosem, co wcale nie brzmi tak, jak gdyby chciał sobie cokolwiek przetkać. Connor poznaje tego chłopaka po jego słuzie. Nie ma pewności, co do jego imienia – wszyscy po prostu wołają na niego – Gilzilla, odkąd jego nos jest nieustannie zatkany. W skrócie Gil. To on zawsze obsesyjnie czyta swój komiks, jednak teraz nie za bardzo ma taką możliwość.

– Nie mów tak – odpowiada Connor. – Gdyby Męczennicy chcieli nas zabić, zrobiliby to już dawno.

Gilzilla ma odrażający oddech, który wypełnia całą skrzynię.

– Może się dowiedzieli. Może hycle są już w drodze i ich jedyną szansą ratunku jest pozbycie się dowodów!

Connor nie ma cierpliwości do beks. Za bardzo przypominają mu jego młodszego brata. Tego, którego jego rodzice postanowili zatrzymać.

– Zamknij się Gil, albo przysięgam, że zdejmę skarpetę, wsadzę ci ją w tę twoją śmierzdzącą paszczę, i w końcu będziesz musiał rozkminić, jak się odycha nosem!

– Daj znać, gdybyś potrzebował dodatkowej skarpety – odzywa się ktoś z naprzeciwka. – Cześć Connor, to ja, Hayden.

– Hej, Hayden. – Connor wyciąga dłoń, odnajduje but Haydena i ścisną go – to najbliższa forma przywitania, na jaką może sobie pozwolić w klaustrofobicznej ciemności. – Więc kim jest szczęśliwy czwarty numer? –

Brak odpowiedzi. – Wychodzi na to, że będziemy musieli podróżować z mimem. – Kolejna długa pauza, po czym Connor słyszy głęboki, wypowiedziany z akcentem głos.

– Diego.

– Diego nie mówi zbyt wiele – wyjaśnia Hayden.

– Domyślam się.

Czekają w milczeniu, które przerywa prychnięcie Gila.

– Muszę do łazienki – mamrocze Gil.

– Trzeba było o tym pomyśleć przed wyjściem – odpowiada Hayden swoim najlepszym matczynym głosem. – Ile razy mamy ci powtarzać? Zawsze korzystaj z nocniczka zanim wejdziesz do skrzyni transportowej.

Na zewnątrz słychać jakieś mechaniczne odgłosy, następnie czują, jak skrzynia się porusza.

– Nie podoba mi się to – marudzi Gil.

– Przenoszą nas – stwierdza Hayden.

– Prawdopodobnie przy użyciu podnośnika widłowego – dodaje Connor. Męczenników zapewne już dawno nie ma. Co to mówił jeden z nich? *Kiedy będziesz już w skrzyni, to ktoś inny będzie cię miał na głowie.* Ktokolwiek został najęty do ich przetransportowania, prawdopodobnie nie ma najmniejszego pojęcia o tym, co znajduje się w skrzyniach. Wkrótce będą na pokładzie jakiegoś samolotu, udając się do nieznanego im miejsca przeznaczenia. Myśl o tym sprawia, że Connor zastanawia się nad resztą swojej rodziny i ich wycieczce na Bahamy – tej, którą zaplanowali, kiedy Connor miał zostać podzielony. Zastanawia się, czy się na nią udali – czy mimo wszystko pojechali, po tym jak Connor złamał ZOMZ? Pewnie, że tak. Planowali wyjazd, kiedy Connor zostanie już podzielony, dlaczego więc jego ucieczka miałaby ich powstrzymać? Hej, czy to nie byłoby zabawne, gdyby ich też przetransportowano teraz na Bahamy?

– Podusimy się tu! Wiem to! – wykrzykuje Gilzilla.

– Zamkniesz się w końcu? – odparowuje Connor. – Jestem pewien, że powietrza wystarczy dla nas wszystkich.

– Skąd wiesz? Już teraz ledwo łapię oddech – a do tego mam jeszcze astmę. Mogę dostać ataku i tutaj umrzeć!

– I dobrze – odpowiada Connor. – Jedna osoba mniej do dzielenia się powietrzem.

Ta odpowiedź zamyka w końcu usta Gila, jednak Connor źle się czuje wypowiedziawszy te słowa.

– Nikt nie umrze – mówi. – Wyluzuj.

A potem Hayden dodaje:

– Przynajmniej umieranie jest lepsze od bycia podzielonym. Czy też nie? Przeprowadźmy ankietę – wolelibyście umrzeć, czy zostać podzieleni?

– Nie zadawaj takich pytań! – rzuca ostro Connor. – Nie chcę myśleć ani o jednym ani o drugim. – Gdzieś na zewnątrz ich małego skrzynekowego wszechświata, Connor słyszy dźwięk zamykania metalowych drzwi ładunkowych i czuje wibracje pod stopami, kiedy zaczynają kołować. Connor czeka. Silniki rozgrzewają się – nadal czuje wibracje pod stopami. Wpada plecami na ścianę, kiedy przyśpieszają. Hayden przewraca się na niego i Connor przesuwa się, ustępując mu miejsca, aby ten znowu poczuł się wygodnie.

– Co się dzieje? Co się dzieje? – wrzeszczy Gil.

– Nic. Po prostu startujemy.

– Co? Jesteśmy w samolocie?

Connor przewraca oczyma, jednak w ciemności nikt tego nie widzi.

Skrzynia jest niczym trumna. Skrzynia jest niczym macica. Normalne miary czasu wydają się nie mieć tutaj zastosowania, a nieprzewidywalne turbulencje lotu wypełniają ciemną przestrzeń wiecznie obecnym napięciem.

Kiedy są już w powietrzu, czwórka chłopaków nie odzywa się do siebie przez bardzo długi czas. Pół godziny, może godzinę – ciężko powiedzieć. Umysły wszystkich znajdują się w potrzasku oczekiwania na ich własne, niepokojne myśli. Samolot wpada w turbulencje. Wszystko wokół nich stuka. Connor zastanawia się, czy są jakieś dzieciaki w skrzyniach nad nimi, pod nimi i z każdej ze stron. Jeżeli tam są, to nie słyszy ich głosów. Z miejsca, w którym siedzi, wydaje się mu, jak gdyby ich czwórka była jedynymi ludźmi we wszechświecie. Gil po cichu wypróżnia się. Connor wie o tym,

ponieważ to czuje – wszyscy to czują, jednak nikt nic nie mówi. Równie dobrze to mógł być którykolwiek z nich – i w zależności od tego, ile czasu potrwa ta podróż, wciąż może być.

W końcu, po czasie, który wydawał się być wiecznością, najcichszy z nich odzywa się.

– Podzielony – mówi Diego. – Wolałbym zostać podzielony.

Choć upłynęło sporo czasu, od kiedy Hayden zadał to pytanie, Connor od razu wie, do czego się odnosi. *Wolelibyście umrzeć, czy zostać podzieleni?* Zupełnie, jak gdyby przez cały czas pytanie wisiało w ciasnej przestrzeni, czekając aż ktoś na nie odpowie.

– Nie ja – odpowiada Gil. – Ponieważ kiedy umierasz, to przynajmniej idziesz do nieba.

Nieba? – myśli Connor. Bardziej prawdopodobne, że trafią w to drugie miejsce. Bo skoro ich własnym rodzicom nie zależało na nich wystarczająco mocno, żeby ich zatrzymać, to kto będzie chciał ich w niebie?

– Dlaczego sądzisz, że Podzieleni tam nie trafią? – zwraca się Diego do Gila.

– Ponieważ Podzieleni nie są naprawdę martwi. Nadal żyją... tak jakby. Chodzi mi o to, że należy wykorzystać każdą część naszego ciała, co nie? Tak stanowi prawo.

Wtedy Hayden zadaje pytanie. Nie *jakieś* tam pytanie, ale to pytanie. Pytanie, które postrzegane jest pośród tych, którzy zostali naznaczeni do podzielenia, jako wielkie tabu. Wszyscy o tym myślą, ale nikt nigdy nie ośmiela się zadać tego pytania na głos.

– W takim razie – mówi Hayden – skoro każda część ciebie żyje, ale wewnątrz kogoś innego... to ty też żyjesz, czy jesteś martwy?

To, o czym Connor wie, jest ponownym wyciągnięciem przez Haydena dłoni nad płomień świecy. Wystarczająco blisko, aby go poczuć, ale nie na tyle, aby się sparzyć. Jednak tym razem nie jest to tylko jego dłoń, ale wszystkich, i to Connora wkurza.

– Gadając, marnujemy tlen – kwituje Connor. – Ustalmy, że podzielenie jest do dupy i zostawmy już ten temat.

To podsumowanie zamyka wszystkim usta, ale tylko na minutę. Jako następny zabiera głos Gil.

– Nie myślę, żeby podzielenie było czymś złym – odzywa się. – Po prostu nie chcę, żeby to przytrafiło się mnie.

Connor chce go zignorować, ale nie potrafi. Jeżeli jest jedna rzecz, której Connor nie znosi, to jest nim Podzielony, który broni podzielenia.

– Więc to nic złego, jeżeli spotka to nas, ale nie, kiedy przytrafi się tobie?

– Tego nie powiedziałem.

– Właśnie, że powiedziałeś.

– Och! – wypala podnieconym głosem Hayden. – Robi się ciekawie.

– Mówią, że to bezbolesne – kontynuuje Gil – jak gdyby to stanowiło jakieś pocieszenie.

– Czyżby? – odparowuje Connor. – To może pójdziesz i zapytasz te wszystkie kawałki Humphreya Dunfee, jak bezbolesne to było?

To imię osadza się wokół nich niczym szron. Wstrząsy i stukanie wywołane turbulencją są coraz silniejsze.

– Więc... wy też słyszeliście tę historię? – przerywa ciszę Diego.

– Tylko dlatego, że tego rodzaju historie istnieją, nie oznacza to wcale, że podzielenie jest wyłącznie czymś złym – odpowiada Gil. – To przysługuje się ludziom.

– Gadasz jak dziesięcirodny – stwierdza Diego.

Connor czuje się osobiście urażony tą uwagą.

– Nieprawda. Znam jednego dziesięcirodnego. Jego poglądy mogły być nieco dziwaczne, ale nie był głupi. – Myśl o Levie przynosi ze sobą falę rozpacz. Connor nie walczy z nią – po prostu pozawala, aby się przez niego przetoczyła, a następnie spłynęła. On nie zna dziesięcirodnego; on jednego *znał*.

Jednego, który z pewnością spotkał się już ze swoim przeznaczeniem.

– Nazywasz mnie głupkiem? – oburza się Gil.

– Wydaje mi się, że już cię nazwałem.

Hayden wybucha śmiechem.

– Hej, Gilzilla ma rację – podzielenie naprawdę przysługuje się ludziom. Gdyby nie podzielenie, to na świecie znowu pojawiliby się łysole – a czy to nie byłoby straszne?

Diego parska śmiechem, ale Connor nie jest ani trochę rozbawiony.

– Gil, dlaczego nie wyświadczysz nam wszystkim przysługi i nie użyjesz ust do oddychania zamiast gadania, do czasu aż wylądujemy, rozbijemy się,

czy cokolwiek tam jeszcze nas czeka?

– Możesz sobie myśleć, że jestem głupi, ale mam dobry powód, aby odbierać to tak a nie inaczej – odpowiada Gil.

– Kiedy byłem mały, zdiagnozowano u mnie zwłóknienie płuc. Oba moje płuca wysiadały. Miałem umrzeć. Wycięli mi więc oba umierające płuca i przeszczepili jedno od Podzielonego. Jedynym powodem, dla którego żyję jest to, że tamten dzieciak został podzielony.

– Więc – komentuje Connor – twoje życie jest ważniejsze niż jego?

– On został już podzielony – przecież to nie ja mu to zrobiłem. Gdyby to płuco nie trafiło do mnie, to dostałby je ktoś inny.

Wprawiony w gniew, głos Connora zaczyna się unosić, choć Gil w najgorszym wypadku znajduje się zaledwie kilka kroków od niego.

– Gdyby nie było podzielenia, to byłoby wtedy mniej chirurgów, a więcej lekarzy. Gdyby nie było podzielenia, to z powrotem próbowano by wyleczyć choroby, zamiast zastępować jedne organy drugimi.

I nagle głos Gilzilli rozlega się z wściekłością, która zaskakuje Connora.

– Poczekaj, aż to ty będziesz umierał i zobaczymy, co wtedy powiesz!

– Wolałbym umrzeć, niż dostać któryś z organów od Podzielonego! – odwrzaskuje Connor.

Gilzilla próbuje wykrzyknąć coś jeszcze, ale zamiast tego dostaje ataku kaszlu, który trwa przez dobrą minutę. Jest tak uciążliwy, że przeraża nawet Connora. Brzmi tak, jak gdyby naprawdę mógł wykasłać swoje przeszczepione płuco.

– W porządku? – pyta Diego.

– Tak – odpowiada Gil, próbując zapanować nad kaszlem.

– Tak jak mówiłem, płuco ma astmę. Tylko na takie było nas stać.

Zanim atak kaszlu ustępuje, wydaje się, że nie zostało już nic więcej do powiedzenia. Poza jednym:

– Skoro twoi starzy tak bardzo się natrudzili – odzywa się Hayden – to dlaczego postanowili cię podzielić?

Hayden i te jego pytania. Ucisza tym Gila na kilka chwil. To jest dla niego wyraźnie trudny temat – może nawet trudniejszy niż dla większości Podzielonych.

– Moi *rodzice* nie podpisali zlecenia – odpowiada w końcu Gil. – Mój tata umarł, kiedy byłem mały, a moja mama zmarła przed dwoma miesiącami.

Wtedy przygarnęła mnie ciotka. Chodzi o to, że mama zostawiła mi trochę pieniędzy, ale moja ciotka ma już trójkę własnych dzieci, które musi wykształcić, więc...

Nie musiał dokańczać. Pozostali doskonale wiedzą, co miał na myśli.

– Stary, co za beznadzieja – kwituje Diego.

– Dokładnie – odpowiada Connor, przenosząc swoją złość z chłopaka na jego ciotkę.

– Zawsze chodzi o kasę – podsumowuje Hayden. – Kiedy moi starzy się rozchodzili, to kłócili się o pieniądze, dopóki żadnych już nie zostało. Następnie kłócili się o mnie. Więc zwałem, zanim i ze mnie nic nie zostało.

Zapada ponownie cisza. Nie słyhać nic oprócz warkotu silnika oraz stukotania skrzyni. Powietrze jest wilgotne i oddychanie przychodzi z trudem. Connor zastanawia się, czy być może Męczennicy błędnie obliczyli ilość potrzebnego im tlenu. *Wszyscy tu zginiemy.* – Tak powiedział Gil. Connor uderza mocno głową o ścianę, licząc, że uwolni się od złych myśli, które kurczowo uczepliły się jego mózgu. To nie jest odpowiednie miejsce na pozostanie samemu z własnymi myślami. Być może dlatego właśnie Hayden czuje się w obowiązku, aby coś powiedzieć.

– Nikt nie odpowiedział na moje pytanie – przypomina im Hayden. – Wygląda na to, że nikt nie ma odwagi.

– Na które? – pyta Connor. – Wyrzucałeś z siebie pytania jak bąki w Święto Dziękczynienia.

– Pytałem, czy podzielenie cię zabija, czy też jakimś sposobem nadal jesteś żywy. No co wy – nie powiecie mi przecież, że się nad tym nie zastanawialiście.

Gil nie odzywa się ani słowem. Kaszel i odbyta rozmowa wyraźnie go wykończyły. Connor również nie jest zainteresowany zgłoszeniem się na ochotnika.

– To zależy – odzywa się Diego. – Zależy od tego, gdzie znajduje się twoja dusza, kiedy zostaniesz już podzielony.

Zwykle Connor unika tego rodzaju dyskusji. Jego życie toczy się wokół tego, co namacalne: rzeczy, które można zobaczyć, usłyszeć i dotknąć. Bóg, dusze i wszystkie te sprawy zawsze były niczym sekret spoczywający w czarnej skrzyni, do której nie mógł zajrzeć, więc łatwiej było po prostu zostawić

ten temat w spokoju. Z tą różnicą, że teraz sam znajduje się wewnątrz czarnej skrzyni.

– Co o tym myślisz, Connor? – pyta Hayden. – Co się dzieje z twoją duszą, kiedy zostaniesz podzielony?

– A kto powiedział, że w ogóle ją mam?

– Na potrzeby dyskusji załóżmy, że tak jest.

– A kto powiedział, że potrzebna mi ta dyskusja?

– *Ijole!* Po prostu mu odpowiedz, człowieku, inaczej nie da ci spokoju.

Connor wierci się, ale nie potrafi dzięki temu wydostać się ze skrzyni.

– Skąd mam wiedzieć, co się z nią dzieje? Może się rozpada, tak jak pozostała część nas na małe kawałeczki.

– Ale dusza taka nie jest – odpowiada Diego. – Jest niepodzielna.

– Skoro jest niepodzielna – mówi Hayden – to może dusza Podzielonego rozciąga się, jak coś w rodzaju olbrzymiego balona, pomiędzy wszystkimi oderwanymi od siebie częściami naszego ciała. To bardzo poetyckie.

Hayden może dostrzegać w tym poezję, ale dla Connora myśl o tym jest po prostu przerażająca. Próbuje sobie wyobrazić siebie, rozciągniętego w ten sposób, cienkiego i szerokiego, że mógłby objąć cały świat. Wyobraża sobie swoją duszę niczym sieć rozwieszoną pomiędzy tysiącem biorców jego dłoni, oczu, fragmentów jego mózgu – żadne z nich nie będące już pod jego kontrolą, wszystkie wchłonięte przez ciała i wole innych. Czy świadomość mogłaby wtedy istnieć? Myśli o kierowcy ciężarówki, który pokazał mu karcianą sztuczkę dłonią Podzielonego. Czy chłopak, do którego ta dłoń niegdyś należała nadal odczuwa satysfakcję z wykonania sztuczki? Czy jego dusza nadal w niewytłumaczalny sposób pozostawała cała, pomimo iż jego ciało zostało przetasowane niczym talia kart, czy też został poszatutowany poza wszelką nadzieję świadomości poza niebem, piekłem, czy też czymkolwiek wiekuistym? Bez względu na to, czy dusza istnieje, czy też nie, Connor tego nie wie. Jednak *istnieje* świadomość – tego jest całkowicie pewien. Jeżeli każda część Podzielonego wciąż żyje, wtedy ta świadomość musi gdzieś się podziąć, prawda? W milczeniu przeklina Haydena za to, że musiał przez niego o tym myśleć... jednak Hayden jeszcze nie skończył.

– Powiem wam coś, od czego zwoje w mózgowicach wam się wyprostują – obwieszcza Hayden. – Znałem kiedyś pewną dziewczynę. Było w niej coś takiego, że zawsze chciałem wysłuchać tego, co miała do powiedzenia. Nie

wiem, czy była zrównoważona, czy też chora psychicznie. Wierzyła, że jeśli ktoś rzeczywiście zostaje podzielony, to oznacza to, że taka osoba nigdy nie miała naprawdę duszy. Mówiła, że Bóg musi wiedzieć, kto zostanie podzielony i nie obdarza takich osób duszą.

Diego wyraża swoją dezaprobatę poprzez burknięcie.

– Nie podoba mi się to.

– Ta dziewczyna sobie to wszystko poukładała w głowie – kontynuuje Hayden. – Wierzyła, że Podzieleni są jak nienarodzone dzieci.

– Chwila – odzywa się Gil, w końcu przerywając własną ciszę. – Nienarodzone dzieci mają dusze. Mają duszę od momentu poczęcia – tak mówi prawo.

Connor nie chce się ponownie zagłębiać z nim w te kwestie, ale nie potrafi się powstrzymać.

– Tylko dlatego, że tak mówi prawo, nie oznacza to wcale, że jest to prawdą.

– Cóż, tylko dlatego że tak mówi prawo, nie oznacza to wcale, że jest również nieprawdą. Prawo jest takie a nie inne, ponieważ mnóstwo ludzi rozmyślało nad tym i doszli do wniosku, że ma to sens.

– Hmm – wydaje z siebie dźwięk Diego. – Gilzilla ma rację.

Możliwe, ale z punktu widzenia Connora, prawda powinna być bardziej jednoznaczna.

– Jak można ustanawiać prawo odnośnie czegoś, czego nikt nie zna?

– Cały czas tak robią – odpowiada Hayden. – Tym właśnie jest prawo: przewidywaniem na podstawie posiadanej wiedzy odnośnie tego, co dobre a co złe.

– A ja zgadzam się z tym, co mówi prawo – kwituje Gil.

– Ale gdyby nie prawo, to czy nadal byś w to wierzył? – draży temat Hayden. – Przedstaw nam swoją własną opinię, Gil. Udowodnij, że pod kopułą zalega ci coś więcej niż tylko gluty.

– Tracisz tylko czas – odpowiada Connor. – Tam nie ma nic więcej.

– Daj naszemu zapchanemu koledze szansę – odpowiada Hayden.

Czekają. Dźwięk silnika zmienia się. Connor czuje, jak powoli schodzą w dół i zastanawia się, czy pozostali również to zauważyli. Następnie Gil odzywa się:

– Nienarodzone dzieci... one czasami ssą swoje kciuki, nie? I kopią. Może zanim to następuje, są skupiskiem komórek czy czegoś innego, ale kiedy za-

czynają kopać i ssać swoje kciuki – wtedy właśnie otrzymują duszę.

– Brawo! – odparowuje Hayden. – Wyraziłeś swoją własną opinię! Wiedziałem, że dasz sobie radę.

Connorowi zaczyna się kręcić w głowie. Czy to samolot się przechyla, czy też zaczyna brakować mu tlenu?

– Connor, bądźmy sprawiedliwi. – Gil wydobyl opinię gdzieś spomiędzy czeluści swojej wątpliwego pochodzenia mózgowicy. – Teraz ty musisz przedstawić swoją.

Connor wzdycha, nie mając już sił, aby się dalej kłócić. Myśli o niemowlęciu, którym wraz z Risą przez krótką chwilę się opiekowali.

– Jeżeli dusza w ogóle istnieje – a nie mówię, że tak jest – to człowiek zostaje nią obdarzony w momencie narodzin. Zanim to nastąpi, jest wyłącznie częścią matki.

– Nieprawda! – obrusza się Gil.

– Hej! Chciał usłyszeć moje zdanie, to mu je przestawiłem.

– Ale się mylisz!

– Widzisz, Hayden? – Widzisz, co narobiłeś?

– Tak! – odpowiada Hayden z podekscytowaniem.

– Wygląda na to, że będziemy mieć naszą własną Wojenkę Moralną. Szkoda, że przez tę ciemność nie będziemy mogli jej zobaczyć.

– Jeżeli chcecie usłyszeć moje zdanie, to uważam że jesteście w błędzie – wtrąca Diego. – Ja to widzę tak, że to w ogóle nie ma z tym nic wspólnego. Ważna jest miłość.

– Yhm – odpowiada Hayden. – Diego robi się romantyczny. Przesuwam się na drugą stronę skrzyni.

– Nie, mówię poważnie. Człowiek nie otrzymuje duszy, dopóki ktoś go nie obdarzy miłością. Jeżeli matka kocha swoje dziecko – *pragnie* go – to otrzymuje ono duszę w chwili, kiedy matka dowiaduje się o jego istnieniu. W chwili, kiedy ktoś nas pokocha, wtedy właśnie otrzymujemy dusze. *Punto!*

– Czyżby? – odpowiada Connor. – A co z tymi wszystkimi dziećmi, które zostały komuś podrzucone. Albo z tymi w domach dziecka?

– Muszą mieć nadzieję, że ktoś ich kiedyś pokocha.

Connor prychnął lekceważąco, jednak wbrew samemu sobie, nie potrafi całkowicie tego zlekceważyć, tak samo jak pozostałych rzeczy, o których dzisiaj usłyszał. Myśli o swoich rodzicach. Czy oni kiedykolwiek go kochali?

Na pewno, kiedy był mały. I tylko dlatego, że przestali, to nie oznacza to wcale, że pozbawiono go jego duszy... choć czasami musi przyznać, że tak właśnie się czuł. Albo przynajmniej, jakaś jej część umarła, kiedy jego rodzice podpisali tamto zlecenie.

– Diego, to naprawdę urocze – komentuje Hayden swoim najlepszym kpiącym głosem. – Może powinieneś zająć się pisaniem kartek z życzeniami.

– Może wypisać ci jedną na pysku?

Hayden jedynie się zaśmiewa.

– Zawsze robisz sobie jaja z opinii innych ludzi – mówi Connor – dlaczego nigdy nie przedstawiś własnej?

– Właśnie – wtóruje mu Gil.

– Zawsze pogrywasz innymi dla własnej rozrywki. Teraz twoja kolej. Zabaw nas.

– No dalej – mówi Gil.

– Powiedz nam, zatem – kontynuuje Connor – kiedy, zgodnie ze „Światem według Haydena” rozpoczyna się życie?

Następuje długa cisza a następnie Hayden odpowiada po cichu, z zażenowaniem:

– Nie wiem.

Gil naśmiewa się z niego.

– To nie jest odpowiedź.

Jednak Connor wyciąga dłoń i chwyta Gila za ramię, aby się uciszył – ponieważ Gil się myli. Chociaż Connor nie widzi twarzy Haydena, to słyszy prawdę w jego głosie. W jego słowach nie było ani odrobiny wykrętu. To była czysta szczerść, pozbawiona jego zwyczajnego, nonszalanckiego zachowania.

To były być może pierwsze naprawdę szczerze wypowiedziane słowa, jakie Connor od niego usłyszał.

– Tak, to jest odpowiedź – mówi Connor. – Może nawet najlepsza ze wszystkich. Gdyby więcej ludzi mogło się przyznać, że naprawdę nie wiedzą, może wtedy nigdy nie doszłoby do Wojny Moralnej.

Pod nim następuje jakiś mechaniczny wstrząs. Gil dyszy.

– Podwozie samolotu – wyjaśnia Connor.

– Ach, tak.

Za kilka minut będą na miejscu, gdziekolwiek się ono znajduje. Connor próbuje oszacować, jak długo przebywali w powietrzu. Dziewięćdziesiąt mi-

nut? Dwie godziny? Nie ma pojęcia, w którym kierunku poleciecieli. Mogą wylądować gdziekolwiek. A może Gil miał rację. Może samolot jest sterowany przez autopilota i wyląduje w oceanie, aby pozbyć się dowodów. A co, jeśli spotka ich coś jeszcze gorszego? Co, jeśli... co, jeśli...

– Co, jeśli mimo wszystko wylądujemy w ośrodku donacyjnym? – odzywa się Gil. Connor tym razem nie każe mu się przymknąć, ponieważ myśli o tym samym.

Odpowiada mu Diego.

– Jeśli tak, to chcę żeby moje palce trafiły do rzeźbiarza. Po to, aby mógł dzięki nim stworzyć coś, co będzie trwać wiecznie.

Wszyscy się nad tym zastanawiają. Hayden odzywa się jako kolejny.

– Jeżeli zostanę podzielony – mówi – to chcę, aby moje oczy trafiły do fotografa – takiego, który robi zdjęcia supermodelkom. Chcę, aby to właśnie oglądały moje oczy.

– Moje usta trafią do gwiazdy rocka – odzywa się Connor.

– Te nogi z całą pewnością pobiegną na igrzyskach olimpijskich.

– Moje uszy powędrują do dyrygenta orkiestry.

– Mój żołądek do krytyka kulinarnego.

– Moje bicepsy do kulturysty.

– Nie życzyłbym nikomu, aby dostał moje zatoki.

I wszyscy wybuchają śmiechem, kiedy samolot dotyka kołami ziemi.



28. RISA

Risa nie wie, co się wydarzyło w skrzyni Connora. Zakłada, że faceci gadają o męskich sprawach, cokolwiek się kryje pod tym pojęciem. Nie może wiedzieć, że to, co wydarzyło się w jego skrzyni było odtworzeniem tego, co wydarzyło się w jej i niemal każdym innym kontenerze w samolocie. Strach, obawy, z rzadka zadawane pytania i opowiadane historie. Szczegóły się oczywiście różniły, tak jak uczestnicy, ale istota sprawy pozostała ta sama. Nikt więcej nie będzie na ten temat rozmawiał, ani się nawet nie przyzna, że temat ten poruszano, jednak z powodu tego, co zaszło, utworzyły się pomiędzy nimi niewidzialne więzi. Risa poznała dziewczynę z nadwagą ze skłonnością do łez, dziewczynę rozdrażnioną tygodniowym rozbratem z nikotyną oraz dziewczynę, która tak jak ona była wychowanką domu dziecka – i również, tak samo jak Risa, stała się mimowolną ofiarą cięć budżetowych. Miała na imię Tina. Pozostali również się przedstawili, ale zapamiętała tylko jej imię.

– Jesteśmy dokładnie takie same – powiedziała w którymś momencie Tina w trakcie lotu. – Mogłybyśmy być bliźniaczkami. – Choć Tina jest umbroskóra, Risa musi przyznać, że to prawda. To pocieszające wiedzieć, że są inni, którzy znajdują się w takiej samej sytuacji jak ona, ale martwi ją zarazem to, kiedy pomyśli, że jej życie jest tylko jedną z tysiąca powielonych, pirackich kopii. Oczywiście Podzieleni z domów stanowych mają różne twarze, ale poza tym ich historie nie różnią się. Wszyscy mają nawet takie samo nazwisko i Risa w milczeniu przeklina osobę, kimkolwiek by nie była, która

postanowiła, że wszyscy będą nosić nazwisko Ward – zupełnie, jak gdyby bycie jednym wychowanków domu dziecka nie było już wystarczającym piętnem.

Samolot ląduje, a oni czekają.

– Dlaczego to tyle trwa? – utyskuje zniecierpliwiona palaczka. – Dłużej tego nie wytrzymam!

– Może przenoszą nas do ciężarówki albo do innego samolotu – sugeruje przysadzista sąsiadka.

– Oby nie – odpowiada Risa. – Nie wystarczy nam powietrza na kolejną podróż.

Słychać jakiś hałas – ktoś jest na zewnątrz skrzyni.

– Szszsz! – ucisza ich Risa. – Słuchajcie.

Kroki. Łomot. Słyszysz głosy, chociaż nie potrafi zrozumieć, co mówią. Następnie ktoś otwiera skrzynię z zatrasku i nieco uchyla klapę. Gorące, wilgotne powietrze wlewa się do środka. Po godzinach spędzonych w ciemności, skrawek światła z ładowni samolotu wydaje się być jasny niczym światło słoneczne.

– Nikomu nic się nie stało? – To nie Męczennik – Risa zauważa to od razu. Głos należy do kogoś młodszego.

– Nic nam nie jest – odpowiada Risa. – Możemy stąd wyjść?

– Jeszcze nie. Najpierw musimy otworzyć wszystkie pozostałe skrzynie i wpuścić do nich trochę świeżego powietrza. – Z tego co widzi Risa, jest to chłopak w jej wieku, być może nawet od niej młodszy. Ubrany jest w beżowy bezrękawnik i spodnie w kolorze khaki. Jest spocony a jego policzki są opalone. Nie, nie tylko opalone. Są spalone słońcem.

– Gdzie jesteśmy? – pyta Tina.

– Na Cmentarzysku – odpowiada chłopak i podchodzi do kolejnej skrzyni.

Po kilku minutach skrzynia zostaje całkowicie otwarta i zostają wypuszczone. Risa przez chwilę przygląda się swoim towarzyszkom podróży. Trzy dziewczyny wyglądają zupełnie inaczej niż je zapamiętała, kiedy wchodziły do środka. Zaznajomienie się z kimś w całkowitej ciemności zmienia twoje wyobrażenie o tej osobie. Postawna dziewczyna nie ma tak wielkiej nadwagi, jak Risie wcześniej się wydawało. Tina nie jest taka wysoka. Z kolei nikotynowa dziewczyna nie jest wcale tak brzydka.

Rampa z ładowni prowadzi w dół i Risa musi czekać na swoją kolej pośród długiej linii dzieciaków opuszczających swoje skrzynie. Plotki rozbrzmiewają już gwarnie wszędzie dookoła. Risa próbuje się im przysłuchać i oddzielić fakty od fikcji.

– Zmarło mnóstwo dzieciaków.

– Zalewasz.

– Słyszałem, że połowa dzieciaków zmarła.

– Zalewasz!

– Rozejrzyj się, debilu! Czy to ci wygląda, jakby połowa z nas zmarła?

– Ja tylko tak słyszałem.

– Zmarła tylko czwórka w jednej skrzyni.

– Właśnie! Ktoś mówi, że im odbiło i pozjadali siebie nawzajem – wiesz, jak u Donnerów, tej grupie osadników, która uciekła się do kanibalizmu.

– Nie, oni się po prostu udusili.

– Skąd wiesz?

– Ponieważ widziałem to, człowieku. Byli w skrzyni tuż obok mojej. Było w niej pięciu kolesi zamiast czterech i wszyscy się udusili.

Risa zwraca się do chłopaka, który to powiedział.

– Czy to na pewno prawda, czy po prostu zmyślasz?

Risa widzi po jego niespokojnym wyrazie twarzy, że mówi szczerze.

– Nie żartowałbym z czegoś takiego.

Risa szuka Connora, jednak jej pole widzenia ograniczone jest do kilku osób ustawionych wokół niej w kolejce. Zaczyna szybko rachować. Było około sześćdziesięcioro dzieciaków. Pięcioro się udusiło. Prawdopodobieństwo, że to był Connor wynosi jeden do dwunastu. Nie, ponieważ chłopak, który zajrzał do tamtej skrzyni powiedział, że w środku byli kolesie. W sumie było tylko trzydziestu chłopaków. Prawdopodobieństwo, że to był Connor wynosi więc jeden do sześciu. Czy był jednym z ostatnich w środku? Czy został wepchnięty do przepełnionej skrzyni? Nie wiedziała. Tak bardzo była zdenerwowana popędzaniem ich tamtego poranka, że sama ledwo wiedziała, gdzie się znajduje i co się z nią dzieje, a co dopiero inni. *Proszę cię, Boże, żeby to nie był Connor. Żeby to nie był Connor.* Jej ostatnie słowa skierowane do niego były przepełnione złością. I chociaż uratował ją przed Rolandem, to była na niego wściekła. – Wynoś się! – nawrzeszczała na niego. Nie może znieść myśli, że Connor mógł umrzeć, a to były jej ostatnie wypo-

wiedziane do niego słowa. Nie może znieść myśli, że Connor w ogóle mógł umrzeć.

Wychodząc, uderza głową o niski otwór drzwiowy kabiny ładunkowej.

– Uważaj na głowę – ostrzega jeden z odpowiedzialnych za rozładunek chłopaków.

– Jasne, dzięki – odpowiada Risa. Uśmiecha się do niej złośliwie. Chłopak również ma na sobie wojskowe ubranie, jednak jest zbyt wychudzony jak na armiaka. – O co chodzi z tymi ciuchami?

– To ciuchy z demobilu – odpowiada chłopak. – Kradzione ciuchy za skradzione dusze. – Na zewnątrz ładowni światło dnia jest oślepiające i jest gorąco jak w piecu. Schodki pod jej stopami opadają na ziemię i Risa, mrużąc oczy, musi wpatrywać się w swoje stopy, aby się nie potknąć. Zanim dociera do ziemi, jej oczy przyzwyczajają się już wystarczająco do otoczenia. Wszystko wokół nich, wszędzie dookoła, to samoloty, ale nie widać śladu lotniska – wyłącznie samoloty, rząd za rządem, tak daleko jak okiem sięgnąć. Wiele spośród nich należało do linii lotniczych, które już nie istnieją. Obraca się, aby spojrzeć na samolot, którym właśnie przylecieli. Ma na sobie logo firmy FedEx, ale ten model jest kiepskim egzemplarzem. Wygląda, jakby miał za chwilę trafić na złomowisko. Albo – myśli Risa – *na cementarzysko...*

– To jakiś obłąd – utyskuje jakiś dzieciak obok Risy. – Przecież ten samolot nie jest niewidzialny. Będą wiedzieć dokąd dokładnie poleciał. Wytropią nas tutaj!

– Nie rozumiesz? – odpowiada Risa. – Ta maszyna została właśnie wycofana z eksploatacji. Tak właśnie to robią. Czekają na odpowiedni samolot, a następnie przewożą nas w nim jako ładunek. Samolot i tak miał tu przylecieć, więc nikt nie będzie za nim tęsknił.

– Samolot spoczywa na twardej, jałowej, rdzawoczerwonej ziemi. Odległe czerwone góry malują się na horyzoncie. Znajdują się gdzieś na południowym zachodzie.

Jest tam rząd przenośnych toalet, do których zdążyły się już poustawiać kolejki zniecierpliwionych oczekujących. Prowadzące je dzieciaki liczą ich i próbują zaprowadzić porządek pośród zdezorientowanej grupy. Jeden z nich ma megafon.

– Osoby niekorzystające z latryny proszę o pozostanie pod skrzydłem – komunikuje. – Dotarliście tak daleko, więc nie chcemy, żebyście pomarli z powodu udaru słonecznego.

Teraz, kiedy wszyscy opuścili już samolot, Risa rozpaczliwie przeszukuje tłum, dopóki w końcu nie odnajduje Connora. Dzięki Bogu! Chce do niego podejść, ale przypomina sobie, że oficjalnie zakończyli ich udawany romans. Mając między sobą dwa tuziny dzielących ich osób, na krótko udaje im się nawiązać kontakt wzrokowy i wymienić potajemne skinienie głową. To skinienie mówi wszystko. Mówi, że to, co się wczoraj pomiędzy nimi wydarzyło to już przeszłość: dzisiaj wszystko zaczyna się na nowo.

Następnie dostrzega również Rolanda. Przechwytuje jej spojrzenie i uśmiecha się do niej szeroko. Ten uśmiech również wiele mówi. Odwraca od niego wzrok, żałując, że nie było go pośród tych, którzy się udusili. Zastanawia się, czy powinna czuć się winna za tak okropne myśli, jednak po chwili uświadamia sobie, że w ogóle nie czuje się z tego powodu źle.

Spomiędzy rzędów samolotów pasażerskich nadjeżdża wózek golfowy, zostawiając za sobą smugę czerwonego kurzu. Kierowcą jest jakiś chłopak. Pasażer jest wyraźnie jakimś wojskowym. Jednak nie wojskowym z demobilu – jest prawdziwy. Zamiast zielonego khaki ma na sobie granatowy mundur. Wydaje się być przywykły do upału – nawet w swoim grubym mundurze nie jest spocony. Wózek zatrzymuje się przed zgromadzoną grupą nieletnich uciekinierów. Kierowca wysiada jako pierwszy i dołącza do czwórki dzieciaków, którzy ich prowadzili. Głośny chłopak unosi megafon.

– Proszę wszystkich o uwagę! Admirał za chwilę do was przemówi. Jeżeli macie trochę oleju w głowie, to go wysłuchacie.

Mężczyzna wychodzi z wózka golfowego. Chłopak podaje mu megafon, ale ten zbywa go gestem ręki. Jego głos nie potrzebuje wzmocnienia.

– Chciałbym was jako pierwszy powitać na cmentarzysku.

Admirał jest dobrze po sześćdziesiątce, a jego twarz jest cała w bliznach. Dopiero teraz Risa zdaje sobie sprawę, że jego mundur pochodzi z czasów wojny. Nie potrafi sobie przypomnieć, czy te kolory reprezentowały siły przeciwników aborcji, czy też siły zwolenników wolnego wyboru kobiety, jednak to nie ma tak naprawdę znaczenia. Obie strony przegrały.

– To będzie wasz dom do czasu osiągnięcia przez was pełnoletności albo pozyskania dla was stałego protektora, który będzie gotów sfalszować wasz dowód tożsamości. Chcę, abyśmy mieli w tej kwestii jasność: To, co robimy

jest całkowicie nielegalne, ale nie oznacza to wcale, że nie przestrzegamy tu prawa. *Mojego prawa.*

Robi przerwę, nawiązując kontakt wzrokowy z jak największą ilością dzieciaków. Być może postawił sobie za cel zapamiętać każdą twarz z osobna przed końcem swojej mowy. Jego oczy są bystre, jego uwaga głęboka. Risa wierzy, że może zapamiętać każde z nich, rzucając jedynie dłuższe spojrzenie. To ją przeraża i zarazem dodaje otuchy. W świecie Admirala nikt nie jest spisany na straty.

– Każde z was zostało skazane na podzielenie, a pomimo tego, udało wam się uciec i dzięki pomocy wielu moich towarzyszy, udało się wam tutaj dotrzeć. Nie obchodzi mnie to, kim byliście. Nie obchodzi mnie to, kim będziecie, kiedy opuścicie to miejsce. Obchodzi mnie jedynie to, kim jesteście tutaj – a kiedy tu jesteście, zrobicie to, czego od was oczekuję.

Ręka w tłumie wznosi się do góry. To Connor. Risa wołałaby, żeby to nie był on. Admirał nie śpieszy się i przygląda się twarzy Connora zanim mówi.

– Tak?

– Więc... kim pan właściwie jest?

– Moje nazwisko to moja sprawa. Wystarczy wam wiedzieć, że jestem byłym admirałem marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych. – Następnie szczerzy zęby w uśmiechu. – Można teraz powiedzieć, że jestem rybą bez wody. Obecny klimat polityczny doprowadził do mojej rezygnacji. Prawo mówiło, że moja praca polegała na przymykaniu oczu, ale tego nie zrobiłem. I tego nie zrobię. – Następnie zwraca się do tłumu i mówi doniośle: – Nikt nie zostanie podzielony na mojej wachcie.

Wszyscy zgromadzeni wydają radosne okrzyki, łącznie z dziećmi w khaki, którzy stanowią już część jego małej armii. Admirał uśmiecha się szeroko. Jego uśmiech ukazuje rząd idealnie prostych i idealnie białych zębów. Jest to dziwnie niespójne, ponieważ choć jego zęby są olśniewająco białe, pozostała część jego ciała wydaje się całkowicie wyeksploatowana.

– Tworzymy tu społeczność. Poznacie zasady i będziecie ich przestrzegać, albo poniesiecie konsekwencje, tak jak ma to miejsce w każdym społeczeństwie. Tu nie ma demokracji; tu panuje dyktatura. I ja jestem waszym dyktatorem. To jest konieczność. To jest najbardziej efektywny sposób, aby was ukryć, utrzymać przy zdrowiu i zachować w całości. – Następnie ponownie obdarowuje wszystkich tym swoim uśmiechem. – Chciałbym wierzyć, że je-

stem oświeconym dyktatorem, ale tę kwestię pozostawiam już waszemu osądowi.

Jego spojrzenie powędrowało po wszystkich twarzach w tłumie. Każde z nich czuje się niczym puszki groszku zeskanowane w kasie marketu. Zeskanowane i przetworzone.

– Dzisiejszej nocy wszyscy będziecie spać w kwaterach nowo przybyłych. Jutro ocenimy wasze umiejętności i zostaniecie przydzieleni do waszych stałych drużyn. Gratulacje. Dotarliście do celu!

Odczekuje chwilę, aż ta ostatnia informacja do nich dotrze, a następnie odwraca się w stronę wózka golfowego i odjeżdża niepostrzeżenie, zostawiając za sobą tę samą kłębiącą się chmurę czerwonego kurzu.

– Może pozwolą nam jeszcze wrócić z powrotem do skrzyni – rzuca jakiś mądrała. Grupa dzieciaków wybucha śmiechem.

– Dobra, słuchajcie! – krzyczy chłopak z megafonem. – Zaprowadzimy was do samolotu zaopatrzeniowego, gdzie dostaniecie ubrania, racje żywnościowe i wszystko inne, czego wam potrzeba. – Szybko dowiadują się, że chłopak z megafonem został obdarzony przezwiskiem „Krzykacz”. Co zaś się tyczy kierowcy Admirala, to przyległa do niego ksywa Alfred.

– To kawał drogi – wyjaśnia Krzykacz. – Jeżeli ktoś czuje, że nie da rady, to niech nam powie. Niech każdy, kto potrzebuje teraz wody uniesie rękę.

Niemal wszystkie ręce poszybowały w górę.

– Okay, ustawcie się w kolejce.

Risa ustawia się w kolejce wraz z pozostałymi. Wśród czekających dzieciaków rozlega się gwar i szepty, jednak nie są one tak rozpaczliwe, jak miało to miejsce w minionych tygodniach. Teraz przypomina to bardziej gwar rozmów przeprowadzanych przez uczniów w szkole ustawionych w kolejce po lunch.

Kiedy idą po czyste ubrania i pożywienie, samolot, którym przylecieli zostaje odholowany w miejsce ostatecznego spoczynku na ogromnym złomowisku. Dopiero teraz Risa bierze głęboki oddech, a gdy wypuszcza powietrze wraz z nim ustępuje też napięcie, które kotłowało się w niej przez ostatni miesiąc. Dopiero teraz pozwala sobie na cudowny luksus nadziei.



29. LEV

Ponad tysiąc sześćset kilometrów dalej Lev również powoli dociera do celu. Jednak nie jest to *jego* cel: należy do Cyrusa Fincha. Joplin, w stanie Missouri.

– Siedziba Joplin High Eagles – aktualnych stano mistrzyń w dziewczęcym baseballu – wyjaśnia CyFi.

– Sporo wiesz o tym miejscu.

– Nic o nim nie wiem – odburkuje CyFi. – *On* wie. Czy też *wiedział*. Czy jakkolwiek.

Podróż nie stała się łatwiejsza. Oczywiście mają teraz pieniądze, dzięki „wymianie” dokonanej przez Leva w lombardzie, jednak pieniądze służą im jedynie do zakupu pożywienia. Nie mogą za nie kupić biletów na pociąg, czy nawet na autobus, ponieważ nie ma nic bardziej podejrzanego od nieletnich dzieciaków płacących za swój przejazd.

W kwestii celów i planów, sprawy pomiędzy Levem i CyFim nie uległy zmianie, z jednym znaczącym, niewypowiedzianym wyjątkiem. CyFi może w dalszym ciągu odgrywać rolę lidera, jednak to Lev teraz dowodzi. Jest w tym jakaś wstydliva przyjemność wiedzieć, że CyFi mógłby się załamać, gdyby nie było przy nim Leva, który pomógłby mu to przetrwać.

Kiedy do Joplin pozostało jedynie trzydzieści kilometrów, drgawki CyFia stają się na tyle dotkliwe, że nawet chodzenie sprawia mu trudność. Teraz to już coś znacznie więcej niż tylko tik – to dreszcze, które pustoszą jego

ciało niczym napad padaczkowy, wywołując u niego dygotanie. Lev oferuje mu swoją kurtkę, jednak Cy go odtrąca.

– Nie jest mi zimno! To nie chodzi o to, że jest mi zimno! Chodzi o to, że coś jest nie tak. Chodzi o to, że w mojej głowie tryby nie współgrają.

Pytanie, co dokładnie Cy musi zrobić, kiedy dotrze już do Joplin pozostaje dla Leva tajemnicą – a teraz uświadamia sobie, że dla jego kompana również. Do czego ten chłopak – lub część chłopaka – w jego głowie próbuje go zmusić, pozostaje dla CyFia niepojęte. Lev może jedynie mieć nadzieję, że ma to jakiś sens i nie jest to nic destrukcyjnego, chociaż Lev nie potrafi powstrzymać się od podejrzeń, że czegokolwiek ten dzieciak by nie chciał, to jest to złe. Naprawdę złe.

– Dlaczego wciąż ze mną jesteś, Wąsik? – pyta CyFi po jednym ze swoich napadów drgawek. – Każdy normalny koleś już dawno dałby dyla.

– A kto mówi, że jestem normalny?

– Ach, jesteś normalny, Wąsik. Jesteś tak bardzo normalny, że aż mnie to przeraża. Tak bardzo normalny, że to aż nienormalne.

Lev zastanawia się przez chwilę. Chce mu udzielić prawdziwej odpowiedzi, a nie czegoś, czym jedynie mógłby zbyć pytanie.

– Zostałem – odpowiada powoli Lev – ponieważ ktoś musi widzieć, co się stanie w Joplin. Ktoś musi zrozumieć, dlaczego to robisz. Cokolwiek to jest.

– No tak – odpowiada CyFi. – Potrzebny mi świadek. O to chodzi.

– Jesteś jak łośoś płynący w górę rzeki – wyjaśnia mu Lev. – To siedzi wewnątrz ciebie. A wewnątrz mnie, żeby pomóc ci tam dotrzeć.

– Łosoś. – Cy wydaje się być zamyślony. – Kiedyś widziałem plakat o łososiu. Wskakiwał z wodospadu, rozumiesz. Ale na górze czekał na niego niedźwiedź i ryba wskakiwała wprost do jego pyska. Podpis pod obrazkiem

–

miał być zabawny – głosił: „Pokonanie tysięcy kilometrów czasami kończy się bardzo, bardzo paskudnie”.

– W Joplin nie ma niedźwiedzi – odpowiada mu Lev. Nie próbuje go pocieszyć kolejnymi analogiami, ponieważ Cy jest tak bystry, że może doszukiwać się we wszystkim negatywnych aspektów. Sto trzydzieści punktów IQ skupione na obmyśleniu swojej własnej zagłady. Lev nie może z tym walczyć.

Dni upływają, kilometr za kilometrem, miasteczko za miasteczkiem, aż po południu mijają znak, który głosi: WITAMY W JOPLIN, LICZBA

MIESZKAŃCÓW 45 504.



30. CY-TY

W głowie CyFia nie ma spokoju. Wąsik nawet nie podejrzewa, jak bardzo jest źle. Wąsik nie wie, jak uczucia targają nim od środka niczym sztorm – rozpędzone fale uderzają o rozpadający się falochron. Ten mur nie długo się zawali, a kiedy to nastąpi, Cy przegra. Straci wszystko. Jego umysł wyleje się uszami i wycieknie na ulicę Joplin. Wie o tym.

Wtedy dostrzega znak. WITAMY W JOPLIN. Serce należy do niego, ale łomocze w piersi, odgrazając się, że z niej wyskoczy – a czy to nie byłoby takie złe? Zawieziono by go do szpitala, przeszczepiono czyjąś pikawę i wtedy ten dzieciak również musiałby przez to przechodzić.

Chłopak w głębi jego umysłu nie przemawia do niego słowami. Przemawia do niego *uczuciami*. *Wyraża je*. Nie rozumie, że jest jedynie częścią innej osoby. To jest niczym sen, w którym wiesz o pewnych rzeczach, a o innych powinieneś wiedzieć, ale tak nie jest. Ten chłopak – on wie gdzie się znajduje, ale nie wie, że nie jest tam całkowicie. Nie wie, że jest teraz częścią kogoś innego. Wciąż szuka w głowie Cyrusa rzeczy, których już tam nie ma. Wspomnień. Powiązań. Wciąż szuka słów, jednak mózg Cyrusa koduje słowa inaczej. Więc miota się i jest coraz bardziej rozzłoszczony. Przerażony. Rozżalony. Fale uderzają o mur, a pod tym wszystkim płynie prąd, który ciągnie CyFia do przodu. Jest tutaj coś do zrobienia i tylko ten chłopak wie, co to jest.

– Może mapa by pomogła? – pyta Wąsik. To pytanie doprowadza CyFia do szału. – Mapa mi nie pomoże – odparowuje. – Muszę to zobaczyć. Muszę

tam być. Mapa to tylko mapa. To nie to samo, co bycie tam.

Stają na rogu na obrzeżach Joplin. To jak poszukiwanie wody za pomocą różdżki. Nic nie wydaje się znajome.

– On nie zna tego miejsca – stwierdza Cy. – Chodźmy na inną ulicę.

Przeznica za przecznicą, skrzyżowanie za skrzyżowaniem, ciągle to samo. Nic. Joplin to małe miasteczko, jednak nie na tyle małe, żeby ktoś mógł poznać je całe. Następnie, w końcu docierają do głównej ulicy. Wzdłuż niej ciągną się sklepy i restauracje.

Wygląda jak każde inne miasteczko tej wielkości, ale...

– Czekaj!

– Co jest?

– On zna tę ulicę – uświadamia sobie Cy. – Tam! Ta lodziarnia. Czuję smak lodów dyniowych. Nie cierpię lodów dyniowych.

– Załóż się, że *on* wręcz przeciwnie.

Cyrus przytakuje.

– To były jego ulubione. Co za ofiara losu. – Wskazuje palcem na lodziarnię i powoli zamachuje się ręką w lewo. – Nadchodzi z tamtej strony... – Zamachuje się ręką w prawo. – A kiedy kończy, to idzie w tamtym kierunku.

– Więc idziemy w stronę, z której przychodzi, czy w którą się udaje?

Cy decyduje się pójść w lewo, jednak dochodzi do Joplin High, siedziby drużyny Eagles. Oczami wyobraźni widzi szpadę i w tej samej chwili już wie.

– Szermierka. Ten chłopak był w tutejszej drużynie szermierskiej.

– Szpady się błyszczą – zauważa Wąsik. Cy obdarzyłby go złowrogim spojrzeniem, gdyby dzieciak nie miał racji. Szpady rzeczywiście się błyszczą.

Zastanawia się, czy ten chłopak kiedykolwiek ukradł jakąś szpadę i uświadamia sobie, że tak, prawdopodobnie to zrobił. Kradzież broni drużyny przeciwnej jest uświęconą tradycją szermierki.

– Tędy – mówi Wąsik, prowadząc ich obu. – W drodze ze szkoły do domu musiał zachodzić do lodziarni. Właśnie do domu teraz idziemy, tak?

Odpowiedź przychodzi do niego niczym głębokie pragnienie zakotwiczone w jego głowie, które uderza go z całą mocą. Łosoś? Bardziej miecznik, który wije się na żyłce a ta ciągnie go nieustępliwie w stronę... – Domu – odpowiada Cy. – Tak.

Nastał już zmierzch. Dzieciaki przebywają na ulicach; połowa samochodów ma włączone przednie reflektory. Dla postronnych wyglądają jak

dwójka dzieciaków z sąsiedztwa, udająca się tam, gdzie dzieciaki z sąsiedztwa chodzą. Wydaje się, że nikt ich nie zauważa. Jednak przecnicę dalej znajduje się radiowóz. Stał zaparkowany, jednak teraz zaczyna jechać.

Przechodzą obok lodziarni i w chwili, kiedy to robią, Cyrus odczuwa dokonującą się w nim przemianę. Widać ją w sposobie, w jaki idzie, i w tym jak się zachowuje. W napięciu bijącym z jego twarzy. Zmieniają się. Jego brwi opadają, a szczęka nieznacznie się otwiera. *Nie jestem sobą. Ten drugi dzieciak przejmuje kontrolę. Czy Cy powinien na to pozwolić, czy też powinien z tym walczyć?* Jednak wie, że na walkę jest już za późno. Jedynym sposobem, aby to zakończyć, to pozwolić mu to.

– Cy – odzywa się chłopak obok niego.

Cy spogląda na niego i chociaż część niego wie, że to tylko Lev, pozostała część niego panikuje. Od razu wie dlaczego. Zamyka na chwilę oczy i próbuje przekonać chłopaka w swojej głowie, że Wąsik jest przyjacielem, nie zagrożeniem. Chłopak wydaje się to zrozumieć i jego panika nieco maleje.

Cy dociera do rogu ulicy i skręca w lewo, jak gdyby robił to już setki razy. Pozostała część jego ciała drży, kiedy próbuje nadażyć za swoim zdeterminowanym płatem skroniowym. Ogarnia go teraz uczucie. Nerwowość, irytacja. Wie, że musi znaleźć sposób, aby przełożyć to na słowa.

– Spóźnię się. Wkurzą się. Zawsze się wkurzają.

– Na co się spóźnisz?

– Na kolację. Muszą zjeść o określonej godzinie, inaczej dostanę ochrzan. Mogliby zjeść beze mnie, ale tego nie robią. Nigdy. Po prostu się zamartwiają, a jedzenie stygnie. I to zawsze jest moja wina, moja wina, to zawsze jest moja wina. Więc muszę tam z nimi siedzieć, a oni pytają mnie, jak mi minął dzień? W porządku. Czego się nauczyłem? Niczego. Co tym razem zrobiłem źle? Wszystko. – To nie jest jego głos. To jego struny głosowe, ale nie jego głos się z nich wydobywa. Ten sam ton, ale inna modulacja. Inny akcent. Zupełnie jakby mógł mówić, gdyby pochodził z Joplin, siedziby High Eagles.

Gdy skręcają za kolejnym rogiem, Cy znowu dostrzega ten radiowóz. Jest za nimi, jedzie powoli. Nie ma żadnej wątpliwości. Jedzie za nimi. A to nie wszystko. Przed nimi jest kolejny radiowóz, jednak ten stoi przed jakimś domem. Jego domem. *Moim domem.* W końcu Cy jest przecież łososiem a ra-

diowóz to niedźwiedź. Jednak pomimo tego, nie może się zatrzymać. Musi się dostać do tego domu albo umrzeć, próbując.

Zbliżając się do alejki prowadzącej do domu, ze znajomej toyoty zaparkowanej po przeciwnej stronie ulicy wychodzi dwóch mężczyzn. To ojcowie. Spoglądają na niego z uczuciem ulgi na twarzach, ale również i bólu. Wiedzieli więc dokąd zmierza. Musieli to wiedzieć od samego początku.

– Cyrus – woła jeden z nich. Chce do nich pobiec. Chce, żeby go po prostu zabrali do domu, jednak się powstrzymuje. Nie może wrócić do domu. Jeszcze nie teraz. Obaj idą w jego stronę wielkimi krokami, zastępując mu drogę, jednak na tyle rozumnie, aby go nie denerwować.

– Muszę to zrobić – oznajmia głosem, który, jak wie, do niego nie należy.

Wtedy właśnie z radiowozu wyskakują policjanci i go chwytają. Są zbyt silni, aby mógł się im wyrwać, więc spogląda na swoich ojców.

– Muszę to zrobić – powtarza. – Nie bądźcie niedźwiedziem.

Spoglądają na siebie nawzajem, nie rozumiejąc, o co mu chodzi – ale może jednak rozumieją, ponieważ odsuwają się i mówią do policjantów:

– Puśćcie go.

– To jest Lev – mówi Cyrus, zdumiony, że Wąsik jest skłonny ryzykować własną skórę, aby go teraz wspierać. – Niech nikt go również nie rusza. – Ojcowie przez krótką chwilę przyglądają się Wąsikowi, jednak szybko na powrót kierują swoją uwagę na Cyrusa.

Policjanci obszukują CyFia, upewniając się, że nie ma przy sobie broni i zadowoleni pozwalają mu iść w stronę domu. Jednak jest pewna broń.

To coś ostrego i wielkiego. W tej chwili znajduje się w zaułku jego umysłu, jednak za kilka chwil tak nie będzie. I teraz Cy jest przerażony ale nie może się już zatrzymać.

Przed frontowymi drzwiami stoi funkcjonariusz policji i rozmawia przyciszonym tonem z mężczyzną i kobietą, którzy stoją w progu. Zerkają nerwowo na CyFia.

Część CyFia, która nie jest CyFiem tak dobrze zna tę parę w średnim wieku, że poraża go piorun emocji tak potężny, że czuje się tak, jak gdyby miał się spalić na popiół.

Idąc w stronę drzwi, kamień brukowy alejki wydaje się falować pod jego stopami niczym podłoga w gabinecie śmiechu. Następnie, w końcu chłopak staje przed nimi. Para wygląda na przestraszonych – nie, raczej przerażonych. Część jego jest z tego powodu zadowolona, część smutna, a jeszcze

inna wolałaby się teraz znaleźć w każdym innym miejscu na świecie, ale Cy nie wie już, która część jest którą.

Otwiera usta, by przemówić, próbując przełożyć uczucia na słowa.

– Oddajcie! – domaga się. – Oddaj mi to, mamó. Oddaj mi to, tato.

Kobieta zakrywa usta i odwraca się. Ociera łzy, jakby jej pięść była gąbką.

– Tyler? – odzywa się mężczyzna. – Tyler, czy to ty?

Po raz pierwszy Cyrus ma imię, które współlistnieje z tą odrębną częścią niego. *Tyler. Tak. Jestem Cyrus, ale jestem także Tyler. Jestem CyFy.*

– Pośpieszcie się! – ciągnie CyFy. – Oddajcie mi to – potrzebuję tego i to już!

– Ale czego, Tyler? – pyta kobieta przez łzy. – Czego ty od nas chcesz? CyFy próbuje to powiedzieć, ale nie potrafi znaleźć właściwego słowa.

Nie potrafi nawet sobie tego wyobrazić.

To jest jakaś rzecz. Broń. Jednak wciąż obraz się nie pojawia, ale czyn owszem.

Pokazuje coś na migi. Pochyla się do przodu, wystawia jedną rękę przed drugą. Trzyma coś długiego i kieruje to w dół. Wypycha obie ręce niżej. I teraz już wie, że to nie bronie szuka, tylko narzędzia. Ponieważ rozumie czynność, którą pokazuje. On kopie. – Łopata! – wypowiada z ulgą. – Potrzebna mi łopata.

Mężczyzna i kobieta spoglądają na siebie nawzajem. Policjant obok nich kiwa głową, a mężczyzna mówi: – Jest w szopie.

CyFy idzie najkrótszą drogą przez dom i wychodzi tylnymi drzwiami wraz ze wszystkimi, którzy podążają za nim: mężczyzna i kobieta, policjanci, ojcowie i Wąsik. Udaje się wprost do szopy, chwyta za łopatę – wiedział dokładnie, gdzie była – i idzie w kierunku narożnika ogródka, gdzie wystają z ziemi jakieś gałązki.

Gałązki zostały związane, formując koślawe krzyże.

CyFy zna ten zakątek ogródka. Czuje to miejsce całym sobą. To tutaj pochował swoich ulubieńców. Nie zna ich imion, ani tego, jakiej były rasy, ale podejrzewa, że jedno z nich było seterem irlandzkim. Przywołuje obrazy tego, co każdemu z nich się przydarzyło. Jeden z nich napotkał na swojej drodze hordę dzikich psów. Inny autobus. Trzeci zdechł ze starości. Bierze łopatę i wbija ją w ziemię, jednak z dala od któregośkolwiek z ich grobów. Ni-

gdy nie zakłóciłby ich spokoju. Nigdy. Zamiast tego, przyciska łopatę do miękkiej ziemi dwa kroki od miejsca, w którym są pochowane.

Stęka przy każdym pchnięciu łopatą, odrzucając szalenie ziemię na bok. Następnie, po przekopaniu około pół metra, łopata uderza o coś głucho. Chłopak upada na kolana i zaczyna wybierać ziemię rękoma.

Kiedy ziemia została już usunięta, wyciąga rękę, łapie za uchwyt i ciągnie, ciągnie, ciągnie aż w końcu wyciąga to na wierzch. Trzyma w dłoniach teczkę, która nasiąknęła wodą i pokryta jest błotem. Kładzie ją na ziemi, odsuwa zatrzaski i otwiera ją.

W chwili, kiedy dostrzega co jest w środku, cały mózg CyFia odmawia posłuszeństwa. Jego system całkowicie się zawiesił. Nie może się poruszyć, nie może myśleć. Ponieważ wszystko to jest takie jasne, takie błyszczące w czerwonych, spadających ukosem promieniach słońca. Przed jego oczyma mieni się tak wiele rzeczy, że nie potrafi się poruszyć.

Ale on musi się poruszyć. Musi to zakończyć.

Zanurza obie dłonie w wypełnioną biżuterią teczkę, czując, jak cienkie, złote łańcuszki muskają mu dłonie, słysząc stukot metalu o metal. Są tam diamenty i rubiny, cyrkonie i tworzywo sztuczne. Bezcenne i bezwartościowe, wszystko pomieszane razem. Nie pamięta, gdzie ani kiedy ukradł którąkolwiek z tych błyskotek, wie jedynie, że to zrobił. Ukradł je, zgromadził i ukrył. Schował w swoim własnym małym grobie, aby móc je odkopać, kiedy będzie musiał. Jednak jeśli by je zwrócił, to wtedy może...

Z dłońmi splątanymi złotymi łańcuszkami, które krępują je bardziej od kajdanek uczepionych do pasów policjantów, potykając się, idzie w stronę mężczyzny i kobiety. Różne drobiazgi, pierścionki i broszki spadają ze splątanej sterty klejnotów na zarośla ogródka. Prześlizgują mu się przez palce, jednak większości nie upuszcza, aż w końcu staje przed kobietą i mężczyzną, którzy teraz przytulają się do siebie, jak gdyby skuleni ze strachu przed nadciągającym w ich stronę tornadem. Wtedy upada na kolana, upuszcza stertę błyskotek u ich stóp i kołysząc się w przód i w tył, rozpaczliwie błaga.

– Proszę – zawodzi. – Przepraszam. Przepraszam. Nie chciałem.

– Proszę – jęczy. – Weźcie to. Nie potrzebuję tego. Nie chcę tego.

– Proszę – płacze. – Zrobię wszystko. *Tylko nie wysyłajcie mnie na podzielenie.*

Wtedy Cy uświadamia sobie, że Tyler o niczym nie wie. Części tego chłopaka, która pojmuje czas i miejsce, po prostu tu nie ma i nigdy nie będzie. Tyler nie potrafi zrozumieć, że już go nie ma i cokolwiek by Cy nie zrobił, to Tyler i tak tego nie zrozumie. Kontynuuje więc lament.

– Proszę, nie wysyłajcie mnie na podzielenie. Zrobię wszystko. Proszę, nie wysyłajcie mnie na podzielenie. *Prooooooooooszę...*

Następnie, tuż za nim, słyszy jakiś głos.



31. LEV

Powiedzcie mu to, co chce usłyszeć! – wykrzykuje Lev. Stoi tam z tak buzującą w nim wściekłością, że aż czuje, iż ziemia pod jego stopami mogłaby się od niej rozstać. Powiedział CyFiowi, że będzie przy tym razem z nim. Jednak nie może tu być i beczynnienie się przyglądać.

Rodzice Tylera wciąż się do siebie tulą, pocieszając się nawzajem zamiast pocieszyć CyFia. To wprawia Leva w jeszcze większą wściekłość.

– POWIEDZCIE MU, ŻE NIE ZOSTANIE PODZIELONY! – krzyczy. Mężczyzna i kobieta patrzą na niego jak na zjawę. Więc chwyta za łopatę leżącą na ziemi i zamachuje się nią przez ramię, niczym kijem baseballowym. – POWIEDZCIE MU, ŻE NIE ZOSTANIE PODZIELONY, ALBO PRZY-SIĘGAM, ŻE PRZYWAŁĘ WAM W TE BEZWARTOŚCIOWE BANIAKI!

– Nigdy w życiu do nikogo się tak nie odezwał. Nigdy w życiu nikomu nie groził. I wie, że to nie są tylko groźby – zrobi to. Dzisiaj wybije piłkę poza ogrodzenie, jeśli będzie musiał.

Policjanci sięgają do swoich kabur i wyciągają pistolety, jednak Leva to nie obchodzi.

– Rzuć łopatę! – krzyczy jeden z nich. Jego pistolet wycelowany jest w pierś Leva, jednak Lev jej nie rzuci. *Niech strzela. Jeżeli to zrobi, to i tak zdołam raz dobrze się zamachnąć na rodziców Tylera, zanim mnie powalą. Mogę umrzeć, ale przynajmniej zabiorę jedno z nich ze sobą.* W ciągu całego swojego życia, nigdy wcześniej się tak nie czuł. Nigdy wcześniej nie czuł się tak bliski wybuchu.

– POWIEDZCIE MU! POWIEDZCIE MU TO TERAZ!

Wszystko zastyga w martwym punkcie: policjanci i ich spluwy, Lev i jego łopata. Następnie mężczyzna i kobieta wreszcie to zakańczają. Spoglądają w dół na chłopaka kołyszącego się w tył i w przód, łkającego nad splątanymi kawałkami biżuterii, które porozrzucił u ich stóp.

– Nie wyślemy cię na podzielenie, Tyler.

– OBIECAJCIE MU TO!

– Nie wyślemy cię na podzielenie, Tyler. Obiecujemy. Obiecujemy ci.

Ramiona CyFia rozluźniają się i chociaż nadal płacze, w jego oczach nie ma już łez rozpaczy. Są za to łzy ulgi.

– Dziękuję – wykrztusza z siebie Cy. – Dziękuję...

Lev upuszcza łopatę, funkcjonariusze opuszczają pistolety, a zapłakana para ucieka w kierunku bezpiecznego wnętrza ich własnego domu. Ojcowie Cyrusa są na miejscu, aby wypełnić pustkę. Pomagają Cyrusowi wstać i przytulają go mocno.

– Już dobrze, Cyrus. Wszystko będzie dobrze.

I szlochając, Cy mówi:

– Wiem. Teraz już jest dobrze. Teraz już jest dobrze.

Wtedy właśnie zrywa się Lev. Wie, że jest jedyną zmienną w tym równaniu, która pozostała do rozwiązania i że za chwilę gliniarze sobie to uświadomią. Więc wycofuje się w cień, podczas gdy funkcjonariusze policji w dalszym ciągu zajęci są czmychającą parą, płaczącym dzieciakiem i dwoma ojcami oraz błyszczącymi fantami na ziemi. Następnie, kiedy cień go już osłania, odwraca się i ucieka. Za kilka chwil zorientują się, że go nie ma, ale więcej czasu mu nie potrzeba. Ponieważ jest szybki. Zawsze był szybki.

Przedziera się przez krzaki do sąsiadującego ogródka i wybiega na kolejną ulicę w ciągu dziesięciu sekund.

Wyraz twarzy CyFia, kiedy upuścił biżuterię u stóp tych okropnych, okropnych ludzi i sposób, w jaki się zachowali, zupełnie jak gdyby to oni byli ofiarami – te obrazy Lev zapamięta do końca swojego życia. Wie, że ta chwila go zmieniła, odmieniła w pewien głęboki i przerażający sposób. Gdziekolwiek teraz go ta podróż zaprowadzi, to nie ma już znaczenia, ponieważ on już tam dotarł w swoim sercu. Stał się taki, jak ta teczka na ziemi – pełna skarbów, ale mimo to pozbawiona światła, więc nic się nie mieni, nic nie błyszczy.

Ostatni promień słońca opuścił już nieboskłon; jedynym kolorem, jaki pozostał jest ciemnoniebieski, który przechodzi w czern. Uliczne latarnie nie zostały jeszcze włączone, więc Lev prześlizguje się pod osłoną niezliczonych cieni ulicy. Łatwiej jest mu uciekać. Łatwiej jest mu się ukryć. Łatwiej jest mu się teraz zatracić, kiedy za przyjaciela ma ciemność.

CZĘŚĆ PIĄTA

CMENTARZYSKO

(Południowo-Zachodnia Arizona) idealnie nadaje się na cmentarzysko dla samolotów. Panuje tu suchy, czysty i praktycznie wolny od smogu klimat, który pomaga zminimalizować działanie korozji. Alkaliczna ziemia jest tu tak twarda, że samoloty można holować i parkować na jej powierzchni bez obawy, że się pod nią zapadną.

Cmentarzysko samolotów to nie tylko ogrodzenie ustawione wokół kadłubów latających maszyn i sterty złomu. Przeciwnie, wiele milionów nadwyżki części zamiennych są powtórnie wykorzystywane przy konserwacji wciąż czynnych samolotów...

– JOEZENTNER „Airplane Graveyards”, desertusa.com



32. ADMIRAŁ

Ostre słońce za dnia pali twardą ziemię Arizony, podczas gdy nocą temperatura gwałtownie spada. Więcej niż cztery tysiące samolotów z każdej z epok historii lotnictwa mieni się w upale bezlitosnych promieni. Z lotu ptaka, rzędy samolotów wyglądają niczym rzędy upraw; żniwa porzuconej technologii.

#1) SPROWADZIŁA CIĘ TU KONIECZNOŚĆ, ALE ZOSTAJESZ Z WŁASNEGO WYBORU.

Z tej wysokości nie można dostrzec, że niektóre z tych uziemionych odrzutowców są zamieszkane. Dokładnie trzydzieści trzy z nich. Satelity szpiegowskie mogą wychwycić ruch, ale wychwycenie a zauważenie, to dwie różne sprawy. Analitycy danych CIA mają wiele pilniejszych zadań do wykonania, niż szukanie bandy Podzielonych uciekinierów. Na to właśnie liczy Admirał – jednak na wszelki wypadek, zasady panujące na Cmentarzysku są surowe. Wszelkie zajęcia odbywają się w kadłubie lub pod skrzydłami, chyba, że jest to absolutnie konieczne, aby wyjść na otwarty teren. Upał pomaga egzekwować to zarządzenie.

#2) ZASŁUŻYŁEŚ NA SZACUNEK, PONIEWAŻ PRZEŻYŁEŚ.

Cmentarzysko tak naprawdę nie należy do Admirala, jednak jego kierownictwo jest niekwestionowane i odpowiada on wyłącznie przed samym sobą. Zmysł do interesów, odpowiednie znajomości oraz fakt, że wojsko było skłonne zrobić wszystko, aby się go pozbyć, sprawiło, że ten korzystny układ stał się możliwy.

#3) PO MOJEMU ALBO WCALE.

Cmentarzysko to dobrze prosperujący interes. Admirał skupuje wycofane z eksploatacji samoloty i sprzedaje ich części, a nawet odsprzedaje je w całości. Do większości transakcji dochodzi poprzez Internet; Admirał jest w stanie nabywać jedną wycofaną z użytku maszynę w miesiącu. Oczywiście każda z nich przybywa z potajemnym ładunkiem Podzielonych. To jest prawdziwa działalność Cmentarzyska i jest to działalność opłacalna.

#4) TWOJE ŻYCIE JEST PREZENTEM ODE MNIE. I TAK MASZ JE TRAKTOWAĆ.

Czasem zdarza się, że kupcy przyjeżdżają sprawdzić lub odebrać nabyty towar, jednak mieszkańcy Cmentarzyska są ostrzegani o tym odpowiednio wcześniej. Odległość od bramy do placu składowego wynosi osiem kilometrów. Dzięki temu dzieciaki mają wystarczająco dużo czasu, aby zniknąć w maszynierii niczym chochliki. Tego rodzaju goście w interesach pojawiają się mniej więcej raz na tydzień. Są tacy, którzy zastanawiają się, jak Admirał spędza pozostałą część swojego czasu. Odpowiada im, że buduje rezerwat przyrody.

#5) JESTEŚ LEPSZY OD TYCH, KTÓRZY CHCIELI CIĘ PODZIELIĆ. POKAŻ NA CO CIĘ STAĆ.

U Admirala pracuje jedynie troje dorosłych; dwóch pracowników biurowych ulokowanych w przyczepie z dala od Podzielonych oraz pilot śmigłowca. Pilot zwie się Cleaver i do jego obowiązków należą dwie rzeczy. Pierwsza polega na oprowadzeniu ważnych kupców po placu i zapewnieniu im najlepszej możliwej opieki. Druga polega na zabieraniu Admirala raz w tygodniu na wycieczki wokół Cmentarzyska. Cleaver to jedyny pracow-

nik, który wie o gromadzie Podzielonych, żyjących w odosobnieniu na dalekim krańcu Cmentarzyska. On wie, ale zarabia aż nadto, aby siedzieć cicho; a poza tym Admirał ufa mu bezgranicznie. Należy pokładać zaufanie w swoim osobistym pilocie.

#6) WSZYSCY WNOSZĄ SWÓJ WKŁAD W CMENARZYSKO. ŻADNYCH WYJĄTKÓW.

Prawdziwą pracę na placu wykonują Podzieleni. Są tu całe zespoły specjalnie desygnowane to rozbierania samolotów, sortowania części i przygotowania ich do sprzedaży. Całość wygląda jak każde inne złomowisko, z tym że na większą skalę. Nie wszystkie samoloty są rozbierane na części. Niektóre pozostają nienaruszone, jeżeli Admirał sądzi, że może je odsprzedać w całości. Niektóre są przerabiane na kwatery dla dzieciaków, które znajdują się, dosłownie i w przenośni, pod jego skrzydłami.

#7) NASTOLETNI BUNT JEST DLA PROWINCJONALNYCH UCZNIĄKÓW. ZAPOMNIJ O NIM.

Dzieciaki pogrupowane są w zespoły odpowiednio dopasowane do rodzaju ich pracy, wieku i osobistych potrzeb. Życiowe doświadczenie kształtowania armiaków w zwartą siłę wojskową przygotowało Admirała do stworzenia sprawnie działającego społeczeństwa z bandy rozżłoszczonych i zatrokanych nastolatków.

#8) HORMONY NIE BĘDĄ RZĄDZIŁY MOJĄ PUSTYNIĄ.

Dziewczęta nigdy nie są przydzielane do grup chłopców.

#9) PO OSIEMNASTCE PRZESTAJESZ BYĆ MOIM ZMARTWIENIEM.

Admirał posiada listę swoich dziesięciu najważniejszych zasad wywieszonych na każdym samolocie, w którym dzieciaki mieszkają i pracują. Wszyscy mówią na nie „Dziesięć Wymagań”. Nie obchodzi go to, jak je nazywają, dopóki każde z nich będzie znało je na pamięć.

#10) ZRÓB COŚ ZE SWOIM ŻYCIEM. TO ROZKAZ.

To nie lada wyzwanie utrzymać niemal czterystu nastolatków w dobrym zdrowiu, ukryciu i jednym kawałku. Jednak Admirał nigdy nie unikał wyzwań. A motywacja, która go do tego pcha, podobnie jak jego nazwisko, jest czymś, co woli zachować jedynie dla siebie.



33. RISA

Dla Risy, pierwsze dni na Cmentarzysku są ciężkie i wydają się trwać całą wieczność. Jej pobyt rozpoczyna się od ćwiczenia pokory.

Każdy nowo przybyły musi stanąć przed sądem: trójka siedemnastolatków siedzących za biurkiem we wnętrzu szkieletu szerokokadłubowego samolotu. Dwóch chłopaków i dziewczyna. Ta trójka, wraz ze Krzykaczem i Alfredem, których Risa poznała, kiedy po raz pierwszy wysiadła z samolotu, tworzą elitarną grupę pięciorga, których wszyscy nazywają „Wybrańcami”. Jest to grupa pięciu najbardziej zaufanych dzieciaków Admirala – i dlatego oni dowodzą.

Zanim docierają do Risy, udaje im się już przemaglować czterdzieścioro Podzielonych.

– Powiedz nam coś o sobie – odzywa się chłopak po prawej. Nazywa go Sterburt, w końcu znajdują się przecież na statku. – Na czym się znasz i co potrafisz?

Ostatni sąd, przed którym stanęła Risa miał miejsce w StaDo, kiedy skazano ją na podzielenie. Widzi, że tych troje jest już znudzonych i nie zwracają uwagi na to co mówi, dopóki nie stanie przed nimi kolejna osoba. Wzbiera w niej nienawiść do nich, tak samo jak do dyrektora, kiedy tamtego dnia próbował jej wytłumaczyć, dlaczego jej członkostwo w ludzkości zostało anulowane.

Dziewczyna, która siedzi pośrodku, musiała odczytać jej uczucia, ponieważ uśmiecha się i mówi:

– Nie martw się, to nie jest test – po prostu chcemy ci pomóc się tu dopasować. – Dziwne stwierdzenie, ponieważ nieumiejętność dopasowania się jest właśnie problemem każdego z Podzielonych.

Risa bierze głęboki oddech.

– W StaDo uczyłam się muzyki – wyjaśnia, po czym natychmiast żałuje, że ujawniła im, iż pochodzi z domu dziecka. Nawet wśród Podzielonych występują uprzedzenia i hierarchia ważności. I rzeczywiście, Sterburt opiera się na krześle i krzyżuje ramiona, okazując swoją nieprzychylność, jednak chłopak z lewej burty pociesza ją:

– Też jestem wychowankiem domu dziecka. 18 StaDo na Florydzie.

– 23 w Ohio.

– Na jakim instrumencie grałaś? – pyta dziewczyna.

– Na fortepianie klasycznym.

– Wybacz – wtrąca Sterburt. – Mamy już wystarczająco wielu muzyków i żaden z samolotów nie przywiózł na swoim pokładzie fortepianu.

– Zasłużyłam na szacunek, ponieważ przeżyłam – odpowiada Risa. – Czy to czasem nie jest jedna z zasad Admirala? Nie wydaje mi się, żeby spodobalo mu się twoje nastawienie.

Sterburt wierci się na krześle.

– Możemy po prostu kontynuować?

Dziewczyna obdarza Risę przepaszającym uśmiechem.

– Choć ciężko mi to przyznać, to nie potrzebujemy teraz w pierwszej kolejności wirtuozów. Co jeszcze potrafisz?

– Dajcie mi po prostu jakieś zajęcie, to je wykonam – oświadcza Risa, próbując zakończyć już ten temat. – Przecież tak właśnie zrobicie, czyż nie?

– Cóż, zawsze potrzebna jest pomoc w kuchni – oznajmia Sterburt. – Zwłaszcza po posiłkach.

Dziewczyna obdarza Risę długim, błagalnym spojrzeniem, być może licząc na to, że Risa wymyśli dla siebie jakiś lepszy los, jednak jedyne, co Risa odpowiada to:

– W porządku. Ląduję na zmywaku. Mogę już iść?

Odwraca się, by odejść, starając się jak może stłamsić w sobie uczucie oburzenia. Gdy wychodzi, mija kolejnego dzieciaka. Wygląda okropnie. Jego nos jest cały opuchnięty i fioletowy. Jego koszulę pokrywa zaschnięta krew, a z jego nozdrzy właśnie zaczęła kapać świeża.

– Co ci się stało?

Spogląda na nią, dostrzega kim jest i syczy:

– Twój chłopak, to właśnie mi się stało. Zapłaci mi za to.

Risa mogłaby zadać mu w związku z tym z tuzin pytań, ale chłopakowi krew leje się z nosa na całą koszulę, i najważniejszym priorytetem jest powstrzymanie wycieku. Odchyła głowę do tyłu.

– Nie – zwraca mu uwagę Risa. – Pochyl ją do przodu, inaczej zakrztusisz się własną krwią.

Chłopak słucha jej rady. Trójca sędziów wychodzi zza swojego biurka, aby zobaczyć, czy mogą w czymś pomóc, jednak Risa ma wszystko pod kontrolą.

– Uciskaj, o tak – tłumaczy mu. – Musisz być cierpliwy, jeżeli chodzi o te sprawy. – Pokazuje chłopakowi dokładnie jak powinien uciskać nos, aby zatamować krwotok. Następnie, kiedy krwotok ustępuje, Bakburt podchodzi do niej i mówi:

– Niezła robota.

W jednej chwili awansowała z pomywacza na sanitariusza. Zabawne, ale pośrednio przyczynił się do tego Connor, skoro to on właśnie w pierwszej kolejności złamał nos temu chłopakowi.

A co się tyczy chłopaka z krwawiącym nosem, to został przydzielony do garów.

Pierwszych kilka dni, w trakcie których stara się zachowywać jak sanitariuszka bez prawdziwej praktyki jest przerażające. W samolocie medycznym są też inne osoby, które wydają się mieć o tym o wiele większe pojęcie, jednak Risa szybko uświadamia sobie, że tak samo jak ona, zostali rzućeni na głęboką wodę, kiedy tu przybyli.

– Poradzisz sobie. Urodziłaś się z tym – pociesza ją starszy sanitariusz, który skończył już siedemnaście lat. Ma rację. Kiedy zaczęła się już oswajać z tą myślą, udzielanie pierwszej pomocy, leczenie standardowych chorób, a nawet zszywanie prostych ran przychodzi jej tak samo naturalnie jak gra na fortepianie. Dni zaczynają upływać jej szybko i zanim zdoła się zorientować, mija już cały miesiąc. Każdy mijający dzień napędza ją poczuciem bezpieczeństwa. Admirał jest szajbuszem, jednak dokonał czegoś, czego nikt inny nie był w stanie dla niej zrobić odkąd opuściła StaDo. Przywrócił jej prawo do życia.



34. CONNOR

Tak jak Risa, Connor znajduje swoje miejsce na Cmentarzysku przypadkiem. Nigdy nie postrzegał się złotej rączki, jednak niewiele jest rzeczy, które wkurzają go bardziej od bandy kretynów stojących naokoło, gapiących się na coś, co nie działa, i zastanawiających się, kto to naprawi. Przez pierwszy tydzień, kiedy Risa uczyła się jak zostać wyjątkowo dobrą, udawaną lekarką, Connor postanawia rozgryźć funkcjonowanie usmażonego klimatyzatora, po czym znajduje części zamienne na jednej ze stert ze złomem i ponownie go uruchamia.

Szybko uświadamia sobie, że to samo tyczy się pozostałych popsutych rzeczy, na które napotyka. Oczywiście, na początku nieobca była mu metoda prób i błędów, ale z czasem błędy stały się coraz rzadsze i rzadsze, a dni płynęły. Jest mnóstwo innych chłopaków, którzy uważają się za mechaników i są naprawdę dobrzy w wyjaśnianiu, dlaczego pewne rzeczy nie działają. Jednak Connor jest tym, który je faktycznie naprawia.

Szybko zmieniono mu przydział ze śmieciarza na mechanika, i odkąd ma nieskończoną ilość rzeczy do naprawienia, nie skupia się na innych sprawach... takich jak ta, że tak rzadko widuje Risę w ściśle zorganizowanym świecie Admirala... i jak szybko Roland pnie się tutaj po szczeblach drabiny społecznej.

Rolandowi udało się dostać jeden z najlepszych przydziałów na Cmentarzysku. Posługując się korzyściami i stosując pochlebstwa dostał posadę asy-

stenta pilota. Głównie dba o to, aby helikopter był czysty i miał pełen bak, ale jego przydział cuchnie podstępem.

– Uczy mnie jak tym latać – słyszy przypadkiem Connor, kiedy Roland chwali się pewnego dnia bandzie pobratymców. Przeszywa go dreszcz na myśl o Rolandzie za sterami helikoptera, ale wielu chłopakom Roland imponuje. Jego wiek dodaje mu prestiżu, a jego zdolności do manipulacji wywołują strach albo szacunek wśród zdumiewającej liczby dzieciaków. Roland czerpie swoją negatywną energię z otaczających go dzieciaków, a tych jest tu pod dostatkiem.

Manipulacja społeczna nie jest mocną stroną Connora. Nawet wśród własnego zespołu pozostaje tajemniczy. Dzieciaki uważają, aby nie nadepnąć mu na odcisk, ponieważ wykazuje się niską tolerancją dla irytacji i idiotyzmu. Ale nie ma takiej osoby, którą chcieliby mieć bardziej po swojej stronie aniżeli Connora.

– Ludzie cię lubią, ponieważ jesteś prawym człowiekiem – wyjaśnia mu Hayden. – Nawet kiedy zachowujesz się jak kretyn.

Connor musi się z tego zaśmiać. On? Prawy? W jego życiu było mnóstwo osób, które by się z tym nie zgodziły. Jednak z drugiej strony, Connor się zmienia. Wdaje się już w coraz mniej bójek. Może jest to spowodowane tym, że jest tutaj więcej przestrzeni niż miało to miejsce w magazynie. A może ćwiczył swój umysł wystarczająco mocno, by skutecznie trzymać swoje prężne żądze na uwięzi. Pod wieloma względami ma to związek z Risą, ponieważ za każdym razem, kiedy zmusza się, aby pomyśleć zanim coś zrobi, to słyszy w głowie jej głos, który mówi mu, aby się uspokoił. Chce jej o tym powiedzieć, ale ona jest zawsze bardzo zajęta w samolocie medycznym – a przecież nie można tak po prostu podejść do kogoś i powiedzieć mu: – Stałem się lepszym człowiekiem, odkąd jesteś w mojej głowie.

Jest też nadal w głowie Rolanda i to niepokoi Connora. Na początku Risa była narzędziem mającym sprowokować Connora do bójki, jednak teraz Roland postrzega ją jako zdobycz. I zamiast używać przeciwko niej brutalnej siły, próbuje ją na każdym kroku oczarować.

– Ty chyba się w nim nie zabujałaś? – pyta ją pewnego dnia, podczas jednej z niewielu okazji, kiedy zastaje ją samą.

– Udam, że tego pytania nie było – odpowiada oburzona. Jednak Connor ma swoje powody, aby się nad tym zastanawiać.

– Podczas pierwszej nocy tutaj ofiarował ci swój koc, a ty go przyjął – zauważa.

– Tylko dlatego, że wiedziałam, iż dzięki temu będzie mu zimno.

– A kiedy ofiaruje ci swoje jedzenie, to też je przyjmujesz.

– Bo to oznacza, że będzie chodził głodny.

To czysta logika. Connora zdumiewa, że Risa potrafi odsunąć swoje emocje na bok i być tak samo wyrachowana jak Roland, pokonując go w jego własnej grze. Kolejny powód, dla którego Connor może ją podziwiać.

– Oferty pracy!

Ogłaszane są raz w tygodniu na spotkaniu pod czaszą namiotu – jedynej konstrukcji na całym cmentarzysku, która nie jest częścią samolotu, i jednocześnie jedynym takim miejscem, które jest wystarczająco duże, by pomieścić wszystkie 423 dzieciaki. Praca. Szansa na kontakt z prawdziwym światem. Szansa na zaznanie prawdziwego życia. W pewnym sensie.

Admirał nigdy w nich nie uczestniczy, ale istnieje połączenie wizualne z namiotem, jak zresztą z każdym miejscem na terenie Cmentarzyska, więc wszyscy wiedzą, że się przygląda. Nikt nie wie, czy rzeczywiście każda kamera ich monitoruje, jednak możliwość bycia obserwowanym to fakt. Connor nie przejmował się Admiralem pierwszego dnia, kiedy go poznał. Widok tych wszystkich kamer niedługo potem sprawił, że obdarzył go jeszcze mniejszą sympatią. Wychodzi na to, z każdym dniem jego ogólne wrażenie niechęci do tego człowieka się powiększa.

Spotkanie prowadzi Krzykacz, dzierżąc w dłoni megafon i podręczny notatnik.

– Facet z Oregonu potrzebuje pięciu ludzi do wycinki kilku akrów lasu – obwieszcza Krzykacz. – Zapewnia zakwaterowanie i wyżywienie oraz przyucza do fachu. Robota powinna zająć kilka miesięcy, a po jej ukończeniu otrzymacie nowe papiery. Papiery osiemnastolatków.

Krzykacz nie informuje ich o wynagrodzeniu, ponieważ takowego nie ma. Chociaż Admirał dostaje zapłatę. Dostaje cenę kupna.

– Są chętni?

Zawsze są. I faktycznie, więcej niż tuzin rąk wędruje do góry. Głównie szesnastolatkowie. Siedemnastolatkowie są zbyt blisko pełnoletności, aby oferta była warta poświęcenia ich czasu, a młodszy chłopcy są zbyt onieśmieni tą perspektywą.

– Chętni zgłaszają się po spotkaniu bezpośrednio do Admirala. To on podejmuje ostateczną decyzję, kto się załapie.

Te ogłoszenia parafialne doprowadzają Connora do szału. Nigdy nie podnosi ręki, nawet jeżeli oferta naprawdę go zainteresuje. – Admirala nas wykorzystuje – mówi zebranym wokół dzieciakom. – Nie widzicie tego?

Większość z nich wzrusza jedynie ramionami, ale jest tam również Hayden, który nigdy nie przepuszcza okazji do podzielenia się swoją osobliwą mądrością.

– Wolę być wykorzystany w całości, niż w kawałkach – oznajmia.

Krzykacz spogląda na swój notes i ponownie unosi megafon.

– Osoby do sprzątnięcia domu – ogłasza. Potrzebnych jest troje, preferowane kobiety. Nie otrzymacie żadnych fałszywych papierów, ale lokalizacja jest bezpieczna i odległa – co zapewni wam bezpieczeństwo przed hyclami do czasu uzyskania pełnoletności.

Connor nawet nie patrzy.

– Proszę, powiedzcie mi, że nikt się nie zgłosił.

– Jakies sześć dziewczyn – wszystkie wyglądają na około siedemnaście lat.

– Wygląda na to, że nikt nie chce robić za sprzątaczkę przez więcej niż rok.

– To miejsce to nie azyl, tylko targ niewolników. Dlaczego nikt tego nie widzi?

– A kto mówi, że nie widzi? Chodzi o to, że w porównaniu do podzielenia niewolnictwo wygląda nieszkodliwie. Zawsze jest to jakieś mniejsze zło.

– Nie rozumiem, dlaczego w ogóle musi być jakieś zło.

Kiedy spotkanie dobiega końca, Connor czuje czyjąś rękę na swoim ramieniu. Sądzi, że musi to być przyjaciel, ale tak nie jest. To Roland. Zaskakuje go to tak bardzo, że potrzebuje chwili nim zareaguje. Strząsa rękę Rolanda.

– Chcesz czegoś?

– Pogadać.

– Nie musisz czasem umyć jakiegoś helikoptera?

Roland uśmiecha się na tę uwagę.

– Mniej mycia, więcej latania. Cleaver zrobił mnie nieoficjalnie drugim pilotem.

– Cleaverowi chyba życie niemiłe. – Connor nie wie, kto napawa go większą odrazą: Roland, czy też pilot, za to że dał mu się do tego nakłonić.

Roland rozgląda się po rzednącym tłumie.

– Admirał rozkręcił sobie tu niezły biznes, co nie? Większości tych frajerów to nie obchodzi. Ale tobie nie daje to spokoju, co?

– Do czego zmierzasz?

– Chodzi mi jedynie o to, że nie ty jeden uważasz, że Admirałowi przydałoby się... przekwalifikowanie.

Connorowi nie podoba się, dokąd zmierza ta rozmowa.

– To, co myślę o Admirale to moja sprawa.

– Pewnie, że tak. A tak przy okazji, widziałeś jego zęby?

– Co z nimi?

– To chyba oczywiste, że nie są jego własne. Słyszałem, że trzyma w biurze zdjęcie chłopaka, po którym je dostał. Podzielony, tak jak my, który dzięki niemu nigdy nie dożył osiemnastki. Ciekawe, ile jego ciała pochodzi jeszcze od nas. Ciekawe, czy w ogóle zostało coś z oryginalnego Admirala.

To zbyt wiele informacji naraz do przetworzenia – a zważywszy na źródło ich pochodzenia, Connor nie chce ich w ogóle przetwarzać. Jednak wie, że to robi.

– Roland, pozwól, że powiem to tak jasno jak to tylko możliwe. Nie ufam ci. Nie trawię cię. I nie chcę mieć z tobą nic wspólnego.

– Ja ciebie też nie trawię – odpowiada Roland, a następnie wskazuje samolot Admirala.

– Ale teraz mamy wspólnego wroga.

Roland odchodzi zanim ktokolwiek zauważy ich rozmowę, zostawiając Connora z uczuciem ciężaru w żołądku. Sama myśl o tym, że on i Roland mogliby w jakikolwiek sposób znaleźć się po tej samej stronie spraw, że czuje się tak, jak gdyby połknął coś zjełczałego.

Ziarno, które Roland zasiał w umyśle Connora rośnie przez tydzień. Grunt jest to żyzny, ponieważ Connor już wcześniej nie miał zaufania do Admirala. Teraz, za każdym razem, kiedy widzi tego człowieka, Connor coś dostrzega. Jego zęby są idealne. To nie są zęby podstarzałego weterana wojennego. Sposób, w jaki patrzy na ludzi – a patrzy im w oczy – zupełnie jakby ich oceniał, szukając pary, która byłaby dla niego odpowiednia. I te dzieciaki, które znikają, dostając oferty pracy – skoro nigdy nie wracają, to skąd wiadomo, co się naprawdę z nimi dzieje? Kto im zagwarantuje, że nie zostają wysłane na podzielenie? Admirał twierdzi, że jego celem jest ratowanie Podzielonych, jednak, co jeśli ma całkowicie odmienne plany? Te

myśli spędzają Connorowi sen z powiek, ale on nie powie o nich nikomu, ponieważ jeżeli to zrobi, będzie to oznaczało, że wchodzi w sojusz z Rolandem. A jest to sojusz, którego nie zamierza zawierać.

Podczas czwartego tygodnia ich pobytu na Cmentarzysku, kiedy Connor wciąż rozważa w myślach kwestię Admirala, przylatuje samolot. To pierwszy, od czasu starego odrzutowca FedExu, który ich tu przywiózł, i tak jak tamten, ten również wypełniony jest po brzegi żywym ładunkiem. Podczas gdy pięcioro Wybrańców wyprowadza nowo przybyłych z samolotu, Connor pracuje przy wadliwym generatorze. Przygląda im się z umiarkowanym zainteresowaniem, kiedy go mijają, zastanawiając się, czy którekolwiek z ich nie jest bardziej mechanicznie uzdolnione od niego, i nie wykopie go do mniej godnej pozadzroszczenia roboty.

Nagle pośród zamykających pochód dzieciaków dostrzega twarz, którą, jak mu się wydaje, rozpoznaje. Ktoś z rodzinnych stron? Nie. Ktoś inny. W jednej chwili dochodzi do niego, kim jest ta osoba. To chłopak, który, jak sądził, został podzielony już wiele tygodni temu. To chłopak, którego porwał dla jego własnego dobra. To Lev!

Connor upuszcza klucz francuski i biegnie ku niemu, jednak opanowuje się zanim do niego dociera, skrywając falę zalewających go uczuć pod postacią spokojnego kroku. To przecież dzieciak, który go zdradził. To dzieciak, któremu przyrzekł kiedyś, że nigdy mu nie przebaczy. A jednak myśl, że został podzielony była dla niego nie do zniesienia. Ale Lev nie został podzielony – jest tutaj, maszeruje do samolotu zaopatrzeniowego. Connor jest podekscytowany. Connor jest wściekły.

Lev jeszcze go nie widzi – to dobrze, ponieważ dzięki temu Connor zyskuje trochę czasu, aby zrozumieć to, co widzą jego oczy. To już nie jest schludnie ubrany dziesięciorodny, którego wyciągnął z samochodu jego rodziców ponad dwa miesiące temu. Ten chłopak ma długie rozczochrane włosy i wygląda jakby życie dało mu w kość. Ten chłopak nie jest odziany w białe szaty, tylko ma na sobie wytarte jeansy i brudną czerwoną koszulkę. Connor chce, aby go minął, żeby mieć więcej czasu na przetworzenie w głowie jego nowego wizerunku, jednak Lev go dostrzega i natychmiast obdarza go szerokim uśmiechem. To też jest inne – ponieważ w trakcie tego krótkiego czasu, kiedy się znali, Lev nigdy nie cieszył się na widok Connora.

Lev idzie w jego kierunku.

– Zostać w szeregu! – nakazuje Krzykacz. – Samolot zaopatrzeniowy jest w tamtym kierunku.

Jednak Connor daje Krzykaczowi znak ręką.

– W porządku – znam go.

Krzykacz niechętnie ulega.

– Dopilnuj, żeby dotarł do samolotu zaopatrzeniowego. – Następnie odwraca się, aby odprowadzić pozostałych.

– Więc, co u ciebie? – zagaja Lev. Tak po prostu. Co u ciebie. Pomyślałby kto, że są kumplami witającymi się po wakacjach.

Connor wie, co musi zrobić. To jedyna rzecz, która naprawi relacje pomiędzy nimi. Po raz kolejny górę bierze instynktowne działanie bez chwili namysłu. Instynktowne, nie irracjonalne. Zapaleńcze, ale nie impulsywne. Connor nauczył się dostrzegać różnicę.

Zamachuje się i uderza Leva w oko. Nie na tyle mocno, aby go znokautować, jednak wystarczająco mocno, aby odrzuciło mu mocno głowę i przypawiło o paskudne limo. Zanim Lev zdąży zareagować, Connor mówi:

– To za to, co nam zrobiłeś. – Następnie, zanim Lev zdąży odpowiedzieć, robi coś jeszcze równie nagłego i niespodziewanego. Przyciąga Leva do siebie i mocno go przytula – tak, jak przytulał swojego młodszego brata w ubiegłym roku, kiedy zajął pierwsze miejsce w regionalnym pięcioboju. – Naprawdę, *naprawdę* się cieszę, że widzę cię żywego, Lev.

– No tak. Ja też.

Wypuszcza go z uścisku nim sytuacja staje się niezręczna, i kiedy to robi, dostrzega, że oko Leva zaczyna już puchnąć. I przychodzi mu do głowy pewna myśl.

– Chodź – zabiorę cię do samolotu medycznego. Znam kogoś, kto zajmie się tym okiem.

Dopiero później tej nocy Connor zaczyna nabierać pewnych podejrzeń odnośnie tego, jak bardzo Lev naprawdę się zmienił. W trakcie nocy ktoś nim potrząsa, aby go obudzić. Otwiera oczy wprost na latarkę, świecącą mu w twarz z tak bliska, że jej światło aż sprawia mu ból.

– Hej! Co jest?

– Ciii – odpowiada głos zza latarki. – To ja, Lev.

Lev musiał być w samolocie dla nowo przybyłych – tam właśnie trafiają wszystkie dzieciaki, zanim zostaną przydzielone do swoich zespołów. Mają ścisłe rozkazy, aby nikt nie opuszczał w nocy kwater. Najwyraźniej Lev nie jest już chłopakiem mającym silne poczucie obowiązku przestrzegania zasad.

– Co tu robisz? – pyta Connor. – Wiesz, jakie możesz mieć przez to kłopoty? – Z powodu światła latarki nadal nie widzi twarzy Leva.

– Uderzyłeś mnie dziś po południu – oznajmia Lev.

– Uderzyłem cię, ponieważ ci się należało.

– Wiem. Zasłużyłem na to, w porządku – odpowiada Lev. – Ale nigdy więcej nie podnoś na mnie ręki, inaczej pożałujesz.

Choć Connor nie ma zamiaru kiedykolwiek ponownie uderzyć Leva, nie odpowiada przychylnie na usłyszane ultimatum.

– Uderzę – wyjaśnia Connor – jeśli sobie zasłużysz. Zza latarki odpowiada mu cisza.

Następnie Lev mówi:

– W porządku. Ale lepiej się co do tego upewnij.

Światło gaśnie. Lev wychodzi, jednak Connor nie może zasnąć. Każdy Podzielony ma za sobą historię, której nie chcesz poznać. Przypuszcza, że teraz i Lev ma swoją.

Admirał wzywa Connora dwa dni później. Najwyraźniej ma coś do naprawy. Jego siedziba to stary 747, który był wykorzystywany jako Air Force One, na wiele lat przed tym, zanim którykolwiek z tutejszych dzieciaków się urodził. Silniki usunięto, a prezydencką pieczęć zamalowano, jednak nadal można było zauważyć zaciemnienie emblematu pod warstwą farby.

Connor wspina się po schodkach z torbą narzędzi, mając nadzieję, że cokolwiek to jest, nie zajmie mu to wiele czasu. Tak jak wszystkich, zżera go chorobliwa ciekawość odnośnie tego człowieka, i zastanawia się jak wygląda wewnątrz stary samolot, który należał niegdyś do prezydenta. Jednak świadomość bycia bacznie obserwowanym przez Admirała przeraża go jak diabli.

Wchodzi przez drzwi luku wejściowego i dostrzega kilkoro sprzątających dzieciaków. Są młodszy od niego i Connor ich nie zna; sądził, że mogą tu być Wybrańcy, jednak nigdzie ich nie widać. Co się zaś tyczy odrzutowca, to nie jest nawet choć trochę tak luksusowy, jak Connor się tego spodziewał. Skó-

rzane siedzenia są porozrywane, dywan jest niemal wytarty. Całość przypomina bardziej stary samochód kempingowy aniżeli Air Force One.

– Gdzie jest Admirał?

Admirał wychodzi z głębszej części samolotu. Chociaż oczy Connora wciąż przyzwyczajają się do światła, dostrzega, że Admirał trzyma broń.

– Connor! Cieszę się, że przyszedłeś. – Connor krzywi się na widok pistoletu oraz tego, że Admirał wie, jak ma na imię.

– Do czego panu to potrzebne? – pyta Connor, wskazując na pistolet.

– Po prostu go czyszczę – słyszy w odpowiedzi. Connor zastanawia się, dlaczego w broni, którą czyści nadal znajduje się magazynek, jednak postanawia, że lepiej będzie nie pytać. Admirał odkłada pistolet do szuflady i zamyka ją na klucz. Następnie odprawia dwójkę dzieciaków i zamyka drzwi za nimi. To jest dokładnie tego rodzaju sytuacja, której Connor się obawiał najbardziej, i czuje, jak adrenalina zaczyna wywoływać uczucie mrowienia w płacach u jego stóp i rąk. Jego świadomość zostaje wzmożona.

– Potrzebuje pan coś naprawić?

– Tak, w rzeczy samej. Mój ekspres do kawy.

– Dlaczego nie weźmie pan po prostu jakiegoś z innego samolotu?

– Ponieważ – odpowiada spokojnie Admirał – wolę mieć ten naprawiony.

Prowadzi Connora przez samolot, który wydaje się być od wewnątrz jeszcze większy niż z zewnątrz, wypełniony kabinami, pokojami konferencyjnymi i gabinetami.

– Wiesz, twoje imię przewija się dosyć często – oznajmia Admirał.

Connor słyszy o tym po raz pierwszy i nie są to dla niego dobre wieści.

– Jak to?

– Najpierw w kontekście rzeczy, które naprawiasz. Następnie z powodu bójk.

Connor wyczuwa zbliżającą się reprimendę. Tak, wdał się w mniejszą ilość bójk niż zazwyczaj, jednak Admirał jest człowiekiem przejawiającym zerową tolerancję.

– Przykro mi z powodu tych bójk.

– Niepotrzebnie. Ach, nie ma wątpliwości, co do tego, że jesteś jak tykająca bomba, która w każdej chwili może eksplodować, jednak najczęściej wybucha we właściwym momencie.

– Nie wiem, o co panu chodzi.

– Z tego co widzę, każda bójka w której uczestniczyłeś rozwiązywała jakiś problem. Nawet bójki, które przegrałeś. Więc nawet wtedy coś naprawiasz. – Obdarza Connora śnieżnobiałym uśmiechem. Przechodzi go dreszcz. Próbuje to ukryć, jednak jest pewien, że Admirał to dostrzega.

Wchodzą do niewielkiej jadalni i części kuchennej samolotu.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmia Admirał. Na blacie stoi stary ekspres do kawy. To proste urządzenie. Connor chce już wyciągnąć śrubokręt, aby je rozkręcić, kiedy zauważa, że ekspres nie jest podłączony do prądu. Kiedy go podłącza, światelko zapala się i ekspres, bulgocząc, zaczyna napełniać mały, szklany dzbanek kawą.

– Coś takiego – wyraża zdziwienie Admirał, ponownie prezentując swój paskudny uśmiech.

– Nie wezwał mnie pan tu do naprawy ekspresu, prawda?

– Usiądź – słyszy w odpowiedzi.

– Wolałbym nie.

– Mimo to usiądź.

Wtedy Connor dostrzega zdjęcie. Na ścianie zwieszonych jest kilka fotografii, ale ta, która przykuwa uwagę Connora, ukazuje uśmiechającego się chłopaka w jego wieku. Ten uśmiech wygląda znajomo. Właściwie to wygląda *dokładnie* jak uśmiech Admirala. Jest tak, jak mówił Roland!

Teraz Connor chce wziąć czym prędzej nogi za pas, jednak w jego głowie ponownie pojawia się głos Risy, który podpowiada mu, aby rozważył swoje opcje. Pewnie, że może uciec. Jest szansa, że zdoła dobiec do drzwi, zanim Admirał zdąży go powstrzymać – ale otwarcie drzwi nie będzie proste. Mógłby uderzyć Admirala jednym ze swoich narzędzi. Dzięki temu zyskałby wystarczająco wiele czasu, aby uciec. Ale dokąd by się udał? Poza Cmentarzyskiem jest tylko pustynia, pustynia i jeszcze większa ilość piachu. W końcu dochodzi do wniosku, że najlepszym wyborem będzie postąpić tak, jak mówi Admirał. Siada.

– Nie lubisz mnie, prawda? – pyta Admirał.

Connor nie spogląda mu w oczy.

– Uratował mnie pan, przywożąc tutaj...

– Nie unikniesz odpowiedzi na to pytanie. Nie lubisz mnie, prawda?

Po raz kolejny przechodzi go dreszcz, i tym razem nawet nie próbuje tego ukryć.

– Nie. Nie lubię pana.

– Chcę wiedzieć, jakie masz ku temu powody.

Connor wydaje z siebie żaloszny, zdławiony chichot jako odpowiedź.

– Sądziysz, że jestem handlarzem niewolników – mówi Admirał. – I że wykorzystuję Podzielonych dla własnych korzyści?

– Skoro wie pan co zamierzam powiedzieć, to po co mnie pan pyta?

– Spójrz na mnie.

Jednak Connor nie chce ujrzyć jego oczu – albo, mówiąc bardziej dokładnie, nie chce, aby Admirał zobaczył jego.

– Powiedziałem spójrz na mnie!

Niechętnie, Connor podnosi wzrok i skupia go na Admirale.

– Patrzę.

– Wierzę, że jesteś bystrym dzieciakiem. Chcę, żebyś teraz pomyślał. *Mysł!* Jestem odznaczonym admirałem marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych. Czy sądziysz, że muszę handlować dziećmi, żeby zarobić pieniądze?

– Nie wiem.

– *Mysł!* Czy zależy mi na pieniądzach i wystawnym życiu? Nie mieszkam w willi. Nie spędzam wakacji na tropikalnej wyspie. Spędzam czas na paryskiej pustyni, mieszkając w rozlatującym się samolocie przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku. Jak myślisz, dlaczego?

– Nie wiem!

– Myślę, że wiesz.

Connor wstaje. Pomimo tonu głosu Admirala, odczuwa wobec niego coraz mniejszy strach. Bez względu na to, czy jest to mądre, czy lekkomyślne, Connor postanawia dać Admiralowi to, czego oczekuje.

– Robi to pan z powodu władzy. Robi to pan, ponieważ dzięki temu trzyma pan w garści setki bezbronnych dzieciaków. I robi to pan, ponieważ dzięki temu może pan decydować o tym, kto zostanie podzielony i które części ciała trafią do pana.

Ta odpowiedź całkowicie zaskakuje Admirala. Nagle znalazł się w defensywie.

– Co powiedziałeś?

– To oczywiste! Te wszystkie blizny. I te zęby! Przecież się pan z nimi nie urodził, prawda? Więc czego pan ode mnie chce? Moich oczu, czy też może

uszu? A może moich dłoni, które tak sprawnie potrafią wszystko naprawić. Po to mnie pan wezwał? Po to?

Admirał wydaje z siebie pomruk drapieżcy.

– Posunąłeś się za daleko.

– Nie, to pan posunął się za daleko. – Wściekłość buzująca w oczach Admirala powinna przestraszyć Connora, jednak jego bomba zaczęła już tykać i nie sposób ją rozbroić.

– Przybyliśmy do pana w rozpaczy! To, co pan nam robi jest... jest... ohydne!

– Więc jestem zatem potworem!

– Tak!

– A dowodem są moje zęby.

– Tak!

– Więc możesz je sobie wziąć!

Następnie Admirał robi coś, co przerasta wszelką wyobraźnię. Sięga dłonią do ust, chwytając za własną szczękę i wyrzuca sobie zęby z ust. Spogląda płonącymi oczyma na Connora, i ciska dłonią twardą różową bryłę na stół, na którym, stukocząc, rozpada się na dwa makabryczne kawałki.

Connor krzyczy zszokowany. To one. Dwa rzędy białych zębów. Dwa różowe dziąsła. Jednak nie ma krwi. Dlaczego nie ma krwi? W ustach Admirala również nie ma śladów krwi. Jego twarz wydaje się w sobie zapadać – jego usta są jedynie obwisłą, pomarszczoną dziurą. Connor nie wie, co jest gorsze – twarz Admirala, czy też pozbawione krwi zęby.

– Nazywają to sztuczną szczęką – wyjaśnia Admirał. – Kiedyś, jeszcze przed podzieleniem, były czymś powszechnym. Ale komu potrzebne sztuczne zęby, kiedy za połowę ceny może dostać prawdziwe, prosto od zdrowego Podzielonego? Musiałem je sprowadzać z Tajlandii – nikt ich już obecnie u nas nie produkuje.

– Ja... ja nie rozumiem. – Connor spogląda na sztuczną szczękę i gwałtownie, niemal odruchowo, kieruje głowę w stronę fotografii uśmiechającego się chłopaka.

Admirał podąża za jego spojrzeniem.

– To – wyjaśnia Admirał – był mój syn. Jego zęby były bardzo podobne do moich w tym wieku, więc zaprojektowali moją sztuczną szczękę wykorzystując jego dokumentację stomatologiczną.

To ulga usłyszeć wyjaśnienie tak różne od tego, które przedstawił mu Roland.

– Przepraszam.

Admirał ani nie przyjmuje, ani też nie odrzuca przeprosin Connora.

– Pieniądze, które otrzymuję za oddelegowanie Podzielonych do pracy, przeznaczone są na utrzymanie tych, którzy tu pozostają oraz na opłatę kryjówek i magazynów, które przygarniają zbiegłych dzieciaków z ulicy. Opłacam też dzięki temu samolot, który je tu przywozi i każdego, komu potrzeba finansowej motywacji, aby odwrócić wzrok. Potem, pieniądze, które pozostają trafiają do kieszeni każdego z Podzielonych w dniu, w którym uzyskują pełnoletność i zostają wysłani w ten okrutny świat. Widzisz, nadal mogę być, jak to określiłeś handlarzem niewolników – jednak nie jestem aż takim potworem, jak myślisz.

Connor spogląda na sztuczną szczękę, która wciąż leży i połyskuje na stole. Zastanawia się, czy nie wziąć jej do ręki i nie oddać Admirałowi w geście pojednawczym, jednak dochodzi do wniosku, że ta wizja jest po prostu zbyt obrzydliwa. Pozwala, aby Admirał zrobił to sam.

– Czy wierzysz w to, co ci dzisiaj powiedziałem? – pyta Admirał.

Connor zastanawia się nad tym, jednak odkrywa, że jego moralny kompas się zepsuł. Prawda i plotki, fakty i kłamstwa wciąż krążą jak szalone w jego głowie, że nadal nie potrafi odróżnić, co jest czym.

– Tak mi się wydaje – odpowiada w końcu.

– Musisz mieć *pewność* – naciska Admirał. – Ponieważ zobaczysz dzisiaj rzeczy o wiele bardziej okropne niż sztuczna szczeka starca. Muszę wiedzieć, że postąpiłem słusznie, pokładając w tobie moje zaufanie.

Niecały kilometr dalej, w rzędzie czternastym, na miejscu numer trzydzieści dwa, stoi samolot FedExu, który nie ruszył się stąd, odkąd przyholowano go tutaj ponad miesiąc temu.

Connor ma zawieść Admirała wózką golfową do samolotu – jednak wcześniej Admirał wyciąga z szafki swój pistolet jako „środek ostrożności”.

Pod prawym skrzydłem samolotu FedExu znajduje się pięć kopców usypanych z ziemi i oznaczonych prymitywnymi nagrobkami. Tu leży pochowana piątka uduszonych w podróży dzieciaków. Ich obecność naprawdę czyni z tego miejsca cmentarzysko.

Drzwi ładunkowe są otwarte. Kiedy się zatrzymują, Admirał wydaje mu polecenie:

– Wejdź do środka i znajdź skrzynię numer 2933. Następnie wróć i wtedy porozmawiamy.

– Pan nie idzie?

– Już tam byłem. – Admirał podaje mu latarkę. – Będziesz jej potrzebował.

Connor staje na dachu wózka, przeciska się przez drzwi i włącza latarkę. W tej samej chwili uderza go fala wspomnień. Wszystko wygląda dokładnie tak samo jak przed miesiącem. Otwarte skrzynie i smród moczu. Popłód ich przyjazdu. Zapuszcza się dalej w głąb samolotu, mijając skrzynię, którą on, Hayden, Gil oraz Diego zajmowali. W końcu znajduje skrzynię 2933. Ta była jedną z pierwszych, które załadowano. Jej bok jest jedynie lekko uchylony. Connor ciągnie za niego, otwierając ją i oświetla wnętrze latarką.

Kiedy dostrzega co jest w środku, krzyczy i odruchowo cofa się, uderzając głową o skrzynię znajdującą się za nim. Admirał mógł go ostrzec, jednak tego nie zrobił. *Okay. Okay. Wiem, co widziałem. Nic nie mogę na to poradzić. I nic, co tam jest nie może wyrządzić mi krzywdy.* Pomimo to, przez dłuższą chwilę przygotowuje się, zanim ponownie zagląda do środka.

W skrzyni jest pięcioro martwych dzieciaków.

Wszyscy mają po siedemnaście lat. Są tam Krzykacz i Alfred. Obok nich leżą Kelvin, Melinda i Raul, trójka, która przydzielała nowo przybyłych do pracy, kiedy się tu pojawił. Cała piątka Wybrańców. Nie ma żadnych śladów krwi ani ran. Można by sądzić, że wszyscy śpią, gdyby nie to, że Krzykacz ma otwarte oczy i wpatruje się w nicość. Umysł Connora wiruje. Czy Admirał to zrobił? Czy jednak jest szaleńcem? Ale dlaczego? Nie, to musiał być ktoś inny.

Kiedy Connor wychodzi na zewnątrz, Admirał oddaje hołd piątce pochowanych już pod skrzydłem nastolatków. Prostuje krzyże i wyrównuje kopce.

– Zniknęli wczorajszej nocy. Znalazłem ich dzisiaj rano w zamkniętej skrzyni – wyjaśnia Admirał. – Podusili się, tak samo, jak tych pięcioro. To ta sama skrzynia.

– Kto mógłby się tego dopuścić?

– Dobre pytanie – odpowiada Admirał. Zadowolony z wyglądu grobów, odwraca się do Connora. – Ktokolwiek to jest, to pozbył się pięciorga naj-

bardziej wpływowych dzieciaków... co oznacza, że ktokolwiek za tym stoi, chce systematycznie zlikwidować strukturę tutejszej władzy, tak aby samemu móc się szybciej wspiąć na sam jej szczyt.

Connor zna tylko jednego Podzielonego, który byłby do tego zdolny – jednak pomimo to, Connorowi ciężko jest uwierzyć, aby Roland mógł dopuścić się czegoś tak okropnego.

– Ten ktoś chciał, abym ich znalazł – kontynuuje Admirał. – Zostawił tu mój wózek golfowy, abym to zrobił. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości, Connor, to są działania wojenne. Dopuścił się precyzyjnego uderzenia. Ta piątka była moimi oczami i uszami pośród tamtych dzieciaków. Teraz nie mam nikogo.

Admirał spogląda przez chwilę w mroczną otchłań ładowni.

– Dzisiaj w nocy ty i ja wrócimy tu i ich pochowamy.

Connor przetyka ślinę na myśl o tym. Zastanawia się, kogo musiał w niebie wkurzyć, że został mianowany nowym asystentem Admirala.

– Pochowamy ich daleko stąd – instruuje Admirał – i nikomu nie powiemy o tym, że nie żyją. Ponieważ, jeśli ktokolwiek się o tym dowie, to sprawca odniesie swoje pierwsze zwycięstwo. Jeżeli ktoś zacznie o tym mówić – to wytropimy winowajcę po rozpuszczanych pogłoskach.

– A potem co? – pyta Connor.

– A potem zatryumfuje sprawiedliwość. Do tego czasu wszystko musi pozostać naszą tajemnicą.

Kiedy Connor odwozi go z powrotem do jego samolotu, Admirał stawia sprawy pomiędzy nimi jasno.

– Potrzebuję nowej pary oczu i uszu. Kogoś, kto będzie mnie informował na bieżąco o tym, co się dzieje wśród Podzielonych. I kogoś, kto wytropi wilka w naszym stadzie. Proszę cię, abys to dla mnie zrobił.

– Chce pan, abym został szpiclem?

– Po czyjej jesteś stronie? Po mojej, czy po stronie tego, kto to zrobił?

Teraz Connor już wie, dlaczego Admirał go tu przyprowadził, i zmusił, aby zobaczył to na własne oczy. Jedną sprawą jest, gdy ktoś ci o tym powie, ale zupełnie inną, kiedy sam odkryjesz martwe ciała. To brutalnie uświadamia Connora, po której musi opowiedzieć się stronie.

– Dlaczego ja? – Connor musi to wiedzieć.

Admirał obdarza go swoim sztuczno-białym uśmiechem.

– Ponieważ ty, mój przyjacielu, jesteś najmniejszym złem.

Następnego dnia rano Admirał wydaje oświadczenie, że Wybrańcy zostali oddelegowani w celu zorganizowania nowych kryjówek.

Connor przygląda się Rolandowi, wypatrując jego reakcji – być może uśmiechu lub spojrzenia na jednego ze swoich kumpli.

Jednak nic takiego nie następuje. Roland nie zdradza po sobie niczego, co mogłoby sugerować, że wie, co się z nimi stało. Właściwie to przez całe poranne ogłoszenia wydaje się być niezainteresowany i nieobecny, zupełnie jakby nie mógł się już doczekać aż rozpocznie nowy dzień. Jest ku temu dobry powód. Jego praktyka u Cleavera, pilota helikoptera, przynosi korzyści. Przez ostatnie tygodnie Roland nauczył się pilotować helikopter jak zawodowiec i kiedy Cleavera nie ma w pobliżu, oferuje darmowe loty tym osobom, które w jego opinii na to zasługują. Twierdzi, że Cleaver nie ma nic przeciwko, jednak bardziej prawdopodobne jest to, że po prostu o niczym nie wie.

Connor zakładał, że Roland zaproponuje przelot swoim własnym kumplom, jednak tak się nie dzieje. Roland nagradza dobrze wykonaną robotę – nawet przez tych, których nie zna. Nagradza lojalność wobec swojego zespołu. Pozwala innym głosować, kto powinien dostać szansę na przelot helikopterem nad Cmentarzyskiem. Jednym słowem, Roland zachowuje się tak, jak gdyby to on, a nie Admirał, tutaj dowodził.

Kiedy Admirał jest obecny, udaje posłusznego, jednak kiedy znajduje się w otoczeniu innych – a zawsze są jacyś w pobliżu Rolanda – wykorzystuje każdą sposobność, aby go skrytykować. – Admirał stracił poczucie rzeczywistości – zwykł mówić. – Nie wie, jak to jest być jednym z nas. Nie może w ogóle zrozumieć, kim jesteśmy i czego potrzebujemy. – I pośród grup dzieciaków jest już zwycięzcą, szerząc swoje teorie odnośnie zębów Admirała i jego blizn oraz jego diabolicznych planów względem ich wszystkich. Rozsiewa strach szerzy i nieufność, wykorzystując je do pozyskania tak wielu zwolenników, jak tylko może.

Connor musi zagryzać wargi, aby trzymać język za zębami, kiedy słyszy paplaninę Rolanda – ponieważ jeżeli stanie w obronie Admirała, wtedy Roland się dowie, po czyjej znajduje się stronie.

Na Cmentarzysku znajduje się samolot-światlica, niedaleko namiotu, w którym odbywają się zebrania. Są tam telewizory i elektronika, a pod jego skrzydłami umieszczono stoły bilardowe, automat do gry we flippera i cał-

kiem wygodne meble. Connor zaproponował, że zamotuje zraszacz, żeby choć trochę schłodzić teren pod skrzydłami w czasie żaru lejącego się z nieba. Jednak co ważniejsze, Connor stwierdza, że to przedsięwzięcie pozwoli mu stać się niewidzialnym, i dzięki temu będzie mógł podsłuchiwać rozmowy, gromadzić informacje odnośnie tworzących się układów oraz wykonywać szeroko rozumianą działalność szpiegowską. Problem w tym, że Connor nigdy nie potrafił stać się niewidzialny i zamiast tego swoją pracą skupia na sobie całą uwagę. Dzieciaki oferują mu pomoc, zupełnie jakby był Tomkiem Sawyerem malującym płot. Przez cały czas postrzegają go jako przywódcę, kiedy jemu zależy jedynie na tym, aby nie zwracali na niego uwagi. Cieszy się, że nigdy nikomu nie powiedział o tym, że jest tak zwanym „ZOMZ-em z Akron”. Jak głoszą miejscowe plotki, ZOMZ z Akron stanął do walki z całym oddziałem hycli, przechytrzył gwardię narodową i wyzwolił pół tuzina ośrodków donacyjnych. Boryka się już i tak ze zbyt wielką uwagą ze strony innych dzieciaków, więc niepotrzebna mu jest tego rodzaju reputacja.

Podczas gdy Connor pracuje nad zainstalowaniem systemu zraszającego, Roland przygląda mu się znad stołu bilardowego. W końcu odstawia kij i podchodzi do niego.

– Pracowita z ciebie pszczołka – oświadcza Roland, wystarczająco głośno, aby wszyscy wokół mogli to usłyszeć.

Connor stoi na składanej drabinie, przymocowując instalację rurową zraszacza do dolnej części skrzydła. Pozwala mu to na odczuwanie satysfakcji płynącej ze spoglądania na Rolanda z góry w czasie prowadzenia rozmowy.

– Po prostu próbuję nam nieco ułatwić życie – odpowiada Connor. – Przyda nam się zraszacz – przecież nie chcemy, aby ktoś nam się tu podusił od tego upału.

Roland zachowuje chłodną twarz pokerzysty.

– Wygląda na to, że zostałeś nowym ulubieńcem Admirala, kiedy pozostali odeszli. – Rozgląda się naokoło, upewniając się, że skupia na sobie uwagę wszystkich. – Widziałem cię, jak wchodziłeś do jego samolotu.

– Potrzebuje naprawić różne rzeczy, więc je naprawiam – opowiada Connor. – To wszystko.

Następnie, zanim Roland zdąży kontynuować swoje przesłuchanie, znad stołu bilardowego odzywa się Hayden.

– Nie tylko Connor tam chodzi – zauważa Hayden. – Ludzie wchodzą i wychodzą stamtąd na okrągło. Ludzie z żarciem. Ludzie ze ścierami – i doszły mnie słuchy, że zainteresował się ostatnio pewnym gilowatym jegomościem, którego wszyscy znamy i kochamy.

Oczy wszystkich skupiają się na Gilu, który stał się nieodłączną częścią flippera, odkąd tu przyjechał.

– Co?

– Byłeś u Admirała, prawda? – osacza go Hayden. – Nie zaprzeczaj!

– I co z tego?

– Więc, czego on chce? Jestem pewien, że wszyscy chcielibyśmy się tego dowiedzieć.

Gil wierci się, odczuwając zakłopotanie z powodu nagłego znalezienia się w centrum uwagi.

– Chciał się po prostu dowiedzieć czegoś o mojej rodzinie i takie tam.

To jest dla Connora coś nowego. Być może Admirał szuka kogoś innego, kto by wytropił zabójcę. Fakt, Gil znacznie mniej rzuca się w oczy od Connora, jednak w tym przypadku niekoniecznie musi mieć to znaczenie.

– Wiem o co mu biega – rzuca Roland. – Poluje na twoje włosy.

– Nieprawda!

– Właśnie, że tak – jego już się przerzedzają, co nie? Niezłą sobie czuprynę wyhodowałeś. Stary chce cię oskalpować, a pozostałą część tego, co zostanie wysłać na podzielenie!

– Zamknij się!

Większość zgromadzonych wybucha śmiechem. Oczywiście to tylko kawał, jednak Connor zastanawia się, ilu z nich jest zdania, że Roland może mieć rację. Gil sam musi to podejrzewać, ponieważ wygląda na załamanego. To wprawia Connora we wściekłość.

– Jasne, czepiaj się Gila. – Pokaż wszystkim, jaki jesteś podły. – Schodzi z drabiny, stając twarzą w twarz z Rolandem. – Hej, zauważyłeś, że Krzykacz zostawił swój megafon? Dlaczego nie zajmiesz jego miejsca? Taki z ciebie pyskacz, że idealnie będziesz się do tego nadawał.

Odpowiedź Rolanda pozbawiona jest najmniejszego uśmiechu na twarzy.
– Nikt mnie o to nie prosił.

Tamtej nocy Connor i Admirał odbywają potajemne spotkanie w jego kwaterze, popijając kawę zaparzoną w ekspresie, który ponoć był zepsuty.

Rozmawiają o Rolandzie i podejrzeniach Connora względem niego, jednak Admirał nie jest usatysfakcjonowany.

– Nie interesują mnie podejrzenia, interesują mnie dowody. Nie interesują mnie twoje przecucia, interesują mnie konkrety. – Admirał dolewa z piersiówki nieco whisky do swojej kawy.

Kiedy Connor kończy zdawać raport, podnosi się do wyjścia, jednak Admirał mu na to nie zezwala. Nalewa Connorowi drugi kubek kawy, który z pewnością będzie go trzymać na nogach przez całą noc – i tak wątpi, czy uda mu się zasnąć.

– Niewielu ludzi wie o tym, co zamierzam ci powiedzieć – wyjaśnia Admirał.

– Więc dlaczego chce mi pan o tym powiedzieć?

– Ponieważ mam swoje powody, abyś wiedział.

To szczerą odpowiedź, jednak nadal nie zdradza motywów jego postępowania. Connor przypuszcza, że Admirał musiał wyśmienicie znać się na rzemiośle wojennym.

– Kiedy byłem znacznie młodszy – rozpoczyna Admirał – brałem udział w Wojnie Moralnej. Blizny, które, jak zuchwale założyłeś, są bliznami pooperacyjnymi, w rzeczywistości są sprawką granatu.

– Po której był pan stronie?

Admirał obdarza Connora badawczym spojrzeniem, z którego słynie.

– Ile wiesz o Wojnie Moralnej?

Connor wzrusza ramionami.

– Poświęcili temu ostatni rozdział w naszym podręczniku do historii, ale mieliśmy testy stanowe, więc nigdy tego nie przerabialiśmy.

Admirał macha ręką, wyrażając zniesmaczenie.

– Podręczniki i tak to podkolorowały. Nikt nie chce pamiętać o tym, jak to naprawdę wyglądało. Pytałeś, po której byłem stronie. Prawda jest taka, że były trzy strony konfliktu, a nie dwie. Była Armia Życia, Brygada Wyboru i pozostałości amerykańskiego wojska, którego zadaniem było powstrzymać pozostałe dwie strony od pozabijania się nawzajem. Po tej stronie właśnie byłem. Niestety nie odnieśliśmy znaczącego sukcesu. Widzisz, konflikt zawsze zaczyna się od jakiejś kwestii spornej – różnicy zdań, kłótni. Jednak zanim przerodzi się w wojnę, kwestia, której dotyczył spór nie jest już istotna, ponieważ rozchodzi się już tylko i wyłącznie o jedną rzecz: jak bardzo każda ze stron nienawidzi się wzajemnie.

Admirał dolewa sobie więcej whisky do kubka nim kontynuuje.

– Do wojny prowadziły mroczne dni. Wszystko, co definiowało to, co dobre a co złe, zostało wywrócone do góry nogami. Z jednej strony ludzie mordowali lekarzy przeprowadzających aborcje, aby chronić prawo do życia, podczas gdy po przeciwnej stronie barykady kobiety zachodziły w ciążę wyłącznie po to, aby sprzedać swoją tkankę płodową. I wszyscy wybierali swoich przywódców nie pod kątem ich zdolności przywódczych, ale ze względu na to, po której stronie opowiadali się w tej konkretnej kwestii. To było czyste szaleństwo! Następnie wojsko zostało podzielone, obie strony chwyciły za broń i dwie możliwości wyboru stały się dwiema armiami zdecydowanymi do zniszczenia siebie nawzajem. A następnie weszła Karta Życia.

Przywołanie jej przyprawia Connora o lodowate ciarki na plecach. Nigdy się tym nie przejmował, jednak sprawy przybierają zupełnie inny obrót, kiedy człowiek staje się Podzielonym.

– Byłem w tamtym pokoju, kiedy wpadli na pomysł, że ciążę można przerwać z mocą wsteczną, kiedy dziecko osiągnie wiek rozumowania – kontynuuje Admirał. – Z początku to był żart – nikt nie przypuszczał, że ktokolwiek weźmie go na poważnie. Jednak w tym samym roku Nagrodę Nobla przyznano naukowcowi, który udoskonalił neurotransplantację – technikę, która pozwala na wykorzystanie każdej części dawcy do przeszczepu.

Admirał pociąga solidny łyk kawy. Connor nawet nie ruszył swojej dolewki. Myśl o przełknięciu teraz czegokolwiek nie wchodzi w ogóle w grę. To jedyne, co może zrobić, aby nie zwrócić zawartości pierwszego kubka.

– Gdy wojna robiła się coraz bardziej paskudna – mówi dalej Admirał – pośredniczyliśmy w rozmowach pokojowych przy okrągłym stole. Następnie zaproponowaliśmy ideę podzielenia, które przerywałoby niechciane ciążę, jednak nie zakańczało niczyjego życia. Sądziliśmy, że dzięki temu obie strony posłuchają głosu rozsądku, że spoglądając na siebie z przeciwległej strony stołu ktoś w końcu się ugnie, jednak tak się nie stało. Decyzja, aby przerywać życie, jednocześnie go nie zakańczając zadowalała potrzeby obu stron. Karta Życia została uchwalona, Porozumienie Podziału weszło w życie i wojna dobiegła końca. Wszyscy tak bardzo cieszyli się z jej końca, że nikt nie zaprzętał sobie głowy jej konsekwencjami.

Myśli Admirala przez chwilę szybują gdzieś daleko, następnie kiwa ręką.

– Resztę pewnie znasz.

Connor może nie znać wszystkich szczegółów, jednak zna istotę sprawy.

– Ludzie potrzebowali organów.

– Domagali się ich jest odpowiedniejszym wyrażeniem. Okrężnicę zaatakowaną przez nowotwór można zastąpić nową i zdrową. Ofiara wypadku, która umarłaby na skutek obrażeń wewnętrznych, może teraz otrzymać nowe organy. Pomarszczoną artretyczną dłoń można zastąpić jej o pięćdziesiąt lat młodszym odpowiednikiem. I wszystkie te nowe części ciała muszą przecież skądś pochodzić. – Admirał przerywa na chwilę, rozmyślając nad tym. – Oczywiście, gdyby więcej ludzi zdecydowało się być dawcami organów, to nigdy nie doszłoby do podzielenia... jednak ludzie nie lubią się dzielić tym, co do nich należy, nawet po śmierci. Nie trzeba było długo czekać, aby etykę pożarła chciwość. Podzielenie stało się olbrzymim biznesem. I ludzie na to pozwolili.

Admirał zerka na fotografię syna. Connor wie dlaczego, nawet bez wyjaśnień ze strony Admirała – jednak pozwala mu mówić dalej.

– Mój syn, Harlan, był wspaniałym chłopakiem. Bystrym. Jednak był niepokojny – znasz ten typ.

– Jestem takim typem – odpowiada Connor, nieznacznie się uśmiechając. Admirał przytakuje.

– To było przed dziesięcioma laty. Wplątał się w nieodpowiednie towarzystwo i został przyłapany na kradzieży. Psiakrew! Byłem taki sam w jego wieku. Właśnie dlatego moi staruszkowie od razu wysłali mnie do szkoły wojskowej, aby mnie naprostować. Tylko, że Harlana czekała inna opcja. Bardziej... skuteczna.

– Wysłał go pan na podzielenie.

– Byłem jednym z ojców Porozumienia Podziału, więc oczekiwano ode mnie, że będę stanowił przykład dla innych. – Przyciska kciuk i palec wskazujący do oczu, powstrzymując łzy nim te zdążą napłynąć. – Podpisaliśmy zlecenie, a potem zmieniliśmy zdanie. Jednak było już za późno. Zabrali Harlana prosto ze szkoły do ośrodka donacyjnego i szybko załatwili sprawę. Zlecenie zostało wykonane.

Connorowi nigdy nie przyszło do głowy zastanowić się nad ceną, jaką musieli zapłacić ci, którzy podpisywali zlecenia. Nigdy nie sądził, że będzie współczuł rodzicowi, który mógł tak postąpić. Albo jednemu z ludzi, którzy sprawili, że podzielenie stało się możliwe.

– Przykro mi – odpowiada Connor, i mówi to szczerze.

Admirał sztywnieje – trzeźwieje – niemal natychmiastowo.

– Nie powinno. Wszyscy zawdzięczacie swoją obecność w tym miejscu jego podzieleniu. Po wszystkim, moja żona odeszła ode mnie i założyła fundację ku czci Harlana. Wystąpiłem z wojska, spędziłem kilka lat bardziej pijany niż jestem teraz, a następnie trzy lata temu wpadłem na Wielki Pomysł.

To miejsce, te dzieciaki są jego wynikiem. Do dzisiejszego dnia uratowałem od podzielenia ponad tysiąc osób.

Teraz Connor już rozumie, dlaczego Admirał opowiedział mu o tym wszystkim. To coś więcej, niż tylko wyznanie. To sposób na uzyskanie jego lojalności. Poskutkowało. Admirał był człowiekiem owładniętym potworną obsesją, jednak ta obsesja ratowała życie. Hayden kiedyś powiedział, że Connor jest prawym człowiekiem. To samo poczucie prawości powoduje, że staje twardo po stronie Admirała, więc Connor unosi swój kubek i mówi:

– Za Harlana!

– Za Harlana! – powtarza Admirał i razem piją za jego imię. – Kawałek po kawałku wszystko naprawiam, Connor – mówi Admirał. – Kawałeczek po kawałeczku i to na więcej niż jeden sposób.



35. LEV

To, gdzie przebywał Lev po tym, jak opuścił CyFia i zanim przybył na Cmentarzysko jest mniej istotne od tego, gdzie podziewały się jego myśli. Ulokowały się w miejscu i zimniejszym i ciemniejszym od wielu miejsc, w których przyszło mu się ukrywać.

Przetrwał miesiąc dzięki pasmom nieprzyjemnych kompromisów i okazjonalnej kradzieży – czemukolwiek, co umożliwiło mu przeżycie. Lev szybko nauczył się cwaniactwa i zaradności na ulicy. Mówią, że potrzeba całkowicie zanurzyć się w danej kulturze, aby nauczyć się jej języka i panujących w niej zasad. Nie potrzebował wiele czasu, aby nauczyć się języka osoby wyrzuconej poza margines społeczny.

Pewnego razu wylądował w sieci kryjówek i szybko dał wszystkim do zrozumienia, że nie jest facetem, z którym można zadzierać. Nikomu nie powiedział, że jest dziesięcirodnym. Wyjaśnił natomiast, że jego rodzice podpisali zlecenie jego podzielenia po tym, jak aresztowano go za napad z bronią w ręku. To było dosyć zabawne, ponieważ Lev nigdy nawet nie dotknął broni. Zdumiało go to, że inni nie potrafili wyczytać tego kłamstwa z jego twarzy – zawsze był wyjątkowo kiepskim kłamczuchem. Jednak kiedy spojrział w lustro, to, co zobaczył w swoich oczach przeraziło go.

Zanim dotarł na Cmentarzysko, większość dzieciaków wiedziała już wystarczająco wiele, aby trzymać się od niego z daleka. I na tym właśnie mu zależało.

* * *

Tej samej nocy, kiedy Admirał i Connor odbyli swoją potajemną naradę, Lev zapuszcza się w gęsty mrok bezksiężycowej nocy, nie włączając latarki. Podczas swojej pierwszej nocy na Cmentarzysku udaje mu się z powodzeniem wymknąć i odnaleźć Connora, aby wyjaśnić sobie z nim parę kwestii. Od tamtej pory siniak po uderzeniu Connora zdążył już zniknąć i więcej o tym nie rozmawiali. W ogóle nie rozmawia zbyt wiele z Connorem, ponieważ ma teraz inne rzeczy na głowie.

Od tamtej pory, co noc próbuje się wymknąć, jednak za każdym razem zostaje złapany i odesłany z powrotem. Teraz, kiedy nie ma już pięciu stróżujących psów Admirała w końcu mu się udaje, ponieważ dzieciaki pełniące wartość niezbyt przykładają się do swoich obowiązków. Kiedy Lev przekrada się pomiędzy samolotami, zauważa, że kilkoro z nich śpi nawet w czasie służby. To było głupie ze strony Admirała wysłać tamte dzieciaki bez zapewnienia za nich jakiegokolwiek zastępstwa.

Kiedy jest już wystarczająco daleko, włącza latarkę i próbuje odnaleźć swój cel podróży. Cel, o którym powiedziała mu pewna dziewczyna, którą spotkał przed kilkoma tygodniami. Była bardzo podobna do niego. Podejrzewa, że tej nocy spotka też innych, którzy również są tacy jak on.

Rząd trzydziesty, miejsce dwunaste. Tak daleko od Admirała, jak tylko jest to możliwe, jednak wciąż na terenie Cmentarzyska. Ten kawałek ziemi zajmuje wiekowy DC-10, popadający w ruinę w miejscu swojego wiecznego spoczynku. Kiedy Lev otwiera drzwi i wdrapuje się do środka, odkrywa wewnątrz dwójkę innych dzieciaków, które na jego widok sztywnieją, jakby połknęły kij i przyjmują postawę obronną.

– Nazywam się Lev – oznajmia. – Powiedziano mi, że mam tutaj przyjść.

Nie zna tych osób, jednak nie jest to dla niego żadnym zaskoczeniem – nie przebywa na Cmentarzu na tyle długo, aby móc poznać wszystkich. Jedno z nich jest azjatycką dziewczyną z różowymi włosami. Drugi dzieciak ma ogoloną głowę i mnóstwo tatuaży.

– Kto ci kazał tu przyjść? – pyta gołogłowy.

– Dziewczyna, którą spotkałem w Colorado. Nazywa się JulieAnn.

Wtedy z cienia wyłania się trzecia postać. Nie jest to nastolatek a osoba dorosła, może po dwudziestce. Uśmiecha się. Ma tłuste czerwone włosy,

zmierzwioną kozią bródkę do pary i kościstą twarz z wklęsłymi policzkami. To Cleaver, pilot helikoptera.

– Więc przysłała cię JulieAnn! – mówi. – Świetnie! Co u niej?

Lev zastanawia się przez chwilę nad odpowiedzią.

– Wykonała swoją robotę – odpowiada Lev.

Cleaver kiwa głową.

– Cóż, robota taka a nie inna.

Pozostała dwójka dzieciaków przedstawia się. Gołogłowy nazywa się Blaine, a dziewczynie na imię Mai.

– A co z armiakiem, który lata z tobą helikopterem? – pyta Lev Cleavera.

– On też bierze w tym udział?

Mai wydaje z siebie zniesmaczony śmiech. – Roland? Nigdy w życiu!

– Roland nie jest... *materiałem* nadającym się do naszej małej paczki. – Przyszedłeś więc, żeby przekazać nam dobre wieści o JulieAnn, czy też wpadłeś z innego powodu?

– Jestem tu, ponieważ tego chcę.

– Tak mówisz – odpowiada Cleaver – ale my nadal nie wiemy, czy tak jest naprawdę.

– Opowiedz nam o sobie – mówi Mai.

Lev przygotowuje się, aby przestawić im wersję napadu z bronią w rękę, jednak zmienia zdanie nim otwiera usta. Pora na szczerą. To musi zacząć się od prawdy. Więc mówi im wszystko, od chwili kiedy został uprowadzony przez Connora, do czasu poznania CyFia i tygodni, które nastąpiły po tym. Kiedy kończy, Cleaver wydaje się być bardzo, bardzo zadowolony.

– Więc jesteś dziesięcirodny! To świetnie. Nawet nie wiesz, jak bardzo!

– Co teraz? – pyta Lev. – Przyjmujecie mnie, czy nie?

Pozostali nie odzywają się słowem. Na ich twarzach maluje się powaga. Lev czuje, jak gdyby za chwilę miał się odbyć jakiś rytuał.

– Powiedz mi, Lev – mówi Cleaver. – Jak bardzo nienawidzisz ludzi, którzy chcieli cię podzielić?

– Bardzo.

– Wybacz, to nie wystarczy.

Lev zamyka oczy i przywołuje myśli o rodzicach. Myśli o tym, co planowali mu zrobić i jak sprawili, że właściwie sam tego chciał.

– Jak bardzo ich nienawidzisz? – ponawia pytanie Cleaver.

– Całkowicie i bezapelacyjnie.
– A jak bardzo chcesz, żeby oni, i wszyscy inni na świecie, za to zapłacili?
– Całkowicie i bezapelacyjnie. – Ktoś musi zapłacić za tę całą niesprawiedliwość. *Wszyscy muszą zapłacić. On ich do tego zmusi.*

– Dobrze – odpowiada Cleaver.

Lev jest zdumiony bezmiarem swojej wściekłości – jednak coraz mniej się jej obawia. Powtarza sobie, że to coś dobrego.

– Może mówi serio – wtrąca Blaine.

Jeżeli Lev się w to zaangażuje, to wie, że nie będzie już odwrotu.

– Muszę wiedzieć jedno – pyta Lev – ponieważ JulieAnn... nie wyraziła się w tej sprawie jasno. Chcę wiedzieć, w co wierzycie.

– W co wierzymy? – dziwi się Mai. Spogląda na Blaine'a, a ten wybucha śmiechem.

Jednak Cleaver unosi dłoń, aby go uciszyć.

– Nie nie, to jest dobre pytanie. Prawdziwe pytanie. I zasługuje na prawdziwą odpowiedź. Jeżeli pytasz, czy kieruje nami jakiś powód, to odpowiedź brzmi: nie – więc wybij to sobie z głowy. – Cleaver gestykuluje szeroko, wypełniając dłońmi i rękoma przestrzeń wokół niego. – Powód to przestarzała sprawa. Wierzymy w losowość. Trzęsienia ziemi! Tornada! Wierzymy w siły przyrody – i my jesteśmy siłami natury. Jesteśmy spustoszeniem. Jesteśmy chaosem. Zadzieramy ze światem.

– I całkiem nieźle zadarliśmy z Admiralem – wtrąca przebiegle Blaine. Cleaver rzuca mu ostre spojrzenie, a Mai wygląda na faktycznie przerażoną. To niemal wystarcza, aby Leva zaczęły ogarniać wątpliwości.

– Jak zadarliście z Admiralem?

– Temat zamknięty – odparowuje Mai, jej język ciała wyraża zarówno niepokój jak i gniew. – Zadarliśmy i koniec. Nie mówimy o tym, co skończone. Jasne?

Cleaver kiwa głową w jej stronę i Mai nieco się rozluźnia.

– Chodzi o to – kontynuuje Cleaver – że nie ma znaczenia z kim lub czym zadzieramy, tak długo jak to po prostu robimy. Widzimy to tak, że świat się nie porusza, jeśli trochę się nim nie wstrząśnie. Dobrze mówię?

– Chyba tak.

– Cóż, w taki razie można powiedzieć, że jesteśmy ludźmi czynu. – Cleaver uśmiecha się i wskazuje palcem Leva. – Pytanie brzmi, czy ty również?

Czy masz wszystko, co potrzeba, aby stać się jednym z nas?

Lev przygląda się uważnie całej trójce. Są to dokładnie tego rodzaju ludzie, których jego rodzice z pewnością by znienawidzili. Może do nich dołączyć z czystej złośliwości, jednak to nie jest wystarczający powód – nie tym razem. Musi być coś więcej. Pomimo to, kiedy tam tak stoi, Lev uświadamia sobie, że jest coś więcej. Niewidoczne, ale jest, niczym śmiertelny ładunek elektryczny czyhający w powalonej na ziemię linii wysokiego napięcia. Gniew, ale nie tylko gniew. Również chęć jego użycia.

– Ok, wchodzę w to. – Kiedy był w domu, Lev zawsze czuł się częścią czegoś większego niż on sam. Aż do teraz nie był świadomy, jak bardzo brakowało mu tego uczucia.

– Witaj w rodzinie – oznajmia Cleaver i klepie go po plecach tak boleśnie, że przed oczami ukazują mu się gwiazdy.



36. RISA

Risa jako pierwsza zauważa, że coś jest nie tak z Connorem. Risa jako pierwsza dostrzega, że coś jest nie tak z Levem.

W przyływie egoizmu odkrywa, że ją to irytuje, ponieważ wszystko tak dobrze się jej teraz układa. W końcu znalazła swoje miejsce. Marzy, aby mogło ono pozostać jej azylem nawet po uzyskaniu przez nią pełnoletności, ponieważ w realnym świecie nigdy nie mogłaby robić tego, czym zajmuje się teraz. To oznaczałoby praktykowanie medycyny bez zezwolenia – co sprawdza się w świecie, w którym walczy się o przetrwanie, jednak nie w tym cywilizowanym. Być może kiedy osiągnie pełnoletność, mogłaby pójść na studia, na wydział medycyny – jednak to wymaga pieniędzy, znajomości i oznaczałoby stawienie czoła jeszcze większej konkurencji niż miało to miejsce na zajęciach z muzyki. Zastanawia się, czy może mogłaby wstąpić do armii i zostać medykiem wojskowym. Nie trzeba być armiakiem, aby dostać się do jednostki medycznej. Jakiegokolwiek wyboru dokona, najważniejsze jest to, że *ma* możliwość wyboru. Po raz pierwszy od bardzo dawna widzi dla siebie przyszłość. Mając w swoim życiu tak wiele pozytywnych perspektyw, ostatnią rzeczą jakiej potrzebuje jest to, aby ktoś jej to teraz zniszczył.

To właśnie zajmuje umysł Risy, kiedy udaje się do jednego z samolotów służących do nauki. Admirał przeznaczył trzy z jego najbardziej dostępnych i dobrze wyposażonych maszyn jako miejsca do nauki, wypełnione zbiorami

książek, komputerami oraz podręcznym księgozbiorem dydaktycznym, po to aby móc się tu nauczyć wszystkiego, czego tylko się chce.

– To nie jest szkoła – wyjaśnił im Admirał, krótko po ich przybyciu. – Nie ma tu nauczycieli, nie ma też egzaminów. – Co dziwne, właśnie ten brak wymagań sprawia, że samoloty wypełnione są po brzegi przez większość czasu.

Obowiązki Risy rozpoczynają się krótko po nastaniu świtu i jej nawykiem stało się rozpoczynać dzień w jednym z samolotów do nauki, zważywszy, że o tej porze dnia jest tam zazwyczaj jedyną osobą. Odpowiada jej to, ponieważ rzeczy, których chce się nauczyć wprawiają innych w skrupowanie. Nie przeszkadza im przedmiot jej badań, a raczej fakt, że to Risa zgłębia ten temat. Głównie anatomię i teksty medyczne. Ludzie zakładają, że tylko dlatego, iż pracuje w samolocie medycznym, wie już wszystko, co wiedzieć powinna. Niepokoi ich to, że Risa tak naprawę musi dopiero zgłębiać tę wiedzę.

Jednak kiedy przychodzi tam dzisiejszego dnia odkrywa, że jest tam już Connor. Zatrzymuje się przy drzwiach, zaskoczona. Jest tak pochłonięty tym co czyta, że nie słyszy, jak wchodzi. Przez chwilę przygląda się mu. Nigdy wcześniej nie widziała go tak zmęczonego – nawet wtedy, gdy przyszło im uciekać. Pomimo to, jest podekscytowana, widząc go. Oboje byli tak bardzo zajęci, że nie mieli zbyt wiele czasu, który mogliby spędzić razem.

– Cześć, Connor.

Zaskoczony, podnosi naprędce wzrok i zatrząskuje książkę. Kiedy uświadamia sobie, kto przed nim stoi, uspokaja się.

– Cześć, Risa. – Zanim zdąży usiąść obok niego, Connor uśmiecha się i nie wygląda już na tak przemęczonego. Risa cieszy się, że wywiera na niego taki wpływ.

– Wcześniej dziś wstałeś.

– Właśnie, że późno – odpowiada. – Nie mogłem spać, więc przyszedłem tutaj. – Zerka przez jedno z małych okrągłych okien. – Jest już rano?

– Lada moment. Co czytasz?

Próbuje to ukryć, jednak jest już na to za późno. Ma ze sobą dwie książki. Wolumin na spodzie to książka poświęcona inżynierii. To nie jest żadnym zaskoczeniem, zważywszy na jego zainteresowania funkcjonowaniem różnych rzeczy. Jednak to książka na wierzchu – ta którą czytał, kiedy tu przyszła – zaskakuje ją, niemal doprowadzając do śmiechu.

– *Kryminologia dla bystrzaków?*

– Cóż, każdy ma jakieś hobby.

Próbuje uważnie spojrzeć mu w oczy, jednak Connor odwraca wzrok.

– Coś jest nie tak, prawda? – pyta. – Nie potrzebuję czytać *Connora dla bystrzaków*, żeby wiedzieć, że wpakowałeś się w jakieś kłopoty.

Connor spogląda wszędzie, tylko nie w jej oczy.

– Żadne kłopoty. Przynajmniej nie moje. A może już tak, sam nie wiem.

– Chcesz o tym pogadać?

– To – odpowiada Connor – jest *ostatnia* rzecz, jakiej chcę. – Bierze głęboki oddech i poprawia się na krześle. – Nie martw się, wszystko będzie dobrze.

– To nie brzmi zbyt przekonująco.

Spogląda na Risę, następnie na drzwi, upewniając się, że nadal są sami. Następnie nachyla się do niej i mówi:

– Teraz, kiedy Wybrańcy są... gdzie indziej, Admirał będzie szukał za nich zastępstwa. Obiecuj mi, że jeżeli poprosi cię pomoc, to mu odmówisz.

– Admirał nawet nie wie o moim istnieniu. Dlaczego miałby mnie o cokolwiek prosić?

– Ponieważ mnie prosił – odpowiada Connor intensywnym szeptem. – I myślę, że Gila też.

– Gila?

– Mówię jedynie, że nie chcę, abyś stała się celem!

– Jakim celem? Dla kogo?

– Ciii! Mów ciszej!

Spogląda ponownie na książkę, którą czytał Connor, próbując poskładać wszystko w jedną całość, jednak nie zna wszystkich elementów układanki. Przybliżyła się do niego, zmuszając go, aby na nią spojrział.

– Chcę ci pomóc – mówi Risa. – Martwię się o ciebie. Proszę, pozwól mi sobie pomóc.

Connor rzuca oczyma tam i z powrotem, próbując uniknąć jej spojrzenia, jednak nie potrafi. Nagle wypełnia niewielką przestrzeń między nimi i całuje ją. Risa nie spodziewa się tego, i kiedy Connor przerywa pocałunek, wyczuje z jego twarzy, że on również się tego nie spodziewał.

– A to za co?

Mija chwila, zanim jego mózg zaczyna ponownie funkcjonować.

– To – wyjaśnia – na wypadek, gdyby się coś stało i miałbym cię więcej nie zobaczyć.

– Dobrze – odpowiada Risa i przyciąga go do kolejnego pocałunku – tym razem dłuższego niż poprzedni. Kiedy kończy, oznajmia: – To na wypadek, gdybym cię miała znowu zobaczyć.

Connor odchodzi niezręcznie niepewnym krokiem i niemal spada na ziemię ze stalowych stopni. Pomimo wszystkiego, co właśnie między nimi zaszło, Risa nie potrafi powstrzymać się od uśmiechu. To zdumiewające, że coś tak prostego jak pocałunek potrafi przepędzić najgorsze zmartwienia.

* * *

Kłopoty trapiące Leva wydają się być zupełnie innej natury i Risa odkrywa, że Lev ją przeraża. Tamtego poranka przychodzi do izby chorych z paskudnym oparzeniem słonecznym. Ponieważ jest szybki w nogach, dostał przydział posłańca. Do jego obowiązków należy głównie bieganie tam i z powrotem pomiędzy samolotami i przenoszenie wiadomości. Jedną z zasad Admirala jest to, żeby wszyscy posłańcy używali filtru przeciwsłonecznego, jednak wychodzi na to, że Lev nie czuje się już zobowiązany do przestrzegania jakichkolwiek zasad.

Rozmawiają przez chwilę, jednak sytuacja jest niezręczna, więc Risa szybko przechodzi do konkretów.

– Cóż, teraz kiedy masz długie włosy, przynajmniej twoje czoło i szyja wyszły z tego bez szwanku. Zdejmuj koszulę.

– Przez większość czasu koszulę mam na sobie – stwierdza Lev.

– I tak muszę to obejrzeć.

Lev niechętnie zdejmuje koszulę. Tam również ma oparzenia, jednak nie tak poważne jak te na rękach i policzkach. Jednak jej uwagę przykuwa ślad na jego plecach, przypominający niewyraźny kształt dłoni. Muska palcami jego wierzch.

– Kto ci to zrobił? – pyta.

– Nikt – odpowiada, wrywając jej koszulę z dłoni i wciągając ją na siebie.
– Taki jeden gość.

– Czy ktoś w twoim zespole sprawia ci kłopoty?

– Mówiłem ci, że to nic. Bawisz się w moją matkę czy jak?

– Nie – odpowiada Risa. – Gdybym była twoją matką, to czym prędzej odesłałabym cię do najbliższego ośrodka donacyjnego.

Mówi to żartem, jednak Lev nie uważa, żeby to było zabawne.

– Po prostu daj mi coś na te oparzenia.

W jego głosie pobrzmiewa jakaś martwość. Risa podchodzi do szafki i odszukuje tubkę kremu aloesowego, jednak jeszcze mu go nie podaje.

– Brakuje mi starego Leva – mówi. To stwierdzenie sprawia, że na nią spogląda.

– Bez obrazy, ale nawet mnie nie znałaś.

– Może i nie, ale wcześniej przynajmniej chciałam cię poznać.

– A teraz już nie chcesz?

– Sama nie wiem – odpowiada Risa. – Dzieciak, na którego patrzę jest nieco zbyt mroczny jak dla mnie. – Widzi, że to do niego trafia. Nie wie dlaczego, ponieważ Lev wydaje się być dumny ze swojego nowego mrocznego wizerunku.

– Stary Lev – mówi – wykiwał cię, sprawił, abyś mu zaufała a następnie wystawił cię policji, jak tylko nadarzyła się ku temu okazja.

– A nowy Lev by tego nie zrobił?

Lev zastanawia się nad tym, po czym odpowiada:

– Nowy Lev ma lepsze rzeczy do roboty.

Risa wkłada tubkę z kremem na oparzenia do jego dłoni.

– Cóż, jeśli będziesz się widział ze starym Levem – tym, który zawsze rozmyślał o Bogu i jego zamiarach – przekaż mu, że chcemy, aby wrócił.

Następuje niezręczna cisza i Lev wpatruje się w tubkę w swojej dłoni. Przez chwilę Risa sądzi, że Lev może powie coś, co sprawi, że tamten dzieciak pojawi się znowu w pokoju, jednak jedyne, co mówi to:

– Jak często mam się tym smarować?

* * *

Następnego dnia odbywa się zebranie w sprawie ofert pracy.

Risa ich nie cierpi, ponieważ wie, że nie będzie tam nic dla niej, jednak wszyscy muszą w nim uczestniczyć. Dzisiaj spotkania nie prowadzi żaden z Podzielonych, a Cleaver. Najwidoczniej należy to tymczasowo do jego zadań, skoro nie udało się znaleźć nikogo, kto przejąłby obowiązki po Krzyka-

czu. Risa go nie lubi. W jego wyglądzie jest coś nieprzyjemnego i obrzydliwego.

Dzisiejszego dnia jest jedynie kilka ofert pracy. Komuś potrzebny jest pomocnik hydraulika w jakiejś zapomnianej przez Boga i ludzi miejscinie zwanej Beaver's Breath; potrzebny jest też ktoś do pracy na farmie w Kalifornii, a trzecia praca jest zwyczajnie dziwaczna.

– Prudhoe Bay na Alasce – informuje Cleaver. – Będziecie pracować przy rurociągu naftowym aż do osiemnastki. Z tego co słyszałem, to jedno z najzimniejszych i najbardziej przeraźliwych miejsc na ziemi. Jednak w końcu to droga do waszej wolności, co nie? Potrzebuję trzech ochotników.

Pierwsza dłoń w górze należy do starszego chłopaka, który wygląda tak, jak gdyby ból był jego drugim imieniem, jak gdyby urodził się do ciężkiej pracy, współgrającej z jego ogoloną głową. Druga uniesiona dłoń zaskakuje Risę. To Mai. Dlaczego Mai zgłasza się na ochotnika do pracy przy rurociągu?

Dlaczego chce opuścić chłopaka, do którego tak bardzo była przywiązana w magazynie?

Jednak kiedy Risa się nad tym zastanawia, dochodzi do wniosku, że w ogóle nie widziała tego chłopaka na terenie Cmentarzyska. Kiedy próbuje przetworzyć tę myśl, w górę wędruje trzecia dłoń. Należy do jakiegoś młodego chłopaka. Chłopaka z paskudnymi oparzeniami słonecznymi. Lev trzyma dłoń uniesioną wysoko i zostaje wybrany do pracy przy rurociągu.

Risa stoi w miejscu nie dowierzając własnym oczom, następnie wypatruje w tłumie Connora. Ten spogląda na nią i wzrusza ramionami. Cóż, może dla niego jest to warte tylko tyle, jednak dla niej stanowczo nie.

Kiedy spotkanie dobiega końca, Risa zmierza prosto w kierunku Leva, jednak ten znika już w tłumie. Gdy tylko powraca do izby chorych, wzywa posłańca i kolejnego i jeszcze jednego, odsyłając każdego z nich ze zbędnymi wiadomościami przypominającymi jej pacjentom o zażywaniu leku. W końcu przy czwartej próbie posłańca, którego przysyłają okazuje się być Levem.

Musi dostrzec wyraz jej twarzy, ponieważ stoi przy drzwiach i nie wchodzi do środka. Wewnątrz przebywa również jeden z pozostałych sanitariuszy, więc Risa obdarza Leva gniewnym spojrzeniem i wskazuje na tył samolotu.

– Tędy I to już!

– Nie przyjmuję rozkazów – odpowiada.

– Tędy! – powtarza jeszcze bardziej stanowczo. – JUŻ!

Najwyraźniej jednak Lev przyjmuje rozkazy, ponieważ wchodzi do środka i udaje się w kierunku tyłu samolotu. Kiedy dochodzą do przedziału składowania na tyłach, Risa zamyka za nimi drzwi i przystępuje do ataku.

– Co ty do cholery sobie myślisz?

Jego twarz jest ze stali. Niczym drzwi sejfów, do którego nie potrafi się dostać.

– Nigdy nie byłem na Alasce – oznajmia. – Równie dobrze mogę pojechać tam teraz.

– Jesteś tu niecały tydzień! Dlaczego tak szybko chcesz się stąd wydostać – i to do takiej roboty?

– Nie muszę się tobie, ani nikomu innemu, z niczego tłumaczyć. Podniosłem rękę, zostałem wybrany i to wszystko.

Risa krzyżuje ramiona, niezrażona jego uporem.

– Nigdzie nie pojedziesz, jeżeli nie wydam pozytywnej opinii o twoim stanie zdrowia. Mogę powiedzieć Admirałowi, że masz... że masz... wirusowe zapalenie wątroby.

– Nie zrobisz tego!

– Przekonajmy się.

Lev wypada z pomieszczenia jak burza, kopiąc w przypiływie wściekłości ścianę, następnie wpada do środka z powrotem.

– On ci nie uwierzy! A nawet jeśli, to nie możesz sprawić, abym wiecznie chorował!

– Dlaczego tak bardzo chcesz tam pojechać?

– Są sprawy, które muszę załatwić – odpowiada Lev. – Nie oczekuję, że to zrozumiesz. Przykro mi, ale nie jestem tym, kim chcesz abym był, bo się zmieniłem. Nie jestem już tym samym głupim, naiwnym dzieciakiem, którego uprowadziliście dwa miesiące temu. Nic, co zrobisz nie powstrzyma mnie przed wyjazdem i zrobieniem tego, co muszę zrobić.

Risa nie odpowiada, ponieważ wie, że Lev ma rację.

Może go co najwyżej przetrzymać, jednak nie może go powstrzymać.

– Więc – mówi Lev, nieco bardziej spokojnym już tonem. – Mam to wirusowe zapalenie wątroby, czy nie?

Risa wzdycha.

– Nie, nie masz.

Lev odwraca się, aby odejść i otwiera drzwi. Tak bardzo jest zdeterminowany, aby wyjechać, że nawet się z nią nie żegna.

– Mylisz się co do jednego – odzywa się Risa, zanim Lev zdąży wyjść. – Jesteś tak samo naiwny jak wcześniej. I do tego dwa razy głupszy.

Następnie Lev wychodzi. Tego samego popołudnia przyjeżdża nieoznakowana biała furgonetka, aby zabrać jego, Mai i gołogłowego. Po raz kolejny, Risa sądzi, że już nigdy więcej nie zobaczy Leva. Po raz kolejny jest w błędzie.



37. GIL I ADMIRAŁ

Gil nie ma pojęcia o wszystkich trybikach obracających się w maszynie, jaką jest Cmentarzysko. Ani o tym, że jest jednym z nich. Jego świat zawiera się w kwadratowych komiksów oraz wyraźnie określonych granicach automatu do gry we flippera. Przebywanie wewnątrz tych granic stało się dla niego skuteczną obroną przed niesprawiedliwością oraz okrucieństwem życia toczącymi się poza nimi.

Nie kwestionuje dziwnego postępowania tych trojga, którzy udali się właśnie na Alaskę; to nie jego sprawa. Nie wyczuwa u Connora napięcia; Connor sam potrafi o siebie zadbać. Nie zamartwia się, rozmyślając o Rolandzie; po prostu schodzi Rolandowi z drogi.

Jednak nie wychylanie się wcale nie zapewnia mu miejsca w bezpiecznej strefie. W rzeczywistości Gil jest centralną tarczą na planszy flippera i każda wystrzelona kulka odbije się od niego.

Admirał go wezwał.

Gil stoi teraz niespokojnie przed wejściem do czegoś, co niegdyś było mobilnym centrum dowodzenia prezydenta Stanów Zjednoczonych. Są tam również jacyś dwaj mężczyźni. Mają na sobie białe koszule i ciemne krawaty. Czarny sedan czekający u dołu schodów musi należeć do nich. Admirał siedzi przy swoim biurku. Gil próbuje się zdecydować, czy powinien wejść, czy też zawrócić i uciec. Jednak Admirał zauważa go i jego spojrzenie paraliżuje Gila na miejscu.

– Wzywał mnie pan?

– Tak. Usiądź, Zachary.

Zmusza swoje stopy, aby ruszyły w stronę krzesła naprzeciwko Admirala.

– Gil – wyjaśnia. – Wszyscy wołają na mnie po prostu Gil.

– Ty tak postanowiłeś czy oni? – pyta Admirał.

– Cóż... głównie oni. Ale przyzwyczailem się już.

– Nigdy nie pozwalaj, aby decydowano o tym za ciebie – mówi Admirał.

Przekartkowuje zwartość teczki ze zdjęciem Gila przypiętym do okładki. Teczka jest pełna i Gil nie potrafi sobie wyobrazić, jak w jego życiu mogło dojść do tak wystarczająco wielu interesujących wydarzeń, mogących wypełnić tak pokaźne akta. – Możesz nie być tego świadomy, ale jesteś bardzo wyjątkowym chłopcem – oznajmia Admirał.

Gil może jedynie spoglądać w dół na swoje sznurowadła, które, jak zwykle, lada moment się rozwiążą.

– Dlatego się tutaj znalazłem? Ponieważ jestem wyjątkowy?

– Tak, Zachary. I z tego właśnie powodu nas dzisiaj opuścisz.

Gil podnosi wzrok.

– Słucham?

– Jest ktoś, kto chce cię poznać. Prawdę mówiąc, ten ktoś szuka cię już od bardzo dawna.

– Naprawdę?

– Ci panowie cię tam zawiozą.

– Kto to taki? – Gila nawiedza nieustająca fantazja, że jedno z jego rodziców w rzeczywistości wciąż żyje. Jeżeli nie jego matka, to ojciec. Zawsze marzył, że jego ojciec był tak naprawdę szpiegiem – że jego śmierć przed tymi wszystkimi laty była tylko przykrywką i że został odesłany w dziewicze zakątki świata, by zwalczać zło niczym prawdziwy bohater ze stron komiksu.

– Nie znasz tej osoby – odpowiada Admirał, niwecząc jego nadzieje. – Chociaż to dobra kobieta. Prawdę mówiąc, to moja była żona.

– Ja... ja nie rozumiem.

– Wkrótce będzie to dla ciebie jasne. Nie martw się.

Ale takie słowa są dla Gila otwartym zaproszeniem do zamartwiania się bez końca. Zaczyna szybciej i głębiej oddychać, przez co jego oskrzela zaczynają się zwięzać. Zaczyna świszczeć. Admirał spogląda na niego zaniepokojony.

– Wszystko w porządku?

– Astma – wykrztusza Gil pomiędzy chrapliwymi oddechami. Wyciąga z kieszeni inhalator i zaciąga się nim.

– Tak – odpowiada Admirał. – Mój syn miał astmę. Reagował bardzo dobrze na Xolair. – Spogląda na jednego z mężczyzn stojących za Gilem. – Proszę dopilnować, aby to płuco dostało Xolair.

– Tak jest, Admirale Dunfee.

Przez chwilę odpowiedź odbija się pomiędzy kołkami, blokując się w umyśle Gila nim uderza w jego umysłowe flippery.

– Dunfee? Ma pan na nazwisko *Dunfee*?

– Na Cmentarzysku nie używamy nazwisk – odpowiada Admirał, po czym wstaje i chwyta Gila za rękę, ściskając ją. – Do widzenia, Zachary. Pozdrów moją byłą żonę, kiedy ją zobaczysz.

Gil wydaje z siebie jedynie pisk bezsłownej odpowiedzi, kiedy dwaj mężczyźni biorą go pod ramiona i wyprowadzają na zewnątrz w stronę czekającego na nich sedana.

* * *

Kiedy chłopaka już nie ma, Admirał Dunfee opiera się o siedzenie krzesła. Ze wszystkich rzeczy zagrażających jego działalności jest jedna, która napawa go zadowoleniem. Pozwala sobie na krótką chwilę satysfakcji, zerkając na fotografię jego uśmiechającego się syna Harlana – szerzej znanego jako Humphrey, jednak ci, którzy go kochali wiedzą, jak brzmiało jego prawdziwe imię. Tak, Admirał odkupuje swoje winy i wszystko naprawia, kawałek po kawałku, kawałeczek po kawałeczku.



38. MOTŁOCH

Zniknięcie Gila pozostaje niezauważone przez niemal dwa dni, dopóki ktoś nie spogląda na automat do flippera i nagle zauważa, że czegoś brakuje.

– Gdzie jest Gilzilla? – zaczynają pytać ludzie. Dopiero o zmroku zaczynają pytać na poważnie, a nim nastaje świt jasnym jest, że zniknął.

Niektórzy twierdzą, że widzieli go, jak oddalał się w stronę pustyni. Inni, że zabrał go jakiś tajemniczy samochód. Ralphy Sherman twierdzi, że widział jak Gil został teleportowany przez statek matkę i przebywa teraz wśród sobie podobnych. Każda sugestia jest brana pod uwagę. Każda teoria jest warta rozważenia. Poszukiwania organizuje zespół Gila. Niczego nie znajdują.

Przez cały ten czas Admirał milczy.

Teraz Gil, dzieciak znajdujący się na samym dnie hierarchii ważności, nagle stał się dla wszystkich najlepszym przyjacielem i jego zniknięcie staje się pożywką dla rozemocjonowanego tłumu. Roland wykorzystuje to do dalszego szerzenia atmosfery strachu – w końcu to przecież on publicznie przewidział jego zniknięcie. Nie uwierzył w to od razu, jednak teraz, kiedy jego przepowiednia się sprawdziła, skupia na sobie uwagę wszystkich.

– Lepiej uważaj – ostrzega Roland każdego, kto chce go wysłuchać. – Admirał zjawi się pewnego dnia z ładniusią gęstą czupryną Gila ukrytą pod swoją czapką i któreś z nas może być następne. Wpatrywał się w twoje oczy?

Wysłuchiwał się w dźwięk twojego głosu? Jeżeli ma chrapkę na jakąś część ciebie, to skończysz tak samo jak Gil!

Jest tak przekonujący, że sam niemal sobie wierzy. Connor ma zupełnie inny obraz sytuacji. Jest pewien, że Roland pozbył się Gila, aby móc wykorzystać jego zniknięcie w celu zyskania poparcia. Dla Connora jest to kolejny dowód na to, że Roland zabił Wybrańców. I że nie powstrzyma się przed niczym, aby dostać to, na czym mu zależy.

Connor dzieli się swoimi podejrzeniami z Admiralem. Ten wysłuchuje go, jednak wciąż nie odzywa się słowem. Admirał wie, że obwinianie go o nieobecność Gila idealnie wpasowuje się w wizerunek obłądu, który tworzy Roland. Admirał mógłby powiedzieć Connorowi, że to on odesłał chłopaka, jednak to zrodziłoby pytania, na które on nie chce odpowiadać. Postanawia utrzymać Connora w przekonaniu, że to sprawka Rolanda – zmotywuje go to jeszcze bardziej do odnalezienia kluczowego związku łączącego Rolanda z morderstwami. Ponieważ teraz również Admirał zaczyna wierzyć w winę Rolanda.

– Zapomnij o tym zaginionym chłopaku – instruuje Connora. – Skoncentruj się na udowodnieniu winy Rolanda, że zabił pozostałych. Ktoś musiał mu pomagać – ktoś musi o tym wiedzieć. W tej chwili Roland ma zbyt wielu zwolenników. Nie możemy go zdjąć bez twardych dowodów.

– Zatem zdobędę te dowody – odpowiada Connor. – Zrobię to dla Gila.

Kiedy Connor opuszcza samolot, Admirał siada i rozmyśla dogłębnie nad sytuacją. Sprawy na Cmentarzysku przybierały już wcześniej ryzykowny obrót, jednak ryzykowne sytuacje zawsze były specjalnością Admirala. Jest przekonany, że uda mu się to doprowadzić do pomyślnego zakończenia i odzyskać nad wszystkim kontrolę. Siedząc w swoim samolocie, zaczyna odczuwać ból w ramieniu, które promieniuje do całej ręki. Bez wątplenia jest to kolejny objaw jego rozlicznych ran wojennych. Wzywa sanitariusza, aby przyniósł mu aspirynę.



39. ROLAND

Roland otwiera kopertę, którą właśnie wręczył mu Hayden i odczytuje wiadomość znajdującą się wewnątrz.

**WIEM, CO ZROBIŁEŚ. CHCĘ SIĘ DOGADAĆ.
SPOTKAJMY SIĘ PRZY SAMOLOCIE FEDEXU.**

Wiadomość nie jest podpisana, jednak wcale nie musi. Roland wie, kto jest jej nadawcą. Tylko Connor ma wystarczająco wiele odwagi, aby go szantażować. Tylko on jest na tyle głupi. Ta wiadomość przyprawia go o zawroty głowy. *Wiem, co zrobiłeś.* Connor może mieć na myśli wiele różnych rzeczy. Może wiedzieć, że Roland sabotuje generatory, aby móc obwinić Admirala o skandaliczne warunki życia. Może też wiedzieć o butelce ipecacu, którą zwinął z izby chorych, udając, że flirtuje z Risą. Planował ją wykorzystać do przyprawienia napojów, zorganizowania prawdziwego rzygofestu i obwinięcia Admirala o zatruci pokarmowe. Tak, jest mnóstwo spraw, o których Connor mógł się dowiedzieć. Roland chowa wiadomość do kieszeni, nie okazując przy tym żadnych emocji i piorunuje wzrokiem Haydena.

- Więc zostałeś chłoptasiem na posyłki Connora?
- Hej – odpowiada Hayden. – Jestem jak Szwajcaria, tak neutralny jak to tylko możliwe. I znam się na czekoladzie.
- Spływaj – odburkuje Roland.

– Już mnie nie ma – odpowiada Hayden, odchodząc. Wkurza go, że być może będzie musiał się targować z Connorem, jednak są gorsze rzeczy. I jakby nie było, dobijanie targu i stosowanie podstępów to dla niego chleb powszedni. Więc udaje się do samolotu FedExu, upewniając się, że ma ze sobą nóż – na wypadek, gdyby się jednak nie dogadali.



40. CONNOR

Jestem – woła Roland, stojąc przed samolotem FedExu. – Czego chcesz?
Connor pozostaje w ukryciu wewnątrz ładowni. Wie, że będzie miał tylko jedną szansę, więc musi to właściwie rozegrać.

– Wejdz do środka, to pogadamy.

– Nie, ty zejdz tutaj.

Niezła próba – myśli Connor – *jednak rozegramy to na moich warunkach.*

– Jeżeli nie wejdiesz, to powiem wszystkim, co wiem. Pokażę im, co znalazłem.

Zapada na chwilę cisza, następnie Connor dostrzega sylwetkę wspinającego się do ładowni Rolanda. Connor ma teraz przewagę. Jego oczy przywykły do przyćmionego światła panującego wewnątrz, w przeciwieństwie do Rolanda. Pochyla się do przodu i przystawia pewnie lufę pistoletu Admirala do jego pleców.

– Ani drgnij.

Instynktownie, dłonie Rolanda wędrują do góry, zupełnie jakby wielokrotnie znajdował się już w takiej sytuacji.

– Tak chcesz się dogadać?

– Zamknij się. – Connor używa jednej ręki, aby go obszukać, znajduje ukryty nóż i wyrzuca go z ładowni. Zadowolony, przyciska pistolet mocniej do Rolanda. – Ruszaj.

– Gdzie niby mam iść?

– Wiesz gdzie. Do skrzyni 2933. Ruszaj!

Roland zaczyna kroczyć przed siebie, przeciskając się przez wąskie rzędy skrzyni. Connor jest świadomy każdego ruchu Rolanda. Nawet z przystawioną do pleców bronią, Roland jest arogancki i pewny siebie.

– Nie chcesz mnie zabić – oświadcza. – Wszyscy mnie tutaj lubią. Jeżeli cokolwiek mi zrobisz, to rozedrą cię na kawałki.

Docierają do skrzyni 2933.

– Do środka – nakazuje Connor.

Wtedy Roland wykonuje ruch. Obraca się, odpycha Connora i próbuje wyrwać mu pistolet. Connor się tego spodziewał. Trzyma pistolet poza jego zasięgiem i, wykorzystując skrzynię stojącą za nim jako układ dźwigni, umieszcza mocno stopę na brzuchu Rolanda i odpycha go. Roland upada do tyłu, wpadając do skrzyni 2933. W tej samej chwili Connor rzuca się do przodu, zatrzaskuje i zamyka klapę skrzyni. Podczas gdy Roland wścieka się wewnątrz, Connor mierzy w skrzynię i oddaje strzał, drugi, trzeci.

Głośne dźwięki wystrzałów rozbrzmiewają echem, mieszając się z przerażonymi wrzaskami wydobywającymi się z wnętrza skrzyni. Następnie Roland wykrzykuje:

– Co ty wyprawiasz? *Oszalałeś?*

Strzały Connora były bardzo precyzyjne; celował nisko, prosto w róg skrzyni.

– Dałem ci coś, czego twoje ofiary nigdy nie miały – wyjaśnia Connor. – Zrobiłem ci otwory wentylacyjne. – Następnie siada. – Teraz sobie pogadamy.



41. MOTŁOCH

Niecały kilometr dalej z pustyni powraca grupa poszukiwawcza. Nie odnaleźli Gila. Znaleźli natomiast, za odległymi wystającymi skałami, pięć nieoznakowanych grobów. W ciągu kilku krótkich minut słowa rozprzestrzeniają się wśród szeregów niczym płomień targane nieustającym wiatrem. Wybrańcy zostali odnalezieni i najwyraźniej nie byli aż tak wielkimi wybrańcami losu. Ktoś nawet sugeruje, że to własnoręczna sprawka Admirala. Sugestia zamienia się w plotkę a plotka szybko staje się powszechnie akceptowanym faktem. Admirał zabił swoich! Jest dokładnie taki, jak mówił Roland – ale hej, gdzie *jest* Roland? Też zaginął? Tak samo Connor! Co Admirał im zrobił?!

Tłum Podzielonych mający setki powodów do gniewu znalazł jednocześnie jeszcze jeden, i to wystarcza, aby wszystkich ogarnęło szaleństwo. Wzburzony tłum zmierza w stronę samolotu Admirala, zabierając po drodze coraz większą grupę dzieciaków.



42. RISA

Kilka wcześniej Risa zareagowała na wezwanie Admirała i zjawiała się w samolocie z kilkoma aspirynami. Przywitał ją Admirał, który, jak powiedziała wcześniej Connorowi, nie znał nawet jej imienia. Teraz ucina sobie z nią pogawędkę, wyjaśniając jej, że doświadczenie, które tutaj zbiera jest lepsze od tego, które ktokolwiek z jej rówieśników zbiera w zewnętrznym świecie. Opowiada mu o marzeniach zostania medykiem wojskowym, a on wydaje się być tym ucieszony. Admirał skarży się na ból w ramieniu i prosi ją o aspirynę. Ona mu ją podaje, jednak żeby być całkowicie pewną, mierzy mu ciśnienie krwi, a on chwali ją za skrupulatność.

Z zewnątrz słychać odgłosy jakiegoś zamieszania, przez które ciężko jest się jej skupić na zmierzeniu ciśnienia Admirałowi. Zamieszanie nie jest tutaj czymś niespotykanym. Cokolwiek to jest, Risa podejrzewa, że nie obejdzie się bez bandaży i okładów z lodu. Jej pracy nigdy nie ma końca.



43. MOTŁOCH

Rozwścieczone dzieciaki zaczynają gromadzić się przed samolotem Admirala.

– Brać go! Brać go! Wywlec go stamtąd!

Wspinają się po stalowych stopniach. Drzwi są otwarte, ale tylko nieznacznie. Risa wygląda przez nie na falę chaosu, która niczym ludzkie tsunami zmierza wprost na nią.

– Ma tam ze sobą dziewczynę!

Pierwszy z chłopaków dociera do szczytu stopni i napiera na drzwi, otwierając je na oścież, gdzie napotyka Risę, która serwuje mu brutalny cios w szczękę. Przewraca się na bok i na ziemię – jednak za nim nadciągają kolejni.

– Nie pozwólcie jej zamknąć drzwi!

Drugi chłopak na swojej drodze napotyka na aerozol znieczulający na poparzenia, rozpryskany wprost w jego oczy. Ból jest straszliwy. Zatacza się do tyłu na inne wchodzące po stopniach dzieciaki i wszyscy po kolei przewracają się jak kostki domina. Risa chwyta za drzwi, zatrzaskuje je i zamyka od wewnątrz.

Tłum wtargnął teraz na skrzydła, szukając kawałków luźnego metalu i odrywając je. To zdumiewające, jak wielką część samolotu może zniszczyć gołymi rękoma rozwścieczony tłum.

– Wybić okna! Wywlec ich stamtąd!

Dzieciaki przebywające na ziemi rzucają kamieniami, które równie często co w samolot, trafiają teraz w swoich towarzyszy. Z wewnątrz brzmi to tak, jakby rozpętała się burza gradowa. Admirał blednie na widok rozgrywającej się za oknami sceny. Jego serce wali jak oszalałe. Jego ramię i rękę przeszywa ból.

– Jak do tego doszło? Jak mogłem do tego doprowadzić?

Zaporowy ogień kamieni uderza o kadłub, jednak żaden z nich nie rozbija pancernej stali, żaden nie roztrzaskuje kuloodpornych szyb dawnego Air Force One. Wtedy ktoś wyrywa przewód zasilający łączący samolot z generatorem. Światła gasną, klimatyzacja pada i cały samolot szybko zaczyna się nagrzewać w palącym słońcu.



44. CONNOR

Zamordowałeś Krzykacza, Alfreda i pozostałych Wybrańców.
– Odbiło ci!

Connor siedzi przed skrzynią 2933, przecierając czoło od upału. Głos Rolanda dobiega z wewnątrz, jest stłumiony, jednak wystarczająco słyszalny.

– Pozbyłeś się ich, aby zająć ich miejsce – oznajmia Connor.

– Przysięgam, jak tylko stąd wyjdę, to...

– To co? To zabijesz mnie tak samo, jak zabiłeś ich? Tak samo, jak zabiłeś Gila?

Z ust Rolanda nie pada żadna odpowiedź.

– Powiedziałem ci, że chcę się dogadać – ciągnie dalej Connor – i to zrobię. Jeśli się przyznasz. Dopilnuję, aby Admirał darował ci życie.

W odpowiedzi, Roland proponuje Connorowi wykonanie fizycznej niemożliwości.

– Przyznaj się, Roland. Tylko wtedy cię stamtąd wypuszczę. – Connor jest pewien, że jeżeli Roland znajdzie się pod odpowiednią presją, to przyzna się do swoich czynów. Admirał potrzebuje dowodów, a cóż może być lepszym dowodem od całkowitego przyznania się do winy.

– Nie mam się do czego przyznawać!

– Jak chcesz – odpowiada Connor. – Mam czas. Mam cały dzień.



45. MOTŁOCH

Forteca samolotu Admirala jest nie do zdobycia. Temperatura wewnątrz gwałtownie zbliża się do czterdziestu stopni. Risa radzi sobie z upałem, jednak Admirał nie wygląda zbyt dobrze. Nadal nie może otworzyć drzwi, ponieważ rozszalały tłum bez przerwy próbuje wtargnąć do środka.

Na zewnątrz, każde z dzieciaków, które nie tłoczy się pod samolotem Admirala, rozpierzcha się po Cmentarzysku. Jeżeli nie mogą dostać się do Admirala, to zniszczą wszystko inne. Samoloty do nauki, samoloty sypialne, nawet samolot-światlicę – wszystko jest przewracane do góry nogami, a wszystko, co da się podpalić staje w płomieniach. Przepelnia ich nienasycona furia, pod którą skrywa się dziwna radość, że gniew w końcu znajduje ujście. A pod radością skrywają się kolejne pokłady furii.

Stojąc na środku Cmentarzyka, Cleaver dostrzega unoszący się w oddali dym, który go wabi. Przywołuje go chaos. Musi to zobaczyć! Wchodzi do helikoptera i rusza w stronę rozwścieczonego motłochu.

Ląduje tak blisko zamętu jak tylko może. Czy jego uczynki w jakikolwiek sposób mogły do tego doprowadzić? Ma taką nadzieję. Wyłącza silnik, pozwalając, aby śmigła spowolniły swój obrót, tak by mógł się wsłuchać w cudowne odgłosy dewastacji... Następnie rozwścieczona horda Podzielonych rusza w jego stronę.

– To Cleaver! On pracuje dla Admirala.

Nagle Cleaver znajduje się w centrum uwagi. Nie może nic na to poradzić, ale czuje, że to dobrze.



46. CONNOR

Roland pomału się łamie. Przyznaje się do wielu rzeczy, nieistotnych aktów wandalizmu czy kradzieży, które Connora w ogóle nie obchodzą. Jednak to zadziała. Musi. Connor nie ma innego planu, aby postawić go przed obliczem sprawiedliwości – to musi zadziałać.

– Dopuszczałem się wielu rzeczy – wyznaje Roland przez trzy dziury po kulach skrzyni. – Ale nigdy nikogo nie zabiłem!

Connor jedynie słucha. Niemal się już do niego nie odzywa. Odkrywa, że im mniej się odzywa, tym więcej Roland mówi.

– Skąd w ogóle wiesz, że oni nie żyją?

– Ponieważ ich pochowałem. Ja i Admirał.

– Więc ty to zrobiłeś! – rzuca Roland. – Ty to zrobiłeś i próbujesz zmusić mnie do wzięcia winy na siebie!

Teraz Connor zaczyna dostrzegać wady swojego planu. Jeżeli wypuści Rolanda nie usłyszawszy jego przyznania się do winy, to jest już trupem. Jednak nie może go tam bez końca przetrzymywać. Jego opcje są teraz bardziej ograniczone niż miejsce pomiędzy skrzyniami.

Następnie dobiega ich jakiś głos z zewnątrz.

– Jest tam kto? Connor? Roland? Ktokolwiek? – To Hayden.

– Pomocy! – krzyczy Roland, najgłośniej jak potrafi. – Pomocy, odwaliło mu! Chodź tu i uwolnij mnie! – Jednak jego krzyki nie wydostają się poza ładownię. Connor wstaje i udaje się do wejścia. Hayden spogląda na niego.

Nie jest opanowany, jak to ma miejsce zazwyczaj, a jego czoło zdobi pa-skudny siniak, zupełnie jakby został czymś uderzony.

– Dzięki Bogu! Connor, musisz tam wracać! To jakiś obłąd – musisz to powstrzymać – ciebie posłuchają!

– O czym ty mówisz?

– Admirał zabił Wybrańców – a potem wszyscy myśleli, że ciebie też za-bił...

– Admirał nikogo nie zabił!

– Spróbuj to *im* powiedzieć!

– Jakim *im*?

– Wszystkim! Wywracają to miejsce do góry nogami.

Connor dostrzega wznoszący się w oddali dym i zerka pośpiesznie z po-wrotem do ładowni, postanawiając, że chwilowo, Roland może poczekać. Zeskakuje na ziemię i rzuca się do biegu z Haydenem.

– Opowiadaj o wszystkim, od samego początku.

Kiedy Connor przybywa na miejsce, jego umysł próbuje odrzucić to, co rejestrują jego oczy. Wpatrując się, część niego ma nadzieję, że ten widok przeminie. Całość przypomina efekt jakiejś klęski żywiołowej. Połamane ka-wałki metalu, szkła i drewna walają się wszędzie dookoła. Kartki wyrwane z książek trzepoczą pomiędzy roztrzaskaną elektroniką. Stosy płoną, a dzie-ciaki dorzucają więcej szczątków, aby nakarmić nimi płomienie.

– Dobry Boże!

W pobliżu helikoptera stoi grupa naśmiewających się dzieciaków, tworząc formację młyna jak w rugby, kopiąc coś pośrodku. Następnie Connor uświa-damia sobie, że to nie coś a ktoś. Pędzi w ich stronę, odciąga napastników na bok. Ci, którzy go znają, natychmiast się cofają, a pozostali podążają za ich przykładem. To Cleaver. Connor klęka i podpira jego głowę.

– Już dobrze. Wszystko będzie dobrze. – Jednak już wypowiadając te słowa, Connor wie, że to nieprawda: został brutalnie pobity.

Cleaver krzywi się w grymasie, jego usta ociekają krwią. Następnie Con-nor uświadamia sobie, że nie jest to grymas bólu. To uśmiech.

– Chaos, człowieku – wyszeptuje z trudem Cleaver. – Chaos. Jest wspaniały. Wspaniały.

Connor nie wie, jak na to zareagować. Ten człowiek bredzi. Musi bredzić.

– Już dobrze – oznajmia Cleaver. – To dobry sposób na śmierć. Lepszy niż uduszenie, co nie?

Connor może się tylko w niego wpatrywać.

– Co... co powiedziałaś? – pyta. Nikt oprócz niego i Admirala nie wiedział o uduszonych. Connor, Admiral i ten, kto to zrobił...

– To ty zabiłeś Wybrańców! Ty i Roland!

– Roland? – oburza się Cleaver. Pomimo targającego nim bólu, wydaje się być naprawdę urażony. – Roland nie jest jednym z nas. On nawet o niczym nie wie. – Cleaver dostrzega wyraz twarzy Connora i zaczyna się śmiać. Następnie śmiech przechodzi w rżenie, które zamienia się w długie, powolne tchnienie. Szeroki uśmiech nie schodzi całkowicie z jego twarzy. Jego oczy pozostają otwarte, są pozbawione życia. Tak jak u jego ofiary, Krzykacza.

– Cholera, on nie żyje, prawda? – stwierdza Hayden. – Zabili go! Jasna cholera, oni go zabili!

Connor zostawia martwego pilota na ziemi i zrywa się w stronę samolotu Admirala. Po drodze mija izbę chorych. Tutaj również wszystko zostało wywrócone do góry nogami. Risa! Gdzie jest Risa! Na całym samolocie Admirala wciąż znajdują się jakieś dzieciaki. Opony zostały przebite; lotki odchylają się pod dziwnym kątem, niczym połamane pióra. Cały samolot przechyla się na jedną stronę.

– Przestańcie! – wykrzykuje Connor. – Przestańcie i to już! Co wy wyprawiacie? Co wyście zrobili?

Sięga dłonią do skrzydła, chwytając jakiegoś chłopaka za kostkę i zrzuca go na ziemię, jednak nie może tak postąpić z każdym z nich. Chwytając więc za metalowy pręt i uderza nim nieustannie o skrzydło aż dźwięk rozbrzmiewa niczym dzwon kościelny i w końcu skupia na sobie ich uwagę.

– Spójrzcie na siebie! – wykrzykuje. – Wszystko zniszczyliście! Jak mogliście to zrobić? Wszyscy powinniście zostać podzieleni, każde jedno z was! **WSZYSCY POWINNIŚCIE ZOSTAĆ PODZIELENI!**

To powstrzymuje wszystkich. Dzieciaki na skrzydłach, dzieciaki przy stołach. Szok wywołany usłyszonymi słowami, pochodzącymi z ust jednego z nich sprawia, że w końcu się opamiętują. Szok wywołany usłyszonymi słowami, pochodzącymi z jego własnych ust – i świadomość, że mówił poważnie – przeraża Connora niemal tak samo, jak scena rozgrywająca się na jego oczach.

Schody prowadzące do samolotu Admirala przewróciły się na bok.

– Tutaj! – nakazuje Connor. – Pomóżcie mi z tym!

Tuzin dzieciaków, wyzbytych już furii, przybiega posłusznie. Razem podnoszą schody i Connor wchodzi na górę do drzwi. Wpatruje się badawczo w okno. Nie widzi zbyt wiele. Admirala leży na podłodze, jednak się nie porusza. Jeśli Admirala nie będzie mógł podejść do drzwi, to nigdy nie dostaną się do środka. Zaraz – czy tam z nim ktoś jeszcze jest?

Nagle ktoś wewnątrz przerzuca dźwignię i drzwi zaczynają się otwierać. Gorąco uderza w niego od razu – podmuch palącego gorąca – a twarz w drzwiach jest tak czerwona i opuchnięta, że mija chwila zanim dociera do niego, kto to jest.

– Risa?

Dziewczyna kaszle i niemal upada mu w ramiona, jednak udaje jej się ustać na nogach.

– Nic mi nie jest – uspokaja go. – Nic mi nie jest. Ale Admirala...

Wchodzą razem do środka i klękają przy jego boku. Oddycha, jednak płytko i ciężko.

– To przez ten gorąc! – stwierdza Connor i nakazuje chłopcom stojącym przy luku wejściowym otworzyć wszystkie drzwi.

– Nie chodzi wyłącznie o upał – oznajmia Risa. – Spójrz na jego usta – są sine. A jego ciśnienie gwałtownie spada.

Connor wpatruje się w nią, nie rozumiejąc.

– Ma atak serca! Robiłam mu resuscytację krążeniowo-oddechową, jednak nie jestem lekarzem. Tylko tyle mogę dla niego zrobić!

– M... m... moja wina – wypowiada z trudem Admirala. – Moja wina...

– Cii – uspokaja go Connor. – Wyjdzie pan z tego. – Jednak Connor wie, tak samo jak wiedział mówiąc to Cleaverowi, że szanse na to są marne.

Znoszą Admirala po schodach, i kiedy to robią, dzieciaki czekające na zewnątrz odsuwają się, ustępują mu miejsca, jakby nieśli go już w trumnie. Usadawiają go w cieniu pod skrzydłem.

Dzieciaki wokół nich zaczynają szeptać.

– On zabił Wybrańców – ktoś rzuca. – Stary zasługuje na swój los.

Connor gotuje się w środku, jednak potrafi już trzymać swoje nerwy na wodzy.

– To sprawka Cleavera – oświadcza Connor, wystarczająco głośno, aby wszyscy mogli go usłyszeć. To wywołuje szmer pośród tłumu, aż w końcu

ktoś odpowiada: – Czyżby? A co z Gilem?

Dłoń Admirala dygoce.

– Mój... mój syn...

– Gil jest jego synem? – wypowiada jeden z chłopaków i plotka roznosi się wśród tłumu.

Cokolwiek Admirał miał na myśli, zatracą się to w chaotyczności jego słów, kiedy na powrót raz traci, raz odzyskuje przytomność.

– Jeżeli nie zawieziemy go do szpitala, to umrze – oznajmia Risa, uciskając ponownie jego klatkę piersiową.

Connor rozgląda się dookoła, jednak jedynym pojazdem na Cmentarzy-sku zbliżonym do samochodu jest wózek golfowy.

– Jest helikopter – zauważa Hayden – ale biorąc pod uwagę fakt, że pilot nie żyje, to raczej mamy przerąbane.

Risa spogląda na Connora. Connor nie musi czytać Risy dla bystrzaków, aby wiedzieć, co myśli. Pilot nie żyje – jednak Cleaver nauczył kogoś pilotowania.

– Wiem, co mam robić – odpowiada Connor. – Zajmę się tym.

Connor wstaje i rozgląda się dookoła siebie – okopcone dymem twarze, tłące się stopy. Po dzisiejszym dniu nic już nie będzie takie same.

– Hayden – oznajmia – ty dowodzisz. Zaprowadź tu porządek.

– Chyba sobie jaja robisz?

Connor zostawia Haydena zmagającego się z nadaną mu władzą i wyszu-kuje trzech największych chłopaków w zasięgu jego wzroku.

– Ty, ty i ty – wskazuje Connor. – Idziecie ze mną do samolotu FedExu. Trzej chłopcy występują z tłumu i Connor prowadzi ich do skrzyni 2399 i Rolanda. To, o czym Connor doskonale wie, nie będzie łatwa rozmowa.



47. PIERWSZOROCZNI STAŻYŚCI

W czasie jej sześciomiesięcznej pracy na ostrym dyżurze, młoda pani doktor widziała wystarczająco wiele dziwnych przypadków nadających się do opisanie w jej własnym podręczniku do medycyny, jednak po raz pierwszy ktoś lądował awaryjnie helikopterem na parkingu szpitala.

Wybiega pośpiesznie z zespołem pielęgniarek, sanitariuszy i pozostałych lekarzy. To mały prywatny śmigłowiec – może na cztery osoby. Jest w jednym kawałku, a jego śmigła wciąż wirują. Pół metra dalej i uderzyłyby w zaparkowany obok samochód. Ktoś tu straci licencję pilota.

Ze środka wysiada dwójka dzieciaków, niosąc starszego mężczyznę w kiepskim stanie. Nosze na kółkach czekają już przygotowane.

– Nie wiem czy wiecie, ale na dachu mamy lądowisko dla helikopterów.

– Bał się, że nie da rady na nim wylądować – wyjaśnia dziewczyna.

Kiedy pani doktor spogląda na pilota, który nadal siedzi za sterami, uświadamia sobie, że utrata licencji nie wchodzi nawet w grę. Chłopak siedzący za sterami nie może mieć więcej niż siedemnaście lat. Pośpiesznie biegnie do starszego mężczyzny. Stetoskop wydobywa ledwo słyszalny dźwięk z jamy jego klatki piersiowej. Zwracając się do personelu medycznego wokół niej, mówi:

– Ustabilizować jego stan i przygotować do przeszczepu. – Następnie odwraca się do nastolatków. – Macie szczęście, że wylądowaliście przy szpitalu z bankiem serc, inaczej musielibyśmy go transportować przez całe miasto.

Mężczyzna na noszach unosi dłoń. Chwyta ją za rękaw, szarpiąc z większą siłą niż człowiek w jego stanie mieć powinien.

– Żadnego przeszczepu – oznajmia.

Nie, nie, proszę mi tego nie robić – wypowiada w myślach lekarka. Sanitariusze wahają się. – Proszę pana, to jest rutynowa operacja.

– On nie chce przeszczepu – odzywa się chłopak.

– Przeprowadziliście go Bóg raczy wiedzieć skąd, mając niepełnoletniego pilota za sterami, aby uratować jego życie a on nie pozwala nam tego zrobić? Mamy chłodnię wypełnioną zdrowymi, młodymi sercami...

– Żadnego przeszczepu! – powtarza mężczyzna.

– To... yhm... jest niezgodne z jego przekonaniami religijnymi – wyjaśnia dziewczyna.

– Proszę zatem – odzywa się chłopak – zrobić wszystko to, co robiono w takich przypadkach *zanim* pojawiły się chłodnie wypełnione zdrowymi, młodymi sercami.

Lekarka wzdycha. Przynajmniej na tyle niedawno ukończyła studia medyczne, aby pamiętać, co to oznacza.

– To drastycznie obniży jego szanse na przeżycie – macie tego świadomość?

– On ma.

Daje mężczyźnie jeszcze jedną chwilę na zmianę decyzji, po czym się poddaje. Sanitariusze i pozostały personel wiozą mężczyznę pośpiesznie na oddział nagłych wypadków, a dwójka nastolatków podąża za nimi.

Kiedy już ich nie ma, lekarka zostaje chwilę, aby zaczerpnąć tchu. Ktoś chwyta ją za rękę i kobieta odwraca się, dostrzegając młodego pilota, który przez cały czas zachowywał ciszę. Wyraz jego twarzy jest błagalny, aczkolwiek stanowczy. Wydaje jej się, że wie, o co mu chodzi. Zerka na helikopter, po czym z powrotem na chłopaka.

– Pomówię o tym z federalnym zarządem lotnictwa cywilnego – uspokaja go. – Jeżeli ten mężczyzna przeżyje, to jestem pewna, że nie będą mieli do ciebie pretensji. Może nawet nazwą cię bohaterem.

– Chcę, aby zadzwoniła pani po hycli – mówi chłopak, jego uścisk staje się nieco mocniejszy.

– Słucham?

– Tych dwoje to zbiegli Podzieleni. Jak tylko staruszek zostanie przyjęty, będą próbowali się wymknąć. Proszę im na to nie pozwolić. Proszę w tej chwili wezwać hycli!

Lekarka wyrywa rękę z uścisku.

– Dobrze. W porządku. Zobaczą, co da się zrobić.

– A kiedy przyjadą – kontynuuje chłopak – proszę dopilnować, żeby najpierw porozmawiali ze mną.

Lekarka odwraca się od niego i udaje z powrotem w stronę szpitala, wyciągając w międzyczasie telefon komórkowy. Jeżeli chłopak chce hycli, to w porządku, dostanie ich. Im szybciej przyjadą, tym szybciej cała ta sprawa wpadnie do kategorii „to nie mój problem”.



48 RISA

Hycle zawsze wyglądają tak samo. Wyglądają na zmęczonych, wyglądają na rozzłoszczonych – wyglądają bardzo podobnie do Podzielonych, których ścigają. Policjant, który pilnuje teraz Risy i Connora nie jest wyjątkiem. Siedzi, blokując drzwi gabinetu lekarskiego, w którym są przytrzymywani, a dwóch kolejnych strażników pilnuje drzwi po przeciwnej stronie na wszelki wypadek. Jest zadowolony, że nie musi nic mówić, podczas gdy drugi policjant przesłuchuje Rolanda w pokoju obok. Risa nie chce nawet zagadywać, na jakie tematy toczy się tamta rozmowa.

– Człowiek, którego przywieźliśmy – pyta Risa. – Jak on się czuje?

– Nie wiem – odparowuje policjant. – Wiecie, jak to jest w szpitalach – informują o tym wyłącznie najbliższą rodzinę, a podejrzewam, że wy do niej nie należycie.

Risa nie zaszczyci tej uwagi odpowiedzią. Instynktownie odczuwa nienawiść względem tego mundurowego, wyłącznie z powodu tego, kim jest i co reprezentuje.

– Fajne skarpetki – zauważa Connor.

Policjant nie zerka na dół na swoje skarpetki. Nie okazuje słabości.

– Fajne uszy – ripostuje. – Pozwolisz, że kiedyś je przymierzę?

Risa postrzega to tak, że są dwa rodzaje ludzi, którzy zostają hyclami. Pierwszy typ to tyrani, którzy chcą spędzić życie na ponownym przeżywaniu chwil chwały z czasów szkolnego tyranizowania innych. Drugi typ to były ofiary powyższych typów, które postrzegają każdego Podzielonego, jako

dzieciaka, który ich przez te wszystkie lata dręczył. Osobnicy drugiego typu bezustannie zapełniają zemstą dół, który nigdy nie będzie pełny. To zadziwiające, że tyrani i ich ofiary mogą teraz współpracować ze sobą, sprowadzając niedolę na innych.

– Jakie to uczucie robić to, co pan robi? – pyta go. – Wysyłać dzieci do miejsca, gdzie zakańcza się ich życie.

Najwyraźniej słyszał to już wszystko wcześniej.

– Jakie to uczucie żyć życiem, którego nikt inny nie uważa za wartościowe? – odparowuje.

To brutalny cios wymierzony po to, aby zamknąć jej usta. Skutkuje.

– Jej życie jest wartościowe – wtrąca Connor i ujmuje jej dłoń. – Czy ktoś może tak powiedzieć o pańskim?

To go zasmuca – chociaż próbuje tego po sobie nie pokazać.

– Oboje mieliście więcej niż piętnaście lat, aby udowodnić swoją wartość, ale tego nie zrobiliście. Nie obwiniajcie świata za swoje własne kiepskie wybory, których dokonaliście.

Risa wyczuwa wściekłość przetaczającą się przez Connora i ściska jego dłoń tak długo, aż słyszy, jak Connor nabiera głęboko tchu i wypuszcza powietrze, utrzymując swój gniew pod kontrolą.

– Czy nie przyszło wam, Podzieleni, do głowy, że byłoby wam lepiej – że bylibyście nawet *szczęśliwsi* – w podzielonym stanie?

– Tak to pan sobie usprawiedliwia? – komentuje Risa. – Wmawiając sobie, że będziemy w ten sposób *szczęśliwsi*?

– Hej, jeżeli jest tak, jak pan twierdzi – oznajmia Connor – to może w takim razie wszyscy powinni zostać podzieleni. Może pan jako pierwszy?

Policjant piorunuje Connora wzrokiem, następnie zerka pośpiesznie na swoje skarpetki. Connor chichocze.

Risa zamyka na chwilę oczy, starając się dostrzec w tej sytuacji jakiś procyk słońca, jednak nie potrafi. Z chwilą kiedy tutaj weszli, wiedziała, że istnieje możliwość, iż zostaną schwytani. Wiedziała, że wyjście z ukrycia jest ryzykowne. Zaskoczyło ją natomiast to, jak szybko hycle ich odnaleźli. Nawet biorąc pod uwagę ich niekonwencjonalne wejście, powinni byli mieć wystarczająco wiele czasu, aby wysliznąć się w tym zamieszaniu. To, czy Admirał żyje czy nie, nie zmienia teraz w jej i Connora sytuacji absolutnie niczego. Zostaną podzieleni. Wszystkie jej nadzieje na przyszłość zostały jej

ponownie odebrane – a właśnie te nadzieje, choćby ulotne, sprawiają, że wszystko to jest dla niej jeszcze bardziej bolesne, niż gdyby ich w ogóle nie miała.



49. ROLAND

Gliniarz przesłuchujący Rolanda ma oczy, które do siebie nie pasują oraz wydziela kwaśną woń, jak gdyby jego mydło usuwające nieprzyjemny zapach nie do końca się sprawdzało. Tak samo jak w przypadku jego partnera w sąsiednim pokoju, niełatwo jest wyrzeć na nim wrażenie i Roland, w przeciwieństwie do Connora, nie jest na tyle bystry, aby zagrać mu na nerwach. Ale to nic, ponieważ nie na tym skupiają się myśli Rolanda.

Plan Rolanda zaczął nabierać kształtu krótko po tym, jak Connor wypuścił go ze skrzyni. Mógł go wtedy rozerwać na strzępy, jednak Connor przyprowadził ze sobą trójkę chłopaków, tego samego wzrostu i równie silnych co Roland jako wsparcie. Powinni oni byli znaleźć się po jego stronie. *Powinni* byli. To była dla niego pierwsza oznaka, że wszystko się drastycznie zmieniło.

Connor powiedział mu o zamieszkach i o Cleaverze. Wyduślił z siebie kiepskie przeprosiny za to, że oskarżył go o zabicie Wybrańców – przeprosiny, których Roland nie przyjął. Gdyby Roland uczestniczył w zamieszkach, to byłyby zorganizowane i skuteczne. Gdyby tam był, to doszłoby do rewolty, a nie do zamieszek. Zamykając Rolanda w skrzyni, Connor ograbił go z szansy na objęcie przywództwa.

Kiedy powrócili na miejsce zamieszek, cała uwaga skupiła się na Connorze; wszystkie pytania były kierowane do niego. Mówił wszystkim, co mają robić a oni go słuchali. Nawet najbliżsi przyjaciele Rolanda spuścili wzrok, kiedy go zobaczyli. Instynktownie wiedział, że całe poparcie, jakim go obda-

rzali, zniknęło. Jego nieobecność na miejscu katastrofy uczyniła z niego outsidera i już nigdy nie odzyska tego, co tutaj stracił – co oznaczało, że nastął czas na opracowanie nowego planu działań.

Roland zgodził się pilotować helikopter, aby ratować życie Admirala, nie dlatego, że pragnął ujrzeć tego człowieka żywego, ale z powodu nowych możliwości, jakie wiązały się z tym lotem...

– Zastanawia mnie – mówi wydzielający kwaśny smród gliniarz – dlaczego wydajesz nam tamtych dwoje, skoro oznacza to również wyrok dla ciebie?

– Za wydanie zbiegłego Podzielonego wyznaczono nagrodę w wysokości pięciuset dolarów, czyż nie?

Gliniarz uśmiecha się ironicznie.

– Cóż, to daje nam łącznie półtora tysiąca, jeżeli wliczymy i ciebie.

Roland spogląda gliniarzowi prosto w oczy – bez wstydu, bez strachu – i zuchwale przedstawia swoją ofertę.

– A co, jeśli powiedziałbym panu, że znam miejsce, w którym przebywa ponad czterystu Podzielonych ZOMZ-ów? Co, jeśli pomógłbym panu zlikwidować cały przemysłowy proceder? Ile byłoby to warte?

Gliniarz wydaje się zastygnąć w bezruchu i przygląda się Rolandowi uważnie.

– W porządku – odpowiada. – Udało ci się przykuć moją uwagę.



50. CONNOR

Przetrwał dłużej, niż ktokolwiek się spodziewał. To pocieszenie, którego Connor musi się trzymać, kiedy gliniarz i dwóch uzbrojonych strażników eskortują go wraz z Risą do pokoju, w którym Roland jest przesłuchiwany. Jednak po zadowolonym z siebie wyrazie twarzy Rolanda Connor podejrzewa, że to nie tyle było przesłuchanie, co negocjacje.

– Proszę, usiądźcie – mówi gliniarz siedzący na skraju biurka obok Rolanda. Roland nie patrzy na nich. Nawet nie zauważa ich obecności w pokoju. Po prostu opiera się o siedzenie swojego krzesła. Skrzyżowałby ramiona, gdyby kajdanki mu na to pozwalały.

Gliniarz nie marnuje czasu i przechodzi prosto do konkretów.

– Wasz przyjaciel sporo mi opowiedział i zaoferował bardzo ciekawy układ. Jego wolność, w zamian za czterystu Podzielonych. Zaproponował nam wyjawienie ich dokładnego miejsca przebywania.

Connor wiedział, że Roland wydałby jego i Risę, ale wydać ich wszystkich – to jego nowe, podłe oblicze. Nadal na nich nie patrzy, jednak jego pełen zadowolenia z siebie wyraz twarzy nieco stężał.

– Czterystu, hę? – dopytuje drugi gliniarz.

– On kłamie – odpowiada Risa, nadzwyczaj przekonującym głosem. – Próbuje was oszukać. Jest nas tylko troje.

– Właściwie – oznajmia gliniarz siedzący na biurku – to mówi prawdę – chociaż jesteśmy zdziwieni liczbą czterystu. Sądziliśmy, że do tej pory będzie ich co najmniej sześciuset, ale pewnie wielu skończyło już osiemnastkę.

Roland przygląda się mu, niepewny.

– Co?

– Przykro mi to mówić, ale wiemy już wszystko o Admirale i cmentarzy-
sku – oznajmia policjant. – Wiemy o wszystkim już od ponad roku.

Drugi funkcjonariusz chichocze, rozbawiony oniemiałym wyrazem twa-
rzy Rolanda.

– Ale... ale...

– Ale dlaczego ich nie zgarnęliśmy? – dokańcza gliniarz, przewidując py-
tanie Rolanda. – Spójrzcie na to tak. Admirał – jest jak ten bezpański kot
szwendający się po okolicy, którego nikt nie lubi, jednak nikt nie chce się też
pozbyć, ponieważ wyłapuje szczury. Widzicie, zbiegli Podzieleni na ulicach
to dla nas problem. Jednak Admirał zgarnia ich z ulic i przetrzymuje
w swoim małym, pustynnym getcie. On o tym nie wie, ale wyświadcza nam
tym przysługę. Koniec ze szczurami.

– Oczywiście – kontynuuje drugi gliniarz – jeśli staruszek zejdzie z tego
świata, to możliwe, że będziemy musieli tam wkroczyć i wszystko w końcu
wysprzątać.

– Nie! – wykrzykuje Risa. – Ktoś inny może go przecież zastąpić!

Drugi policjant wzrusza ramionami, jak gdyby go to nie obeszło.

– Lepiej żeby był dobrym szczurołapem.

Podczas gdy Roland wpatruje się jedynie z niedowierzaniem jak jego plan
rozpada się na kawałki, Connor odczuwa ulgę, a może nawet niewielką na-
dzieję.

– Więc pozwolicie nam wrócić?

Gliniarz siedzący na biurku podnosi teczkę.

– Obawiam się, że nie możemy tego zrobić. Jedną rzeczą jest przymykać
na coś oko, jednak zupełnie inną wypuścić przestępcę. – Następnie zaczyna
czytać. – Connor Lassiter. Przewidziany do podzielenia dwudziestego pierw-
szego listopada – dopóki nie złamałeś ZOMZu. Spowodowałeś wypadek,
w którym zginął kierowca autokaru, kilkanaście osób zostało rannych i za-
mknięto autostradę międzystanową na wiele godzin. Następnie, co najważ-
niejsze, wzięłeś zakładnika i postrzeliłeś funkcjonariusza policji z jego wła-
snej broni.

Roland spogląda na gliniarza z podziwem.

– To *on* jest tym ZOMZ-em z Akron?!

Connor zerka na Rise, następnie z powrotem na policjanta.

– W porządku. Przyznaję się. Ale ona nie miała z tym nic wspólnego! Pozwólcie jej odejść!

Policjant kręci głową, przebiegając wzrokiem zawartość teczeki.

– Świadkowie twierdzą, że była współwinna. Obawiam się, że jest tylko jedno miejsce, do którego odejdzie. To samo, do którego i ty się udasz: najbliższy ośrodek donacyjny.

– Ale co ze mną? – pyta Roland. – Ja nie miałem z tym nic wspólnego!

Gliniarz zamyka teczkę.

– Słyszałeś kiedyś termin „odpowiedzialność zbiorowa”? – pyta Rolanda.

– Powinieneś uważniej dobierać sobie towarzystwo. – Następnie daje strażnikom znak, aby zabrali wszystkich troje.

CZĘŚĆ SZÓSTA

PODZIELENIE

Dla Państwa wygody oraz spokoju sumienia, udostępniliśmy szereg ośrodków donacyjnych, spośród których możecie Państwo dokonać wyboru. Każdy ośrodek znajduje się w rękach prywatnych, posiada pozwolenie stanowe na prowadzenie działalności oraz został sfinansowany przez rząd federalny z Państwa podatków. Bez względu na wybrane usytuowanie, mogą być Państwo spokojni, że Podzielony w trakcie swojego przejścia w podzielony stan, zostanie otoczony najlepszą możliwą opieką przez nasz dyplomowany personel.

– Podzielenie: Przewodnik dla Rodziców.



51. OŚRODEK

Jeśli chodzi o istnienie duszy, czy to Podzielonego, czy też nienarodzonego dziecka, ludzie skłonni są na ten temat debatować bez końca, jednak nikt nie kwestionuje tego, czy obóz transplantacyjny takową posiada. Nie posiada. Być może dlatego właśnie ci, którzy wybudowali te olbrzymie fabryki medyczne, tak bardzo starają się, aby pod wieloma względami odpowiadały one potrzebom dzieci oraz były przyjazne dla użytkowników.

Po pierwsze, nie są już nazywane obozami transplantacyjnymi, jak to miało miejsce, kiedy zostały tworzone. Obecnie są nazywane ośrodkami donacyjnymi.

Po drugie, każdy z nich położony jest w widowiskowo malowniczej lokalizacji, być może po to, by przypomnieć swoim gościom, że służą wyższemu celom oraz uzmysłwić im, że są częścią większego planu.

Po trzecie, zarówno tereny wokół, jak i same ośrodki, utrzymane są w jasnych, pastelowych barwach i pozbawione, o ile to możliwe, czerwieni, ponieważ z psychologicznego punktu widzenia, czerwień utożsamiana jest z gniewem, agresją, i nieprzypadkowo, z krwią.

Ośrodek Donacyjny Happy Jack, w pięknej miejscowości Happy Jack w Arizonie, jest idealnym przykładem tego, jak ośrodek donacyjny wyglądać powinien. Przycupnięty jest na górkim, pokrytym sosnami grzbiecie w północnej Arizonie, gdzie napawające ukojeniem leśne krajobrazy ustępują miejsca zapierającej dech w piersi scenerii czerwonych gór Sedony wznoszących się od zachodu. Bez wątplenia właśnie ten widok uczynił drwali

w dwudziestym wieku, którzy założyli to miasto, szczęśliwymi. Stąd i jego nazwa Happy Jack.

Dormitorium chłopców pomalowane jest na jasny błękit z zielonymi akcentami. Dormitorium dziewcząt ma kolor lawendy i różu. Personel posiada uniformy, na które składają się wygodne szorty i hawajskie koszule, za wyjątkiem chirurgów z oddziału ogólnego. Ich kitle są w kolorze słonecznej żółci.

Znajduje się tam ogrodzenie z drutu kolczastego, jednak jest ono ukryte za strzelistym hibiskusowym żywopłotem – i chociaż przebywający na miejscu Podzieleni obserwują codziennie zatłoczone autokary przybywające pod frontową bramę, oszczędza się im widoku odjeżdżających ciężarówek. Te wyjeżdżają przez tylną bramę.

Średni czas pobytu Podzielonych w ośrodku wynosi trzy tygodnie, chociaż uzależniony jest on od grupy krwi i jej zapasów, a także od zapotrzebowania na nią. Tak ja w zewnętrznym świecie, nikt nie wie, kiedy nadejdzie jego czas.

Od czasu do czasu, pomimo profesjonalnego i pozytywnego podejścia personelu ośrodka, dochodzi do incydentów. W tym tygodniu bunt przybrał formę graffiti wypisanego na ścianie kliniki medycznej, które głosi: NIKOGO NIE OSZUKACIE.

Czwartego lutego, w asyście policyjnej eskorty, przybywa troje nowych pensjonariuszy. Dwoje z nich wprowadzane jest bezceremonialnie do centrum powitalnego, tak jak ma to miejsce w przypadku innych przybywających tutaj Podzielonych. Trzeci zostaje od nich odseparowany i prowadzony jest dłuższą trasą, która przebiega wzdłuż dormitoriów, boisk sportowych oraz innych miejsc, w których zgromadzeni są Podzieleni.

Z założonymi na nogach i rękach kajdankami, kroki Connora są krótkie, a jego sylwetka zgarbiona. Uzbrojeni policjanci z wydziału ds. młodocianych otaczają go ze wszystkich stron.

Wszyscy w Happy Jack są pogodni i uprzejmi – jednak ta chwila stanowi wyjątek od tej reguły. Raz na jakiś czas, przysparzający szczególnych kłopotów Podzielony zostaje wybierany i publicznie upokarzany na oczach wszystkich, nim pozwala mu się na dołączenie do pozostałych mieszkańców ośrodka. Niezmiennie, Podzielony będzie próbował się buntować i niezmiennie, Podzielony ten zostanie zabrany do kliniki, gdzie dokona się jego lub jej podzielenia w ciągu kilku dni od przybycia.

Jest to niewypowiedziane ostrzeżenie dla każdego z przebywających tam Podzielonych: będziesz przestrzegać zasad albo twój pobyt tutaj stanie się bardzo, bardzo krótki. Ta lekcja zawsze przynosi oczekiwane rezultaty.

Jednak tym razem personel Happy Jack nie jest świadomy tego, że reputacja wyprzedziła Connora Lassitera. Ich obwieszczenie, że schwytali ZOMZa z Akron nie łamie ducha przebywających tam nastolatków. Zamiast tego, z chłopca, o którym krążyły jedynie pogłoski, czyni legendę.



52. RISA

Zanim rozpoczniemy naszą sesję, sądzę, że to ważne, bym przypomniała ci, że chociaż darzyłaś tego tak zwanego ZOMZ-a z Akron przyjaźnią, to w twoim najlepszym interesie jest, aby trzymać się teraz od niego z daleka.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobili, było rozdzielenie ich trojga. Dziel i rządź, czy nie tak brzmi ta zasada? Risa nie widzi żadnego problemu w odseparowaniu jej od Rolanda, jednak widok Connora sprawia, że bardziej niż kiedykolwiek wcześniej pragnie być blisko niego. Fizycznie nie wyrządzono mu żadnej krzywdy. Nie uszkodzono by przecież towaru. Natomiast psychologiczny aspekt, to zupełnie inna sprawa. Prowadzili go wzdłuż terenu ośrodka przez niemal dwadzieścia minut. Następnie zdjęli mu kajdany i zostawili przy maszcie flagowym. Żadnej wycieczki do „centrum powitalnego”, żadnego wprowadzenia, nic. Został pozostawiony sam sobie, aby wszystkiego się dowiedzieć. Risa wiedziała, że uczyniono to nie po to, aby podważyć jego autorytet, czy nawet go ukarać. Uczyniono to, aby dać mu wszelką okazję do zrobienia czegoś niewłaściwego. W ten sposób będą mogli usprawiedliwić każdą karę, którą mu wymierzą. To zmartwiło Risę, jednak tylko na chwilę, ponieważ zbyt dobrze zna Connora. Zrobi coś niewłaściwego tylko wtedy, kiedy będzie wydawało mu się to właściwe.

– Wygląda na to, że uzyskałaś bardzo dobry wynik na teście umiejętności, Riso – powyżej średniej, prawdę mówiąc. Gratulacje!

Spędziwszy tam już połowę dnia, Risa jest nadal wstrząśnięta ogólnym wyglądem Ośrodka Donacyjnego Happy Jack. Oczyma duszy zawsze wy-

obrażała sobie ośrodki donacyjne, jako ludzkie zagrody dla bydła: pozbawione wyrazu tłumy niedożywionych nastolatków w niewielkich, ponurych celach – koszmar dehumanizacji. Pomimo tego, jakimś sposobem ten małowniczy koszmar jest od tego gorszy. Tak jak cmentarzysko samolotów było niebem w przebraniu piekła, tak ośrodek donacyjny jest piekielną otchłanią ukrywającą się pod szatami niebios.

– *Wydajesz się być w dobrej kondycji fizycznej. Zdaje się, że dużo ćwiczyłaś, zgadza się? Biegałaś może?*

Ćwiczenia fizyczne wydają się być zasadniczym elementem dnia Podzielonego. Z początku przypuszczała, że różnorodne zajęcia fizyczne zostały wprowadzone z myślą o zajęciu mieszkańców ośrodka do czasu, aż wybije ich godzina. Później, kiedy w drodze do centrum powitań mijała boisko do koszykówki, na którym toczył się mecz, zauważyła słup totemiczny obok kortu. W oczach każdego z pięciu totemów znajdowały się kamery. Dziesięciu zawodników, dziesięć kamer. Oznaczało to, że ktoś, gdzieś, analizował poczynania każdego z Podzielonych w trakcie meczu, gromadząc informacje odnośnie koordynacji wzrokowo-słuchowej, oceniając siłę różnych partii mięśni. Risa szybko zdała sobie sprawę, że mecz koszykówki nie rozgrywał się ku uciesze Podzielonych, ale po to, aby pomóc wycenić ich poszczególne części ciała.

– *Wciążu najbliższych kilku tygodni zostaniesz włączona do programu różnorodnych zajęć. Riso, skarbie, czy ty mnie słuchasz? Czy to jest dla ciebie zbyt trudne do zrozumienia – może mam mówić wolniej?*

Pani psycholog, która ją przesłuchuje wydaje się wychodzić z założenia, że pomimo wysokich wyników uzyskanych w teście posiadanych zdolności, każdy Podzielony musi być imbecylem. Kobieta ubrana jest w bluzkę z nadrukiem z mnóstwem liści i różowych kwiatów. Risa ma ochotę rzucić się na nią z elektrycznym przycinaczem do trawy.

– *Czy masz skarbie jakieś pytania lub wątpliwości? Jeśli tak, to teraz jest czas, aby się nimi podzielić.*

– *Co się dzieje ze złymi częściami?*

To pytanie jakby ją zdekoncentrowało.

– *Słucham?*

– *No, wie pani – ze złymi częściami. Co robicie ze zdeformowanymi stopami i głuchymi uszami? Czy je także wykorzystujecie do przeszczepów?*

– *Nie masz żadnej z tych rzeczy, prawda?*

– Nie – ale mam za to wyrostek robaczkowy. Co się z nim stanie?

– Cóż – odpowiada pani psycholog z niemal bezgraniczną cierpliwością – lepsze głuche ucho niż żadne, i czasami jedynie na takie stać niektórych ludzi. A co się tyczy twojego wyrostka, to nikomu tak naprawdę się on nie przyda.

– Zatem, czy nie łamiecie prawa? Czyż prawo jasno nie określa, że musicie utrzymać 100 procent Podzielonego przy życiu?

Uśmiech na twarzy pani psycholog zaczyna blednąć.

– Cóż, właściwie to 99,44 procenta, wliczając w to również takie części ciała jak wyrostek.

– Rozumiem.

– Naszym kolejnym tematem jest twój kwestionariusz przyjęć. Z uwagi na twoje niekonwencjonalne przybycie, nigdy nie miałaś okazji go wypełnić.

– Przerzuca strony kwestionariusza. – Większość pytań na tym etapie nie jest istotna... jednak jeśli posiadasz jakieś specjalne uzdolnienia, o których chciałabyś opowiedzieć – mam na myśli takie, z których moglibyśmy zrobić użytek w czasie twojego pobytu tutaj...

Risa żałuje, że nie może po prostu wstać i stamtąd wyjść. Nawet teraz, kiedy jej życie dobiega końca, wciąż musi stawiać czoła temu nieuniknionemu pytaniu: *W czym jesteś dobra?*

– Mam trochę doświadczenia medycznego – odpowiada jej beznamiętnie Risa. – Pierwsza pomoc, reanimacja.

Kobieta uśmiecha się przepaszająco.

– Cóż, jeżeli kogoś nam tutaj brakuje, to z całą pewnością nie są to przedstawiciele personelu medycznego. – Jeżeli ta kobieta jeszcze raz użyje słowa „coż”, to się doigra. – Coś jeszcze?

– W StaDo pomagałam przy niemowlakach.

Ponownie ten niewielki uśmieszek.

– Przykro mi. Nie mamy tutaj niemowląt. To wszystko?

Risa wzdycha.

– Uczyłam się też gry na fortepianie klasycznym.

Brwi kobiety unoszą się w górę.

– Doprawdy? Grasz na fortepianie? No proszę, proszę!



53. CONNOR

Connor chce walczyć. Chce się odgryźć na personelu ośrodka i złamać każdą obowiązującą tu zasadę. Wie, że jeżeli tak zrobi, szybciej będzie miał to wszystko za sobą. Jednak nie podda się temu pragnieniu z dwóch powodów. Po pierwsze: dokładnie tego od niego oczekują. I po drugie: z powodu Risy. Jest świadom tego, że jego widok prowadzonego do krajalnicy by ją załamał. Tak na to mówią dzieciaki – „krajalnica” – chociaż nigdy nie używają tego słowa przy personelu ośrodka.

Connor cieszy się sławą wśród chłopców. Uważa to za absurdalne i surrealistyczne, że dostrzegają w nim pewien symbol, kiedy jedyne czego dokonał, to przeżył.

– To wszystko nie może być prawdą, co? – pyta go pierwszej nocy chłopak, którego łóżko znajduje się obok jego. – Znaczy, tak *naprawdę* nie walczyłeś z całym oddziałem hycli ich własnymi usypiaczami?

– Nie! To nieprawda – odpowiada mu Connor, jednak zaprzeczenie temu sprawia, że chłopak wierzy w to jeszcze bardziej.

– *Tak naprawdę* to nie zamknęli wszystkich autostrad, kiedy cię ścigali? – docieka inny chłopak.

– To była tylko jedna autostrada – i wcale jej nie zamknęli. To moja sprawka. Tak jakby.

– Więc to prawda!

To bezcelowe – jakkolwiek Connor będzie starał się bagatelizować całą historię i tak nie będzie w stanie przekonać innych, że ZOMZ z Akron nie jest

jakaś przerysowaną postacią rodem z kina akcji.

I jest jeszcze Roland, który pomimo, że gardzi Connorem, wypływa na fali jego wątpliwej sławy. Chociaż Roland znajduje się w innym oddziale, szalone historie odnośnie tego, jak ukradł helikopter i wyzwolił setkę Podzielonych przetrzymywanych w szpitalu w Tucson docierają już do uszu Connora. Connor zastanawia się, czy aby im nie powiedzieć, że jedyną zasługą Rolanda było ich wydanie, jednak dochodzi do wniosku, że życie jest dosłownie zbyt krótkie, aby na nowo z nim zadzierać.

Jest tylko jedna osoba, z którą Connor rozmawia, która faktycznie go słucha i potrafi odróżnić prawdę od wymysłów. Na imię mu Dalton. Ma siedemnaście lat, jednak jest niskiego wzrostu i jest przysadzisty, a jego włosy zdają się żyć własnym życiem. Connor wyjaśnia mu dokładnie, co wydarzyło się tego dnia, kiedy złamał ZOMZ. To ulga, móc otworzyć się przed kimś, kto wierzy w prawdę. Jednak Dalton ma w tym temacie swój własny punkt widzenia.

– Nawet jeśli to wszystko, co się wydarzyło – oznajmia Dalton – to wciąż robi wrażenie. Reszta z nas może jedynie pomarzyć o tym, aby tego dokonać.

Connor musi przyznać, że Dalton ma rację.

– Jesteś tutaj kimś w rodzaju króla wśród Podzielonych – wyjaśnia mu Dalton – ale tacy jak ty zostają naprawdę szybko podzieleni, więc pilnuj się.

– Następnie Dalton dokładnie mu się przygląda. – Boisz się? – pyta.

Connor żałuje, że nie może udzielić mu innej odpowiedzi, jednak nie będzie kłamał.

– Tak.

Wydaje się być niemal zadowolony, że Connor również się boi.

– Mówią nam, że strach przeminie i że trafimy do miejsca akceptacji. Jestem tu prawie od szczęściu miesiący i jestem tak samo przerażony jak w dniu, kiedy tutaj trafiłem.

– Od szczęściu miesiący? Sądziłem, że wszyscy odchodzą w ciągu kilku tygodni.

Dalton nachyla się bliżej i szepcze, zupełnie jakby to była jakaś niebezpieczna informacja.

– Nie, jeżeli jesteś w kapeli.

Kapela? Myśl o muzyce w miejscu, w którym ucisza się ludzkie życie nie pasuje Connorowi.

– Ustawiają nas na dachu krajalnicy i każą nam grać, kiedy wprowadzają tam innych – wyjaśnia Dalton. – Gramy wszystko – klasykę, pop, rocka starego świata. Jestem najlepszym basistą, jakiego to miejsce widziało. – Następnie szczerzy zęby w uśmiechu. – Powinieneś przyjść nas jutro posłuchać. Mamy nowego klawiszowca.

Niezła z niej laska.

Siatkówka z rana. Pierwsze oficjalne zajęcia, w których Connor bierze udział. Kilku członków personelu w tęczy kwiatowych koszul stoi przy bocznych liniach boiska z podręcznymi notatnikami, ponieważ najwyraźniej boisko do siatkówki nie jest wyposażone w dwanaście oddzielnych kamer. Za nimi, z dachu krajalnicy, rozbrzmiewa muzyka. Kapela Daltona. To ich poranna setlista.

Drużyna przeciwna całkowicie traci pewność siebie, kiedy zauważają Connora, zupełnie jakby sama jego obecność przesądzała o ich przegranej. To nic, że Connor jest beznadziejnym siatkarzem; dla nich ZOMZ z Akron jest gwiazdą nawet w sporcie. W przeciwnej drużynie znajduje się także Roland. Nie opada z sił jak pozostali – jedynie wpatruje się w niego, trzymając piłkę, gotów ją zaserwować wprost do jego gardła.

Gra się rozpoczyna. Intensywność pojedynku może się jedynie równać z atmosferą strachu, która skrywa się pod każdym uderzeniem piłki. Obie drużyny grają tak, jak gdyby przegrani mieli zostać natychmiast podzieleni. Dalton powiedział Connorowi, że to nie działa w ten sposób, jednak wygrana również w niczym nie pomaga. Przypomina to Connorowi grę Majów zwaną pokatok – coś, o czym uczył się na lekcjach historii. Gra była bardzo podobna do koszykówki, z tym wyjątkiem, że przegrani byli składani w ofierze majskim bogom. W tamtym czasie Connorowi bardzo podobał się ten pomysł.

Roland ścina piłkę i trafia jednego z członków personelu prosto w twarz. Roland szczerzy zęby w uśmiechu nim przepasza, a mężczyzna piorunuje go wzrokiem i zapisuje coś w swoim notesie. Connor zastanawia się, czy to zagranie nie będzie kosztowało Rolanda kilku dni.

Następnie gra zostaje niespodziewanie przerwana, ponieważ uwaga wszystkich skupia się na grupie osób w bieli, które mijają drugi koniec boiska.

– To dziesięcirodni – wyjaśnia ktoś Connorowi. – Wiesz, kim oni są, prawda?

Connor kiwa głową.

– Wiem.

– Spójrzcie na nich. Wydaje im się, że są o wiele lepsi od pozostałych.

Connor zdążył już usłyszeć, jak traktuje się tutaj dziesięcirodnych.

„Dziesięcirodni” i „dzieciaczyska” – tak właśnie pracownicy ośrodka odnoszą się do dwóch rodzajów Podzielonych. Dziesięcirodni nie uczestniczą w tych samych zajęciach, co dzieciaczyska. Nie noszą tych samych niebiesko-różowych uniformów, które ci drudzy muszą zakładać. Ich jedwabne białe stroje są tak jaskrawe w słońcu Arizony, że trzeba mrużyć oczy, kiedy się na nich spogląda, zupełnie jakby byli młodzieńczymi wersjami samego Boga – chociaż dla Connora wyglądają oni bardziej niczym mały oddział przybyszów z kosmosu. Dzieciaczyska nienawidzą dziesięcirodnych tak samo, jak chłopci gardzą członkami rodziny królewskiej. Connor mógł kiedyś przejawiać te same uczucia, jednak poznawszy jednego z nich, współczuje im bardziej niż komukolwiek innemu.

– Słyszałem, że znają dokładną datę i czas swojego podzielenia – oznajmia jeden chłopak.

– Słyszałem, że ponoć sami się na nie umawiają! – rzuca drugi.

Sędzia dmucha w gwizdek.

– Koniec tego, wracać do gry.

Odwracają się od olśniewająco białych uniformów nielicznych wybrańców i znajdują kolejny powód do wyładowania swojej frustracji w trakcie meczu.

Przez chwilę, kiedy dziesięcirodni znikają za zboczem, Connor sądzi, że rozpoznał pośród nich jakąś twarz, jednak wie, że to tylko jego wyobraźnia.



54. LEV

To nie była wyobraźnia Connora.

Levi Jedediah Calder jest jednym ze szczególnie wyjątkowych gości Ośrodka Donacyjnego Happy Jack i ponownie przywdział swoje białe szaty dziesięciorodnego. Nie zauważa Connora na boisku do siatkówki, ponieważ dziesięciorodni są ściśle poinstruowani, aby nie spoglądać na dzieciaczyska. Dlaczego mieliby to robić? Od urodzenia mówiono im, że pochodzą z innej kasty i mają przed sobą ważne powołanie.

Lev nadal może nosić ślady po oparzeniach słonecznych, jednak jego włosy zostały krótko i starannie przystrzyżone, tak jak to niegdyś miało miejsce, a w jego zachowaniu da się wyczuć dawną wrażliwość i łagodność. Przynajmniej na zewnątrz.

Jest umówiony na podzielenie za trzynaście dni.



55. RISA

Risa gra na dachu krajalnicy a jej muzyka niesie się po okolicy, docierając do uszu ponad tysiąca dusz oczekujących, aż pójdą pod nóż. Radość płynąca z ponownego dotykania klawiszy może się jedynie równać z przerażeniem, które odczuwa, wiedząc, co się odbywa pod jej stopami.

Z jej punktu obserwacyjnego na dachu widzi, jak prowadzą Podzielonych rdzawoczerwoną ścieżką z kamiennych płyt, którą wszystkie dzieciaki nazywają „czerwonym dywanem”. Ci, którzy krocą czerwonym dywanem po obu swoich stronach mają strażników, którzy trzymają ich mocno za ramiona – wystarczająco mocno, aby ich skrzępować, jednak nie na tyle, aby ich posiniaczyć.

Jednak pomimo to, Dalton i pozostała część jego kapeli grają tak, jak gdyby to nie miało zupełnie znaczenia.

– Jak możecie to robić? – wyrzuca im podczas jednej z przerw. – Jak możecie się każdego dnia przyglądać, jak oni tam wchodzą i nigdy stamtąd nie wracają?

– Przyzwyczaisz się do tego – odpowiada perkusista, biorąc łyk wody. – Zobaczysz.

– Nieprawda! Nie mogę! – Myśli o Connorze. On nie dostał zawieszenia wyroku. Nie ma żadnych szans. – Nie mogę współuczestniczyć w tym, co robią!

– Hej – odzywa się Dalton, irytując się. – Walczymy tutaj o przetrwanie i robimy to, co konieczne, aby przeżyć! Zostałaś wybrana, ponieważ potra-

fisz grać i jesteś w tym dobra. Nie zaprzepaść tego. Albo przywykniesz do widoku dzieciaków podążających czerwonym dywanem, albo sama się na nim znajdziesz i będziemy musieli zagrać dla ciebie.

Risa rozumie przesłanie, jednak to nie oznacza, że musi się ono jej podobać.

– To właśnie przytrafiło się ostatniemu klawiszowcowi? – docieka Risa. Wyczuwa, że jest to temat, którego nie chcą poruszać. Spoglądają jedno na drugie. Nikt nie chce zmierzyć się z tym pytaniem. Następnie główna wokalistka odpowiada, nonszalancko odrzucając włosy, jakby nie miało to znaczenia.

– Jack miał niedługo skończyć osiemnastkę, więc wzięli go na tydzień przed jego urodzinami.

– To nie był zbyt szczęśliwy Jack – komentuje perkusista i uderza rim-shota.

– I tyle? – oburza się Risa. – Tak po prostu go zabrali?

– Biznes to biznes – kwituje wokalistka. – Tracą mnóstwo kasy, jeśli jedno z nas osiąga pełnoletność, ponieważ wtedy muszą nas wypuścić.

– Jednak mam pewien plan – wtrąca Dalton, mrugając na pozostałych, którzy oczywiście słyszeli już o tym wcześniej. – Kiedy będę już dobiegał osiemnastki i będą chcieli po mnie przyjść, to skoczę z tego dachu.

– Zamierzasz się zabić?

– Mam nadzieję, że nie – to tylko dwa piętra, ale na pewno paskudnie się połamię. Widzisz, nie mogą cię tak po prostu podzielić; muszą poczekać, dopóki nie wyzdrowiejesz. Do tego czasu będę już pełnoletni i będą mi mogli naskoczyć! – Przybija piątkę perkusiście i obaj wybuchają śmiechem. Risa jedynie wpatruje się w niedowierzaniu.

– Osobiście – wyjaśnia wokalistka – liczę na to, że obniżą prawnie wiek pełnoletności do siedemnastki. Jeżeli to zrobią, to podejść do pracowników ośrodka, psychologów i tych pieprzonych doktorków. Napluję im prosto w twarz – i nie będą mogli zrobić nic, jak tylko pozwolić mi odejść przez bramę na moich własnych nogach.

Następnie gitarzysta, który przez cały poranek nie odezwał się ani słowem, podnosi swój instrument.

– To dla Jacka – oznajmia i zaczyna grać początkowe akordy do przedwojennego klasyka „Nie obawiaj się żniwiarza”.

Pozostali się przyłączają, grając prosto z serca, i Risa robi co w jej mocy, aby trzymać wzrok z dala od czerwonego dywanu.



56. CONNOR

Dormitoria podzielone są na pokoje. W każdym z nich znajduje się trzydzieścioro osób – trzydzieści łóżek w długim, wąskim pokoju z olbrzymimi oknami z nietłukącego się szkła, przez które wpada radosne światło dnia. Kiedy Connor przygotowuje się do obiadu zauważa, że dwa łóżka w jego pokoju zostały uprzątnięte i nikt nie widział chłopców, którzy na nich spali. Wszyscy to zauważyli, jednak nikt o tym nie mówi, za wyjątkiem chłopaka, który zabiera jedną z pryczy, ponieważ w jego materacu są popsute sprężyny.

– Niech żółtodziób się męczy na zepsutym – wyjaśnia. – Przez mój ostatni tydzień mam zamiar spać wygodnie.

Connor nie potrafi sobie przypomnieć imion ani twarzy zaginionych chłopaków i nie daje mu to spokoju. Cały dzisiejszy dzień potwornie go przytłacza – to, że pozostali sądzą, iż Connor może ich w jakiś sposób ocalić, kiedy wie, że nie może ocalić nawet samego siebie. To, że pracownicy ośrodka tylko czekają, aż popełni jakiś błąd. Jego jedyną radością jest świadomość, że Risa jest bezpieczna, przynajmniej na razie.

Widział ją po lunchu, kiedy zatrzymał się, aby przyjrzeć się kapeli. Szukał jej wszędzie, a ona przez cały ten czas była wyraźnie widoczna, grając z całego serca. Powiedziała mu wcześniej, że gra na fortepianie, jednak nigdy się nad tym zbyt nie zastanawiał. Jest niesamowita i teraz Connor żałuje, że nie poświęcił więcej czasu, aby dowiedzieć się kim była, zanim uciekła z tamtego autokaru. Kiedy go ujrzała, jak przygląda się jej tamtego popołu-

dnia, uśmiechnęła się – zrobiła coś, czego nie zwykła robić zbyt często. Jednak jej uśmiech prędko zastąpiło spojrzenie odzwierciedlające otaczającą ich rzeczywistość. Ona stała tu na górze, a on tam na dole.

Connor spędza tak wiele czasu, będąc pogrążonym w swoich myślach, że kiedy podnosi wzrok dostrzega, że wszyscy z jego pokoju udali się już na obiad. Kiedy podnosi się, by wyjść dostrzega, że ktoś czai się przy drzwiach i gwałtownie się zatrzymuje. To Roland.

– Nie powinieneś tu być – zauważa Connor.

– Zgadza się – odpowiada Roland – ale dzięki tobie jestem.

– Nie to mam na myśli. Jeżeli złapią cię poza twoim pokojem, to narobisz sobie kłopotów. Szybciej cię podziela.

– Miło, że się tym przejmujesz.

Connor kieruje się w stronę drzwi, jednak Roland staje mu na drodze. Po raz pierwszy Connor zauważa, że pomimo muskularnej sylwetki Rolanda, wcale nie różni się od siebie tak znacznie wzrostem. Connor zawsze sądził, że Roland go przewyższał. A tak nie jest. Connor przygotowuje się na to, cokolwiek Roland skrywa w rękawie i mówi:

– Jeżeli jesteś tu z jakiegoś powodu, to wykrztuś to z siebie. W przeciwnym razie zejdz mi z drogi, abym mógł iść na obiad.

Wyraz twarzy Rolanda jest tak toksyczny, że mógłby nim zabić mieszkańców całego pokoju.

– Mogłem cię wykończyć wiele razy. Powinienem być to zrobić – ponieważ wtedy by nas tutaj nie było.

– Wydałeś nas w szpitalu – przypomina mu Connor. – Gdybyś ty tego nie zrobił, to by nas tutaj nie było. Wszyscy wrócilibyśmy bezpiecznie na Cmentarzysko!

– Na jakie Cmentarzysko? Tam nic nie zostało. Zamknąłeś mnie w skrzyni i pozwoliłeś im wszystko zniszczyć! Powstrzymałbym ich, ale nigdy nie dałeś mi szansy!

– Gdybyś tam był, to sam znalazłbyś jakiś sposób, żeby zabić Admirala. Cholera, zabiłbyś Wybrańców, gdyby nie byli już martwi! Tym właśnie jesteś! Taki właśnie jesteś!

Nagle Roland milknie i Connor wie, że posunął się za daleko.

– Cóż, jeśli jestem zabójcą, to mam coraz mniej czasu – stwierdza Roland.

– Lepiej wezmę się do roboty. – Zaczyna wymachiwać pięściami i Connor szybko reaguje, broniąc się, jednak wkrótce przeistacza się to w coś więcej,

niż wyłącznie samoobronę. Connor wykorzystuje pokłady drzemiącej w nim furii i spuszcza ze smyczy swoją własną brutalną ofensywę.

To walka, której nigdy nie odbyli w magazynie. To walka, której Roland pragnął, kiedy przyparł Risę do muru w łazience. Niewyobrażalny gniew staje się pożywką dla pięści ich obu. Rozbijają się o ściany i ramy łóżek, zawzięcie okładając się nawzajem. Connor wie, że ta walka nie przypomina żadnej z tych, jakie dotychczas toczył, i chociaż Roland nie ma broni, to jest mu ona niepotrzebna. Sam jest swoją bronią.

Bez względu na to, jak dobrze Connor się bije, Roland jest od niego po prostu silniejszy, i kiedy siły zaczynają opuszczać Connora, Roland chwyta go za gardło i rzuca nim o ścianę, ręką przyciskając jego tchawicę. Connor szarpie się, jednak uścisk Rolanda jest zbyt mocny. Ciska Connorem raz po raz o ścianę, nigdy nie zwalnając przy tym uścisku na jego szyi.

– Możesz nazywać mnie zabójcą, ale to ty jesteś tutaj jedynym przestępcą! – wykrzykuje Roland. – Ja nikogo nie uprowadziłem! Nie postrzeliłem gli-niarza! I nigdy nikogo nie zabiłem! Aż do teraz! – Następnie zaciska palce i całkowicie zamyka jego tchawicę.

Bez tlenu napędzającego mięśnie, walka Connora o wyswobodzenie się staje się coraz słabsza. Jego pierś faluje z braku powietrza, a jego wzrok zaczyna przesłaniać ciemność, aż w końcu jedyne co widzi, to wściekły grymas Rolanda. *Wolałbyś umrzeć, czy zostać podzielony?* Teraz w końcu zna już odpowiedź. Może tego właśnie chciał. Może dlatego właśnie docinał Rolandowi. Ponieważ woli zostać zabity rozwścieczoną dłonią, niż rozczłonkowany z zimną obojętnością.

Oczy Connora wypełniają rozpaczliwe zygzaki, otacza go ciemność i traci przytomność.

Ale tylko na chwilę.

Ponieważ chwilę później uderza głową o ziemię i zaskakująco odzyskuje przytomność. I kiedy wzrok zaczyna mu się wyostrzać, dostrzega Rolanda, który spogląda na niego z góry. Po prostu tam stoi, wpatrując się w niego. K u zdumieniu Connora w oczach Rolanda pojawiają się łzy, które próbuje skryć za gniewem, jednak one wciąż tam są. Roland spogląda na dłoń, którą omal nie odebrał Connorowi życia. Nie był w stanie tego zrobić – i wydaje się być tym równie zdumiony, co Connor.

– Możesz uważać się za szczęściarza – oznajmia mu Roland. Następnie odchodzi, nie odzywając się słowem.

Connor nie potrafi powiedzieć, czy Roland jest zawiedziony, czy też odczuwa ulgę, że nie jest zabójcą, którym, jak sądził, był, jednak Connor podejrzewa, że odczuwa jedno i drugie po trochu.



57. LEV

Dziesięciorodni w Happy Jack są niczym pasażerowie pierwszej klasy *Titanica*. W całym domu dziesięciorodnych znajdują się luksusowe meble, jest też kino i basen, a posiłki są smaczniejsze niż domowe. Oczywiście czeka ich taki sam los, co „dzieciuchów”, jednak przynajmniej wychodzą mu na spotkanie w wielkim stylu.

Jest już po obiedzie i Lev znajduje się sam w sali ćwiczeń w domu dziesięciorodnych. Stoi na bieżni, która się nie porusza, ponieważ jej nie włączył. Na stopach ma grubo wyściełane buty do biegania. Ma na sobie dwie pary skarpet, aby jeszcze bardziej je zabezpieczyć. Jednak to nie stopami się teraz martwi – a swoimi dłońmi. Stoi tam, wpatrując się w nie, pogrążony w myślach nad ich przyszłym losem. Nigdy wcześniej nie intrygowały go tak bardzo linie na jego dłoniach. Czy jedna z nich nie jest czasem linią życia? Czy linia życia dziesięciorodnego nie powinna się rozdzielać jak gałęzie drzewa? Lev spogląda na odciski linii papilarnych swoich palców. Cóż to musi być za koszmar przy identyfikacji, kiedy ktoś dostanie dłonie Podzielonego. Jakie znaczenie mają odciski palców, kiedy niekoniecznie należą do ciebie?

Nikt nie otrzyma odcisków palców Leva. Tego jest pewien.

Dla dziesięciorodnych przewidziano całą masę zajęć, jednak w odróżnieniu od dzieciuchów, nikogo nie zmusza się do uczestnictwa w nich. Częścią przygotowań do złożenia dziesięciny jest trwający miesiąc czasu reżimu polegający na fizycznej i psychicznej ocenie, który odbywa się jeszcze przed przyjęciem dziesięcinowym, po to, aby cała ciężka praca została wykonana

w domu, przed ich przybyciem na miejsce. Co prawda to nie jest ośrodek donacyjny, który wybrał dla siebie wraz ze swoimi rodzicami, ale jest dziesięciorodnym – a to oznacza dożywotnią wejściówkę, którą wszędzie akceptują.

Większość z pozostałych dziesięciorodnych znajduje się o tej porze dnia w Sali rekreacyjnej lub wraz z którąś z licznych grup modlitewnych. W domu dziesięciorodnych znajdują się duszpasterze różnych wyznań – pastorowie, księża, klerycy, rabini – ponieważ obrzęd oddawania Bogu najwspanialszych spośród swoich wiernych jest tradycją tak starą jak sama religia.

Lev uczęszcza na spotkania tak często jak jest to konieczne, a w trakcie czytania Biblii wypowiada wystarczająco wiele rzeczowych kwestii, aby nie wzbudzać niczyich podejrzeń. Zachowuje również ciszę, kiedy ustępy Biblii zostają pocięte na strzępy, by usprawiedliwić podzielenie, a wybrańcy zaczynają dostrzegać w przytoczonych fragmentach oblicze Boga.

– Mój wujek dostał serce dziesięciorodnego i teraz ludzie mówią, że potrafi dokonywać cudów.

– Znam pewną kobietę, która dostała ucho dziesięciorodnego. Słyszała płacz dziecka dobiegający przecznicę dalej i uratowała je od ognia!

– Jesteśmy komunią świętą.

– Jesteśmy manną z nieba.

– W każdym z nas jest cząstka Boga.

Amen.

Lev recytuje modły, mając nadzieję, że go odmienią i podniosą na duchu, jak to zwykły robić wcześniej, jednak jego serce stwardniało. Żałuje, że nie jest tak twarde jak diament, a przypomina jedynie kruszejący nefryt – może wtedy wybrałby inną drogę. Jednak w obliczu tego kim się stał, co czuje i czego nie czuje, droga ta jest słuszna. A jeśli jednak tak nie jest, cóż, nie przejmuje się tym na tyle, by to zmieniać.

Pozostali dziesięciorodni wiedzą, że Lev się od nich różni. Nigdy wcześniej nie widzieli upadłego dziesięciorodnego, a tym bardziej kogoś, kto niczym syn marnotrawny wyrzekł się swoich grzechów i powrócił do owczarni. Ale dziesięciorodni nie znają zazwyczaj zbyt wielu innych dziesięciorodnych. Będąc otoczonym przez tak wiele podobnych im osób, napawają się poczuciem bycia grupą wybrańców. Pomimo tego, Lev nie należy do tego kręgu.

Włącza bieżnię, upewniając się, że jego kroki są pewne, a odgłosy stąpania tak delikatne jak tylko to jest możliwe. Bieżnia jest supernowoczesna. Posiada wyświetlacz z dającą się zaprogramować panoramą: można biec przez las, bądź też wziąć udział w nowojorskim maratonie. Można nawet chodzić po wodzie. Levowi zalecono dodatkowe ćwiczenia fizyczne, kiedy przybył tutaj w ubiegłym tygodniu. Pierwszego dnia badania wykazały wysoki poziom triglicerydów w jego krwi. Jest pewien, że badania wykazały również ten sam problem u Mai i Blaine'a – choć ich troje zostało „pojmany” oddzielnie i przybyli w odstępie kilku dni od siebie, tak, aby nie można ich było w żaden sposób ze sobą powiązać.

„Albo są to uwarunkowania rodzinne, albo stosowałeś dietę bogatą w tłuszcze” – powiedział mu lekarz. Zalecił mu na czas jego pobytu w Happy Jack dietę niskotłuszczową i zasugerował dodatkowe ćwiczenia. Lev wie, że istnieje inny powód wysokiego poziomu triglicerydów w jego krwi. Prawdę powiedziawszy, w jego krwiobiegu nie krążą właściwie triglicerydy, a podobny związek chemiczny. Taki, który jest nieco mniej stabilny.

Jakiś chłopak wchodzi do sali ćwiczeń. Ma gęste włosy, które są tak jasne, że aż niemal białe, a oczy tak zielone, że jest pewien, iż miała w tym swój udział manipulacja genetyczna. Te oczy pójdą za wysoką cenę.

– Cześć, Lev. – Wchodzi na bieżnię obok Leva i zaczyna bieganie. – Co słychać?

– Nic. Po prostu sobie biegam.

Lev wie, że ten chłopak nie przyszedł tutaj z własnej woli. Dziesięćorodni nigdy nie powinni pozostawać sami. Został przysłany, aby mieć na niego oko.

– Niedługo rozpocznie się ceremonia palenia świec. Przyjdiesz?

Co wieczór zostaje zapalona świeca w intencji każdego dziesięćorodnego, który ma zostać podzielony następnego dnia. Każda z wyróżnionych osób wygłasza przemówienie. Wszyscy biją brawa. Lev uważa, że to odrażające.

– Przyjdę – odpowiada Lev.

– Zacząłeś już pracować nad swoim przemówieniem? – pyta. – Ja już swoje prawie skończyłem.

– Moje nadal jest jeszcze w kawałkach – odpowiada Lev.

Chłopak nie rozumie kawału. Lev wyłącza urządzenie. Chłopak nie pozostawi go samego tak długo jak tutaj jest, a Lev naprawdę nie ma ochoty rozmawiać z nim na temat chwały, jaka wynika z bycia wybranym. Woli my-

śleć o tych, którzy nie są wybrańcami i mają na tyle szczęścia, aby przebywać z dala od ośrodka donacyjnego – jak Risa i Connor, którzy zgodnie z jego wiedzą nadal przebywają w azylu, jakim jest Cmentarzysko. To wielka pociecha wiedzieć, że ich życie będzie nadal trwać, nawet kiedy jego już nie będzie.

* * *

Za pokojem stołowym znajduje się stara wiata na śmieci, która nie jest już wykorzystywana. Lev odkrył ją w ubiegłym tygodniu i doszedł do wniosku, że jest to idealne miejsce na potajemne spotkania. Kiedy przybywa tam tamtego poranka, Mai kroczy po małej przestrzeni. Z każdym dniem staje się coraz bardziej nerwowa.

– Ile jeszcze mamy czekać? – pyta.

– Gdzie ci się tak śpieszy? – odpowiada Lev. – Będziemy czekać tak długo, aż nadejdzie odpowiedni moment.

Blaine wyciąga ze swojej skarpety sześć niewielkich papierowych opakowań, rozrywa jedno z nich i wyciąga z niego mały okrągły plaster opatrunkowy.

– A to po co? – dziwi się Mai.

– Po to, żebyś się głupio pytała.

– Jesteś taki dziecinny!

Mai zawsze miała krewkie usposobienie, zwłaszcza wobec Blaine'a, jednak dzisiejszego wieczoru w jej zachowaniu kryje się coś znacznie więcej niż to.

– O co chodzi, Mai? – pyta Lev.

Mai odczekuje chwilę, nim odpowiada. – Widziałam dzisiaj rano tę dziewczynę, która grała na dachu krajalnicy. Znam ją z Cmentarzyska – a ona zna mnie.

– To niemożliwe. Jeżeli jest z Cmentarzyska, to co by tutaj robiła? – stwierdza Blaine.

– Wiem, co widziałam. I myślę, że są tu także inne osoby z Cmentarzyska. Co, jeśli nas rozpoznają?

Blaine i Mai spoglądają na Leva, jak gdyby potrafił to wyjaśnić. Prawdę powiedziawszy, potrafi.

– To muszą być ci, których wysłano na robotę i ich złapano, to wszystko – mówi.

Mai uspokaja się.

– Tak. Tak, to musi być to.

– Jeśli nas rozpoznają – oznajmia Blaine – możemy powiedzieć, że to samo przytrafiło się nam.

– I proszę – kwituje Lev. – Problem rozwiązany.

– Dobrze – odpowiada Blaine. – Wracajmy do naszej sprawy. Więc... myślę, że powinniśmy rozpocząć pojutrze, z uwagi na to, że dzień później mam przewidziany mecz piłkarski i nie sądzę, aby dobrze się potoczył.

Następnie wręcza dwa małe plastry Mai i dwa Levowi.

– Po co nam te plastry? – pyta Mai.

– Powiedziano mi, abym wam je dał, kiedy się tutaj znajdziemy. – Blaine przytrzymuje jeden z nich pomiędzy palcami, który zwisa niczym małe cielisty listek. – To nie są plastry opatrunkowe – wyjaśnia. – To detonatory.

Nigdy nie było żadnej roboty przy rurociągu na Alasce. W końcu, który Podzielony zgłosiłby się do takiej pracy? Rozchodziło się o to, aby mieć pewność, że to Lev, Mai i Blaine zgłoszą się na ochotników. Furgonetka zabrała ich z Cmentarzyska do podupadłego domu, w podupadłej okolicy, gdzie podupadli na duchu ludzie planowali nieczne uczynki.

Ci ludzie przerażali Leva, jednak pomimo tego czuł z nimi jakąś więź. Oni rozumieli niedolę bycia zdradzonym przez życie. Rozumieli, co to za uczucie nosić w swoim wnętrzu ogromną pustkę. I kiedy powiedzieli mu, jak ważny jest jego udział w całym przedsięwzięciu, Lev poczuł się, po raz pierwszy od bardzo dawna, naprawdę ważny.

Słowo „zło” nigdy nie zostało przez nich użyte – poza opisaniem zła, które wyrządził im świat. To, o co prosili Leva, Mai i Blaine’a nie było złe – nie, nie, nie, zupełnie nie. To był wyraz tego wszystkiego, co odczuwali wewnątrz. To był duch i natura, i wyraz tego wszystkiego, czym się stali. Nie byli jedynie posłańcami, byli przesłaniem. Tym właśnie wypełnili umysł Leva i nie różniło się to niczym od śmiertelnej materii, którą wypełnili jego krew. To było wynaturzone. To było moralnie niewłaściwe. A pomimo to, idealne odpowiadało Levowi.

– Nie kieruje nami żaden powód, lecz chaos. – Cleaver, ich werbownik, zawsze zwykł to powtarzać. To, z czego Cleaver nigdy nie zdawał sobie sprawy, nawet będąc u krańca swego życia, to to, że chaos jest tak samo istotnym powodem jak każdy inny. Może się nawet przeobrazić w religię dla

tych nieszczęśników, którzy zostali w tej ideologii ochrzczeni, dla tych, którzy pociechę odnajdują jedynie w jej mętnych wodach.

Lev nic nie wie o zgubnym końcu Cleavera. Nie wie, lub nie przejmuje się tym, że sam jest wykorzystywany. Jedyne co Lev wie, to że wkrótce, któregoś dnia, świat odczuje małą namiastkę straty i pustki oraz bezdennego rozczarowania, które sam odczuwa wewnątrz.

I poznają tę chwilę, kiedy podniesie dłonie do oklasków.



58. CONNOR

Connor spożywa śniadanie tak szybko, jak tylko może. Nie dlatego, że jest głodny, ale dlatego, że jest inne miejsce, w którym chce być. Pora śniadania Risy wyznaczona jest tuż przed jego. Jeżeli będzie się ociągała, a on się pośpieszy, to mogą sprawić, aby ich ścieżki skrzyżowały się bez przyciągania uwagi pracowników Happy Jack.

Spotykają się w damskiej łazience. Ostatnim razem, kiedy byli zmuszeni spotkać się w podobnym miejscu, zajęli oddzielne, odizolowane kabiny. Tym razem dzielą jedną wspólnie. Obejmują się w tym ciasnym pomieszczeniu, nie szukając ku temu żadnych wymówek. W ich życiu nie ma czasu na gierki, albo zakłopotanie, lub udawanie, że nie zależy im na sobie, więc całują się tak, jak gdyby robili to od zawsze. Jak gdyby było to im tak niezbędne do życia jak tlen.

Risa dotyka siniaków na jego twarzy i szyi, tych, których nabawił się w bójce z Rolandem. Pyta go, co się wydarzyło. Odpowiada jej, że to nieistotne. Ona mówi mu, że nie może zbyt długo zostać, że Dalton i pozostali członkowie zespołu będą na nią czekać na dachu krajalnicy.

– Słyszałem, jak grasz – mówi jej Connor. – Jesteś niesamowita.

Ponownie ją całuje. Nie rozmawiają o podzieleniu. W tej właśnie chwili nic takiego nie istnieje. Connor wie, że posunęliby się dalej, gdyby mogli – jednak nie tutaj, nie w miejscu takim jak to. To nigdy nie będzie im dane, jednak odczuwa pewną radość, wiedząc, że w jakimś innym miejscu i czasie doszłoby do tego. Przytrzymuje ją przez dziesięć sekund, dwadzieścia. Trzy-

dzieści. Następnie Risa wyslizguje się, a on powraca do sali jadalnej. Po kilku minutach słyszy jak gra, dźwięki jej muzyki wylewają się, wypełniając Happy Jack wesołą, przyprawiającą o szybsze pulsowanie melodią potępieńców.



59. ROLAND

Przychodzą po Rolanda tego samego ranka, tuż po śniadaniu. Psycholog z ośrodka i dwóch strażników osaczają go na korytarzu dormitorium, izolując od reszty.

- To nie o mnie wam chodzi – woła rozpaczliwie Roland.
- To nie ja jestem ZOMZ-em z Akron. To Connora chcecie.
- Obawiam się, że nie – odpowiada psycholog.
- Ale... jestem tutaj dopiero od kilku dni... – Wie, dlaczego do tego doszło. To dlatego, że uderzył tamtego faceta piłką do siatkówki, to musi chodzić o to. A może chodzi o jego bójkę z Connorem. Connor go wydał! Wiedział, że Connor go wyda!
- Chodzi o twoją grupę krwi – wyjaśnia psycholog. – AB Rh minus – jest rzadka i jest na nią bardzo duże zapotrzebowanie. – Uśmiecha się. – Pomyśl o tym w ten sposób, że jesteś wart więcej niż jakikolwiek inny dzieciak w twoim pokoju.
- Ty to masz szczęście – stwierdza jeden ze strażników, chwytając Connora za ramię.
- Jeżeli to jakkolwiek pociecha – dodaje psycholog – to twój przyjaciel Connor ma wyznaczony termin podzielenia na dzisiejsze popołudnie.

Nogi Rolanda uginają się pod nim, kiedy wyprowadzają go na światło dzienne. Czerwony dywan rozciąga się przed nim kolorem zaschniętej krwi. Za każdym razem, kiedy jakiś dzieciak przechodzi przez tę okropną ka-

mienną ścieżkę, od razu ją przeskakuje, jakby dotknięcie jej przynosiło pecha. Teraz jednak nie pozwolą Rolandowi z niej zejść.

– Chcę się widzieć z księdzem! – woła Roland. – Przysyłają przecież ludziom księży, nie? Chcę księdza!

– Księża udzielają ostatniego namaszczenia – odpowiada psycholog, kładąc łagodnie dłoń na jego ramieniu. – Tym, którzy umierają. Ty nie umierasz – nadal będziesz żył, tylko w innym stanie.

– Mimo to chcę księdza.

– Dobrze, zobaczę co da się zrobić.

Zespół na dachu krajalnicy rozpoczął swoją poranną wiązanekę utworów. Grają dobrze znaną taneczną melodię, jakby szydząc z pieśni żałobnej odgrywanej w jego głowie. Wie, że Risa jest teraz w zespole. Dostrzega ją na górze grającą na keyboardzie. Wie, że go nienawidzi, a pomimo tego macha do niej, próbując zwrócić na siebie jej uwagę. Nawet odwzajemnienie przywitania od kogoś, kto go nienawidzi, jest lepsze, niż obcy, którzy przyglądają się jak wiodą go na śmierć.

Risa nie zwraca oczu w stronę czerwonego dywanu. Nie widzi go. Nie wie. Być może ktoś jej powie, że dzisiaj go podzielono. Zastanawia się, co ona wtedy poczuje.

Dotarli do końca czerwonego dywanu. Do drzwi krajalnicy wiedzie pięć kamiennych stopni. Roland zatrzymuje się przy najniższym z nich. Strażnicy próbują ciągnąć go za sobą, jednak on strząsa ich dłonie.

– Potrzebuję więcej czasu. Jeszcze jednego dnia. To wszystko. Jeszcze jeden dzień. Jutro będę gotów. Obiecuję!

Ponad nim zespół wciąż przygrywa. Roland chce krzyknąć, jednak w tym miejscu, tak blisko krajalnicy, jego krzyki zostaną zagłuszone przez muzykę.

Psycholog daje znać strażnikom. Chwytają go mocniej tuż pod pachami, zmuszając go do pokonania tych pięciu stopni. Po chwili przechodzi przez drzwi, które zamykają się za nim, odgradzając od niego świat. Nie słyszy już nawet grającego zespołu. Krajalnica jest dźwiękoszczelna. Z jakiegoś powodu wiedział, że tak będzie.



60. POBIERANIE TKANEK

Nikt wie, jak się to odbywa. Nikt nie wie, jak to się robi. Pobieranie tkanek od Podzielonych jest tajemniczym medycznym rytuałem, który nie opuszcza murów żadnej z klinik donacyjnych w kraju. Tym sposobem nie różni się to od samej śmierci, ponieważ nikt również nie wie, jakie tajemnice skrywają jej zamknięte drzwi.

Co jest potrzebne, aby podzielić niechciane dziecko? Potrzeba dwunastu chirurgów w dwuosobowych zespołach, zmieniających się przy stole w zależności od potrzebnej specjalizacji. Potrzeba dziewięciu asystentów i czterech pielęgniarek. Potrzeba trzech godzin.



61. ROLAND

Roland znajduje się wewnątrz od piętnastu minut.

Personel medyczny, który kręci się wokół niego ma na sobie kitle koloru uśmiechniętej buzi.

Jego ręce i nogi przymocowano do stołu operacyjnego mocnymi pasami mocującymi, które są jednak wyściełane wewnątrz, więc nie wyrządzi sobie krzywdy, jeśli będzie się szarpał.

Pielęgniarka osusza jego czoło z potu.

– Spokojnie, jestem tutaj, aby pomóc ci przez to przejść.

Roland czuje ostre ukłucie z prawej strony szyi, a następnie z lewej.

– Co to?

– To – odpowiada pielęgniarka – jedyny ból, jaki dzisiaj poczujesz.

– W takim razie to już ten czas – oznajmia Roland. – Usypiacie mnie?

Chociaż nie widzi jej ust skrywanych pod maseczką chirurgiczną, to dostrzega uśmiech na jej twarzy.

– Bynajmniej – odpowiada. – Zgodnie z prawem jesteśmy zobligowani, abyś pozostał przytomny podczas całej procedury. – Pielęgniarka ujmuje go za dłoń. – Masz prawo wiedzieć o wszystkim, co się z tobą dzieje, o każdym kroku twojej drogi.

– A co, jeśli nie chcę?

– Będziesz chciał – wtrąca jeden z asystentów, przecierając nogi Rolanda gazikiem nasączonym środkiem dezynfekcyjnym. – Wszyscy chcą.

– Właśnie umieściliśmy cewnik w twojej tętnicy i żyły szyjnej – wyjaśnia pielęgniarka. – Teraz twoja krew jest zastępowana syntetycznym, bogatym w tlen roztworem.

– Prawdziwą posyłamy prosto do banku krwi – dodaje asystent stojący przy jego stopach. – Nie marnuje się ani kropelka. Możesz być pewien, że ocalisz ludzkie życie!

– Roztwór tlenu zawiera również środek znieczulający, który wyłączy receptory bólu. – Pielęgniarka głaszcze jego dłoń. – Będziesz całkowicie przytomny, jednak niczego nie poczujesz.

Już teraz Roland czuje, jak jego kończyny zaczynają drętwieć. Przetyka z trudem.

- Nienawidzę tego. Nienawidzę ciebie. Nienawidzę was wszystkich.
- To zrozumiałe.

Jest wewnątrz od dwudziestu ośmiu minut.

Przybył pierwszy zespół chirurgów.

– Nie przejmuj się nimi – uspokaja go pielęgniarka. – Porozmawiaj ze mną.

- O czym mamy rozmawiać?
- O czym tylko chcesz.

Ktoś upuszcza jakiś instrument chirurgiczny. Brzęczy na stole i upada na podłogę. Roland wzdryga się. Pielęgniarka ściska go mocno za dłoń.

– Możesz doznać uczucia szarpania w okolicach kostek – wyjaśnia jeden z chirurgów stojących u podnóża stołu. – Nie ma się czym przejmować.

Jest wewnątrz od czterdziestu pięciu minut.

Tak wielu chirurgów, tak wiele się dzieje. Roland nie przypomina sobie, aby kiedykolwiek poświęcono mu tyle uwagi. Chce spojrzeć, jednak pielęgniarka skupia jego uwagę. Czytała jego teczkę. Wie o nim wszystko. To co dobre i to co złe. Rzeczy, o których nigdy nie mówi. Rzeczy, o których nie potrafi teraz przestać mówić.

- To okropne, co zrobił twój ojczym.
- Chroniłem jedynie moją matkę.
- Skalpel – prosi chirurg.
- Powinna być ci wdzięczna.
- Wysłała mnie na podzielenie.

- Jestem pewna, że to nie było dla niej łatwe.
- W porządku, a teraz zacisk.

Godzina i piętnaście minut.

Chirurdzy wychodzą, pojawiają się kolejni. Nowi przejawiają wielkie zainteresowanie jego brzuchem. Spogląda w stronę palców u swoich nóg, jednak ich nie widzi. Zamiast tego dostrzega asystenta sprzątającego dolny segment blatu stołu.

- Wczoraj o mało kogoś nie zabiłem.
- To już nieistotne.
- Chciałem to zrobić, ale się przestraszyłem. Nie wiem dlaczego, ale się przestraszyłem.
- Zapomnij o tym. - Pielęgniarka trzymała wcześniej jego dłoń. Teraz tego nie robi.

- Silne mięśnie brzuszne - stwierdza lekarz. - Ćwiczysz?

Szczęk metalu. Dolna część stołu zostaje odczepiona i gdzieś odciągnięta. To przywołuje w nim obraz, kiedy miał dwanaście lat i jego mama zabrała go do Las Vegas. Podrzuciła go na seans iluzjonistyczny, podczas gdy sama w tym czasie grała na automatach do gier. Iluzjonista przeciął kobietę na pół. Palce u jej stóp wciąż się poruszały, jej twarz wciąż się uśmiechała. Publiczność nagrodziła go gromkimi brawami.

Teraz Roland odczuwa dyskomfort w swoim brzuchu. Dyskomfort, uczucie łaskotania, ale nie ból. Chirurdzy coś usuwają. Stara się nie patrzeć, jednak nie może nic na to poradzić. Nie ma żadnej krwi, jedynie bogaty w tlen roztwór, który jest fluorescencyjnie zielony, jak płyn przeciw zamarzaniu.

- Boję się - oznajmia.
- Wiem - odpowiada pielęgniarka.
- Chcę, abyście wszyscy poszli do diabła.
- To naturalne.

Jeden zespół wychodzi, kolejny przychodzi. Przejawiają wielkie zainteresowanie jego klatką piersiową.

Godzina i czterdzieści pięć minut.

- Obawiam się, że musimy przerwać naszą rozmowę.
- Nie odchodź.
- Będę tu, jednak nie możemy już ze sobą rozmawiać.

Ogarnia go strach, w którym pogrąża się coraz bardziej. Próbuje zastąpić go złością, jednak strach jest zbyt silny. Próbuje zastąpić go poczuciem satysfakcji, że Connora również niedługo zabiorą, jednak nawet to nie sprawia, że czuje się lepiej.

– Poczujesz mrowienie w piersi – wyjaśnia chirurg. – Nie ma się czym przejmować.

Dwie godziny i pięć minut.

– Zamrugaj dwukrotnie, jeśli mnie słyszysz.

Mrugnięcie, mrugnięcie.

– Jesteś bardzo dzielny.

Stara się myśleć o innych rzeczach, o innych miejscach, jednak jego myśli wciąż powracają do tej sali. Wszyscy są teraz wokół niego tak blisko. Żółte postaci nachylają się nad nim ze wszystkich stron niczym otaczające go płatki kwiatu. Zabierają kolejną część stołu. Płatki przysuwają się bliżej. Nie zasługuje na to. Dopuścił się wielu rzeczy, nie wszystkie były dobre, ale nie zasługuje na to.

I nigdy nie dostał swojego księdza.

Dwie godziny i dwadzieścia minut.

– Poczujesz mrowienie w szczęce. Nie ma się czym przejmować.

– Zamrugaj dwukrotnie, jeśli mnie słyszysz.

Mrugnięcie, mrugnięcie.

– Dobrze.

Skupia wzrok na pielęgniarce, której oczy wciąż się uśmiechają. Zawsze się uśmiechają. Ktoś obdarzył ją wiecznie uśmiechającymi się oczyma.

– Obawiam się, że będziesz musiał przestać mrugać.

– Jaki czas? – pyta któryś z chirurgów.

– Dwie godziny i trzydzieści trzy minuty.

– Mamy opóźnienie.

Nie całkowita ciemność, a jedynie absencja światła. Słyszy wszystko dookoła niego, jednak nie potrafi się już komunikować. Na salę wchodzi kolejny zespół.

– Nadal tu jestem – zapewnia go pielęgniarka, jednak następnie milknie. Kilka chwil później słyszy kroki i wie, że odeszła.

– Poczujesz mrowienie na skórze głowy – uprzedza chirurg. – Nie ma się czym przejmować. – To ostatni raz, kiedy się do niego zwracają.

Po tym, lekarze rozmawiają tak, jak gdyby Rolanda tam już nie było.

– Oglądałeś wczorajszy mecz?

– Porażka w ostatniej chwili.

– Przecinam ciało modzelowate.

– Niezła technika.

– Przecież to nie operacja mózgu. – Śmiech naokoło.

Wspomnienia migoczą i rozbłyskują. Twarze. Zjawiskowe impulsy światła głęboko zakorzenione w jego umyśle. Rzeczy, o których nie myślał od lat. Wspomnienia rozkwitają, a w następnej chwili rozpryskują się niczym bańka mydlana. Kiedy Roland miał dziesięć lat złamał rękę. Lekarz powiedział jego mamie, że może dostać albo nową, albo gips. Gips był tańszy. Narysował na nim rekina. Kiedy gips zdjęto, zrobił sobie tatuaż, aby rekin pozostał z nim na stałe.

– Gdyby trafili za te trzy punkty.

– Znowu wygrają Byki. Albo Lakersi.

– Zaczynam od lewej kory mózgowej.

Kolejne przebłyski wspomnień.

Kiedy miałem sześć lat ojciec poszedł do więzienia za coś, czego dopuścił się przed moimi narodzinami. Nigdy nie dowiedziałem się, co zrobił, ale moja mama mówi, że jestem taki sam jak on.

– Sunsi nie mają szans.

– Może gdyby mieli przyzwoitego trenera...

– Lewy płat skroniowy.

Kiedy miałem trzy lata, miałem opiekunkę. Była piękna. Potrząsnęła moją siostrą. Naprawdę mocno. Z moją siostrą było źle. Nigdy już z tego nie wyszła. Piękno jest niebezpieczne. Lepiej dopaść je pierwsze, nim ono dopadnie ciebie.

– Może dotrą do playoffów w przyszłym roku.

– Albo w jeszcze następnym.

– Wyjeliśmy nerwy słuchowe?

– Jeszcze nie. – Właśnie je wyj...

Jestem sam. I płaczę. I nikt nie podchodzi do łóżeczka. I żarówka w lampce nocnej się wypaliła. I jestem zły. Tak bardzo zły.

Lewy płat czołowy.

Ja...ja... nie czuję się zbyt dobrze.

Lewy płat potyliczny.

Ja... ja... nie pamiętam gdzie...

Lewy płat ciemieniowy.

Ja... ja... nie pamiętam swojego imienia, ale... ale...

Prawy skroniowy.

...nadal tu jestem.

Prawy czołowy.

Ja nadal tu jestem...

Prawy potyliczny.

Ja nadal...

Prawy ciemieniowy. Ja...

Mózdzek.

Ja...

Wzgórze.

J...

Podwzgórze.

J...

Hipokamp.

...

Rdzeń.

– Jaki czas?

– Trzy godziny i dziewiętnaście minut.

– W porządku, idę na przerwę. Przygotujcie się na następnego.



62. LEV

Detonatory ukryte są w skarpecie z tyłu jego szafki. Jeżeli ktokolwiek je znajdzie, to pomyśli, że to opatrunki. Stara się o tym nie myśleć. To rola Blaine'a, aby się tym przejmować i żeby poinformować go, kiedy nastanie właściwy czas.

Dzisiaj dziesięciorodni z pokoju Leva udają się na łono natury, aby poobcować ze wszechświatem. Pastor, który ich prowadzi jest jednym z bardziej zadufanych w sobie. Wysławia się tak, jakby wszystkie słowa wychodzące z jego ust były złotymi myślami, robiąc pauzę po każdej myśli, zupełnie jakby oczekiwał, że ktoś je zapisze.

Prowadzi ich do dziwnego pozbawionego liści drzewa. Lev, który przywykł do zim obfitych w lód i śnieg, uważa za dziwne, że drzewa w Arizonie nadal tracą liście. To drzewo ma mnóstwo gałęzi, które nie do końca do siebie pasują, każda z nich ma inną korę i inną fakturę.

– Chciałem, żebyście to zobaczyli – oznajmia im pastor. – Teraz nie ma za wiele do oglądania, jednak, ach! – powinniście je zobaczyć na wiosnę. Przez lata wielu z nas zaszczepiło do pnia gałęzie ze swoich ulubionych drzew. – Wskazuje na różne konary. – Ta gałąź wypuszcza różowo-wiśniowe kwiaty, a ta porasta olbrzymimi jaworowymi liśćmi. Ta tutaj pokrywa się fioletowymi kwiatami jakarandy, a ta obradza obficie w brzoskwinie.

Dziesięciorodni przyglądają się dokładnie drzewu, dotykając ostrożnie gałęzi, zupełnie jakby w każdej chwili mogło zamienić się w gorejący krzew.

– Jakiego rodzaju było to drzewo na samym początku? – pyta jeden z dziesięciorodnych.

Pastor nie potrafi mu odpowiedzieć.

– Nie jestem pewien, ale to naprawdę nieistotne – ważne jest to, czym się stało. Nazywamy je naszym małym „drzewem życia”. Czyż nie jest wspaniałe?

– Nie ma w tym nic wspaniałego. – Słowa wydostają się z ust Leva, nim ten zdąży zdać sobie z tego sprawę. Zupełnie jak przy nagłym, niespodziewanym beknięciu. Oczy wszystkich zwracają się w jego stronę. Szybko się poprawia. – To dzieło człowieka, a my nie powinniśmy okazywać pychy – tłumaczy. – „Za pychą przychodzi hańba, lecz u pokornych jest mądrość”[1].

– Tak – odpowiada pastor. – Przypowieści Salomona. Rozdział jedenasty, zgadza się?

– Przypowieści Salomona, Rozdział 11, werset 2.

– Bardzo dobrze, Lev – odpowiada duchowny, po czym dodaje ze stosowną pokorą. – Cóż, na wiosnę jest ładne.

Ich droga powrotna do domu dziesięciorodnych wiedzie przez boiska i korty, gdzie dzieciuchy podlegają obserwacji i pilnuje się, aby byli w jak najlepszej kondycji fizycznej nim zostaną podzieleni. Dziesięcirodni zmuszeni są tolerować okazjonalne drwiny i szykany ze strony dzieciuchów, zupełnie jak cierpiętnicy.

Kiedy mijają jedno z dormitoriów, Lev staje twarzą w twarz z kimś, kogo nie spodziewał się więcej zobaczyć. Staje naprzeciw Connora.

Każdy z nich zmierzał w innym kierunku. Każdy dostrzega drugiego w tej samej chwili i gwałtownie się zatrzymuje, wpatrując się w całkowitym szoku.

– Lev?

Nagle pompatyczny pastor zjawia się obok niego, chwytając Leva za ramiona.

– Trzymaj się od niego z daleka! – rzuca opryskliwie pastor do Connora.

– Czy nie wyrządziłeś już wystarczająco wiele szkód? – Następnie odprowadza go pośpiesznie, zostawiając Connora samego.

– Już dobrze – uspokaja go pastor, wciąż mocno trzymając Leva za ramiona swoim opiekuńczym ramieniem. – Wszyscy jesteśmy świadomi tego, kim on jest i czego się względem ciebie dopuścił. Mieliśmy nadzieję, że nie dowiesz się o tym, że został umieszczony w tym samym ośrodku. Jednak

obiecuję ci, Lev, że on już nigdy więcej cię nie skrzywdzi. – A następnie dodaje przyciszonym głosem: – Dzisiejszego popołudnia zostanie podzielony.

– Co?

– Krzyżyk na drogę!

Dziesięciornodni pozostawieni bez opieki na terenie Happy Jack to niecodzienny widok – chociaż zazwyczaj trzymają się w grupach – lub w najgorszym przypadku, w grupach dwuosobowych. To rzadkość, widzieć jednego z nich, śpieszącego się gdzieś, niemal gnającego przez boiska.

Lev nie zwlekał zbyt długo, kiedy powrócił do domu dziesięciornodnych – wykorzystał pierwszą nadarzącą się okazję, aby się wymknąć. Teraz szuka wszędzie Blaine'a i Mai.

Connor dzisiejszego popołudnia zostanie podzielony. Jak mogło do tego dojść? Jak tutaj trafił? Connor był przecież bezpieczny na Cmentarzysku. Czy Admirał go wyrzucił, czy też sam odszedł? Tak czy inaczej, Connor musiał zostać złapany i przywieziony tutaj. Jedyna rzecz, w której Lev znajdował pocieszenie – bezpieczeństwo jego przyjaciół – została mu teraz odebrana. Nie można dopuścić do podzielenia Connora... i w mocy Leva jest to powstrzymać.

Odnajduje Blaine'a na trawiastych błoniach pomiędzy stołówką i dormitoriami, biorącego udział w zajęciach z rytmiki wraz z członkami swojego pokoju. Blaine nie wysila się zbyt mocno, wykonując wszystkie ruchy w swoim własnym tempie.

– Musimy pogadać.

Blaine spogląda na niego, zaskoczony i wściekły.

– Co, odbiło ci? Co ty tu robisz?

Dostrzega ich pracownik ośrodka i zmierza w ich kierunku – w końcu wszyscy wiedzą, że dziesięciornodni i dzieciuchy nie spoufalają się ze sobą.

– Wszystko w porządku – wyjaśnia mu Lev. – Mieszkaliśmy niedaleko siebie. Chciałem się po prostu pożegnać.

Pracownik niechętnie przytakuje, wyrażając zgodę.

– W porządku, ale pośpieszcie się.

Lev odciąga Blaine'a na bok, pilnując by znaleźli się wystarczająco daleko, aby nikt nie mógł ich usłyszeć.

– Zrobimy to dzisiaj – oznajmia Lev. – Koniec z czekaniem.

– Hej – upomina go Blaine. – To ja decyduję o tym, kiedy to zrobimy i mówię ci, że to jeszcze nie pora.

– Im dłużej czekamy, tym dłużej ryzykujemy przypadkowym wybuchem.

– No i? Przypadkowość też się sprawdza.

Lev chce walnąć Blaine'a, jednak wie, że jeżeli to zrobi, to pozostawią po sobie krater szeroki na blisko pięćdziesiąt metrów, więc mówi Blaine'owi jedyną rzecz, dzięki której ten zmieni zdanie.

– Wiedzą o nas – szepcze Lev.

– Co?

– Nie znają nazwisk, ale wiedzą, że klakierzy są tutaj – jestem pewien, że w tej chwili ponownie sprawdzają wyniki badań krwi, szukając czegoś nietypowego. To nie potrwa długo, zanim nas namierzą.

Blaine zaciska zęby i przeklina. Przez chwilę się namyśla, po czym zaczyna kręcić głową.

– Nie. Nie jestem gotowy.

– To nie ma znaczenia. Chcesz chaosu? Będziesz go dzisiaj miał, czy tego chcesz czy nie – bo jeśli nas odkryją, to jak ci się wydaje, co wtedy z nami zrobią?

Blaine pobladł na samą myśl o tym.

– Zdetonują nas w lesie?

– Albo na pustyni, gdzie nikt się nawet nie dowie.

Blaine rozważa to przez chwilę, następnie bierze głęboki, drżący oddech.

– Poszukam Mai w czasie lunchu i powiem jej. Zaczynamy punktualnie o drugiej.

– Niech będzie o pierwszej.

Lev przetrząsa zawartość szafki, czując wzbierającą w nim irytację. Te skarpety muszą gdzieś tu być! Muszą – jednak nie potrafi ich znaleźć.

Detonatory nie są najistotniejsze, ale dzięki nim sprawa przebiegnie bardziej gładko. Lev chce, żeby poszło gładko. Gładko i szybko.

– To moje.

Lev odwraca się i zauważa chłopaka o jasnych blond włosach ze szmaragdowymi oczyma, który stoi za nim.

– To moja szafka. Twoja jest tam.

Lev rozgląda się naokoło i uświadamia sobie, że pomylił się o jedno łóżko. W tym pokoju nie ma niczego, po czym można by było odróżnić jedno łóżko, czy też jedną szafkę od drugiej.

– Jeżeli potrzebujesz skarpetek, to mogę ci pożyczyć.

– Nie, mam wystarczająco dużo własnych, dzięki. – Bierze głęboki oddech, zamyka oczy, aby utrzymać panikę pod kontrolą i podchodzi do właściwej szafki. Skarpeta z detonatorami jest na swoim miejscu. Wsuwa ją do kieszeni.

– Wszystko w porządku, Lev? Wyglądasz nieco dziwnie.

– Nic mi nie jest. Po prostu biegałem. Biegałem na bieżni.

– Nieprawda – odpowiada chłopak. Wracam właśnie z siłowni.

– Posłuchaj, pilnuj własnych spraw, okay? Nie jestem twoim kumplem ani przyjacielem.

– Ale powinniśmy być przyjaciółmi.

– Nie. Nie znasz mnie. Nie jestem taki jak ty, okay, więc zostaw mnie w spokoju!

Następnie słyszy głęboki głos dobiegający zza jego pleców.

– Wystarczy, Lev.

Odwraca się i jego oczom ukazuje się mężczyzna w garniturze. To nie jest żaden z pastorów lecz psycholog, który przyjmował go do ośrodka w ubiegłym tygodniu. To nie może oznaczać nic dobrego.

Psycholog kiwa głową do chłopaka o jasnych blond włosach.

– Dziękuję ci, Sterling. – Chłopak spuszcza wzrok i pośpiesznie wychodzi.

– Przydzieliliśmy Sterlinga, żeby miał na ciebie oko i dopilnował, żebyś się przystosował. Jesteśmy, mówiąc najdelikatniej, zaniepokojeni.

Lev siedzi w pokoju w towarzystwie psychologa i dwóch pastorów. Skarpetka wypycha mu kieszeń. Nerwowo porusza kolanami, następnie przypomina sobie, że nie powinien wykonywać żadnych gwałtownych ruchów, w przeciwnym razie może eksplodować. Zmusza się, by przestać.

– Wydajesz się być zatroskany, Lev – zauważa psycholog. – Chcielibyśmy poznać powód.

Lev spogląda na zegarek. Jest 12:48. Dzieli go dwanaście minut od spotkania z Mai i Blainem i wprowadzenia planu w życie.

– Mam zostać złożony jako dziesięcina – odpowiada Lev. – Czy to nie jest wystarczający powód?

Młodszy z dwójki pastorów pochyła się do przodu.

– Staramy się dopilnować, aby każdy z dziesięciordnych wkraczał w podzielony stan w odpowiednim stanie ducha.

– Nie wykonywalibyśmy swojej pracy, gdybyśmy nie chcieli dla ciebie jak najlepiej – dodaje starszy z pastorów. Następnie na jego twarzy pojawia się uśmiech tak wymuszony, że bardziej przypomina grymas.

Lev chce na nich nawrzeszczyć, jednak wie, że to wcale nie sprawi, że wyjdzie stąd szybciej.

– Po prostu nie potrzebuję teraz niczyjego towarzystwa. Wolałbym się do tego przygotować w samotności, okay?

– Ale to nie jest okay – odpowiada starszy z pastorów.

– Nie tak tutaj postępujemy. Wszyscy wspierają siebie nawzajem.

Młodszy z pastorów przybliży się w kierunku Leva.

– Musisz dać innym chłopcom szansę. To dobre dzieciaki.

– Ale może ja taki nie jestem! – Lev nie może się powstrzymać, aby ponownie nie spojrzeć na zegarek. Za dziesięć pierwsza. Mai i Blaine będą na miejscu za dziesięć minut. A co, jeśli on nadal będzie siedział w tym parzowym biurze? Po prostu wspaniale.

– Czy jest jakieś miejsce, w którym musisz być? – docieka psycholog. – Nieustannie sprawdzasz godzinę.

Lev wie, że jego odpowiedź musi być sensowna, inaczej naprawdę zaczną nabierać wobec niego podejrzeń.

– Ja... ja słyszałem, że ten chłopak, który mnie uprowadził ma zostać dzisiaj podzielony. Po prostu zastanawiałem się, czy już po wszystkim.

Pastorowie spoglądają to na siebie nawzajem to na psychologa, który opiera się o siedzenie krzesła, zachowując przy tym stoicki spokój.

– Jeżeli nie został jeszcze podzielony, to wkrótce zostanie. Lev, uważam, że szczerze wyznanie o tym, co ci się przytrafiło, kiedy byłeś przetrzymywany jako zakładnik, wyjdzie ci na dobre. Jestem pewien, że to było straszne, jednak rozmowa może złagodzić potęgę tych wspomnień. Chciałbym zorganizować dziś wieczorem specjalne spotkanie z tobą i twoimi współlokatorami. Będiesz miał wtedy możliwość wyjawienia innym, co skrywasz wewnątrz. Przekonasz się, że będą bardzo wyrozumiali.

– Dziś wieczorem – potwierdza Lev. – Okay. W porządku. Wieczorem będę rozmawiał o wszystkim. Może ma pan rację i dzięki temu lepiej się poczuję.

- Chcemy jedynie zapewnić ci spokój ducha – zapewnia jeden z pastorów.
- Więc mogę już iść?

Psycholog przygląda mu się uważnie przez dłuższą chwilę.

- Wydajesz się być taki spięty. Chciałbym omówić z tobą pewne instrukowane ćwiczenia relaksacyjne...

[1] Biblia Warszawska – przyp. tłum.



63. STRAŻNIK

Nienawidzi swojej roboty, nienawidzi gorąca, nienawidzi tego, że musi stać przez wiele godzin przed kralnicą, strzegąc drzwi, pilnując, aby nikt nieupoważniony przez nie nie wszedł ani nie wyszedł. Jeszcze w StaDo miał marzenie, aby założyć własny interes z kumplami, jednak nikt nie pożyczą dzieciakom ze StaDo pieniędzy na otwarcie własnego biznesu. Nawet kiedy zmienił nazwisko z Ward na Mullard – nazwisko najbogatszej rodziny w mieście – nie mógł nikogo oszukać. Okazuje się, że połowa dzieciaków z jego domu stanowego przyjęła to nazwisko, opuszczając ośrodek, i sądząc, że uda im się przechytrzyć świat. Ostatecznie przechytrzył jedynie samego siebie. Najlepsze, co udało mu się osiągnąć, to znalezienie szeregu niewdzięcznych zajęć jeszcze tego samego roku, kiedy opuścił StaDo. Z których ostatnim okazała się być posada strażnika w ośrodku donacyjnym.

Na dachu zespół rozpoczął swój popołudniowy repertuar. Przynajmniej dzięki temu czas upływa nieco szybciej.

Zbliża się dwoje Podzielonych i wchodzi po stopniach w jego stronę. Nie są eskortowani przez strażników i oboje niosą talerze przykryte aluminiową folią. Strażnikowi nie podoba się ich wygląd. Chłopak jest gołogłowy. Dziewczyna jest Azjatka.

– Czego chcecie? Nie wolno wam tu przebywać.

– Kazano nam zanieść to zespołowi. – Oboje wyglądają podejrzanie i są podenerwowani. To nic nowego. Wszyscy Podzieleni robią się nerwowi

w pobliżu kralnicy – a dla strażnika wszyscy Podzieleni wyglądają podejrzanie.

Strażnik zerka pod aluminiową folię. Pieczony kurczak. Puree ziemniaczane. To prawda, że przysyłają zespołowi raz na jakiś czas jedzenie, jednak zazwyczaj odpowiada za to personel ośrodka, a nie Podzieleni.

– Wydawało mi się, że dopiero jedli lunch.

– Wychodzi na to, że nie – odpowiada gołogłowy.

Wygląda tak, jak gdyby wolał w tej chwili przebywać w jakimkolwiek innym miejscu na świecie, byle z dala od kralnicy, dlatego też strażnik postanawia przedłużyć tę chwilę, zmuszając ich, aby wyczekiwali tam jeszcze dłużej.

– Muszę o tym zameldować – oznajmia. Wyciąga telefon i dzwoni do dyrekcji. Otrzymuje sygnał zajętej linii. Typowe. Strażnik zastanawia się, czym napyta sobie większej biedy – pozwalając im wnieść jedzenie do środka, czy też odprawiając ich, jeżeli naprawdę zostali przysłani przez kierownictwo. Zwraca uwagę na talerz w dłoniach dziewczyny. – Pokaż mi to. – Odrywa folię i bierze największą pierś kurczaka. – Wejdźcie przez szklane drzwi, schody są po waszej lewej. Jeżeli zobaczę, że idziecie gdzie indziej niż na górę, to wejdę do środka i uśpię was tak szybko, że nawet nie zdążycie się zorientować, co was trafiło.

Kiedy są już w środku znikają mu z widoku i z myśli. Nie wie, że chociaż udali się na klatkę schodową, to nigdy nie zanieśli jedzenia na górę – po prostu pozbyli się talerzy. Nigdy też nie zwrócił uwagi na niewielkie okrągłe plastry opatrunkowe przyklejone do ich dłoni.



64. CONNOR

Connor wygląda przez okno dormitorium. Jest zdruzgotany. Lev znalazł się w Happy Jack. To, jak tutaj trafił nie ma znaczenia; jedyne co się liczy, to że Lev zostanie teraz podzielony. Wszystko poszło na marne. Przez dręczące go poczucie daremności Connor czuje się tak, jak gdyby część jego ciała została już odcięta i wystawiona na rynek zbytu.

– Connor Lassiter?

Odwraca się i zauważa przy wejściu dwóch strażników. Większość dzieciaków opuściła jego pokój, udając się na swoje popołudniowe zajęcia. Ci, którzy pozostali zerkają pośpieszenie to na strażników to na Connora, następnie odwracają wzrok, zajmując się wszystkim, byle tylko trzymać się z dala od tej sprawy.

– Tak. Czego chcecie?

– Wzywają cię do kliniki donacyjnej – oznajmia pierwszy ze strażników. Drugi z nich się nie odzywa. Jedyne głośno mlaskając, żuje swoją gumę.

Pierwszą reakcją Connora jest myśl, że to nie może być to, na co wygląda. Może Risa ich przysłała. Może chce coś dla niego zagrać. W końcu teraz, kiedy jest w zespole, cieszy się większymi wpływami niż przeciętny Podzielony czyż nie?

– Do kliniki donacyjnej – powtarza Connor. – Po co?

– Cóż, powiedzmy, że opuszczasz dzisiaj Happy Jack.

Mlask, mlask wydobywa się z ust drugiego strażnika.

– Opuszczam?

– No dalej, chłopcze, czy musimy ci to szczegółowo wyjaśniać? Stanowisz problem. Zbyt wiele dzieciaków spogląda na ciebie z podziwem, a to nie jest dobrze postrzegane w ośrodku donacyjnym. Wobec tego kierownictwo postanowiło zająć się problemem.

Podchodzą do Connora i podnoszą go za ramiona.

– Nie! Nie! Nie możecie tego zrobić.

– Możemy i robimy. To nasza praca – i nie ma znaczenia, czy nam to ułatwisz, czy nie. Tak czy inaczej, zrobimy to, co do nas należy.

Connor spogląda na pozostałe osoby w pokoju, jak gdyby mogły mu pomóc, ale tego nie robią.

– Żegnaj, Connor – odzywa się jeden z chłopców, jednak nie spogląda nawet w jego stronę.

Żujący gumę strażnik wygląda na obdarzonego większą empatią, co oznacza, że może uda mu się do niego dotrzeć. Connor wbija w niego błagalny wzrok. Jego spojrzenie sprawia, że strażnik przestaje na chwilę żuć gumę. Przez chwilę namyśla się i mówi:

– Mam kumpla, który szuka brązowych oczu, bo jego dziewczynie nie podobają się te, która ma obecnie. – To porządny facet – mógłbyś trafić o wiele gorzej.

– Co?

– Czasami dostajemy prawo pierwszeństwa odnośnie części ciała – wyjaśnia. – Jedno z dodatkowych świadczeń w tej robocie. Tak czy inaczej, chciałem się jedynie z tobą tym podzielić. Będiesz przynajmniej wiedział, że twoje oczy nie trafią do jakiegoś zwyrodnialca albo miernoty społecznej.

Drugi strażnik chichocze.

– Podzielić się. A to dobre. Okay, pora na nas.

Ciągną Connora naprzód, a on próbuje się przygotować, jednak jak można się przygotować na coś takiego? *Może to, co mówią, to prawda. Może to nie oznacza śmierci. Może to po prostu przejście w inną formę życia. To może być coś dobrego, prawda? Prawda?*

Próbuje sobie wyobrazić, jakie to musi być uczucie dla więźnia prowadzonego na egzekucję. Czy walczy? Connor próbuje sobie wyobrazić siebie, jak kopie i wrzeszczy, kiedy prowadzą go do kralajnicy, jednak jaki byłby z tego pożytek? Jeżeli jego czas na Ziemi jako Connor Lassiter dobiega końca, to może powinien go dobrze wykorzystać. Powinien spędzić ostatnie chwile

swojego życia, doceniając to, kim był. Nie! Kim nadal *jest!* Powinien docenić ostatnie tchnienia powietrza napełniające i opuszczające jego płuca, kiedy te płuca pozostają jeszcze pod jego kontrolą. Powinien poczuć napięcie i rozluźnienie w mięśniach, kiedy się porusza, podziwiać widoki Happy Jack *jego* oczami i zachować je w *jego* mózgu.

– Precz z łapami, sam pójde – oznajmia strażnikom, którzy natychmiast go uwalniają, być może zaskoczeni stanowczością jego głosu. Kręci ramionami kilka kół w powietrzu, rozciąga mięśnie karku i rusza do przodu. Pierwszy krok jest najtrudniejszy, jednak począwszy od tej chwili postanawia, że nie ucieknie ani nie będzie się włókł. Nie będzie się trząśł ani walczył. Pokona ostatnią drogę w swoim życiu spokojnym krokiem – a za kilka tygodni od tej chwili, ktoś, gdzieś, będzie nosić w sobie wspomnienie tego młodego człowieka, kimkolwiek był, który stawiał czoła podzieleniu z dumą i godnością.



65. KLAKIERZY

Kto wie, co dzieje się w głowie klakiera na kilka chwil przed popełnieniem tego złego uczynku? Bez wątpienia, jakiegolwiek nie byłyby to myśli, są one kłamstwami. Jednakże, tak jak w przypadku wszystkich niebezpiecznych podstępów, kłamstwa, którymi karmią się klakierzy, przebrane są w kuszące szaty.

Dla klakierów wierzących, że ich czyny popierane są przez Boga, kłamstwo odziane jest w święte szaty i rozpościera swe ramiona w obietnicy nagrody, która nigdy nie nadejdzie.

Dla klakierów wierzących, że ich czyn w jakiś sposób spowoduje zmiany na świecie, kłamstwo przebrane jest za tłum spoglądający na nich z przyszłości, uśmiechający się z wdzięcznością za to, co uczynili.

Dla klakierów usiłujących ukazać światu swoje osobiste cierpienie, kłamstwo przybiera formę obrazu ich samych, wyzwolonych od bólu poprzez obserwowanie bólu u innych.

Zaś dla klakierów, którzy kierują się zemstą, kłamstwo jest szalą sprawiedliwości, równomiernie obciążoną po obu stronach, znajdującą się w końcu w równowadze.

Dopiero kiedy klakier złączy swoje dłonie, kłamstwo ujawnia swoje oblicze, porzucając go w tej ostatniej chwili, po to, aby opuszczał on ten świat całkowicie osamotniony w drodze do jego zapomnienia.

Lub jej.

Droga, która przywiodła Mai do tego miejsca w jej życiu pełna była furii i rozczarowania. Granicą jej wytrzymałości okazał się Vincent. Był to chłopak, którego nikt nie znał. Był to chłopak, którego spotkała w magazynie ponad miesiąc temu i w którym się zakochała. Był to chłopak, który zmarł w samolocie, wciśnięty do skrzyni z czterema innymi osobami, które udusiły się własnym dwutlenkiem węgla. Nikt nie wydawał się zauważyć jego zniknięcia i z pewnością nikt się tym nie przejął. Nikt poza Mai, która odnalazła swoją bratnią duszę i utraciła ją w dniu, w którym przybyli na Cmentarzy-sko.

Obwiniała świat, jednak, kiedy zobaczyła jak piątka wybrańców Admirala grzebała w ziemi Vincenta i pozostałych, była gotowa skonfrontować swoją furie. Wybrańcy pochowali Vincenta bez poszanowania, dopuszczając się profanacji. Opowiadali sobie kawały i śmiali się. Zasyпали pięciu martwych chłopców niedbale ziemią, tak jak koty zasypują swoje gówno. Mai nigdy nie czuła w sobie takiej wściekłości.

Kiedy zaprzyjaźniła się już z Cleaverem, opowiedziała mu, czego była świadkiem, a on zgodził się, że zemsta to słuszne rozwiązanie. To Cleaver wpadł na pomysł, żeby zabić Wybrańców. To Blaine dosypał im środka usypiającego i zaciągnął ich do samolotu FedExu – ale to Mai zamknęła skrzynię. To było dla niej zadziwiające odkrycie, że zabicie kogoś może sprowadzać się do tak prostej czynności, jak zamknięcie drzwi.

Po tym nie było już dla Mai odwrotu. Jej łóżko zostało zaścielone; pozostało jej jedynie się w nim ułożyć. Wie, że dzisiaj nastanie dzień, w którym do niego wejdzie i uda się na spoczynek.

Kiedy znajduje się w już wewnątrz kralajnicy, odnajduje składzik pełen rękawic chirurgicznych, strzykawek i lśniących przyrządów, których nie potrafi zidentyfikować. Wie, że Blaine jest gdzieś w północnym skrzydle budynku. Spodziewa się, że Lev również zajmuje swoją pozycję, stojąc przy rampie na tyłach kralajnicy – przynajmniej taki jest plan. Jest dokładnie godzina pierwsza po południu. Pora to zrobić.

Mai wchodzi do składzika i zamyka za sobą drzwi. I czeka. Zrobi to, ale jeszcze nie teraz. Niech któryś z pozostałych zacznie. Nie chce być pierwsza.

Blaine czeka w opuszczonym korytarzu na pierwszym piętrze. Ta część kralajnicy wydaje się być niewykorzystywana. Postanowił nie używać detonatorów. Detonatory są dla mięczaków. Dla ortodoksyjnych klakierów poje-

dyncze; mocne klaśnięcie wystarczy, aby załatwić sprawę, nawet bez detonatorów – i Blaine chce wierzyć, że jest ortodoksem, takim, jakim był jego brat. Stoi na końcu korytarza, z nogami rozstawionymi na szerokości ramion, podskakując na kłębach palców, niczym tenisista oczekujący na serw. Jego dłonie są rozłączone. Jednak czeka. Jest ortodoksem, tak – jednak nie zacznie pierwszy.

Lev zdołał przekonać psychologa, że jest odpowiednio zrelaksowany. To był najlepszy występ w jego życiu, jako że serce wali mu jak oszalone, a w jego krwi jest tyle adrenaliny, że boi się, że dojdzie do samozapłonu.

– Może wrócisz do domu dziesięciorodnych? – sugeruje psycholog. – Spędzisz trochę czasu, poznając pozostałe osoby. Postaraj się, Lev – będziesz zadowolony, że to zrobiłeś.

– Tak. Tak, zrobię. Dziękuję. Czuję się już lepiej.

– Dobrze.

Psycholog kiwa w stronę pastorów i wszyscy wstają. Jest 1:04. Lev chce wybiec przez drzwi, jednak wie, że to zagwarantowałoby mu jedynie kolejną sesję terapeutyczną. Opuszcza gabinet z pastorami, którzy gędzą o jego roli w uniwersalnym planie rzeczy i radości płynącej ze złożenia dziesięciny. Dopiero kiedy Lev wychodzi na zewnątrz, zdaje sobie sprawę z panującego zamieszania. Dzieciaki porzucają swoje zajęcia i biegną na błonia pomiędzy dormitoriami i kralnicą. Czyżby Blaine i Mai już się zdetonowali? Nie słyshał żadnego wybuchu. Nie, to musi być coś innego.

– To ZOMZ z Akron! – wykrzykuje jeden chłopak. – Prowadzą go na podzielenie!

Wtedy właśnie Lev dostrzega Connora. Jest już w połowie drogi, idąc przez czerwony dywan, maszerując z dwoma strażnikami tuż za jego plecami. Dzieciaki zebrały się na trawiastych błoniach, jednak zachowują dystans, kiedy przybywają kolejni. Wylewają się z dormitorii, stołówki – wsząd.

Zespół zaprzestał grania w samym środku melodii. Klawiszowiec – dziewczyna – zawodzi na widok Connora na czerwonej kamiennej ścieżce. Connor spogląda na nią, zatrzymuje się na chwilę i posyła jej pocałunek nim kontynuuje daleki marsz. Lev słyszy jej płacz.

Teraz strażnicy, pracownicy ośrodka i psychologowie zbierają się na czworokątnym dziedzińcu w panice, próbując zapędzić to nieprzewidywalne zbiorowisko dzieciaków z powrotem na swoje miejsce, jednak nikt się nie rusza. Dzieciaki po prostu stoją w miejscu – może nie mogą temu zapobiec, ale mogą być tego świadkami. Mogą tam być, kiedy Connor odchodzi z tego świata.

– Oklaski dla ZOMZa z Akron! – nawołuje jeden z chłopców. – Oklaski dla Connora! – I zaczyna klaskać. Wkrótce cały tłum dzieciaków oklaskuje i nagradza wiwatami Connora, który pewnym krokiem idzie wzdłuż czerwonego dywanu.

Oklaski.

Brawa.

Mai i Blaine!

Nagle Lev zdaje sobie sprawę z tego, co ma się wydarzyć. Nie może pozwolić, aby Connor wszedł do środka! Nie teraz! Musi go powstrzymać.

Lev ucieka pastorom. Connor jest już niemal na stopniach wiodących do kralnicy. Lev gna pomiędzy dzieciakami, jednak nie może się przez nich przepchać. Jeżeli to zrobi, wtedy eksploduje. Musi być szybki, a jednocześnie ostrożny – a bycie ostrożnym go spowalnia.

– Connor! – krzyczy, ale wiwaty wokół niego są zbyt głośne. A teraz zaczął jeszcze grać zespół. Grają hymn narodowy, tak jak ma to miejsce w czasie pogrzebu wielkich Amerykanów. Strażnicy i pracownicy ośrodka nie mogą tego powstrzymać. Próbują, ale nie mogą – i są tak zajęci, próbując zapanować nad tłumem, że pozwalają Levowi przemknąć na czerwony dywan.

Teraz ma otwartą drogę do Connora, który zaczął wchodzić po stopniach. Lev ponownie wykrzykuje jego imię, jednak Connor wciąż nic nie słyszy. Chociaż Lev pędzi wzdłuż ścieżki, nadal znajduje się niemal dwadzieścia metrów za nim, kiedy szklane drzwi otwierają się i Connor w otoczeniu strażników wchodzi do środka.

– Nie! Connor! Nie!

Ale drzwi zamykają się. Connor jest wewnątrz kralnicy. Ale nie zostanie podzielony. Zginie tak jak wszyscy pozostali wewnątrz... i jak gdyby dopełniając swoją porażkę, Lev spogląda na dach, aby uchwycić spojrzenie klawiszowca, który spogląda na niego.

To Risa.

Jak mógł być taki głupi? Powinien był wiedzieć, że to ona, po sposobie, w jaki zanosła się płaczem i po pocałunku, który posłał jej Connor. Lev stoi w miejscu, skamieniały z niedowierzania... A następnie świat dobiega końca.

Blaine wciąż stoi na końcu korytarza, czekając aż ktoś inny zacznie pierwszy.

– Hej! Coś ty za jeden? Co ty tam robisz? – wykrzykuje strażnik.

– Nie podchodź! – odgraża się Blaine. – Nie podchodź, albo pożałujesz!

Strażnik wyciąga pistolet ze środkiem uspokajającym i zgłasza do swojego radia:

– Mam tu Podzielonego na wolności. Potrzebne mi wsparcie.

– Ostrzegam cię! – powtarza Blaine. Ale strażnik doskonale wie, jak postępować z zbiegłymi w krajalnicy. Wymierza pistolet w lewe udo Blaine'a i pociąga za spust.

– Nie!

Jednak jest już za późno. Uderzenie pocisku jest skuteczniejsze od detonatora. Blaine oraz strażnik zostają natychmiast obróceny w popiół, w chwili, kiedy niemal sześć litrów wybuchowej cieczy krążącej w żyłach Blaine'a zapala się.

Mai słyszy eksplozję. Wstrząsa całym składzikiem niczym trzęsienie ziemi. Nie myśli o tym. Nie może. Już nie. Spogląda na detonatory na swojej dłoni. To dla Vincenta. To dla jej rodziców, którzy podpisali zlecenie jej podzielenia. To dla całego świata.

Uderza dłonią o dłoń.

Nic.

Uderza ponownie.

Nic.

Uderza po raz trzeci.

Do trzech razy sztuka.

W chwili, kiedy Risa zauważa stojącego na dole na czerwonym dywanie Leva, wybuch niszczy północne skrzydło krajalnicy. Odwraca się i widzi, jak całe skrzydło zawala się. – O mój Boże! O mój Boże!

– Musimy stąd zwiewać! – krzyczy Dalton, jednak zanim udaje mu się wykonać jakikolwiek ruch, drugi huk wybuchu rozbrzmiewa pod nimi, posyłając kołpaki odpowietrzające w niebo niczym rakiety. Dach pod ich stopami pęka jak cienki lód i cały się załamuje. Risa spada wraz z pozostałymi członkami zespołu do zadymionej przepaści i w tej właśnie chwili, jedyne o czym potrafi myśleć, to Connor i to, że zespołowi nie było dane dokończyć pożegnalnego hymnu dla niego.

Lev stoi w miejscu, kiedy szkło przelatuje obok niego. Widzi, jak członkowie zespołu upadają, kiedy dach zawala się. Wzbiera w nim skowyt, wydobywa się z jego ust nieludzki dźwięk zrodzony z cierpienia, którego nie jest w stanie opisać. Jego świat naprawdę dobiegł końca. Teraz musi dokończyć zadanie.

Stojąc przed zawalonym budynkiem, Lev wyciąga skarpetę z kieszeni. Grzebie w niej, aż w końcu odnajduje detonatory. Odkleja folie, odsłaniając klej i przykleja je do dłoni. Wyglądają jak stygmaty, rany po gwoździach na dłoniach Chrystusa. Wciąż zawodząc, dając upust swojemu cierpieniu, unosi dłonie przed siebie, przygotowując się do uśmierzenia bólu. Trzyma uniesione dłonie przed sobą. Trzyma uniesione dłonie przed sobą. Trzyma uniesione dłonie przed sobą.

I nie potrafi ich złączyć.

Chce tego. Potrzebuje tego. Jednak nie potrafi.

Niech to zniknie. Proszę, niech ktoś sprawi, aby to wszystko zniknęło.

Bez względu na to, jak bardzo się stara, bez względu na to, jak bardzo jego umysł pragnie zakończyć to tu i teraz, inna część jego – silniejsza część jego – nie pozwala mu uderzyć dłońią o dłoń. Teraz poniósł porażkę nawet jako już przegrany.

Boże, dobry Boże, co ja wyprawiam? Co ja zrobiłem? Jak się w to wplątałem?

Tłum, który rozpierzchnął się na dźwięk eksplozji, powrócił. Nie zwracają na Leva uwagi, ponieważ ich oczy zwrócone są na coś innego.

– Patrzcie! – ktoś krzyczy. – *Patrzcie!*

Lev odwraca się i spogląda w stronę, którą wskazuje chłopak. Przez roztrzaskane szklane drzwi kralajnicy wychodzi Connor. Zatacza się. Twarz ma

pokiereshowaną na krwawą miazgę. Stracił oko. Jego prawe ramię jest zmiażdżone i pogruchotane. Ale żyje!

– Connor wysadził krajalnicę! – krzyczy ktoś z tłumu. – Wysadził ją i nas wszystkich ocalił!

I wtedy strażnik zjawia się nagle na miejscu wydarzeń.

– Wracać do dormitoriów. Wszyscy! I to już!

Nikt się nie rusza.

– Nie słyszeliście?

Następnie jakiś chłopak uderza strażnika prawym sierpowym, który praktycznie wykręca jego ciało wokół własnej osi. Strażnik w odpowiedzi wyciąga pistolet ze środkiem uspokajającym i strzela chłopakowi w napastliwe ramię. Chłopak udaje się do krainy snów, jednak są inne dzieciaki, które wyrwają pistolet z dłoni strażnika i używają go przeciwko niemu. Tak jak to zrobił niegdyś Connor.

Wieść, że ZOMZ z Akron wysadził w powietrze krajalnicę roznosi się wśród wszystkich Podzielonych w Happy Jack niczym błyskawica i w ciągu kilku sekund nieposłuszeństwo przeradza się w rewoltę na wielką skalę. Każdy dzieciak sieje teraz postrach. Strażnicy strzelają, jednak dzieciaków jest po prostu zbyt wiele, a pocisków ze środkiem uspokajającym zbyt mało. W miejsce każdego powalonego rebelianta wyrasta kolejny, który trzyma się na nogach. Strażnicy zostają szybko obezwładnieni, a kiedy staje się to już faktem, motłoch zaczyna szturmować frontową bramę.

Connor nie rozumie tego, co się dzieje. Wie jedynie, że został wprowadzony do budynku, następnie coś się wydarzyło. A teraz nie jest już w budynku. Coś jest nie tak z jego twarzą. Bardzo go boli. Nie może poruszyć ręką. Ziemia pod jego stopami wydaje się być jakaś dziwna. Bolą go płuca. Kaszle i bolą go jeszcze bardziej.

Potykać się, schodzi teraz po stopniach. Są tam dzieciaki. Mnóstwo dzieciaków. Podzielonych. No właśnie, jest Podzielonym. Wszyscy są Podzielonymi. Jednak znaczenie tego słowa szybko mu umyka. Dzieciaki biegną. Walczą. Następnie nogi Connora słabną i nagle znajduje się na ziemi. Patrzy w górę na słońce.

Chce mu się spać. Wie, że to nie jest odpowiednie miejsce, jednak i tak nie może się powstrzymać. Czuje, że jest mokry. Czuje, że jest lepki. Czyżby ciekło mu z nosa?

Następnie dostrzega unoszącego się nad nim anioła, całego w bieli.

– Nie ruszaj się – oznajmia mu anioł. Connor rozpoznaje ten głos.

– Cześć, Lev. Co słysząc...?

– Cii.

– Boli mnie ręka – oznajmia marudnie Connor. – Znowu mnie ugryzłeś?

Następnie Lev robi coś zabawnego. Zdejmuje koszulę. Następnie rozrywa ją na pół. Przyciska jedną połowę do twarzy Connora. To przyprawia go o jeszcze większy ból na twarzy. Wydaje jęk. Następnie Lev bierze pozostałą część swojej koszuli i wiąże ją wokół ręki Connora. Wiąże mocno. To również boli.

– Hej... co...

– Nie próbuj mówić. Po prostu się odpręż.

Wokół niego znajdują się teraz i inni. Nie wie, kto. Chłopak trzymający pistolet ze środkiem uspokajającym spogląda na Leva, a Lev przytakuje. Chłopak klęka przy Connorze.

– To trochę zaboli – wyjaśnia chłopak z pistoletem. – Ale myślę, że ci się to przyda.

Celuje niepewnie w różne części ciała Connora, po czym decyduje się na jego biodro. Connor słyszy wystrzał, odczuwa w biodrze ostry ból, i kiedy zaczyna mu się robić ciemniej przed oczami widzi Leva biegnącego bez rękawów w stronę budynku, z którego wydobywa się czarny dym.

– Dziwne – stwierdza Connor. – Następnie jego umysł udaje się w spokojne miejsce, gdzie żadna z tych rzeczy nie ma znaczenia.

CZĘŚĆ SIÓDMA

ŚWIADOMOŚĆ

Istota ludzka jest częścią całości, zwanej przez nas Wszechświatem, częścią ograniczoną w czasie i przestrzeni. Doświadcza siebie, swoich myśli i uczuć jako oddzielonych od reszty – jest to coś w rodzaju optycznego złudzenia świadomości. Złudzenie to stanowi dla nas rodzaj więzienia... Naszym zadaniem jest wyzwolić się z tego więzienia poprzez rozszerzenie kręgu współodczuwania tak, aby objął on wszystkie żywe istoty i całą naturę w jej pięknie.

– ALBERT EINSTEIN

Tylko dwie rzeczy są nieskończone: Wszechświat oraz ludzka głupota, choć nie jestem pewien co do tej pierwszej.

– ALBERT EINSTEIN



66. CONNOR

Connor odzyskuje przytomność z uczuciem mglistego zamętu w miejscu, gdzie powinny znajdować się jego myśli. Boli go twarz i widzi jedynie na jedno oko. Czuje ucisk na drugim.

Znajduje się w białym pokoju. Jest tam okno, przez które dostrzega światło dzienne. To niewątpliwie pokój szpitalny, a ucisk na jego oku musi być spowodowany bandażem. Próbuje podnieść prawą rękę, jednak odczuwa ból w ramieniu, więc dochodzi do wniosku, że przedsięwzięcie nie jest jeszcze warte zachodu.

Dopiero teraz zaczyna składać w całość wydarzenia, w wyniku których się tutaj znalazł. Miał zostać podzielony. Był wybuch. Doszło do buntu. Następnie stał nad nim Lev. To wszystko, co pamięta.

Do pokoju wchodzi pielęgniarka.

– W końcu się pan obudził! Jak się pan czuje?

– Dobrze – odpowiada, jego głos przypomina rechot. Odchrząkuje. – Jak długo?

– Znajdował się pan w śpiączce farmakologicznej przez nieco ponad dwa tygodnie – wyjaśnia pielęgniarka.

Dwa tygodnie? Dla kogoś, kto żyje z dnia na dzień, dwa tygodnie brzmią niemal jak wieczność. I Risa... co z Risą?

– Była pewna dziewczyna – mówi. Była na dachu kralajnicy – kliniki donacyjnej. Czy ktoś wie, co się z nią stało?

Wyraz twarzy pielęgniarki niczego nie zdradza.

– Tym możemy zająć się później.

– Ale...

– Żadnych ale. Teraz potrzebuje pan czasu, aby dojść do siebie. I muszę powiedzieć, że idzie panu lepiej, niż ktokolwiek się spodziewał, panie Mullard.

Z początku sądzi, że nie usłyszał jej wyraźnie. Wierci się niespokojnie.

– Słucham?

Pielęgniarka przetrzepuje jego poduszki.

– Proszę się odprężyć, panie Mullard. Proszę nam pozwolić się wszystkim zająć.

Następnie dochodzi do wniosku, że został jednak podzielony. Został podzielony i z jakiegoś powodu ktoś dostał jego mózg w całości. Jest teraz we wnętrzu innej osoby. Jednak kiedy się nad tym zastanawia, wie, że to nie może być prawdą. Jego głos nadal brzmi jak jego własny. Kiedy pociera językiem o swoje zęby, te nadal okazują się być tymi, które pamięta.

– Nazywam się Connor – oświadcza. – Connor Lassiter.

Pielęgniarka przygląda mu się z wyrazem twarzy, który jest życzliwy, lecz jednocześnie wyrachowany – niemal zatrwajający.

– Cóż – odpowiada – tak się składa, że pod gruzami znaleziono dowód osobisty ze zwęglonym zdjęciem. Należał do dziewiętnastoletniego strażnika nazwiskiem Elvis Mullard. Ze względu na całe zamieszanie wynikłe na skutek eksplozji nie można było stwierdzić, kto jest kim, i wielu z nas doszło do wniosku, że byłoby wielką szkodą, gdyby ten dowód osobisty miał się zmarnować, nie sądzi pan? – Wyciąga dłoń i poprawia kąt nachylenia łóżka, dopóki Connor nie usadawia się wygodnej. – A teraz proszę mi przypomnieć – pyta – jak pan mówił, że się nazywa?

Connor w końcu rozumie. Zamyka oko, bierze głęboki oddech, i ponownie je otwiera.

– Czy mam jakieś drugie imię?

Pielęgniarka sprawdza kartę.

– Robert.

– W takim razie nazywam się E. Robert Mullard.

Pielęgniarka uśmiecha się i wyciąga dłoń do przywitania.

– Miło mi cię poznać, Robercie.

W odruchu, Connor wyciąga w jej stronę prawą dłoń i ponownie daje o sobie znać ten sam tępy ból w ramieniu.

– Wybacz – mówi pielęgniarka. – Moja wina. – Uściskuje mu zamiast tego lewą dłoń. – Twoje ramię będzie obolałe, dopóki rana po przeszczepie całkowicie się nie zagoi.

– Co pani powiedziała?

Pielęgniarka wzdycha.

– Ja i ten mój jęzor. To lekarze zawsze chcą powiadomić o tym pacjenta, ale zdążyłam się już wygadać, prawda? Cóż, zła wiadomość jest taka, że nie byliśmy w stanie ocalić twojej ręki i prawego oka. Dobrą wiadomością jest to, że jako E. Robert Mullard, kwalifikowałeś się do przeszczepów w trybie ratunkowym. Widziałam to oko – bez obaw, zostało dobrze dopasowane. Co się zaś tyczy ręki, cóż, nowa jest nieco bardziej umięśniona od twojej lewej, jednak porządna fizjoterapia poradzi sobie nawet z tym i to w mgnieniu oka.

Connor pozwala, aby słowa dotarły do jego świadomości, powtarzając je sobie w myślach. Oko. Ręka. Fizjoterapia.

– Wiem, że to wiele nowości, z którymi trzeba się oswoić – stwierdza pielęgniarka.

Po raz pierwszy Connor spogląda na swoją nową dłoń. Bandaże usztywniają jego ramię, a jego ręka jest w temblaku. Porusza palcami. Poruszają się. Przekręca nadgarstek. Przekręca się. Paznokcie wymagają skrócenia a kłykcice są grubsze niż jego własne. Porusza kciukiem po opuszkach palców. Zmysł dotyku wydaje się być taki jak zawsze. Następnie obraca nadgarstkiem nieco mocniej i przerywa. Czuje, jak fala paniki przelewa się przez niego, taka, która pozostawia po sobie pobojuwisko w jego trzewiach.

Pielęgniarka uśmiecha się szeroko, spoglądając na jego rękę.

– Części ciała często przechodzą z własną osobowością – wyjaśnia. – Nie ma się czym przejmować. Musisz być głodny. Przyniosę ci coś na lunch.

– Mhm – odpowiada Connor. – Lunch. Dobrze.

Pozostawia go samego z ręką. Jego ręką. Ręką, którą zdobi charakterystyczny tatuaż rekina tygrysięgo.



67. RISA

Życie, jakie znała Risa, dobiegło końca w dniu, w którym klakierzy wysadzili krajalnicę w powietrze – i wszyscy ostatecznie dowiedzieli się, że była to sprawka klakierów, a nie Connora. Dowód był niepodważalny. Zwłaszcza biorąc pod uwagę przyznanie się do winy klakiera, który ocalał.

W przeciwieństwie do Connora, Risa nigdy nie straciła przytomności. Nawet, kiedy została przygnieciona stalową belką dwuteową, część bólu, który odczuwała, kiedy stalowa belka na nią spadła, zniknął. Nie wiedziała, czy był to dobry objaw, czy też zły. Jednak Dalton cierpiał bardzo. Był przeżony. Risa go uspokajała. Rozmawiała z nim, powtarzała mu, że wszystko jest w dobrze – że wszystko będzie dobrze. Powtarzała mu to aż do chwili, kiedy zmarł. Gitarzysta miał więcej szczęścia. Udało mu się wygrzebać spod gruzu, jednak nie potrafił uwolnić Risy, więc zostawił ją, obiecując że przyśle po nią pomoc. Musiał dotrzymać swojej obietnicy, ponieważ pomoc w końcu nadeszła. Potrzebnych było troje ludzi, aby podnieść belkę, ale tylko jednego, aby wynieść Risę.

Teraz odpoczywa w pokoju szpitalnym, przywiązana do jakiegoś ustrojstwa, które bardziej przypomina narzędzie tortur aniżeli łóżko. W całe jej ciało powbijane są stalowe szpilki niczym w lalkę voodoo. Szpilki utrzymywane są w dokładnym położeniu przez sztywne rusztowanie. Widzi swoje palce u stóp, ale ich nie czuje. Od tej pory ich widok będzie musiał jej wystarczyć.

– Masz gościa.

Pod drzwiami stoi pielęgniarka i kiedy się odsuwa na bok, w progu pojawia się Connor. Jest posiniaczony i owinięty bandażami, jednak jak najbardziej żywy. Jej oczy natychmiast wypełniają się łzami, jednak wie, że nie może pozwolić sobie na szlochanie. Wciąż zbyt mocno ją boli, aby mogła to zrobić.

– Wiedziałam, że kłamię – oznajmia. – Powiedzieli, że zginąłeś w wybuchu – że zostałeś uwięziony w budynku – ale widziałam cię na zewnątrz. Wiedziałam, że kłamię.

– Zapewne bym zginął – odpowiada Connor – ale Lev powstrzymał krwawienie. Uratował mnie.

– Mnie też uratował – wyjaśnia Risa. – Wyniósł mnie z budynku.

Connor uśmiecha się.

– Nieźle jak na małego mizernego dziesięciorodnego.

Po wyrazie jego twarzy Risa widzi, że Connor nie wie, że Lev był jednym z klakierów – tym, który się nie zdetonował. Postanawia mu o tym nie mówić. Nadal trąbią o tym we wszystkich wiadomościach; niedługo się dowie.

Connor opowiada jej o jego śpiączce i o jego nowej tożsamości. Risa opowiada mu o tym, jak niewielu ZOMZ-ów z Happy Jack złapano – jak dzieciaki szturmowały bramy i pouciekały. Kiedy rozmawiają, zerka na jego temblak. Palce, które z niego wystają zdecydowanie nie należą do Connora. Wie, co musiało się wydarzyć i widzi po nim, że jest z tego powodu zakłopotany.

– Więc, co mówią? – pyta Connor. – O twoich obrażeniach, znaczy. – Wyjdiesz z tego, prawda?

Risa zastanawia się, jak mu to przekazać, następnie postanawia rozprawić się z tym szybko.

– Lekarze mówią, że jestem sparaliżowana od pasa w dół.

Connor czeka na dalszy ciąg, ale to wszystko, co ma mu do powiedzenia.

– Cóż... nie jest tak źle, prawda? Mogą to naprawić – zawsze naprawiają tego rodzaju rzeczy.

– Tak – odpowiada Risa. – Naprawiają, zastępując przerwany rdzeń kręgowy rdzeniem uzyskanym od Podzielonego. Dlatego właśnie nie zgodziłam się na operację.

Spogląda na nią z niedowierzaniem, a ona w odpowiedzi wskazuje na jego rękę.

– Postąpiłbyś tak samo, gdyby pozostawili ci możliwość wyboru. Ja miałam wybór i go dokonałam.

– Tak mi przykro, Riso.

– Niepotrzebnie! – Ostatnią rzeczą, jakiej Risa pragnie jest współczucie Connora. – Nie mogą mnie teraz podzielić – tak stanowi prawo zabraniające podzielenia niepełnosprawnych – jednak gdybym poddała się operacji, to podzieliliby mnie, jak tylko stanęłabym na nogi. W ten sposób zostanę w jednym kawałku. – Uśmiecha się do niego tryumfalnie. – Nie jesteś więc jedynym, który pokonał system!

Uśmiecha się do niej i unosi zabandażowane ramię. Temblak przesuwając się, odsłaniając większą część jego nowej ręki – wystarczająco, aby odsłonić tatuaż. Connor próbuje go ukryć, jednak jest już za późno. Risa go zauważa. Risa go zna. I kiedy ich oczy spotykają się, odwraca wzrok zawstydzona.

– Connor...?

– Obiecuję ci – zapewnia ją Connor. – Obiecuję ci, że nigdy nie dotknę cię tą dłonią.

Risa wie, że jest to decydujący moment dla nich obojga. Ta ręka – to ta sama, która przypierała ją do ściany łazienki. Jak mogłaby spoglądać na nią inaczej niż z obrzydzeniem? Te palce, które wygrażały jej w niewymowny sposób. Jak mogłyby wywołać u niej cokolwiek innego prócz odrazy? Jednak kiedy spogląda na Connora, wszystko to znika. Pozostaje wyłącznie on.

– Pokaż mi ją – prosi.

Connor waha się, więc Risa wyciąga dłoń i delikatnie wyjmując jego rękę z temblaka.

– Boli cię?

– Trochę.

Muska go płacami po wierzchniej części dłoni.

– Czujesz to?

Connor przytakuje.

Następnie delikatnie unosi jego dłoń do swojej twarzy, przyciskając jej wewnętrzną część do swego policzka. Przytrzymuje ją tam przez chwilę, po czym puszcza, pozwalając, aby Connor przejął inicjatywę. Gładzi ją swoją dłonią po policzku, wycierając jej łzy swoim palcem. Łagodnie głaszcze ją po szyi, a ona zamyka oczy. Czuje, jak przesuwając palce po jej ustach nim odsuwa dłoń. Risa otwiera oczy i ujmując jego dłoń w swoje ręce, zaciskając ją mocno.

– Wiem, że teraz to jest twoja dłoń – zapewnia go. – Roland nigdy by mnie w ten sposób nie dotykał. – Connor uśmiecha się, a Risa przez chwilę spogląda w dół na rekina na jego nadgarstku. Nie budzi już w niej strachu, ponieważ rekin został oswojony przez duszę chłopca. Nie – przez duszę mężczyzny.



68. LEV

Niezbyt daleko, w federalnym zakładzie karnym dla młodocianych o zaostrzonych środkach bezpieczeństwa, Levi Jedediah Calder przetrzymywany jest w celi zaprojektowanej z myślą o jego specjalnych potrzebach. Ściany celi obite są gąbką. Są tam stalowe drzwi przeciwwybuchowe, grube na siedem i pół centymetra. W pokoju utrzymywana jest stała temperatura siedmiu stopni Celsjusza, aby ciepłota ciała Leva zbyt nie wzrosła. Jednak Levowi nie jest zimno – prawdę powiedziawszy jest rozpalony. Jest rozpalony, ponieważ owinięto go w warstwę po warstwie ognioodpornej izolacji. Wygląda jak mumia zawieszona w powietrzu – jednak w przeciwieństwie do mumii, jego ręce nie są skrzyżowane na piersi, a wyciągnięte w każdą ze stron i przywiązane do belki poprzecznej, aby uniemożliwić mu złączenie dłoni. Lev postrzega to tak, że nie wiedzieli, czy mają go ukrzyżować, czy też zmumifikować, więc zrobili jedno i drugie. W ten sposób nie może klaskać, nie może się przewrócić, nie może umyślnie się zdetonować – a jeśli jednak z jakiegoś powodu do tego dojdzie, to cela jest tak zaprojektowana, aby wytrzymać wybuch.

Przeprowadzili na nim cztery transfuzje. Nie chcą mu powiedzieć, ile jeszcze potrzeba zanim pozbędą się materiału wybuchowego z jego ciała. Nie chcą mu nic powiedzieć. Agenci federalni, którzy do niego przychodzą zainteresowani są wyłączenie tym, co może im powiedzieć. Przydzielili mu prawnika, który mówi mu o niepoczytalności, jakby to było coś dobrego.

Lev powtarza mu, że nie jest niepoczytalny, chociaż nie jest już tego taki pewien.

Drzwi do celi otwierają się. Spodziewa się kolejnych przesłuchań, jednak jego gość okazuje się być kimś nowym. Levowi zajmuje chwilę, zanim go rozpoznaje – głównie dlatego, że jego gość nie jest ubrany w swój skromny pastorski ornat. Ubrany jest w jeansy i koszulę w paski z guziczkami przy kołnierzyku.

– Dzień dobry, Lev.

– Pastor Dan?

Drzwi zatrząskują się za nim, jednak nie rozbrzmiewają echem. Miękkie ściany tłumią dźwięk. Pastor Dan pociera ręce z zimna. Powinni byli mu powiedzieć, aby zabrał ze sobą marynarkę.

– Dobrze cię traktują?

– Tak – odpowiada Lev. – Pozytywy płynące z bycia chodzącą bombą są takie, że nikt nie może cię uderzyć.

Pastor Dan wydaje z siebie obowiązkowy stłumiony śmiech, następnie zapada niezręczna sytuacja. Zmusza się, aby spojrzeć Levowi w oczy.

– Rozumiem, że będą trzymali cię tak owiniętego tylko przez kilka tygodni, dopóki nie uporasz się z problemami.

Lev zastanawia się, które dokładnie problemy pastor ma na myśli. Z pewnością jego życie będzie teraz jednym niekończącym się problemem za drugim i za kolejnym. Lev nawet nie zna powodu obecności pastora, ani tego, czego chce dowieść. Czy Lev powinien się cieszyć na jego widok, czy raczej powinien być wściekły? To jest człowiek, który zawsze, odkąd był małym chłopcem, powtarzał mu, że dziesięcina jest czymś uświęconym – a następnie kazał mu od tego uciec. Czy pastor Dan przyszedł tu, aby go zganić? Po-gratulować mu? Czy może przysłali go tu rodzice Leva, ponieważ jest teraz tak bardzo niedotykalny, że sami nie pofatygują się do niego? A może Lev ma zostać stracony i pastor przyszedł tu, aby udzielić mu ostatniego namaszczenia?

– Proszę z tym skończyć jak najszybciej – żąda Lev.

– Co skończyć?

– Cokolwiek, z czym pastor tutaj przyszedł. Proszę to zrobić i odejść.

W pokoju nie ma krzeseł, więc pastor Dan opiera się o obitą gąbką ścianę.

– Ile powiedzieli ci na temat tego, co dzieje się na zewnątrz?

– Wiem jedynie, co się dzieje tutaj. A to oznacza niewiele.

Pastor Dan wzdycha, przeciera oczy i nieśpiesznie zastanawia się, od czego zacząć.

– Po pierwsze, czy znasz chłopca nazwiskiem Cyrus Finch?

Wspomnienie jego nazwiska sprawia, że w Levie zaczyna wzbierać panika. Lev wiedział, że jego pochodzenie zostanie dokładnie sprawdzone i prześwietlone. Tak właśnie postępują w przypadku klakierów – całe ich życie zostaje przyklejone do ścian pod postacią kartek, a następnie dokładnie przeanalizowane, a ludzie obecni w ich życiu stają się teraz podejrzanymi. Oczywiście następuje to zazwyczaj po tym, kiedy klakier wyklaskał już sobie drogę do innego świata.

– CyFi nie miał z tym nic wspólnego! – burzy się Lev. – Absolutnie nic. Nie mogą go w to mieszać!

– Uspokój się. Nic mu nie jest. Tak się składa, że sam się ujawnił i robi teraz aferę – a skoro cię znał, to ludzie go słuchają.

– Aferę o mnie?

– O podzielenie – wyjaśnia pastor Dan, po raz pierwszy przysuwając się bliżej do Leva. – Wydarzenia w Ośrodku Donacyjnym Happy Jack sprawiły, że mnóstwo ludzi zabrało w tej sprawie głos, ludzi, którzy dotychczas chowali głowę w piasek. W Waszyngtonie odbyły się protesty przeciwko podzieleniu – Cyrus zeznawał nawet przed Kongresem.

Lev próbuje sobie wyobrazić CyFia przed komisją Kongresu, używającego niecenzuralnych słów rodem z przedwojennych sitcomów umbroskórych. Myśl o tym przyprawia go o uśmiech. Uśmiechnął się po raz pierwszy od dawna.

– Mówi się nawet, że mogą obniżyć wiek pełnoletności z osiemnastu do siedemnastu lat. To uchroni całą jedną piątą wszystkich osób przeznaczonych do podzielenia.

– To dobrze – odpowiada Lev.

Pastor Dan sięga do kieszeni i wyciąga poskładaną kartkę papieru.

– Miałem ci tego nie pokazywać, jednak myślę, że musisz to zobaczyć. Myślę, że musisz zrozumieć dokąd zabrnęły sprawy.

Pokazuje mu okładkę magazynu.

Jest na niej Lev.

Jest nie tylko na niej, Lev jest okładką. To jego zdjęcie z drużyny baseballowej z siódmej klasy – rękawica na dłoni, uśmiech do obiektywu. Tytuł brzmi: DLACZEGO, LEV, DLACZEGO? Przez cały ten czas, kiedy przeby-

wał tutaj w osamotnieniu, rozmyślając i zastanawiając się nad swoimi czynami, nigdy nie przyszło mu do głowy, że świat na zewnątrz robił dokładnie to samo. Niepotrzebna mu jest ta cała uwaga, jednak najwidoczniej jest ze światem na „ty”.

– Znalazłeś się na okładce każdego magazynu.

Nie musiał się o tym dowiadywać. Ma nadzieję, że pastor Dan nie ma ich całej kolekcji w swojej kieszeni.

– I co z tego – stwierdza Lev, próbując zachować się tak, jakby to nie miało znaczenia. – O klakierach zawsze jest głośno.

– O ich działaniach jest głośno, o zniszczeniach, które spowodowali – ale nikt nie przejmuje się tym, kim oni są. Dla opinii publicznej wszyscy klakierzy są tacy sami. Ale ty się od nich różnisz, Lev. Jesteś klakierem, który nie zaklaskał.

– Chciałem to zrobić.

– Gdybyś chciał, to byś to zrobił. Jednak zamiast tego wbiegłeś do gruzowiska i wyciągnąłeś czworo ludzi.

– Troje.

– Troje, ale zapewne wróciłbyś po kolejnych, gdybyś tylko mógł. Wszyscy pozostali dziesięciorodni trzymali się z daleka. Chronili swoje własne drogie ciała. Jednak to ty w zasadzie poprowadziłeś akcję ratunkową, ponieważ „dzieciuchy” podążyły za tobą, aby wyciągnąć ocalałych.

Lev przypomina to sobie. Nawet kiedy motłoch rozprawiał się z bramą, wielu Podzielonych wracało wraz z nim do gruzowiska. I pastor Dan ma rację – Lev wciąż by tam wracał, jednak dotarło do niego, że jeden fałszywy ruch wywoła jego detonację i spowoduje zawalenie pozostałej części krajalnicy. Wyszedł więc na czerwony dywan i siedział przy Risie i Connorze, dopóki nie zabrały ich karetki. Następnie stanął pośród chaosu i przyznał się do bycia klakierem. Przyznawał się w kółko i w kółko przed każdym, kto gotów był go wysłuchać, aż w końcu oficer policji łaskawie zaoferował się go zaaresztować. Policjant bał się go nawet zakuć w kajdanki z obawy, że mógłby spowodować tym jego eksplozję, ale to nie stanowiło problemu – Lev nie miał zamiaru stawiać oporu.

– To, co zrobiłeś, Lev, wprawilo ludzi w osłupienie. Nikt teraz nie wie, czy jesteś potworem, czy bohaterem.

Lev zastanawia się nad tym.

– Czy jest jakaś trzecia opcja?

Pastor Dan nie odpowiada. Może nie zna odpowiedzi.

– Muszę wierzyć, że wszystko dzieje się z określonego powodu. Twoje porwanie, to że zostałeś klakierem, to że odmówiłeś klaskania. – Zerka na okładkę magazynu w swojej dłoni. – Wszystko to doprowadziło nas do tego miejsca. Przez lata Podzieleni byli jedynie anonimowymi dziećmi, których nikt nie chciał. Ale teraz podzielenie zyskało twoją twarz.

– A nie mogliby umieścić mojej twarzy na czymś innym?

Pastor Dan ponownie wydaje stłumiony śmiech i tym razem nie jest tak wymuszony jak ten wcześniejszy. Spogląda na Leva, jak gdyby dostrzegał w nim po prostu chłopca, a nie coś nieludzkiego. Dzięki temu, choćby przez chwilę, Lev czuje się jak normalny trzynastolatek. To dziwne uczucie, ponieważ nawet w swoim dawnym życiu nigdy nie był normalnym dzieckiem. Dziesięciorodni nigdy nimi nie są.

– Więc co będzie teraz? – pyta Lev.

– Z tego co rozumiem, w ciągu kilku tygodni usuną z twojego krwiobiegu większość materiału wybuchowego. Nadal będziesz wybuchowy, jednak nie tak bardzo jak wcześniej. Będziesz mógł klaskać, ile dusza zapagnie i nie spowoduje to eksplozji – ale na twoim miejscu unikałbym przez pewien czas sportów kontaktowych.

– A potem mnie podzielą?

Pastor Dan potrząsa głową.

– Nie podzielą klakiera – ta substancja nigdy całkowicie nie opuści twojego ciała. Rozmawiałem z prawnikiem. Ma przeczucie, że zaproponują ci układ – bądź co bądź pomogłeś im schwycić ludzi, którzy przeprowadzili na tobie transfuzję. Ludzie, którzy cię wykorzystali, dostaną to, na co zasługują. Jednak sąd prawdopodobnie będzie cię widział w roli ofiary.

– Wiedziałem, co robię – oznajmia Lev.

– Więc powiedz mi, dlaczego to zrobiłeś.

Lev otwiera usta, aby odpowiedzieć, jednak nie potrafi tego ubrać w słowa. Złość. Zdrada. Wściekłość na wszechświat, który udaje, że jest prawy i sprawiedliwy. Ale czy to na pewno było powodem? Czy to go usprawiedliwia?

– Możesz ponosić odpowiedzialność za swoje czyny – wyjaśnia pastor Dan – jednak to nie twoja wina, że nie byłeś emocjonalnie przygotowany do życia w prawdziwym świecie. To moja wina – i wina każdego, kto wychował cię na dziesięciorodnego. Jesteśmy tak samo winni jak ludzie, którzy

wpompowali tę truciznę do twojej krwi. – Odwraca wzrok zawstydzony, po-
hamowując swój narastający gniew, jednak Lev widzi, że gniew nie jest wy-
mierzony w niego. Bierze głęboki oddech i kontynuuje:

– Wnioskując po tym skąd wieje wiatr, prawdopodobnie odsiedzisz kilka
lat w zakładzie karnym dla młodocianych, a potem czeka cię jeszcze kilka lat
aresztu domowego.

Lev wie, że powinien teraz odczuwać ulgę, jednak to uczucie wolno
do niego dociera. Rozważa pomysł aresztu domowego.

– W czym domu? – pyta.

Po wyrazie twarzy pastora Dana widzi, że duchowny odczytuje pytanie
między wierszami.

– Musisz zrozumieć, Lev, że twoi rodzice należą do tego rodzaju ludzi,
którzy nie potrafią nagiąć swoich zasad, jednocześnie ich przy tym nie ła-
miąc.

– W czym domu?

Pastor Dan wzdycha.

– Kiedy twoi rodzice podpisali zlecenie podzielenia, znalazłeś się pod
nadzorem państwa. Po wydarzeniach w ośrodku donacyjnym państwo za-
oferowało twoim rodzicom przywrócenie prawa do opieki nad tobą, jednak
odmówili. Przykro mi.

Lev nie jest tym zaskoczony. Jest przerażony, ale nie zaskoczony. Myśli
o jego rodzicach przywołując dawne uczucia, które doprowadziły go do tak
wielkiego szaleństwa, że został klakierem. Jednak teraz uważa, że to uczucie
rozpaczy nie jest już dłużej bezdenne.

– Więc teraz nazywam się „Ward”? – pyta.

– Niekoniecznie. Twój brat Marcus ubiega się o przyznanie mu opieki
prawnej nad tobą. Jeżeli ją otrzyma, to zamieszkas z nim, kiedy tylko cię
wypuszczą. Nadal więc pozostaniesz Calderem... to znaczy, jeśli tego chcesz.

Lev przytakuje, wracając myślami do swojego przyjęcia dziesięcinowego
i tego, że Marcus okazał się być jedynym, który stanął w jego obronie.
W tamtym czasie Lev tego nie rozumiał.

– Moi rodzice wyrzekli się również Marcusa – mówi Lev. Przynajmniej
wie, że nie będzie osamotniony.

Pastor Dan wygładza koszulę i lekko dygocze z zimna. Nie przypomina
dzisiaj do końca siebie. Po raz pierwszy Lev widzi go bez szaty pastora.

– Dlaczego jest pastor tak dziwnie ubrany?

Duchowny odczeka chwilę, zanim odpowiada.

– Zrezygnowałem ze swojej funkcji. Wystąpiłem z kościoła.

Myśl o tym, że pastor Dan mógłby być kimś innym niż pastorem Danem zaskakuje go.

– Stracił... stracił pastor wiarę?

– Nie – odpowiada – jedynie swoje przekonania. Nadal głęboko wierzę w Boga – tyle że nie w takiego, który godzi się na składanie ludzkiej dziesiątyny.

Lev zaczyna odczuwać jak niespodziewana fala uczuć odbiera mu mowę, wszystkie emocje, które wzbierały w nim przez całą ich rozmowę – przez całe tygodnie – pojawiają się naraz niczym grom dźwiękowy.

– Nigdy nie sądziłem, że był taki wybór.

Przez całe jego życie, była tylko jedna rzecz, w którą pozwolono mu wierzyć. Otaczała go, ochraniała niczym kokon, ograniczała tą samą przytłaczającą delikatnością niczym warstwy izolacji znajdujące się teraz wokół niego. Po raz pierwszy w życiu Lev czuje, że więzy zaciśnięte wokół jego duszy zaczynają się rozluźniać.

– Myśli pastor, że ja też mógłbym uwierzyć w Boga?



69. PODZIELENI

We wschodnim Teksasie znajduje się rozległe ranczo. Środki na jego budowę pochodziły z ropy, której złoża już dawno się wyczerpały, jednak pieniądze zainwestowano i pomnożono. Obecnie cały teren jest ogrodzoną, zieloną oazą, wyglądającą jak pole golfowe położone pośrodku płaskich, dzikich równin. Tutaj właśnie wychowywał się Harlan Dunfee aż do szesnastego roku życia, w międzyczasie pakując się w kłopoty. Został dwukrotnie aresztowany w Odessie za zakłócanie porządku publicznego, jednak jego ojciec, pewien admirał-szycha, w obu przypadkach pomagał mu się z tego wywinąć. Za trzecim razem jego rodzice znaleźli inne rozwiązanie.

Dzisiaj wypadają dwudzieste szóste urodziny Harlana Dunfee. Wydano przyjęcie na jego cześć. W pewnym sensie.

Na przyjęcie przybyły setki gości. Jednym z nich jest chłopiec o imieniu Zachary, chociaż przyjaciele mówią na niego Gil. Mieszka na ranczu już od jakiegoś czasu. Z niecierpliwością czekał na ten dzień. Ma prawe płuco Harlana. Dzisiaj mu je zwróci.

W tym samym czasie, niemal tysiąc kilometrów na zachód, na cmentarzyku samolotów ląduje szerokokadłubowy odrzutowiec. Jego pokład wypełniony jest skrzyniami, a w każdej z nich znajduje się czworo Podzielonych. Kiedy skrzynie zostają otwarte, nastoletni chłopak wyziera z jednej z nich z niepewną miną. Ktoś świeci mu latarką w twarz, a kiedy strumień światła

zostaje skierowany w dół, dostrzega, że to nie dorosły otworzył skrzynię, lecz jakiś chłopak. Ma on na sobie ubranie w kolorze khaki i uśmiecha się do nich, odsłaniając aparat na zębach, którego wydaje się nie potrzebować.

– Cześć, nazywam się Hayden i będę dzisiaj waszym wybawcą – obwieszcza. – Wszyscy cali i zdrowi?

– Nic nam nie jest – odpowiada młody Podzielony. – Gdzie jesteście?

– W piekle – wyjaśnia Hayden. – Zwanym również Arizoną.

Młody Podzielony wychodzi ze skrzyni, przerażony tym, co może na niego czekać. Staje na czele pochodu stłoczonych dzieciaków i na przekór ostrzeżeniu Haydena, przy wychodzeniu uderza głową o drzwi kabiny ładunkowej. Kiedy schodzi po rampie na ziemię atakują go ostre światło dnia oraz piekielny skwar. Widzi, że nie jest to lotnisko, jednak wszędzie jak okiem sięgnąć stoją samoloty.

W oddali wózek golfowy toczy się w ich stronę, wzbijając w górę smugę czerwonego kurzu. W miarę jak się zbliża, tłum milknie. Kiedy się zatrzymuje, wychodzi z niego kierowca. Jest to mężczyzna z głębokimi bliznami pokrywającymi połowę jego twarzy. Mężczyzna rozmawia przez chwilę przyciszonym głosem z Haydenem, następnie zwraca się do tłumu.

Wtedy właśnie młody Podzielony uświadamia sobie, że nie jest to mężczyzna a kolejny chłopak, niewiele starszy od niego samego. Być może to bliźny na jego twarzy sprawiają, że wygląda na starszego – albo po prostu sposób, w jaki się zachowuje.

– Pozwólcie, że jako pierwszy powitam was na Cmentarzysku – obwieszcza. – Oficjalnie nazywam się E. Robert Mullard... – Uśmiecha się. – Jednak wszyscy mówią mi Connor.

* * *

Admirał nigdy nie wrócił na Cmentarzysko. Nie pozwoliło mu na to jego zdrowie. Przebywa za to na rodzinnym ranczo w Teksasie pod opieką swojej żony, która zostawiła go przed laty. Chociaż jest słaby i ma trudności z poruszaniem się, nie zmienił się za wiele.

– Lekarze mówią, że moje serce funkcjonuje tylko w dwudziestu pięciu procentach – wyjaśnia każdemu, kto go zapyta. – Wystarczy.

To, co trzymało go przy życiu bardziej niż cokolwiek innego, to perspektywa wielkiego przyjęcia Harlana. Można powiedzieć, że te przerażające hi-

storie o „Humphreyu Dunfee” są prawdziwe. W końcu, wszystkie części jego ciała zostały odnalezione, wszyscy biorcy zostali zgromadzeni. Jednak nie odbędzie się tutaj żadna operacja – na przekór pogłoskom, zrekonstruowanie Harlana kawałek po kawałku nigdy nie było ich celem. Jednak Dunfeeyowie składają syna z powrotem w jedyny sposób, w jaki potrafią to uczynić.

Jest z nimi nawet teraz, kiedy Admirał i jego żona wchodzi do ogrodu. Jest w głosach ich licznie zaproszonych gości, którzy rozmawiają i śmieją się. Są tam mężczyźni i kobiety w różnym wieku. Każde z nich ma przypięty identyfikator, jednak nie ma na nich żadnych imion. Dzisiaj imiona są nieistotne.

PRAWA DŁOŃ głosi naklejka na klapie marynarki jednego młodzieńca. Nie może mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat.

– Niech spojrzę – mówi Admirał.

Mężczyzna wyciąga swoją dłoń. Admirał przygląda się jej, aż w końcu odnajduje bliznę pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym.

– Kiedy Harlan miał dziewięć lat, zabrałem go na ryby. Nabawił się tej blizny, próbując wypatroszyć pstrąga.

Następnie dobiega go głos zza jego pleców – innego mężczyzny, nieco starszego niż ten pierwszy.

– Pamiętam! – wtrąca. Admirał uśmiecha się. Być może wspomnienia zostały porzucane, jednak są tutaj – każde jedno z nich.

Przylapuje chłopaka, który upiera się, aby zwracać się do niego Gil, czającego się samotnie na skraju ogrodu, oddychającego już mniej chrapliwie, odkąd w końcu zaczął stosować właściwe leki na astmę.

– Co ty tam robisz? – pyta Admirał. – Powinieneś być z pozostałymi.

– Nie znam tu nikogo.

– Ależ znasz – wyjaśnia mu Admirał. – Po prostu nie zdajesz sobie jeszcze z tego sprawy. – Następnie prowadzi Gila w stronę tłumu.

Tymczasem na cmentarzysku samolotów, Connor przemawia do nowo przybyłych, zgromadzonych przed odrzutowcem, który ich tutaj przywiózł. Connor jest zdumiony, że go słuchają. Jest zdumiony, że naprawdę wzbudza w nich szacunek. Nigdy do tego nie przywyknie.

– Znaleźliście się tutaj, ponieważ każde z was zostało skazane na podzielenie, a jednak udało wam się uciec i dzięki pomocy wielu ludzi udało wam się tu dotrzeć. To będzie wasz dom do waszych siedemnastych urodzin i osią-

gnięcia pełnoletności. Tyle, jeżeli chodzi o dobre wiadomości. Zła wiadomość jest taka, że wiedzą o nas. Wiedzą, gdzie jesteśmy i co robimy. Pozwalają nam tu zostać, ponieważ nie dostrzegają w nas zagrożenia.

Następnie Connor uśmiecha się.

– Cóż, zamierzamy to zmienić.

Gdy Connor przemawia, nawiązuje z każdym z zebranych kontakt wzrokowy, upewniając się, że zapamięta każdą twarz. Chce, aby każde z nich czuło się zauważone. Wyjątkowe. Ważne.

– Niektórzy z was przeszli przez wystarczająco wiele i chcą jedynie przetrwać do siedemnastki – kontynuuje. – Nie mam do was o to pretensji. Ale wiem też, że niektórzy z was są gotowi zaryzykować wszystko, aby skończyć z podzieleniem raz na zawsze.

– Właśnie! – krzyczy ktoś z tyłu i unosząc pięść w górę zaczyna skandować: – Happy Jack! Happy Jack! – Kilka osób dołącza się, dopóki wszyscy nie uświadamiają sobie, że nie tego Connor oczekuje. Skandowanie szybko cichnie.

– Nie będziemy wysadzać krajalnic – oznajmia. – Nie będziemy utwierdzać ich w ich własnym przekonaniu, że jesteśmy agresywnymi smarkaczami, z których będzie większy pożytek, jeżeli się ich podzieli. Będziemy myśleć zanim cokolwiek zrobimy – i to im utrudni sprawę. Zinfiltrujemy ośrodki donacyjne i zjednoczymy Podzielonych w całym kraju. Uwolnimy ich z autokarów, zanim zdążą dotrzeć na miejsce. Będziemy mieć coś do powiedzenia i nie zawahamy się tego zrobić. Sprawimy, że nas usłyszą. – Teraz tłum nie potrafi powstrzymać wiwatów i tym razem Connor nie sprzeciwia się temu. Te dzieciaki dostały od życia w kość, jednak na Cmentarzysku zebrała się teraz energia, która zaczyna napełniać każde jedno z nich. Connor pamięta to uczucie. Towarzyszyło mu, kiedy przybył tutaj po raz pierwszy.

– Nie wiem, co się dzieje z naszą świadomością, kiedy zostajemy podzieleni – kontynuuje. – Nie wiem nawet, gdzie zaczyna się ta świadomość.

Ale wiem jedno. – Robi pauzę, upewniając się, że wszyscy go słuchają. – Mamy prawo do swojego życia!

Tłum szaleje.

– Mamy prawo wyboru odnośnie tego, co dzieje się z naszym ciałem!

Okrzyki sięgają zenitu.

– Zasługujemy na świat, w którym obie te rzeczy są możliwe. I naszym zadaniem jest pomóc ten świat stworzyć.

Rozemocjonowanie wzbiera również na ranczu Dunfeeyów. Gwar konwersacji niosący się po całym ogrodzie przeradza się w tumult, kiedy coraz więcej osób nawiązuje rozmowę. Gil dzieli się swoimi doświadczeniami z dziewczyną, która posiada lewy odpowiednik jego prawego płuca. Pewna kobieta rozmawia o filmie, którego nigdy nie oglądała, z mężczyzną, który pamięta przyjaciół, z którymi nigdy go nie obejrzał. I kiedy Admirał przygląda się temu wszystkiemu wraz z żoną, następuje coś niezwykłego.

Rozmowy zaczynają się upodabniać!

Tak jak para wodna, która krystalizuje się we wspaniałą, wyjątkową formę płatka śniegu, tak gwar głosów łączy się w jedną rozmowę.

- Spójrz! Spadł z tamtego murku, kiedy miał...
- sześć lat! Tak – pamiętam to!
- Miesiącami musiał nosić stabilizator nadgarstka.
- Nadgarstek nadal daje o sobie znać, kiedy pada.
- Nie powinien był wchodzić na ten murek.
- Musiałem – gonił mnie byk.
- Tak bardzo się bałem!
- Czujesz zapach kwiatów na tamtej łące?
- Przypomina mi to pewne lato...
- kiedy moja astma nie była jeszcze tak poważna...
- i kiedy czułem, że mogę zrobić wszystko.
- Wszystko!
- I świat stał przede mną otworem!

Admirał ściska dłoń swojej żony. Żadne z nich nie potrafi powstrzymać łez – nie smutku, lecz podziwu. Jeżeli pozostała część jego serca miałaby się w tej chwili zatrzymać, to Admirał odszedłby z tego świata bardziej zadowolony, niż jakikolwiek inny człowiek na Ziemi.

Spogląda na zbiorowisko ludzi i odzywa się słabym głosem.

– H-Harlan?

Spojrzenia wszystkich wędrują w jego stronę. Mężczyzna podnosi dłoń do gardła, dotyka go delikatnie i przemawia głosem, niewątpliwie należącym do Harlana Dunfee, tylko nieco starszym: – Tato?

Admirał jest tak bardzo poruszony, że odbiera mu mowę, więc jego żona spogląda na mężczyznę stojącego przed nią, na ludzi obok niej, na tłum wokół i mówi:

– Witaj w domu.

Niemal tysiąc kilometrów dalej na cmentarzysku samolotów dziewczyna gra na fortepianie pod skrzydłem zdezelowanego odrzutowca, niegdyś noszącego nazwę Air Force One. Jej muzyka, na przekór wózkowi inwalidzkiemu, do którego jest przykuta, przepełniona jest rzadkim rodzajem radości, a jej sonata podnosi na duchu wszystkich nowo tu przybyłych. Posyła im uśmiech, kiedy ją mijają i kontynuuje grę, dając jasno do zrozumienia, że to pieklisko, pełne uziemionych samolotów, jest czymś znacznie więcej, niż im się wydaje. Jest łonem wybawienia dla każdego z Podzielonych i wszystkich tych, którzy walczyli w Wojnie Moralnej i przegrali – co oznacza każdego.

Connor pozwala, aby muzyka Risy wypełniła jego zmysły, podczas gdy obserwuje jak nowo przybyli są witani przez tysiące mieszkańców Cmentarzyska. Słońce zaczęło już zachodzić, łagodząc skwar i o tej porze dnia rzędy samolotów rzucają przyjemne wzory cienia na twardą ziemię. Connor nie może powstrzymać uśmiechu. Nawet miejsce tak surowe jak to potrafi przy odpowiednim świetle ukazać swe piękno.

Connor napawa się tym wszystkim – muzyką, głosami, pustynią oraz niebem. Ma zadanie, do którego został stworzony – zmienić świat, jednak sprawy zdążyły już przybrać właściwy obrót; jedyne co musi teraz zrobić, to kontynuować ich bieg. I nie musi robić tego w pojedynkę. Ma Risę, Haydena i każdego spośród zgromadzonych tutaj Podzielonych. Bierze głęboki oddech, a gdy wypuszcza powietrze wraz z nim ustępuje też napięcie. W końcu pozwala sobie na cudowny luksus nadziei.

PODZIĘKOWANIA

W przypadku powieści, suma poszczególnych części składowych przewyższa czasami całość. Książka ta nie powstałaby bez mojego redaktora Davida Gale'a, który zmotywował mnie do stworzenia jak najlepszej powieści. Prawdę powiedziawszy, mam dług wdzięczności wobec wszystkich z Simon & Schuster, nie tylko za wsparcie okazane mi w pracy nad tą książką, lecz również za wsparcie, które okazali mi w ciągu całej mojej dotychczasowej pracy.

Dziękuję moim dzieciom, Brendanowi, Jarrodowi, Joelle oraz Erin, za to, że są tak wspaniałymi dziećmi, których nikt nigdy by nie podzielił – specjalne podziękowania należą się Jarrodowi, który nie tylko stworzył moją stronę na MySpace, ale również jako pierwszy przeczytał książkę i przekazał mi mnóstwo błyskotliwych uwag, które znacznie pomogły mi na etapie wczesnych szkiców powieści, zanim rękopis trafił do rąk wydawcy.

Dziękuję Haidy Fisher i jej synowi Cyrusowi, który wymyślił imię CyFi, oraz pozwolił mi je nadać jednej z moich ulubionych postaci.

Dziękuję mojej grupie literackiej, the Fictionaires, za cenne uwagi, oraz Trumanell Maples i Leigh Ann Jones, nadzwyczajnym specjalistom ds. mediów, którzy ogromnie mi pomagali w pracy nad moim drugim szkicem powieści.

Na podziękowania zasługuje również Steve Layne, który kiedy dowiedział się o pomysłe na powieść, powiedział „MUSISZ napisać tę książkę”.

Dziękuję mojej asystentce, Brandi Lomeli, za to, że jest moim mózgiem.

Chciałbym podziękować Justin Sewell z despair.com (jedna z najzabawniejszych stron internetowych, jakie w życiu widziałem) za to, że pozwolił mi wspomnieć ich demotywatora odnośnie „Pragnienia”.

Chciałbym również złożyć podziękowania na ręce Charlesa Pammenta z BBC, Jima Bremnera i Joe Zentnera z desertusa.com oraz Dave'a Finna, za ich pomoc odnośnie informacji, które znajdują się na kartach pomiędzy poszczególnymi częściami powieści. Informacja o duszy wystawionej na sprze-

daż na eBay'u oraz odpowiedź na nią są prawdziwe. Cmentarzisko samolotów naprawdę istnieje, a mrożąca krew w żyłach historia o ukraińskich noworodkach zabranych od matek dla organów jest prawdziwa, dowodząc, że fikcja zbyt często nie odbiega tak bardzo od rzeczywistości.